

Rosja.
Lecą Jenoty

Spis treści

Good evening, Dagestan	3
Żadne drogi nie prowadzą do Sulaku.....	10
Twierdza taka derbencka!	21
Sekrety chinkału	32
Moje wielkie dagestańskie wesele	37
Bryzgi szczęścia.....	46
Long Weekend	58
Kierunek: Wschód.....	75
Tam musi być jakaś cywilizacja!.....	75
Home is where the heart is.....	78
Droga do kolebki.....	86
Jądro ciemności.....	92
Patolsk	100
Rozdziobią nas kruki w Woroneżu	122
Riazańska dusza, kołomnańska zmarzlina.....	141
Struktura rosyjskiej infrastruktury.....	154
Zew manata.....	165
Szekirezada.....	188
Nie płacz, kiedy wyjadę z Azerbejdżanu.....	211
Jądro chaczapuri.....	224
Miedź dla Alawerdi	240
Radio Erewań nadaje.....	253
Leninakan.....	272
Privet iz Batuma	292
W kaukaskim kotle	302
Ostatnie tango w Abchazji	314
Kutaisi – Goodbye and good luck	364

[6.05.2016]

Federacja Rosyjska jest ogromna (odkrywcze, wiem). Dlatego w momencie, gdy udało mi się dostać urlop, stanąłem przed dylematem: uciec, ale dokąd? Nadmiar opcji sprawiał, że dobre kilkanaście dni sprawdzałem kolejne miejsca i republiki zanim się zdecydowałem. Najpierw to, co spadło z listy wakacyjnej, chociaż było rozważane:

- Syberia – brzmi dumnie, ale wychodziło mi, że tam nic nie ma. Bo odwiedzi się Irkuck i co potem? Albo Tobolsk i Tomsk, a potem? Wszędzie daleko, infrastruktura nawet jest, ale latanie wychodzi drogo, jeżdżenie pociągami zajmuje obłędne ilości czasu. Jak ktoś ma czas i nie boli go uwalenie się gdzieś na dłużej, to nie jest zła opcja, ale stwierdziłem, że nie.
- Buriacja, czyli Bajkał i góry. Kwiecień to już za późno na zimę, a za wcześnie na lato. Do tego dość wysokie ceny lotów, potencjalne kłopoty z transportem, wynajmowanie przewodników, więc temat upadł.
- Kamczatka – ci, którym było dane zobaczyć, mówią, że cud absolutny. Loty do Pietropawłowska Kamczackiego drogie, ale to jeszcze bym przeżył. Niestety na miejscu nie ma za wiele transportu, więc trzeba płacić za np. helikoptery, jeepy, psie zaprzęgi (*I shit you not*), więc skreśliłem.
- Magadan – lot drogi, ale to miasto gułagowe, więc bardzo chciałem je zobaczyć. Dla odmiany okazało się, że nie ma infrastruktury, wydostanie się do następnego ciekawego miejsca zajmuje ocean czasu, samo miasto jest koszmarne i bez niczego, jedyna atrakcja to pomnik ofiar systemu. No za mało, żeby spędzić tam tydzień.
- Władywostok – połączenia są średnio drogie, samo miasto na dzień wystarczy, ale co potem robić ze sobą? Powtórka: wszędzie daleko, więc albo latanie, albo noce i dnie w pociągach.
- Północ – Karelia, Sołowki, Murmańsk. Infrastruktura w standardzie, czyli koszmarne miejsciny, piękna przyroda, tylko jak się do niej sensownie dostać? Chociaż znam ludzi, którzy zrobili tę trasę i byli zachwyceni. Tyle że oni ją robili w lipcu, a nie w połowie kwietnia. Bałem się pogody, dostanie się na Sołowki poza sezonem może wymagać wynajęcia łodzi (coś nawet o poduszkowcu czytałem), koszty tego są dramatyczne, zwłaszcza dla samotnego podróżującego. Odpadło.

W końcu pomogła mi reklama na stronie bieda linii lotniczych, czyli Pob[i]eda Airlines. Machaczkała. Machaczkała jest stolicą Dagestanu, a gdy mieszkalem w Gruzji, to zdarzało się, że o Dagestanie mówili, że ma jeszcze lepsze góry niż Gruzja. Południe i Kaukaz, nie będzie zimno, do tego Morze Kaspijskie. Rozpocząłem zbieranie informacji o regionie. Nie poszło za szalowo.

Ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że w Dagestanie mieści się Derbent, zwany Słupami lub Wrotami Aleksandra, zwany też najstarszym miastem Rosji. Tu nie było wielkich problemów. Machaczkała też dała się ugryźć, w sensie pozwalała na rezerwację noclegów. Poza

tym pustka. Połączenia? Są z Machaczkały do Derbentu, po drodze jest Izberbasz, są na północ, są i inne, ale dokąd i kiedy – diabli wiedzą.

W prawie żadnym języku, wliczając w to rosyjski, nie ma informacji dotyczących turystyki. Najlepsza mapa to ta Google Maps. Szczęśliwie, w stolicy i Derbencie hotele doszły do etapu używania internetu, więc przynajmniej łatwo da się ogarnąć nocleg. Poza tym można ustalić, że herbem Dagestanu jest orzeł, że przeważa islam, że mieszkają tam Żydzi górscy. Mogłem też zgadywać, że koncepcja wegetarianizmu jest średnio popularna, a i że w kwestii praw LGBT raczej nie ma tam Holandii.

A co do informacji nieturystycznych, są doniesienia prasowe o tym, że co jakiś czas dochodzi do zamachów – czytając je odnosiłem wrażenie, że Dagestan dziko nie marzy o byciu w Federacji Rosyjskiej. Co więcej, w Dagestanie miały miejsce zamachy na sklepy monopolowe, żeby ukarać handlujących wodą ognistą. Początkowo planowałem więc zrobić szybki tour Dagestanu, potem przejechać przez Czeczenię do Inguszetii i lecieć do Moskwy. Po dwa dni na republikę, jeden zapasu, wszystkie stolice i Derbent. Jednak na me prośby i pytania odpisała dziewczyna z CouchSurfingu. Poleciała mi skoncentrowanie się na jednej Republice, mówiąc że według niej Dagestan jest ciekawszy od pozostałych. Wypisała mi miejsca, które jej zdaniem warto odwiedzić, dała namiary do znajomych. Odpisywała na me wiadomości niemal w czasie rzeczywistym, więc po dwóch dniach postanowiłem, że dobra, sam Dagestan i tyle.

Pracuję z wieloma Rosjanami, sporo z nich nie pochodzi z Moskwy. Zapytałem więc parę osób o Dagestan. Nikt tam nigdy nie był, dość często uznawano mnie za psychicznego:

– *Masz paszport, z którym możesz pojechać do dowolnego kraju UE, a ty jedziesz do Dagestanu? Zamiast do Włoch, Hiszpanii lub Polski? DLACZEGO?*

– *Ja to bym już wolą normalnie chodzić do pracy niż jechać do Dagestanu... Tam jest dzicz.*

A mówi się, że Rosjanie są tacy bezkrytycznie patriotyczni. Gdybym dodał, że rozważałem odwiedzenie Czeczenii, to chyba by zadzwonili po panów z kaftanem.

Na dzień przed wylotem odkryłem, że zmieniono mi godziny tej szalowej podróży, zamiast o 16, miałem polecieć o 13. Mnie nawet bardziej pasowało, ale pewnie nie wszystkim. Pobeda Airlines oferuje dwa loty dziennie, więc zgaduję, że jak się słabo wyprzedadzą, to jeden anulują, a pasażerów przesadzają. Na pewno też każdy, kupując bilet, zgadza się na to, a pewnie i jeszcze na kilka innych atrakcji. Na przykład nie wolno mieć bagażu podręcznego, tylko rejestrowany, do 10 kilo. Nie jest to takie złe, bo przynajmniej na pokładzie jest mniejszy bajzel z lukami bagażowymi. Waga rzeczy potrzebnych mi na tydzień wyniosła 3,6 kilograma.

Rosja każdemu kojarzy się z wódką, a tymczasem na lotnisku Wnukowo mamy dokładnie zero możliwości napicia się tego trunku – bezcłówka jak w kraju islamskim, perfumy i słodycze. Podobne mamy szanse na zapalenie sobie. Są bary z piwem (205 w jednym, 230 w Burger Kingu), ale cały obiekt robi dość depresyjne wrażenie, wydaje się solidnie za duży jak na liczbę obecnie obsługiwanych lotów. Przynajmniej nie ma tłoku, a ceny trochę niższe na Szerementiewo, ale siedzenie tam przez ponad godzinę sprawia, że czego byście nie czytali, to będziecie o kilkadziesiąt stron do przodu.

Gdy ogłoszono początek odprawy, a ludzie ustawili się w kolejce, podjechały dwa stoiska obwoźne, a sprzedawczynie poczęły informować zebranych:

– Na pokładzie Pobeda Airlines nie podają żadnych napojów! Nie ma jedzenia! Nie da się niczego kupić!!! Kupujcie od nas!

Ta strategia reklamowa przyniosła pewne rezultaty, parę osób postanowiło nie sprawdzać, jak to jest nie pić i nie jeść przez ponad dwie godziny. W ciągu lotu wielokrotnie poinformowano nas, że nie wolno pić alkoholu. Naprawdę, robi się to irytujące – ileż razy można tego wysłuchiwać? Jeszcze przy wylocie z lotniska, na którym nie ma bezcłówki! Z drugiej strony, skoro oni aż taki nacisk kładą na problem, to musiały być super imprezy, że postanowili upewnić się, że każdy na 100% wie, że nie wolno. Stan samolotu pozwolił na ustalenie, jakie jest absolutne minimum wyposażenia wnętrza takiej jednostki. No więc paru rzeczy z toalety wozić nie muszą. Podobnie wielu z tych tacek z tyłu samolotu. Aż dziwne, że chłopaki z Ryanaira na to nie wpadli.

Koło 16 wylądowaliśmy na lotnisku w Machaczkałe. Nastąpiło dość długie powitanie po rosyjsku – że Dagestan, że Machaczkała, że lotnisko Uytash imienia Ahmet Khana Sultana, który to był bardzo ważnym bohaterem Związku Radzieckiego, temperatura wynosi tyle i tyle, miłego pobytu. Wersja po angielsku: wylądowaliśmy.

Jak ten facet był wielkim bohaterem, to strach myśleć, jak wyglądają lotniska nazywane po pomniejszych gerojach. Punkt wydania bagażu mieścił się w malutkiej salce wylanej betonem. Przywieźli toboły na ciężarówce i niestety widzieliśmy wszyscy, co z nimi zrobiono. Przed wejściem kłębił się tłum bliskich i taksiarzy. Wychodzi się prosto w ich objęcia, ale ja swoje wiedziałem: z lotniska do miasta jeździ autobus miejski. Przystanek widać od razu z wyjścia, więc poszedłem, zapaliłem peta i zacząłem się zastanawiać, czy to mój szczęśliwy dzień. Co kilka minut oferowano mi taksówkę, ale twardo mówiłem, że nie, nie, ja to pojadę autobusem. W końcu w odpowiedzi usłyszałem:

– Brat, ty się nie wygłupiaj, tu nie ma autobusów.

– Jest, jest, numer 102 jeździ na Prospekt Piotra Pierwszego, znalazłem sobie w necie.

– Może i jeździ, ale na pewno nie w niedzielę.

– Dzisiaj mamy sobotę.

– Czego byśmy nie mieli, to dzisiaj nie jeździ. Nie robię sobie jaj, w weekendy na pewno tu nie przyjeżdża. 300 rubli, wsiadasz, jedziemy, tyle rozmowy.

Chwila już minęła, a byłem jedynym oczekującym. Nic nie przyjechało w żadną stronę. Pomyślałem, że 300 rubli to nie bardzo dużo, a wieje dość solidnie, jeżeli facet nie kłamie, to po zmroku ceny wzrosną, a ja jestem głodny i chce mi się pić. Pan jeszcze chciał podbić na 400, ale się nie dałem, wywalczyłem, że mają mnie zawieźć pod hotel, wyjechaliśmy z lotniska i minęli tablicę Machaczkała 23.

Droga z lotniska była nieco przerażająca: pełno pustostanów, niemało inwestycji w trakcie, reklamy (głównie nieruchomości, wiele z Leninem), a pomiędzy tym zdarzało się dostrzec pasterza ze swoim stadkiem kóz. Śmieci na tony, obłędny wiatr. Przy wjeździe do miasta był korek. Między samochodami chodziła kobieta z dzieckiem na rękach i żebrała. Kierowca i pasażer zgodzili się:

– To na pewno nie jest nikt z naszych.

– Nie, musiała przyjechać z Uzbekistanu. Niech wraca do siebie.

Kurwa, a ja tam widziałem żebrzącą kobietę z dzieckiem, a nie żebrzącą kobietę z dzieckiem z rozróżnieniem na kolor okładki paszportu. Kusilo mnie też poinformować ich o tym, że może nie wiedzą, co mówią o nich w Moskwie, ale że mogę im dać trochę informacji o tym, jakie uczucia wzbudzają w wielu Rosjanach, mniej więcej takie jak ta pani w nich. Uznałem, że bezpieczniej jednak nic nie mówić.

W końcu współpasażerowie zainteresowali się mną.

– *Jestem z Polski, ale mieszkam w Moskwie. Przyjechałem tu na urlop.*

Szok, który wywołały te słowa, sprawił, że prawie wjechaliśmy w kufer następnego samochodu. Kierowca się odwrócił popatrzeć, co za pojeb.

– *Dobra, to co, na dworzec chcesz jechać?*

– *Nie, ja zostanę w Machaczkale na dwa dni.*

Zamarli. Po chwili wykrztusili:

– *Masz znajomych i cię zaprosili?*

– *W Derbencie mam, tutaj nie.*

– *Czemu tu chcesz siedzieć? Jeszcze nie jest późno, są autobusy do Derbentu, zdążysz...*

– *Nie, nie, ja chcę zobaczyć stolicę.*

Pogadaliśmy jeszcze o tym, że to fajnie, że mówię po rosyjsku, że taki akcent trudny do zlokalizowania, że na pewno muszę zobaczyć Derbent. Dotarliśmy do hotelu Argo mieszczącego się przy Prospekcie Gamidowa. Zastanawiało mnie, czy nazwano go na cześć filmu i frazy *Argo fuck yourself*. A jeżeli tak, to czy dają zniżki, jak się ich tak pozdrowi. W ramach powitań czekały na mnie rozwalone drzwi:

– *Uważaj pan, bo się wszystko na pana posypie* – rzucił ochroniarz. Postanowiłem wierzyć w to, że to wiatr tak trzasnął, a nie jakiś klient po tym, jak zobaczył rachunek.

Hotel wyglądał dość ładnie, jednak tani nie był – ba, on nawet jak na Moskwę nie byłby tani, 1320 rubli. Byli w takim szoku, że mają klienta z obcego kraju... No widzieli rezerwację, ale myśleli, że to tak sobie ktoś kliknął dla jaj i tyle. A tu ja naprawdę przyjechałem, witamy! Chyba jednak nie nazwali go na cześć filmu...

Byłem jedynym klientem w hotelu. Pokój całkiem ładny, czysty, z własną łazienką, lodówką, hulającym internetem. Do tego centrum miasta, tylko ruszać na podbój.

Pierwsze wrażenie było wielce depresyjne. Poszedłem na azymut w stronę Morza Kaspijskiego. Wiało, a ponieważ segregacja śmieci to dla lokalnych jeszcze pewna nowość, co jakiś czas mogłem dostać w twarz przelatującą spontanicznie reklamówką albo opakowaniem po chipsach. Po drodze oczy me ujrzały takie hity jak bar Majak (czyli latarnia morska, ale jestem pewien, że na majaki tam też były spore szanse).

W pobliżu był hotel, który reklamował się nocami za 200 rubli. Myślę, że tam mogłoby mi wyjść nieco drożej, bo jednak miałem parę rzeczy, które można było mi ukraść. Gdy doszedłem do estakady nad slumsami, zaczęło kropić. Stwierdziłem, że wystarczy, zawróciłem w stronę centrum. Tam sprawy miały się nieco lepiej, ale o tyle jedynie, że największą atrakcją był pomnik Kirowa przy placu Lenina. Na listę ciekawostek lokalnych wpisałbym jeszcze lokal serwujący głowę barana. W sklepach standard raczej, tyle że opowieści o tym, że są bardzo antyalkoholowi okazały się zdecydowanie przesadzone. Może woda nie leje się strumieniami, ale znalezienie piwa to nie jakiś wielki problem, barów i piwiarni pełno. No i w sumie

podróżowanie to nieco depresja: człowiek jedzie na koniec świata, a tu taka sama cola w sklepach jak w Krakowie. Żeby tylko cola, nawet piwa, słodczyce, to w jakichś przynajmniej 80% to, co w Moskwie. Hamburgery, sushi, dzikość tak bardzo, koniec świata wow. Pełno sklepów z materiałami budowlanymi, warsztatów oferujących tuning samochodów, trochę ciuchów, zabawek dla dzieci, nieco intrygujące islam shopy, w których mieli umiarkowanie wyuzdane stroje dla kobiet. Nie było to coś, co sprawiło, że rzucałem się sprzedawcom na szyje, błagając by dali mi te perełki chińskiej produkcji z wystaw.



Dyskretny urok lokalu Majak



Urokliwe sceny z życia w stolicy



Pomnik gieroja, czyli jedna z nielicznych atrakcji stolicy Dagestanu

Problemem znacznie większym jednak było to, że centrum nie zachwycało. I to delikatnie mówiąc. Po drugie, wiatr z deszczem. Wszedłem do jednego z lokali, takiej mordowni średniej klasy – na mordownię klasy najwyższej zabrakło mi odwagi. Wzbudziłem nieco zainteresowania, ale po pięciu sekundach im przeszło. Zamówiłem chudu/czudo – kaukaski placek z zieleciną, piwo Don i rozsiadłem się. Był to bar sportowy, klientela dość pijąca, ale większość raczej zainteresowana swoimi telefonami niż meczami. Cholera, środek dziczy, a tu ludność lokalna gra w *Candy Crush Saga*. Kolesie wyglądają na mafię, a tu cukiereczki układają. Depresja na całego.

Rachunek wyszedł dość ciekawy, 207 rubli.

– *Hm, 120 za jedzenie, 60 piwo i to jest 207?*

– *Przecież jest 15% dopłaty za obsługę* – obruszona kelnerka poinformowała mnie takim tonem, że zrozumiałem, że znacznie wyżej wyceniała swoje usługi.

Jeszcze chwila łażenia po mieście i pierwsze wnioski: jest tanio. Kawa może kosztować i 10 rubli, za 20 to już poziom lokalu. Z jedzenia, to wegetariańskie niebo nie jest, kusila szczególnie ta barania głowa, poza tym wszelakie szawarmy, chinkały, szaszłyki. Wnioski kolejne: raczej brzydko, bardzo brudno i raczej nieciekawie. Ruch w standardzie dziczy, nie Indie i nawet nie Gruzja, ale permanentne korki na większych skrzyżowaniach, światła tak przestrzegane jak wyjdzie, dziury w drogach i chodnikach (a że do tego był deszcz...). Pocieszałem się tym, że miałem jeszcze trochę czasu, żeby nacieszyć się stolicą Republiki

Dagestanu. Miałem nadzieję, że w świetle dnia i przy innej pogodzie będzie to wyglądało nieco lepiej. Trochę dlatego, że gorzej nie mogło.

Gdy koło godziny 23 wychodziłem na hotelowy taras, w rękach została mi klamka od drzwi. Jeżeli chodzi o jakość roboty, przykładanie wagi do detalu ozdobnego i solidność, to Machaczkała może jeszcze chwilę walczyć o status Paryża Wschodu.



Dagestanowi – Pokój i rozkwit!

Żadne drogi nie prowadzą do Sułaku

[9.05.2016]



Ten kot też miał nieszczęście bycia w Machaczkale

O poranku wszystko wyglądało lepiej. Wiało znacznie mniej. Pogoda była ładna. Miałem plan: wawóz Sułak. Miejsce, gdzie rzeka Sułak płynie sobie w dole, a my możemy ją podziwiać ze wzniesienia terenu. Według wszystkich informacji, jakie miałem, powinno się tam dostać bez większego bólu, a nawet jakieś tam doznania będą związane z taką wycieczką. Były. Według informacji znalezionych w pocie czoła w internecie do Sułaku jeździł autobus numer 111. Poproszona o potwierdzenie, pani w hotelu zapytała starszego pana, bo sama nie wiedziała. Wspólnymi siłami ustalili, że muszę jechać na dworzec północny, ale autobusem nie 111, tylko 115, marszrutką 17b lub 88. Tam będą marszrutki do Sułaku, to już mi powiedzą.

Jeszcze zanim się rzuciłem w ten szal przygód komunikacyjnych, poszedłem na śniadanie. Już się nie wygłupiałem z opcją wegetariańską, wziąłem szawarmę i kawę (tylko cztery razy się upewniali, że chcę kawę bez cukru, bo jak to? Kawę bez cukru???). Zapłaciłem za to 90 rubli, w dość cywilizowanym miejscu.

Dobra, dworzec północny, jest to kawałek od miasta. Po drodze pomniki, cudowne. Duma Dagestanu, rozwój i pokój. Standardowy chaos kaukaski, do tego wszędzie pył. Żeby wejść do budynku dworca, należy się wylegitymować, wyjaśnić, co Polak robi w Dagestanie, i już można porozmawiać z paniami. Nie były to zbyt pocieszne pogawędki. Jak macie w głowie taki zajebisty, ciężki socjalizm rodem z Barei, to mniej więcej taki poziom obsługi klienta. Na pytanie, gdzie i jak do tego kanionu, dostałem w pysk standardowym:

– Ależ panie, to przecież nie tutaj!

Byłbym zdziwiony, gdyby to było tutaj.

– *To gdzie?*

Dostałem wskazówki. Ustaliłem też, że autobus do Groznego odjeżdża o 8:20 i jedzie trzy godziny. Wsiadłem w jakiś transport, powiedziałem kierowcy, dokąd chcę. Jedziemy. Całe miasto, trochę korków, jeszcze więcej tłoku, upału, lżejszego lub cięższego burdelu i chaosu. Jedynie kawałek drogi przy Morzu Kaspijskim był ładny, ale wiele się nim nie nacieszyłem, już byliśmy na dworcu kolejowym.

– *Wysiądać, koniec trasy.*

– *Hm, gdzie my jesteśmy?*

– *Dworzec południowy.*

– *To ten transport do Sulaku, do kanionu stąd idzie?*

– *Ależ nie, przecież to trzeba było wysiąść dawno temu. Ja się w sumie dziwiłem, że pan tam nie wysiadł.*

– *Hm, a nie kusilo tak pana, żeby może mi o tym powiedzieć? Że skoro się o to pytam, to może nie do końca dobrze znam Machaczkałę, a jeszcze gorzej system połączeń do okolicznych wiosek?*

Dziwne dźwięki. Dobrze, sklep.

– *Marszrutki do kanionu Sulak?*

– *Tam wcześniej, przy skrzyżowaniu.*

– *Daleko?*

– *Ze 4 kilosa.*

– *Coś tam jeździ?*

– *Sprawdź pan, któreś jeździ.*

Więc zatrzymywałem każdą marszrutkę, pytałem, kierowca się wściekał i jechał dalej. Za trzecim razem trafiłem. Co 500 metrów pytałem, czy to tu. Tym razem powiedzieli, wysiadłem. Są. Mają nawet napisane „Sulak”. Zlokalizowałem tę, która miała jechać pierwsza. Tylko 40 minut zbieraliśmy pasażerów. Było to o tyle ciekawe, że ludzie komunikowali się w kilku językach, w wielu mieli solidne wtręty z rosyjskiego. Dominowały kobiety wracające z targu. Widać było, że weekendowy szal – cebula, pietruszka, koperek. No słyszałem, że nie jest tam przesadnie bogato, obserwacje to potwierdziły.

Ruszyliśmy. Droga była... średnio interesująca. Chryste, taki syf, takie straszne widoki. Jeszcze chwilę pod miastem były dache nad brzegiem morza, to wyglądało akceptowalnie, ale potem równia pochyła, a raczej płaska droga przez pustkowie znaczone pustostanami i budynkami w różnym stopniu zamieszkania i wykończenia. Śmieci, kurz, rachityczne krzaki, brzydko, nieciekawie, gorąco. No ale będzie kanion!

Po jakichś 40 minutach dojechaliśmy do celu. Już wcześniej się bałem, bo wiele osób wysiadło, a jechaliśmy przez jakąś straszną kombinację pustyni, dramatów budowlanych i absolutnego końca świata. W końcu dotarliśmy do naszego celu: pustego placu z islam shopem, pospiesznie skleconym meczetem i innymi ruinami.

– *Co to?*

– *Sulak.*

– *Tego się obawiałem... Mówili mi, że tu gdzieś jakaś rzeka będzie.*

– *Rzeka? A tam jest, kawałek podejdź, jest most i rzeka... Ja się tak dziwiłem, że po co tu ktoś jedzie, ale co ci miałem przeszkadzać...*

Poprosiłem pana, że co by się nie działo, to żeby na mnie czekał, ja naprawdę zaraz wrócę. Choćby rozpoczęli ostrzał rakietowy wioski. Już coś mi mówiło, że będzie grubo.



Nowa definicja niebytu



A oto i mityczna rzeka, klękajcie narody!

Rzeka była rozmiarów dość słuszných, ale widok na nią był średnio imponujący (w ogóle tak naprawdę). Za to niesamowite wrażenie robiła ilość śmieci – butelki po piwie to norma, ale też buty, opony, odpady przemysłowe. Rewelacja! Warto było.



Recycling po dagestańsku



Centrum urokliwej wioski



Obiekt sakralny o niesłychanych walorach estetycznych



Islam shop

Z powrotem niemal biegłem, bo jakbym się tam uwaliał na dłużej, to bym się powiesił. I tak już lokalni nie szczędzili mi zaciekawionych spojrzeń. Pewnie nie mieli wrogich zamiarów, ale zbyt wiele razy miałem okazję być wioskową atrakcją. Szczęście w nieszczęściu, że nie kosztowało to wiele – przejazdy po 50 rubli. Nieszczęście, że gdy wróciłem do miasta, to była jakaś 15, a ja nie miałem zbyt wielu pomysłów, co dalej robić. Internet powiedział, że jest jakieś centrum informacji turystycznej, ale zamknięte w weekendy. W sumie bardziej byłem zdziwiony tym, że w ogóle jest, niż tym, że zamknięte w weekendy – przecież i tak żadni turyści nie przyjadą, czy to w dzień roboczy, czy wolny od pracy. Poszedłem z desperacji przed siebie, Prospektem Piotra Pierwszego. Miał gdzieś tam być pomnik nauczyciela, nie znalazłem. W zamian trafiło mi się centrum sztuki etnicznej. Czyli pamiątkarnia. Tyle że magnes lodówkowy kupiłem, ale informacji zero, a obsługa obrażona, że ktoś się przypałała.

Wróciłem do miejsca, gdzie dnia wcześniej się poddałem, na syfną estakadę. Wydawało mi się, że zapuszczam się w krańcowy slums. Okazało się, że lepiej: były to opuszczone fabryki portowe. W końcu znalazłem coś ciekawego. Wszystko, co można było ukraść, już dawno ukradziono. Zostały jednak nazwy i szyldy.



Fabryka konserw rybnych

Oczywiście też tony śmiecia, ale tu wyjątkowo dobrze komponowały się ze stanem panującym w okolicy. Pośrodku tego wszystkiego stał zaś sam gospodarz — gipsowy Lenin. Sprawiał wrażenie skazanego na zapomnienie i raczej nieodnawianego. Patrz matole, co żeś narobił...



Wódz spogląda z rozpaczą na panoramę okolicy

W jakimś momencie wszedłem na tory. Tam ktoś nieco bardziej spontanicznie złożył życzenia urodzinowe Gahanowi. Torami doszedłem do dzikiej plaży. Byłoby ładnie, gdyby nie syf. Parę osób łowiło ryby, młodzież się przechadzała, były też randkujące pary. Kilkaset metrów dalej wyszedłem na plażę miejską. Syndrom upadłego kurortu, niemniej tendencja „chujowo, ale ciekawie” została podtrzymana. Jakieś wieloletnie kosze plażowe. Betonowe balkoniki z widokiem na romantyczne zachody słońca. Pełno pozamykanych gastronomii, wiele z zakazem spożywania alkoholu. Odjazd.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i piaszczystawa plaża miejska. Tu już dość cywilizowanie, zarówno pod względem zaśmiecenia, jak i przebywających ludzi. Zapałętało się parę kotów. Miejsca do siedzenia bardziej przyjazne. Odetchnąłem z ulgą: ten dzień nie był całkiem do dupy.



Szok! Tu może być ładnie!



Szczęśliwie udało się wrzucić trochę śmieci...



*Pomnik podejrzanie cywilizowany.
I te cwiety wokół!*



Homer XX wieku. Jaki kraj, taki Homer...



Putin też miał tego pecha i pojechał do Dagestanu

Wyszedłem na odnowioną promenadę. Najpierw teatr. O dziwo, jakiś spektakl po awarsku. Chwilę potem rozpocząłem obcowanie z kulturą lokalną: Homer XX wieku z Dagestanu. Pomniki lokalnych idoli. Na koniec: brama z portretem Putina i dagestańskiego namiestnika. Zrobimy, że będziemy najlepsi, a Wołodia nam patronuje..

Kawałek dalej też było fajnie, takie lata 90.– z bałtyckiego wybrzeża – uderz w gruszkę i automat ci powie, czy jesteś silny. No i przy takim cudzie stała kolejka potężnych samców, waliła w to i się cieszyła. Strzelnice. Automaty do gier, z chwytającymi zabawki włącznie. I oni w to wszystko wrzucali pieniądze. Do tego ludzi potrafi doprowadzić stygmatyzacja spożywania alkoholu. Potem jeszcze chwilę było miło, bo trafiłem do dzielnicy turystycznej. Niestety z braku turystów cała zdechła. Przeważająca większość lokali była zamknięta, niektóre na głucho, inne miały się otworzyć kiedyś tam.

Znalazłem jeszcze uniwersytet, aż w końcu wskoczyłem w marszrutkę, pojechałem na ten ogromny bazar, poprosiłem o czudo z zieleniną i odkryłem, że mięso dali mi gratis. Mieli też fajne koszulki, można powiedzieć, że designerskie: wielki napis „Islam”, pod spodem wersja po arabsku. Ależ by to wzbudziło furorę w Moskwie! Kusiło, zwłaszcza, że za jedyne 350 rubli, ale jakoś się oparłem tej dzikiej żądzy bycia pobitym w metrze.



Kolejny Lenin, tym razem w trochę lepszej formie

Przy okazji zrozumiałem, jak regulowane są stosunki handlowe: jest bazar i żeby tam sprzedawać, to coś trzeba płacić. Chyba nie za wiele, sądząc ze stad, które tam handlowały. Jednak babuszki z asortymentem w stylu trochę cebuli i parę krzaków wołały handlować na krawężniku. Tamże opłaty były zerowe, ale wiązały się z ryzykiem rozmów z policją. Widziałem stróża porządku, który wydzierał się na całego i staruszkę przegonił. Widziałem też takiego, który z uśmiechem rzucił, że tu nie wolno i sprawę olał. Wszyscy policjanci mieli broń długą, domyślałam się, że ostrą. Oczywiście jest, że staruszki nie zastrzela, więc pewnie jak się któraś uprze, to może sobie sprzedawać islamski koperek na pasie ruchu i tyle. A jak bardziej strachliwa, to odejdzie na dziesięć minut, a potem wróci. Podobno wiele osób w takich np. Niemczech uważa, że warto zapierdalać całe życie, bo potem na starość sobie odbijesz. Obawiam się, że ta koncepcja może nie dotrzeć do Dagestanu za mego życia. Biorąc pod uwagę, że wiele z tych osób całe życie zapierdalało w jakichś nonsensownych fabrykach imienia gipsowego Lenina... Serce rośnie!

Dagestan słynie z koniaku. Dlatego też nie da się go niemal nigdzie kupić. W końcu znalazłem JEDNĄ butelkę w dość wielobranżowym sklepie. 400 wróbli, koniak: twierdza derbencka. Pani zapakowała mi to konspiracyjnie w czarną siatkę. Trochę później w hotelowym pokoju nie było powodów do mruczenia: koniak jak koniak, za słodki, cholernie ciężki, ani się tym delektować, ani wali w banię.

Lekcje z drugiego dnia pobytu w Machaczkałe, a nawet i Dagestanie:

- *Be realistic, demand the impossible* – na pierwszy rzut oka wszystko jest koszmarnym syfem. Na drugi, trzeci i czwarty też. Na jakiś dwudziesty optyka ulega jakiejś tam poprawie. Należy drażnić, aż się dotrze do tej, która jest czegoś warta. Przy czym mam wątpliwości, czy w wielu wypadkach takowa istnieje.
- Ludzie Kaukazu są wspaniali. Dopóki nie muszą czegoś zrobić. Byłem w kontakcie z dwiema osobami z Machaczkały. Wymieniliśmy ze sobą naście wiadomości w różny sposób. Ich tematem przewodnim było to, że bardzo by chcieli, ale nie mogą się spotkać, bo nie mają czasu. Widząc degrengoladę trawiącą stolicę Dagestanu, trudno w to uwierzyć. Po prostu jednym z ulubionych sportów mieszkańców Kaukazu jest opowiadanie bajek o swojej ojczyźnie. Gdy ktoś próbuje się z nimi zmierzyć, dokładają oni starań, żeby być jak najdalej od naszego zderzenia marzeń z rzeczywistością.

[14.05.2016]

Wstałem z nastawieniem, że albo moja karta się odwróci, albo opuszczę Dagestan na rzecz czegoś w pobliżu. Od dzikiej biedy mogłem sobie nawet jechać do Gruzji lub Azerbejdżanu. Inne opcje to Czeczenia i Inguszetia. Jak Derbent nie powali, to tyle mnie tu widzieli – z taką myślą opuszczałem hotel Argo.

Poszedłem na śniadanie do dość ładnego lokalu, Gazette. Był to błąd, bo chociaż ceny wydawały się w normie, to opłata serwisowa wynosząca 25% sprawiła, że przestały takimi być. Co gorsza, kawa za 90 rubli okazała się gorsza od tej za 20. Według różnych źródeł informacji z Machaczkały do Derbentu miało być od groma transportu. Na dworcu okazało się, że tak od groma, że w okolicach południa czekałem dobrze ponad godzinę. Dzięki temu zostałem kolegą iluś tam busiarzy, którzy sprzedali mi dość cenną informację, że palić można tylko pod centralnym drzewem. Kiedyś można było palić wszędzie, ale się teraz wycwanili, przybiegają i walą sztukę mandatu. Zgadłem, że sztuka to tysiąc rubli. Całkiem to wszystko było mile, panowie busiarze ze sobą rozmawiali, nikt nikomu nie próbował podebrać klientów, znowu dało się słyszeć języki inne niż rosyjski. W pewnym momencie podszedł do mnie jeden, spytał o zapalniczkę i zażyczył sobie, żebym poprzypalał mu nitki odstające od kurtki. Że zdurniałem, to mało powiedziane. Miał tych nitek niemało, więc stałem pośrodku placu i przypalałem mu kurtkę. Było ciepło, co po rosyjskiej zimie i moskiewskiej wiośnie było przyjemne.

Jeden z dowcipów o Dagestanie. Patimat to lokalna wersja imienia Fatima. Tytuły z dagestańskiej gazety dla kobiet „Patimat”:

- *Uczymy się prawidłowo gotować chinkał. Porady Jennifer Lopez.*
- *Jak pięknie się opalić, a nie przynieść wstydu rodzinie.*
- *Gdzie najlepiej pojechać na letni odpoczynek. Rozkład jazdy marszrutek.*
- *Jak rozpoznać po uszach, jaki rodzaj zapasów trenuje twój mąż.*
- *17 sposobów, żeby cię nie porwali.*
- *Siedmioro dzieci i inne hobby.*

No i ten dowcip to jest lipa, bo rozkładu jazdy marszrutek nie ma.

Ruszyliśmy w końcu w stronę Derbentu. Trochę ponad sto kilometrów, około dwóch godzin, 200 rubli. Późniejsze doświadczenia potwierdziły, że godzina w marszrutce to 100 rubli. Po drodze był punkt kontrolny, już na kilka kilometrów przed nim kierowca schował tablicę mówiącą o tym, że oferuje przewóz osób. Zatrzymali nas, poprosili go o dokumenty.

– *Świetnie, prawo jazdy i dowód rejestracyjny w porządku. A teraz proszę o zezwolenie na przewóz osób.*

– *Jaki przewóz osób, to rodzina i znajomi.*

Na stanie: 2 staruszki, jedna kobieta około 50-tki, jedna 20-parę, facet koło 40-tki, ja.

– *To jest pana rodzina i znajomi? Nie wolno wozić ludzi bez pozwolenia!*

– *Panie, nie wygłupiaj się pan! Ja się spieszę na spotkanie z córką! Ja nie mam czasu, a ten się będzie wydurniał!!!* – W te słowa przemówiła jedna ze staruszek. Na zgodę kierowca pokazał panu policjantowi jakiś dokument, ten na zgodę uznał, że go akceptuje i pojechaliśmy

dalej. Zaintrygowała mnie miejscina na kilkanaście kilometrów przed Derbentem. Nazywała się Dagestańskie Ognie. Strzelają tam?

Jest jeszcze taki dowcip o Dagestanie:

*W dagestańskiej marszrutce nie mówi się „proszę się zatrzymać!”,
a krzyczy się „Litości!”.*

To jest nieco bliżej rzeczywistości niż ten o rozkładzie jazdy.

Mój derbencki kontakt imieniem Dina obiecał odebrać mnie z dworca. Dla odmiany, ona mnie nie okłamała, odebrała i powiedziała, że zaprowadzi do kolegi, u którego będę mógł nocować. W sumie mniej mi zależało na darmowym noclegu, a bardziej na kimś, kto mógłby udzielić mi wystarczającej ilości informacji, żebym nie błąkał się po jakichś wioskach, ale darowanemu zwierzęciu nieparzystokopytnemu nie zagląda się w kartę dentystyczną. Dina była nauczycielką angielskiego, więc tenże język wykorzystywaliśmy do komunikacji międzyludzkiej.

Najpierw poszliśmy do salonu telefonii komórkowej, gdzie poznałem Murata. Nastąpiło wielkie odkrycie, że mówię w lokalnym narzeczu, a także związana z tym ulga: gdy kilka miesięcy wcześniej odwiedził ich inny gość, nie mówił ani słowa po rosyjsku i mieli z nim średni ubaw. Po chwili przyszła cała ekipa i z pewnym żalem pożegnałem Murata, z którym dość fajnie się rozmawiało. Okazało się, że przedwczesnym, bo cała drużyna była więcej niż kontaktowa. Poszliśmy do mieszkania, które wynajmowali w kilka osób, żeby mieć miejsce do grania na gitarach. Koszt miesięczny: 7500 rubli. Mieszkanie dość solidnych rozmiarów, na środku oczywiście telewizor z podpiętym komputerem, dookoła wzmacniacze, gitary, resztki jedzenia, butelki po wodzie i oranżadach. Za czystość wielu punktów nie można im było dać, ale z radością zostawiłem rzeczy i rzuciliśmy się zwiedzać Derbent.





Rany, stary, jak Chiny! Jaki intrygujący budynek, ciekawe co to...



Klub Kolchozu. I wszystko jasne!



Przynajmniej wiemy, gdzie jest krzyż...

W odróżnieniu od Machaczkały, Derbent jest ładny. Po przejściu przez nowszą część miasta, która jest raczej fatalna, trafia się na część wznoszącą się ku wzgórzu, na którym stoi legendarna Twierdza Derbencka. Po drodze zahaczyliśmy o kościół, który wyglądał na gruziński, bo został zbudowany przez architekta, który przybył z Tbilisi. Moi gospodarze chcieli, żebym miał jak największy ubaw, więc zapłacili pani za oprowadzanie. Kobieta musiała chyba rozwinąć zwoje mózgowe, obstawiam, że nie mają tam zbyt często gości. Z kościoła zrobiono bardziej muzeum niż budynek sakralny, mieli dość dużo strojów ludowych (dagestańska kobieta idąca do ślubu może mieć na sobie nawet sześć kilo srebra), trochę garnków, maszyn do wyrabiania amfor i innych naczyń. Dywany ścienne (a są jakieś inne?) mające zapewnić ciepło mieszkaniu, wieloletnia tradycja lokalna. Moi gospodarze podarowali mi magnes i uparli się zapłacić za wszystko.

Spacer przez centrum pozwolił stwierdzić, że nie brak w Derbencie porzuconych fabryk, zakładów produkcyjnych i że jeszcze nie doszli do etapu restauracji tego wszystkiego. Straszyla ogromna fabryka trudno powiedzieć czego (sami nie wiedzieli, chociaż matka jednego z nich tam pracowała, coś o obróbce metalu wspomniał, ale nie był pewien). Wyglądało na to, że ukradziono z niej już absolutnie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Na pociechę, główny plac z Leninem był dość ładnie odnowiony i pełen życia, głównie pod postacią bawiących się dzieci.

Nastał czas na atrakcję numer jeden całej Republiki, jedyne UNESCO, jakie mają: twierdzę. Widać ją z daleka, ciągnie się od gór aż do morza. Przy dokładniejszym rzucie oka widać, że wiele części jest dość nowych. Jak mi wyjaśniono, lokalna ludność podbierała solidne, mające po 2000 lat bloki kamienne do budowy swoich domów, bo przecież były o wiele lepsze niż te współczesne. Za 200 rubli weszliśmy na teren atrakcji. Ten jest ogromny, chodząc spokojnym krokiem, mogliśmy tam spędzić ponad dwie godziny. Są dwa muzea (średnio porywające, no mają dywany ściennie i trochę sprzętów domowych), stare łaźnie, ciemnica, a także język smoka – kładka wystająca nad przepaść. Kiedyś służyła do pozbywania się ludzi, obecnie jest zamurowana, – bo parę lat temu młodzież na koniec szkoły popiła, poszła się bawić i jeden poleciał. Oczywiście moi przewodnicy uznali ten murek za absolutną bzdurę i wskoczyli na smoczy język, bardzo się przy tym dziwiąc, że nie mam ochoty podchodzić do krawędzi i zobaczyć sobie, że tam to jest z dobre 70 metrów w dół i że nie ma żadnych szans na przeżycie, jak się polecą. Wspominali też swój koniec ogólniaka, jak to po pijaku po tym biegali i się popychali, u nich jakoś nikt nie spadł. Podobno są też sekretne tunele prowadzące w góry, które pozwalały na wycieczki w trakcie oblężeń. Podobno twierdza nigdy nie została zdobyta i była bardzo ważnym miejscem – obejść się jej nie dało, więc albo trzeba było zapłacić, albo walczyć. Szedł wtedy Dżyngis-chan, oszczędził miasto, ale wziął przewodników, którzy mieli przeprowadzić go przez Kaukaz.

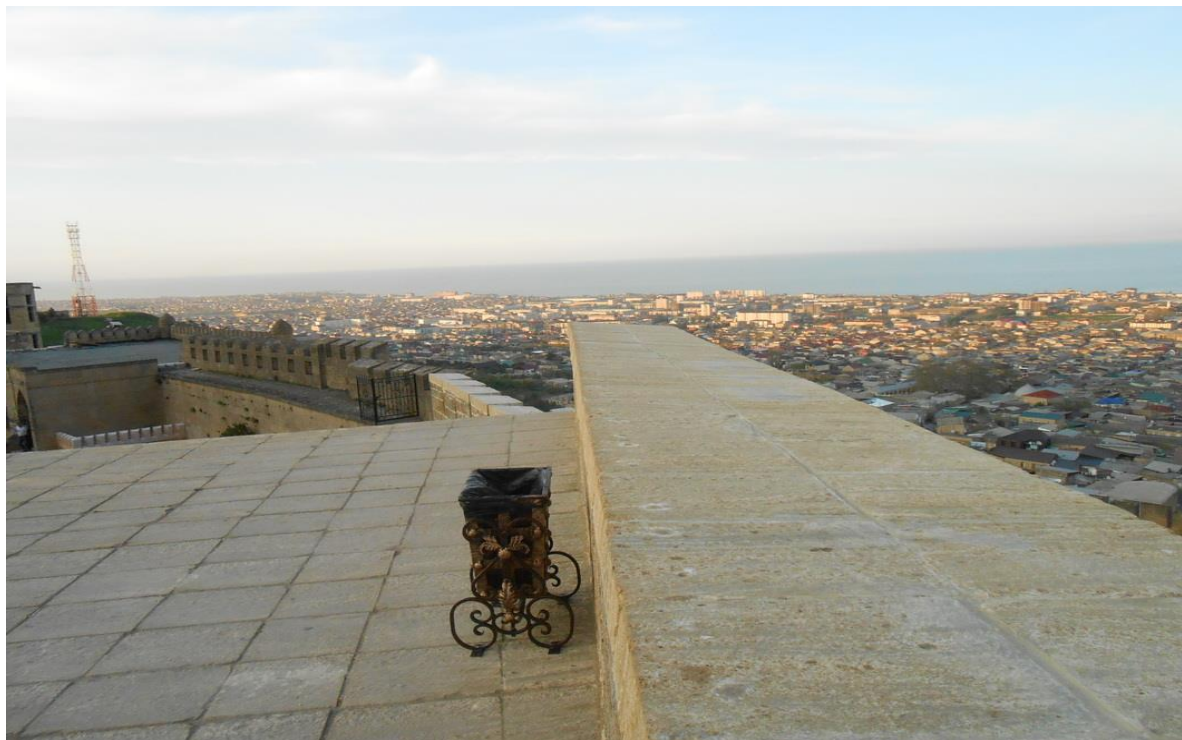


To od tej budowli nazwano koniak „Twierdza Derbencka”

Na terenie całego obiektu trwały dość szeroko zakrojone prace remontowe, związane z projektem „Derbent 2018”. Na ten właśnie rok Derbent ma być odnowiony na całego, mają być uroczystości, a miasto – stać się atrakcją turystyczną regionu. Podobne plany były w latach 90., ale niestety pieniądze na te cele władze lokalne rozkradły. Teraz oczywiście też kradną, jednak już nieco mniej, nie więcej niż połowę budżetu. Widzę więc, że jest solidna poprawa i że Dagestan się cywilizuje.



Czy jest jeszcze jakieś miasto na świecie, w którym nie ma wariacji na ten temat?



Derbent taki panoramiczny! Morze takie Kaspijskie!



Miejsce do skakania na główkę – w ten sposób do centrum miasta dostaniemy się w kilkanaście sekund!



Łaźnie. W budowie



Ciekawe, czy w Moskwie uznaliby to za samowolę budowlaną...

Główną atrakcją dość szybko przestał być dla mnie Derbent, a zostali krajowcy. Najwięcej rozmawiałem z Maxem, Rosjaninem o dość skomplikowanym rodowodzie, w którym byli Żydzi, Lezgini i Rosjanie, co zaowocowało prawosławną opcją religijną. Był z nami Zaur, który miał pochodzenie azerskie, a z religii wybrał szyizm. Potem dołączył Mariman, sunnita o pochodzeniu nieustalonym. Był jeszcze ateista. Wszyscy mówią, żeby w Dagestanie trzymać się z daleka od tematów światopoglądowych i politycznych, ale szło dobrze, bo najpierw mogłem porozmawiać o Smoleńsku, potem o tym, czemu Polacy tak sobie kochają Rosjan i Związek Radziecki, aż w końcu nadszedł mój czas na „sto pytań do”. Co do percepcji ZSRR: to był sprawiedliwy system, w którym było biednie, ale wszyscy jakieś minimum mieli. Gdy się skończył, bezrobocie poszybowało w okolice stratosfery. Niektórzy cudownie się dorobili, ale przeważająca większość popadła w nędzę. Za czasów Jelcyna bywało, że i po sześć miesięcy nie płacono emerytur. A jak je płacono, to i tak nie były wiele warte. Za ZSRR były stypendia dla dobrych, a nawet średnich uczniów. Za Federacji Rosyjskiej za wszystko zapłać sam. A z czego? Jako średnie wynagrodzenie podano 10-15k rubli miesięcznie. No nie jest to bardzo wiele, dzieci na studia w Moskwie nie wyprawisz. Jest niby uniwersytet w Machaczkałe, ale słaby. Zdarza się, że po liceum jadą studiować do takiego Krasnojarska – taniej niż w stolicy, a dyplom wart więcej niż ten z Machaczkały. W pewnym momencie padło:

– Mówią wam na Zachodzie, że Rosjanie kochają Putina. Nikt go nie kocha, my się po prostu boimy, że kto nie będzie, to będzie gorszy. Za Gorbaczowa padł kraj. Za Jelcyna nędza. Potem Putin i stabilizacja. Miedwiediew i lekka dupa. Putin wraca i się poprawia. Teraz to w ogóle nie jest ciężko, każdy wyżyje, ciężko to było kiedyś. A co, wybierzemy np. Żyrinowskiego lub Ziuganowa?

Pomyślałem sobie, że jednak było paru rozsądnych polityków w historii Rosji, ale faktem jest, że nigdy nie zdobyli bardzo szerokiego poparcia.

– *Głosujecie na niego?*

– *Nikt z nas nie głosuje. Nie obchodzi nas to. Ma niemal żaden wpływ na nasze życie.*

– *Ja raz w życiu zagłosowałem – powiedział Zaur. – Strasznie się upilem i przez pomyłkę poszedłem do lokalu wyborczego. Nie pamiętam, na kogo zagłosowałem.*

Pomyślałem sobie, że jednak przyjazne relacje z Turcją i UE mogłyby sprawić, że mieliby trochę tańsze niektóre rzeczy, ale w jakimś stopniu racja, kto siedzi w Moskwie, ma mały wpływ na rzeczywistość tego końca świata. Nie sądziłem jednak, że rozwój demokracji w Rosji napotyka na takie trudności, chociaż przypadek kolegi wskazywał na to, że tania wódka może jakoś ten złożony proces wesprzeć.

Gdy schodziliśmy ze wzgórza z twierdzą, minęły nas dzieci.

– *Chochły, chochły!*

– *Wiesz, co to znaczy?*

– *Wydaje mi się, że tak się pogardliwie określa Ukraińców.*

– *Tutaj tak się mówi na Rosjan. Mówimy po rosyjsku, obaj jesteśmy blond, więc myślą, że jesteśmy rosyjskimi turystami.*

– *Chochły, chochły!* – dzieci sobie nie odpuszczały.

– *ZARAZ KTOŚ DOSTANIE W RYJ!* – rzucił Max po rosyjsku.

– *Chochły, chochły!*

– *Gururururururnuru* – powiedział Zaur po azersku. Nastąpiła cisza.

– *Co powiedziałaś?*

– *Wstyd mi tłumaczyć, ale zrozumieli, że jesteśmy tutejsi. Tak w ogóle nie wyglądasz na ruskiego, tylko na Czeczena. Oni też noszą brody i mają taką mniej więcej karnację. Jeżeli pojedziesz do Groznego, to duże szanse, że będą brali cię za lokalnego i bez bólu się wtopisz w tłum.*

Poszliśmy do bardzo ładnego lokalu Rendez-vous.

– *Nie można palić, czy jesteś to w stanie zaakceptować?*

– *Jezusie Nazareński, tak, jestem. Przeżyję zjedzenie posiłku bez papierosa.*

– *Bo możemy iść do takiego, co można palić, ale jedzenie gorsze.*

– *Może być niepalący. W Moskwie wszystkie są niepalące.*

Zdziwienie.

W Rendez-vous czekaliśmy dość długo na jedzenie. Moi gospodarze zajmowali się filmowaniem wesel. Mówili, że w kwietniu sezon dopiero w powijkach, więc mają trochę czasu, żeby ze mną pochodzić po mieście.

– *Się ludziom wydaje, że jak filmujesz wesela, to się ochlejesz. Nie da się pić, bo na weselu możesz mieć i 600 osób. No to napij się z każdym stołem, dużo pokamerujesz wtedy, a jakie ujęcia zrobisz!*

– *Ja i tak piję, a potem kameruję* – zeznał Zaur.

Na zamówione czuda czekaliśmy tak długo, że rozważaliśmy zjedzenie zastawy stołowej. Dowiedziałem się, dlaczego pobliska miejscina nazywa się Dagestańskie Ognie – nie strzelają, złoża gazu ziemnego są tak blisko ziemi, że wystarczy przystawić zapalniczkę, żeby otrzymać niezgorszy płomień. Czasem zapalają się samoczynnie i bywa, że w nocy widać, jak płoną. Wydobywają, praca podła, szkodliwa dla zdrowia i słabo płatna. Zapytałem ich o potencjalną niepodległość republiki.

– Tu mieszka kilkadziesiąt grup etnicznych, do tego bywają różnice religijne. Po separacji byłby drugi rozpad Jugosławii. To jest cud, że jest takie miejsce na świecie, że spotyka się czterech przyjaciół, każdy ma inną opcję religijną, wliczając w to ateistę, a nie ma to żadnego wpływu na relacje między nami. Derbent ma takie tradycje od ponad dwóch tysięcy lat, zawsze było tu pełno różnych ludzi, którzy brali śluby, konwertowali się czasem z jednej wiary na drugą. Nigdy właściwie nie było to problemem. Widzieliśmy, co się działo w Czeczenii, dlatego wszelakie próby nacjonalizmu poszczególnych grup etnicznych są tłumione. Gdy pojawił się tu bardziej wojowniczy imam, to pewnego dnia przyjechał OMON i go zabrał, przy okazji też kilku zwolenników. Nikt z nas nie wini muzułmanów za to, wariaci są w każdej grupie etnicznej. Zresztą sami muzułmanie są pierwsi do raportowania ekstremizmów, bo uważają, że im psują opinię. W latach 90. było tu dość luźno i chaotycznie. Radykałowie zaczęli przychodzić do szkół i mówić o wojnie wyzwolenczej ku chwale islamu. Parę osób się na to złapało, ale większość nie. Teraz takie coś nie ma prawa się wydarzyć.

Zapytałem o relacje z Czeczenią:

– W porządku. Było trochę problemów po Budionnowsku, bo zginęli tam ludzie z Dagestanu, ale obecnie jest w miarę dobrze.

Z cyklu definicja standardu życia:

– Jak ci się rozładuje telefon, a musisz zadzwonić, to podejdź tu do kogokolwiek i poproś, jasne, że ci pozwoli. A najlepiej to podejdź do grupy brodatych islamistów, oni zawsze pomagają. Byłem kiedyś w Moskwie, padł mi telefon. TRZYDZIEŚCI minut prosiłem ludzi, zanim ktoś dał mi zadzwonić. Jak tak można żyć? Co oni myśleli, że ja chciałem im ukraść ten telefon?

Gdy w końcu podano nam jedzenie, odkryłem uroki Mendi – dagestańskiej herbaty lodowej. Świetna, dużo lepsza niż Lipton albo Nestea. I zapewne z tego powodu nigdy jej w Moskwie nie widziałem. Podobno są gdzieś sklepy mniejszości i tam będą mieli, ale tanio to na pewno nie będzie.

Wieczorem Max odprowadził mnie do czasowego mieszkania. Siedział tam Cedric. Cedric wyglądał jak młody Szamil Basajew, z taką dokładnie brodą. Oczywiście okazało się, że jest super przyjazny. Przez jakieś trzy godziny graliśmy w *Mortal Kombat*, a potem ścigaliśmy się w *Blur*. Cedric okazał się być najlepszym z lokalnych gitarzystów. Nie mówił ani słowa po angielsku, więc mogłem mu potłumaczyć teksty z gier komputerowych na rosyjski. Omówiliśmy nasze zainteresowania muzyczne, spotkaliśmy się przy Metallice, jego ulubionym zespołem było Muse, znał też dość dużo thrashu (SLAYEEEEER!), ale preferował lżejsze granie. Sam grał na poziomie ciężkości powiedzmy Deep Purple z bluesowymi wtrętami.

Koło 1 w nocy się pożegnaliśmy. Zanim położyłem się spać, spróbowałem wybrać piasek i gruz z wanny, a potem stanąć w pantoflach tak, żeby niczego broń boże nie dotknąć. Brudno to mało powiedziane. Gdy się położyłem, dość szybko wstałem i ubrałem długi rękaw – pościel

musiała tam leżeć latami, waniało też brudem i kurzem. Mimo tych drobnych przeszkód cywilizacyjnych, byłem zachwycony. Udało mi się spędzić jeden z najciekawszych dni od miesięcy. W końcu zobaczyłem jakieś ładne rzeczy. A przede wszystkim miałem stado lokalnych znajomych. Zasypiałem, niecierpliwie oczekując następnego dnia. I drapiąc się z brudu.



Lecą żurawie...

[4.06.2016]

Max powiedział, że przyjdzie po mnie o 12, miałem więc kilka luźnych godzin. Ogarnąłem życie i korzystając z chwili wolnego, poszedłem do mieszczącego się przy rondzie i naprzeciw meczetu muzeum wojny – Muzeum Bojowej Sławy dokładnie się zwało. Było – niespodzianka – o wojnie i o wielkim zwycięstwie nad faszyzmem, nazizmem, Niemcem i innymi. Obsługa spadła z wrażenia, że ktoś niebędący uczniem pobliskiej szkoły to przyszedł oglądać i nie zraził się nawet po tym, gdy mu powiedzieli, że 50 rubli. Oprócz mnie była jeszcze mała wycieczka szkolna. Dziewczynki przygotowywały się na obchody 9 maja. Wyglądało to jak z radzieckiego podręcznika, dziecko stoi i duka, to znaczy deklamuje:

– *Dnia 9 maja 1945 roku siły radzieckie...*

– *ZWYCIĘSKIE SIŁY RADZIECKIE!!!* – wrzask nauczycielki przywołał uczennicę do porządku.

– *Dnia 9 maja 1945 roku zwycięskie siły radzieckie zdobyły Berlin, stolicę Niemiec...*

– *STOLICĘ NAZISTOWSKICH NIEMIEC!* – kolejny okrzyk pani pozwolił dziecku utrwalić sobie wiadomości z zakresu geografii i historii.

– *...stolicę nazistowskich Niemiec...*

Gdy przyszedłem, to ten cyrk już trwał. Gdy wychodziłem, trwał nadal. Może te dziewczynki do dzisiaj tam stoją i opowiadają o radzieckich wojskach i nazistowskich Niemcach, a pani nauczycielka upewnia się, że dokładnie wiedzą, jakimi przydawkami obdarzać kolejnych uczestników konfliktu.



Sorry, taki mamy klimat, czyli upał, a oni w pełnym zakutaniu

Sama ekspozycja muzeum była wybitnie standardowa – granaty, flagi, zdjęcia z gazet, medale, ludzie rodem z Dagestanu, którzy się zasłużyli i zginęli lub ewentualnie wrócili. No widywałem ciekawsze wystawy.

Poszedłem po pocztówki. W jednej z księgarni dagestańskich nie mieli, w drugiej tylko wielką świąteczną za 30 rubli. Wziąłem. W końcu udało mi się znaleźć bardziej standardowe kartki na pocztce. A to i tak cudem. Wchodzę, witam się, pytam o pocztówki.

– *Panie, coś pan, oszalał?*

– *Ej, ty! Chyba w tej szafce w rogu są jakieś pocztówki, kiedyś widziałam. No zobacz!* Znalazły się. Były dość vintage, wszystkie poślkle, ale na każdej był jakiś widoczek i napis „DAGESTAN”. Koszt: 15 rubli. Zachwycony wziąłem sześć sztuk.

Max miał dla mnie przygotowany cały program. Poszliśmy w stronę miejsca pracy jego kolegi, również fotografa weselnego. Po drodze spotkaliśmy jeszcze innego kolegę – ochroniarza pracującego w supermarkecie Karawan. Karawan oznaczał karawanę, a nie asortyment pogrzebowy. Dotarliśmy do punktu foto-video, przesadnie majestatycznie nie wyglądał – buda w ciągu bud. Poznałem Kimrana. Max delikatnie zasugerował Kimranowi, że pasowałoby nam, żeby nas ktoś powoził samochodem po Derbencie. Kimran od razu rzucił całą robotę (a raczej bezrobotę), powiedział asystentce, że wychodzi i nie wie, kiedy będzie, odpalił Żiguli i ruszyliśmy zwiedzać Derbent.

Najpierw było muzeum Piotra I, który odwiedził kiedyś to miasto. To wystarczyło, żeby poświęcić mu muzeum. Wiele tam nie było, trochę obrazów związanych ze wszystkim, kilka pomników. Wszystko dość nowe, czyste i ładne, ale nie powiem nikomu, że powinien tam iść.

Potem pojechaliśmy do zakładów produkujących szampana. Szampan z Derbentu jest mi znany dość dobrze, bo przez większość zimy pobliski market miał go na promocji po 145 rubli za butelkę. Ponieważ był dość dobry, to mam niezłą cegiełkę związaną z działalnością zakładów alkoholowych w Derbencie.

Max był ciągle wzruszony tym, że ktoś z tak odległego kraju jak Polska przyjechał do Dagestanu. Dlatego też wszędzie podkreślał moje niesamowicie unikatowe pochodzenie. Robił ze mnie VIP-a na miarę przynajmniej UEFA. I jak Kimranowi powiedział, że „drug z Polszy”, to Kimran docenił. W muzeum też z uznaniem kiwali głowami. Jednak zakłady alkoholowe nie wzruszyły się i powiedziały, że nie wpuszczą nas do fabryki. Bardzo się nie dziwiłem, ale Max był zdruzgotany. Powtórzył ze trzy razy, że turysta z Polski chce to zobaczyć. Ja próbowałem udawać, że nie istnieję, bo było mi głupio. Ochrona się nie wzruszyła, z przykrością nas odprawili. Pooglądałem więc miejsce pochodzenia szampana przez płot i pojechaliśmy dalej, do zakładów produkujących koniak.

Tam też nie padli na kolana, że przyjechał „drug z Polszy”. Powiedzieli, że na zwiedzanie trzeba umawiać się telefonicznie. Na pociechę wskazali nam drogę do sklepu z koniakiem. Za ladą pracował Azer, który był takim ekspertem, że gdy wchodziliśmy, to wyjaśniał kupującemu zapachowe różnice między typami koniaków. Dość szybko zorientował się, że profani i że nie przekona nas do trunku za 5000 rubli, więc skończyło się na tym, że dostałem ćwiartkę koniaku Kaspijsk w dość ładnym pudełku. Pół litra wzięliśmy sobie na popołudnie. Też dokupiono do niego ładne pudełko, jeden piorun wie po co.

Kimran jako kierowca oferował wrażenia jedyne w swoim rodzaju: miał dość podzielną uwagę, więc nie doprowadzając do sytuacji zagrażających życiu, oddawał się energicznej obserwacji kobiet. Żywo komentował ich wygląd. Na taką modłę:

– *O ja cię, o jakie cycki. Tylko wsadzić między nie głowę i się przytulać!*

– *O, jaki tyłeczek, tylko ręce kłaść!*

Nie krępował się, nie przestał komentować nawet, gdy dołączyła do nas Dina.

Z naszym koniakiem prosto z fabryki pojechaliśmy do mieszkania. Zwołano wszystkich. Rytualnie wypiliśmy pół litra na jakieś sześć osób, zagryzając snickersami, bo tak smaczniej. Niegłupie nawet. Na mnie jakaś setka koniaku wielkiego wrażenia nie zrobiła, ale niektórych lokalnych ta dawka pokonała i doprowadziła do kłopotów z artykulacją. Fajnie im w sumie, tanio wychodzi i wystarcza na dłużej. Jednak po jakimś odkryciu w stylu petownica wylana na dywan Dina powiedziała, że cieszy się, że tak dobrze się bawię i że jeżeli bym tylko miał jakieś kłopoty, to mam jej numer, a póki co, to ona sobie pójdzie.

Początkowo planowaliśmy iść popołudniem do Sosnowego Boru, lasku koło twierdzy, jednego z najlepszych miejsc na grilla w mieście. Zaczęło jednak padać i plan uległ zmianie. Kimran zapytał, czy chcę jechać do niego do wioski, powiedziałem, że oczywiście, że chcę. Przejazd zajął nam jakieś 30 minut, w tym czasie pogoda wyszła na prostą.

Drogi... Jak myślałem, że ta na wybrzeżu była taka sobie, to ledwo z niej zjechaliśmy, zrozumiałem, że w standardach lokalnych to istny autobahn. Dotarliśmy do wioski, która na pewno jakoś się nazywała, ale nie wiem jak, powitała nas chyba cała męska i dziecięca populacja. Oczywiście na każdym kroku informowano, że „drug z Polszy”. Duża część osady nie wyglądała źle, bardzo ładnie zrobili szkołę, były nawet ze dwa-trzy sklepy, które też sprawiały wrażenie przydatnych (inaczej pewnie by splajtowały, bo poziom zamożności nie wydawał się pozwalać mieszkańcom na puszczenie floty na zbytki). Przy tym jednak było trochę budynków chylących się ku upadkowi, trochę budowlanki, w wielu przypadkach wyglądającej na porzuconą, w innych na mającą bliżej nieokreślony termin ukończenia.

Dotarliśmy do posiadłości najlepszego przyjaciela Kimrana, Dennisa. Oceniono, że nie mam zielonego pojęcia o rolnictwie i pokazywano mi, jak rosną pomidory, a jak czosnek. Nie chciałem być niemiły, więc zadawałem pytania, słuchałem odpowiedzi, potakiwałem, mówiłem, że ładnie. Nakreślono mi nawet biznes plan: wkładając w to wszystko około 4000 euro, sam mogę mieć dom i plantację w tej wiosce, może by się dało taniej. Obywatelstwo się załatwi za jakieś kilkaset dolarów, mają znajomych. Dennis opowiedział o tym, jak bardzo opłaca się uprawiać czosnek i jaki interes na nim zrobił w 2015 roku. Żałował tylko, że sprzedał w lipcu, bo pod koniec sierpnia ceny wystrzeliły pod sufit. Jako ekspert Dennis wyjaśnił mi, że muszę pamiętać o zróżnicowaniu upraw, że dobrze mieć czosnek i cebulę, bo to zawsze wyrośnie, pomidory też są niezłe, ale bywa, że z nimi coś czasem nie wyjdzie.

Był to jednak dopiero początek odkrywania uroków dagestańskiej, podderbenckiej wioski. Jeszcze na etapie Derbentu rozpoczęto sugerowanie Dennisowi, że musi przygotować chinkał, oczywiście dla „drug z Polszy”. Chinkał jest legendarnym daniem lokalnym. Dla wegetarianina to średni rarytas, ale byłem ciekaw, więc specjalnie nie oponowałem, gdy mu to wpierano. On zresztą też nie, jak się ma żonę i matkę, to przecież nie problem, robi się. Wróciliśmy więc z inspekcji pól, zasiedliśmy w jego salonie (dom od środka śliczny, z zewnątrz nieco mniej) i rozpoczęliśmy wyczekiwanie lokalnego dania. Dennis spytał nas, co chcemy

do picia, zaoferował koniak. Sam był muzułmaninem i nie pił, ale koniak robił, bo uważał, że przecież jak przyjdzie jakiś gość, to może mieć ochotę na koniaczek, więc wypada mieć go w domu. Takiego podejścia jeszcze nie przerobiłem. Trochę wypiliśmy, był dość delikatny, tak jakby sobie puścić zwykły na wodzie, oczywiście skomplementowaliśmy. Byliśmy solidnie głodni, więc oczekiwanie na danie lokalne było coraz bardziej nerwowe.

Zaczął się stosunkowo niegroźnie, podano coś pomiędzy lanymi kluskami a makaronem. Na to walnięto mięso. Gdy zobaczyłem to mięso... Płakałem. Zjadłem kurtuazyjnie jeden kawałek, ale płakałem, myślałem, że zwymiotuję. Jakaś kość, na której był zasuszony kawał mięsa z tłuszczem. Było trochę ostrej przyprawy, dosypywałem jej cały czas, trochę pomagało. Widziałem, że Max też nie jest w stanie, a tamci dwaj się rzucali. Nie mogli uwierzyć, że nam to nie bardzo smakuje. Max niemal został wegetarianinem, powoływał się na słaby stan zdrowia, który to miałby uniemożliwiać mu cieszenie się lokalnymi specjałami. Nie zaskoczyło mnie przesadnie poinformowanie go, że przecież jasne jak słońce, że chinkał jest wybitnie zdrowotny. Nie dał się przekonać, wyglądał jakby mu się pogorszyło, chociaż przed tym posiłkiem nie sprawiał wrażenia cierpiącego.

Gdy już uporamy się z makaronem i szczątkami doczesnymi jakiegoś lokalnego zwierzęcia, zalewa się, co nam zostało (lub nic, jak nie zostało), zupą. Wybitnie tłustą. To po to, żeby poprawić trawienie. Dałem radę zjeść miskę zupy, przekonać Kimrana, że naprawdę może zjeść moje mięso i poczynić mentalną notatkę:

– *NIGDY WIĘCEJ CHINKAŁA! NIGDY! NIGDY! NIGDY!*

Ojciec i dziadek Dennisa grali w *taulę*, po polsku tryktrak, po angielsku *backgammon*, a oni nazywali tę grę jeszcze inaczej – chyba z azerskiego, co miałoby sens, bo byli Azerami. Pokazali mi z dumą pochodzącą z lat 70. planszę.

– *Patrz, jaka ładnie rzeźbiona, ręczna robota. Teraz takiej nie kupisz. Tak, potrafili dobre rzeczy w gulagach robić.*

– *To z gulagu???*

– *Oczywiście. Znaczy nie, że ja byłem w gulagu, tylko zakłady pracy przy nich takie robiły, wysoka jakość, solidnie wykonane. No już niestety nie ma.*

Podziękowaliśmy wylewnie za gościnę. Potem pojechaliśmy do domu Kimrana. Tam podobny styl architektoniczny, z zewnątrz smutna brama, w środku super czysto, dywany na ścianach (w tym z Mekką), ładne kafelki. Tak się złożyło, że musiałem wydrukować, podpisać i zeskanować jedną rzecz. Zajęło mi to może trzy minuty. Przy okazji żona Kimrana mogła wykazać się jako gospodyni, tym razem bez chinkała, ale za to herbatka i słodczyce. Pokazali mi trochę filmów weselnych własnej produkcji. Nie powiem, że się znam, ale nie wyglądało to źle, miało montaż równoległy, różne kąty ujęć, trochę efektów. Domyślałem się, że ich klienci nie mieli na co narzekać.

Uznano, że trochę za mało rozrywek, więc bilard. Bardzo lubię grać w bilard i bardzo mi to nie wychodzi. Po krótkiej debacie zdecydowano: bilard w spelunie na obrzeżach Dagestańskich Ognii. Przed przyjazdem do Dagestanu moje marzenia nie sięgały tak daleko. Dotarliśmy, wybraliśmy pokój, włączyliśmy telewizor i rozpoczęliśmy grę. Jest piętnaście białych bil. Wbijają się cokolwiek, gdziekolwiek. Wygrywa, kto pierwszy wbija pięć. Trochę pograliśmy, a oni zaczęli się upierać, że byłoby dobrze, żeby gość wygrał. W efekcie czekali, grali cztery poziomy poniżej swoich możliwości, żebym tylko ja coś ugrał. Było to miłe, ale dość

krępujące i głupie. Do tego jeszcze niesieni dagestańską muzyką popową z tv nieco śpiewali i tańczyli, więc poznaliśmy panią z obsługi. Była zdziwiona, że na trzeźwo takie wrzaski, pokrzyczała. To chyba taka pasja narodowa, kogo by tu opierdolić? O, mamy bar, spelunę z bilardem, kołesie biorą prywatny pokój, więc przecież to jasne, że będą w nim medytować, a nie oddawać się hulance. A jeszcze żeby oni to chcieli załagodzić, chyba z dziesięć minut rozmawiali o tym, że „drug z Polszy”, że bilard to zabawa i że może się z nami pozabawiać. Kobieta widziała, że trudni zawodnicy, zabawy odmówiła i poszła sobie.

Nie napisałem nigdzie, ile co kosztowało. W dużej mierze dlatego, że nie wiem. Za wszystko płacili moi gospodarze. Błagałem ich, żeby pozwolili mi partycypować w kosztach, ale powiedzieli, że absolutnie nie ma mowy. Doszło do takiego absurdu, że kupowali mi papierosy. Co chwilę dostawałem butelki Mendi i wody mineralnej, słodczyce, za nic nie mogłem ich przekonać, że naprawdę, ja jestem na wakacjach, ja naprawdę chcę za coś zapłacić.

Późną nocą czekał mnie turniej w *Mortal Kombat*. Przed nim jeszcze Cedric przerażony zabrał mnie do łazienki:

– *Czy umyłeś wannę?*

– *Tak, musiałem, chciałem wziąć prysznic, nie widziałem tego w tym gruzie i piasku.*

– *Dlaczego nie mówiłeś? Jej nikt od lat nie mył!!!*

Obiecałem, że już nic nie umyję, nie będę zbierał śmieci ze stołów i że będę kiepował gdzie popadnie. Chyba do końca mi nie wybaczył. Szczęśliwie drugiego wieczoru nie miałem żadnych problemów z braniem prysznica, bo nie było wody. Gdy już skończyliśmy się mordować i Cedric poszedł, wziąłem dwie pięciolitrowe butle z wodą i jakoś przy ich pomocy udało mi się trochę ogarnąć. Co nie miało wielkiego znaczenia, bo po kilku minutach w łóżeczku było to wszystko bardzo odległym wspomnieniem.

Moje wielkie dagestańskie wesele

[30.06.2016]

Kolejny poranek powitał mnie upałem. Beton, szare bloki, śmieci walające się wszędzie, nie sprawiało to, że chciało się krzyczeć „o, jak pięknie!”. Z kolei na kąpiele w Morzu Kaspijskim było za zimno. Gdy poszedłem po śniadanie, znajomy ochroniarz z marketu Karawan dał mi cynk:

– *Nie kupuj u nas, wszystko jest nieświeże.*

Kupiłem gdzie indziej. Tam również szalu nie było, jakieś bułeczki ze słodkim nadzieniem, też solidnie zeszłosezonowe. Rosjanie chyba wypowiedzieli wojnę śniadaniom i postanowili sprawić, że będą koszmarnie niedobre. Na razie wygrywają.



Warto ciągnąć się kilkadziesiąt minut po taką dziką eksplozję zieleni

Poszliśmy z Maksymem na spacer po mieście, naszym celem był Sosnowy Bór, trochę drzew tuż obok twierdzy. Jednak wcześniej spędziliśmy dobre kilkadziesiąt minut, idąc przez nową i starą część miasta. Wcześniejsze obserwacje potwierdziły się, nowa jest dość koszmarna, ale po starej chodzi się przyjemnie. Pełno bazarów, które oferują wszystko, od ubrań przez jedzenie (w dużej mierze dopiero co zabite) po części samochodowe. Nie wiem, czy da się w Dagestanie być dalej niż kilometr od warsztatu samochodowego i od świeżo ubitego mięsa.

Mieliśmy dwa ciekawe postoje:

– *Widzisz ten sklep? Pamiętasz te wiadomości, że w Dagestanie wysadzili w powietrze monopolowy?* – powiedział Max, otwierając drzwi do supermarketu. – *To było dokładnie tutaj! W tym miejscu zdetonowano ładunek, zniszczyli całe półki alkoholu* – dodał, wskazując mi palcem miejsce, w którym wystąpił ten zdradziecki atak na podstawowe wartości naszej cywilizacji.

W pobliżu był też dość brzydki, betonowy budynek. Na drugie piętro prowadziły zewnętrzne schody metalowe. Wieńczyły je solidne stalowe drzwi.

– *To bar, który sprzedaje piwo. Podpalono go w zeszłym roku. Dlatego teraz, żeby wejść, musisz zastukać, oglądają cię przez wizjer, oceniają, a potem wpuszczają lub nie.* Door selection po kaukasku. Jeżeli bramkarz się pomyli, to konsekwencje mogą być dość zgubne.

Opowiedział mi też, że chwilę temu lokalna mafia miała konflikt z islamistami. Widząc, że się nawzajem dojeżdżają i że mafia świecka daje sobie nieźle radę, władze postanowiły przesadnie się nie angażować. Sytuacja z czasem jednak stała się groźna, bo frakcja nieislamska wyszła z niej dość mocna i wycięła niemal całą konkurencję, więc w końcu trochę im poprzeshkadzali, ale znowu bez przesady. Nie byłem w stanie zweryfikować tych opowieści, brzmiały wiarygodnie, a przynajmniej na niewyolbrzymione. Opowieść tę zainicjowało przejście koło BMW-icy z przyciemnionymi szybami.



Nieprzebrane bory Dagestanu

Sosnowy Bór na to, co znajduje się obok twierdzy, to nazwa solidnie przesadzona – kilka drzewek, które tam były, boru za nic nie robiły. Temperatura solidnie nas wymęczyła, ale Max pocieszał mnie, że nie jest źle, bo w lecie miewają nawet 40 stopni. W drugiej połowie kwietnia mieli dobrze ponad 20, więc cień powitałem z ulgą i radością. Po drodze odkryłem też, że budują dość okazałe kawałki twierdzy, więc na 2018 będzie jeszcze większa. Koło Sosnowego Boru trwały prace całkiem od zera, akurat kładli fundamenty. Wizualizacja pokazywała, że kiedyś będzie to baszta. Mapa z dawnych lat pokazywała zaś, że jeszcze trochę rzeczy mogą postawić. Chciałoby się powiedzieć, że radość, bo lokalni znajdą pracę, ale nie ma tak dobrze, lokalny przewodnik powiedział, że nierzadko zatrudniają ludzi z Azji Środkowej, Chin lub Wietnamu, bo pracują za mniej. 15 tysięcy to już jest dobra pensja, a 10 to też OK – trochę rozmija się to z oficjalnymi danymi, ale skłonny jestem uwierzyć. Ciekaw jestem, jakie mają bezrobocie – jeszcze biorąc pod uwagę, że wiele kobiet nie pracuje, zajmując się domem.

Znaliśmy się już dość dobrze, więc zaczęły pojawiać się tematy mniej radosne. Max był podłamany tym, że gdy jego rodzice skończyli liceum, to za swoje wyniki dostali stypendia w Moskwie i Petersburgu. On miał najlepsze oceny w szkole i dostał medal, ale żadnego stypendium. Z medalu był dumny, ale jego wielka miłość pochodziła z dość bogatej rodziny, pojechała do Moskwy, a po kilku miesiącach poinformowała go, że tyle się widzieli. Dla kogoś z Dagestanu utrzymanie się za swoje w Moskwie jest praktycznie niemożliwe. Z kolei dla miejscowej kobiety opcje życiowe są dość ograniczone – skończ ogólniak, wyjdź za męża, rodź dzieci, aż będzie syn, potem je wychowuj. I tak wiele się zmieniło, bo ludzie mają teraz dwójkę czy trójkę dzieci, kiedyś zwykli mieć znacznie więcej. Jest w Derbencie szkoła dla pielęgniarek, więc jeszcze to jest jakaś opcja („Bardzo dobrze, że jest ta szkoła, jak szukasz dziewczyny, to stajesz pod bramą i patrzysz, kto wychodzi, jak ci się spodoba, to podchodzisz i zagadujesz”).

Max wyjaśnił mi też, dlaczego nie wolno palić przy rodzicach. Wykładnia logiczna idzie za tym taka. Syn przychodzi do ojca i mówi:

– *Tato, czemu mi nie wolno palić przy tobie? Sąsiedzi wiedzą, że palę, wujkowie wiedzą, że palę, ty wiesz, że palę, no cały Dagestan wie, że palę.*

Ojciec pomyślał i odparł:

– *Sąsiedzi, wujkowie, ty i ja wiemy, że ruchałem twoją matkę. Ba, wie o tym cały Dagestan. Ale nie robiłem tego przy tobie ani przy nikim innym.*

O ile przy krótszych wizytach kaukaska bylejałość dość bawi, o tyle jak się tam mieszka, to już ta gigantyczna korupcja przestaje być taka pocieszna. Dzień wcześniej Dina mówiła, że gdyby przeprowadzono weryfikację umiejętności kierowców, to jakieś 80% straciłoby prawa jazdy. A tak jeżdżą, statystyka wypadków jest dość przerażająca, ale skoro prawo jazdy kosztuje 30 tysięcy rubli, to pewnie niewiele więcej niż zrobienie kursu. Przyznano, że właściwie nikt nie robi po bożemu, tylko wszyscy kupują. Max podciągnął mnie z historii regionu i opowiedział o 343 dywizji strzelców dagestańskich, którzy odmówili poddania się, broniąc Sewastopolu przed nazistami – temat się pojawił, bo od nich nazwano ulicę, przy której mieszkałem. Naszły mnie lekkie podejrzenia, że wkrótce może okazać się, że skala działań prowadzonych przez Armię Czerwoną na Ukrainie w czasie II wojny światowej przybiera na sile. Nie znalazłem potem niczego o tych ludziach.

Miałem też panele o Syrii i Ukrainie, tu był standard znany z rosyjskich mediów. Ciekawsze były opowieści o tym, jak im nie do końca wyszedł zespół rockowy. Mieli nagranych trochę kawałków, ale perkusista przeniósł się do Rostowa, basista też dał dyla, do tego Maksowi na rok padło gardło, więc sprawa nieco umarła. Okazało się też, że w Derbencie płyty nie nagrasz, możesz w Machaczkale, ale wyjdzie drożej niż w Rostowie, bo jest tylko jedno studio, które ma monopol. Grali trochę na lokalnych festiwalach, wychodziło różnie, jednego dnia padł prąd i po dwudziestu minutach koncert się skończył. Gdzie indziej ich za bardzo nie docenili, bo trafili na dość folkowy zbiór kapel. Poziom trudności bardzo wysoki. W ich graniu były inspiracje Slipknotem, trochę Rammsteina. Nic przesadnie odkrywczego, ale też bez wstydu. Na moje pytanie, czy nie chcieli czegoś bardziej lokalnego, powiedział mi, że pod żadnym pozorem. A szkoda, bo na ile nasłuchałem się lokalnej nuty, to jest z czego czerpać. Tyle że w Dagestanie to by raczej nie chwyciło, za to poza republiką miałoby szansę. Tylko kto by to wypromował? Ach, już widzę te nagłówki w prasie fachowej (której od lat już nie ma): „Bestie metalu z wiecznego Dagestanu”, „Rock ekstremalny, ale nie ekstremistyczny”.



Serce zostało na stokach twierdzy, pomiędzy tysiącletnimi drzewami

Podczas przechodzenia po raz kolejny po okolicy Max pokazał mi dowód na to, że Federacja Rosyjska dba o swoich obywateli i zapewnia im liczne udogodnienia. Czyli lokalny klub seniora. Wyglądał tak, że przy bazarze był betonowy pokój z ławami i stołami, a w środku siedziało pełno emerytów grających w karty i rozmawiających. No cóż, jakieś wsparcie socjalne to jest, ludność ochoczo korzystała z tej zdobyczy cywilizacyjnej.

Wczesnym popołudniem poszliśmy na dworzec. Tam oczywiście wszyscy zostali poinformowani, że „drug z Polszy” i pojechaliśmy do Dagestańskich Ognia. Jest taki dagestański sposób oszukiwania kierowców:

– *Ha, oszukałem dzisiaj kierowcę marszrutki!*

– *A co zrobiłeś?*

– *Zapłaciłem i nie pojechałem.*

My jednak uczciwie pojechaliśmy. Celem były badania etnograficzne, lokalne jedzenie i charasza kopiejka – tak dzień wcześniej Kimran określił, ile tam zarobią.

Wesele odbywało się w sali bankietowej Indira, na obrzeżach miejsciny.

– *Jak tu robią, to znaczy że są biedni i będzie to małe wesele* – wyjaśnił Max. – *Może jakieś 300 osób, 600 to solidne, ale to raczej nie będzie, no nie licz na więcej niż 400. Na wesele zaprasza się każdego, kogo się chociaż raz w życiu widziało. Inaczej ostracyzm społeczny.*

Z braku drogi utwardzonej i z racji tego, że było gorąco, na miejsce dotarliśmy solidnie brudni. Było mi trochę wstyd za to, w jakim stanie czystości byłem, ale w sumie niektórzy goście weselni też nie poszaleli ze strojami. Jeden zawodnik już spał z głową w talerzu. Max oczywiście chciał, żeby „drug z Polszy” siedział na jakimś wypasionym miejscu, ale go ublażałem, żebyśmy zajęli pozycje gdzieś na uboczu.



To na środku to saż



Zero na wódce odnosi się do efektów ubocznych, nie do woltażu

Przyjechała młoda para. Kamerowali ich z dwóch ujęć, najpierw gdy wysiadali z samochodów, a potem jak szli przez salę Indira. Państwo młodzi zasiedli i rozpoczęła się zabawa. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu, było to wydarzenie raczej świeckie – nie widziałem żadnych przedstawicieli religii i nikt nie mówił niczego o Bogu. Co chwilę ktoś wygłaszał toast, potem orkiestra grała kawalek lub dwa, następnie toast. Kolejność, w jakiej się mówi, jest bardzo ważna, idzie się od najważniejszych ludzi (rodziców) poprzez wujków, a potem była nawet nauczycielka panny młodej – to podobno nie standard, tylko musiały się bardzo lubić. W tym czasie ludzie jedzą. Oczywiście pełno mięsa, ale podano coś, co zwie się saż – lokalna edycja hot pota-fondue, ale bez zupy. To był ratunek, musiałem tylko jakieś dwadzieścia razy powiedzieć Kimranowi, że nie skuszę się na mięsiwo, które w tym się znajdowało. Szczęśliwie, były tam też ziemniaki i grzyby.

Na stołach było pełno alkoholu, ale mało kto pił, poza tym pierwszym (który w końcu wstał) nie widziałem nikogo żenująco nawalonego, panowała dość radosna atmosfera. Kimran latał po całym obiekcie, przesuwiał kamerzystów, witał się ze wszystkimi, umawiał kolejne charasze kopiejki. Przy wejściu był stolik, gdzie imiennie składano dary pieniężne. Dzięki temu potem się wie, ile należy przynieść na wesele kogoś innego. Na samym ślubie raczej się traci, niż zarabia, bywa, że ludzie biorą kredyty, żeby poszaleć. Rzadko, bo rzadko, ale zdarza się, że ktoś coś ukradnie, takie było doświadczenie Maxa ze ślubu siostry. Mówił, że to był jeden dramat, ale siostra wyszła za kogoś z wioski. Tradycja nakazuje, że po nocy poślubnej wywieszane jest prześcieradło dowodzące, że panna młoda była dziewicą. Wywiesza się je z dumą koło domu, a rodzina przyjeżdża oglądać i oceniać jakość jej dziewictwa. Oczywiście też niech wszyscy sąsiedzi wiedzą, a co! Max mówił, że nie bardzo chciał zobaczyć dowód na to,

że siostrę zdeflorowano w noc poślubną i odmówił wielkiej rodzinnej wizyty w wiosce szwagra.

Dzięki temu zwyczajowi być może udaje się unikać takich sytuacji. Siedzi zatroskana Dagestanka na ławce. Podchodzi do niej koleżanka:

- *Patimat, co się stało?*
- *A bo brat wziął ślub i same problemy...*
- *Jakie problemy?*
- *Urodziło mu się dziecko i teraz sama nie wiem, czy ja jestem ciotką, czy babcią...*



Niech bizantyjski przepych konsumpcyjny nie odwróci naszej uwagi od chust pań przy kolejnym stoliku

No a jak wesele, to pytałem o rozwody: nie ma wielkiego problemu, można się rozwieść i w takim Derbencie, to nie jest stygmat społeczny. Wioski to inna bajka, tam nadal bywa XIX wiek, rada starców na godekanie (głównym placu), do tego jeszcze imam, trochę jak polska wioska (zamień „imam” na „proboszcz”). Jest pewien problem z kamerowaniem drugiego wesela, bo sesja nie powinna być tam, gdzie pierwsza, a może nawet poprzednie. W Derbencie są trzy miejsca, więc ustala się, gdzie było pierwsze (zapewne w twierdzy) i wybiera jakiś wodospad lub starówkę. Nie mieli nigdy nikogo, kto by brał czwarty ślub, trzeci się zdarzało. Fajną ma potem ktoś kolekcję ślubów, zależnie od nastroju może sobie wspominać wybrany dzień wstąpienia w któryś związek.

Max postanowił zapewnić mi atrakcje, więc przez 30 minut kamerowałem ze sceny tańce ludowe. Kobietom szło lepiej niż mężczyznom. Robota przez chwilę ciekawa, ale już po tej chwili idzie ogłuchnąć – wiadomo, że musi być głośno. Max mówił, że normalnie bierze wyciszające słuchawki i słucha audiobooków. Były nieśmiałe próby wykonania lezginki – tradycyjnego

dagestańskiego tańca – ale spodziewałem się więcej, nie wyszło to jakoś szalowo, wydawało się, że większość tańczy to po raz pierwszy w życiu, zwłaszcza mężczyźni wypadali fatalnie. Jak głosi mądrość ludowa: „Po usłyszeniu lezginki, dagestańskie pchły zdeptały kota na śmierć”.



Ten tłum to tańce, a ci z kamerami to moi dobrodzieje

W sali Indira nie było aż takiego szalu, da się bez problemu znaleźć lepsze wyczyny w necie. Przygrywała temu muzyka raczej współczesna i umiarkowanie koszmarna jak na skalę małego wesela. Za to prawdziwym koszmarem była toaleta, dość cuchnąca, z jedynie zimną wodą (bez mydła czy ręcznika) i w standardzie brudu (tylko dagestańscy mężczyźni piszą na ścianach męskich toalet: „dziewczyny, tu jest mój numer, dzwońcie!”). Lokalne podejście jest takie, że toaleta to syf, więc najlepiej zbudować ją kawałek od domu, a w środku, to musi być brudno, bo to przecież sracz, więc po co się starać i jakoś dziko sprzątać? Więc jest brudno, cuchnie i nikt nie sprząta.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu chwilę po 21 państwo młodzi się pożegnali i poszli. Zostało trochę weselników, jeszcze tańczyli, ale też się zwijali. Przedstawiono mnie takiej liczbie osób, że zacząłem automatycznie odpowiadać „Alejkum Salam”, bo ta opcja dominowała. „Drug z Polszy” padło wiele razy, zbyt wiele, żeby nie popaść w przerażenie. Reakcje były wielce pozytywne, okazało się, że ktoś ma bratanka w Warszawie, który kupił sobie specjalną tablicę samochodową, czyli z oznaczeniem 05 i teraz wszyscy w Warszawie wiedzą, że jest z Dagestanu. Myślę, że pół Wawy wypatruje za tym oczy... Ale i tak się cieszyłem, bo wszyscy reagowali radośnie. Szczęśliwie, rosyjskie media dość rzadko informują ich o Smoleńsku. Gdzieś pod koniec było trochę wciętych osób, ale większość w trybie dzikiej radości, żadnych burd. I nawet

w sali Indira na obrzeżach Dagestańskich Ogní respektowano zakaz palenia. Dzięki temu chwilami tłum na zewnątrz sięgał kilkudziesięciu osób. W końcu koło 22 zebraliśmy sprzęt i poszliśmy.

Mariman, który kamerował wszystko od początku do końca, zarobił przez ten wieczór 2000 rubli. Max, jako człowiek z doświadczeniem, dostawał 3000. Zgodnie stwierdzili, że to charasza kopiejka. Co gorsza, chcieli mi nawet coś odpalić, ale zaparłem się, że nie ma mowy. Za wesela są różne stawki, chyba za takie coś płacili im około 40 tysięcy – dwóch kamerzystów, jeden fotograf. Czekало ich montowanie tego wszystkiego, a także wywoływanie zdjęć. Mówili, że w Moskwie taka obsługa to jakieś 100-120 tysięcy rubli. Problemem dla nich było to, że coraz więcej osób próbuje wskoczyć w ten biznes i robią nawet po 20k. Wychodzi im to podobno biednie, sprzęt mają gorszy, montować tak ładnie nie potrafią, ale skoro mówimy o miejscu z pensjami na poziomie 10-15k rubli, to przesadnie nie dziwi, że ludzie jednak będą chcieli przyszczędzić, na czym się da.

Wracaliśmy, oni dość podekscytowani, że dobrze poszło, nie było żadnych problemów ani wtop, ja zachwycony odkryciem uroków dagestańskiego wesela. Słuchaliśmy dagestańskiej popsy, oczywiście na całego. W pewnym momencie muzykę wyłączono.

– *Mijamy cmentarz, nie wypada mieć wyjącej muzyki.*

Cmentarz szybko się skończył i mogłem powrócić do delektowania się lokalnymi rytмами. W domu czekała standardowa obsada i *Mortal Kombat*. Brak wody nawet specjalnie nie zdziwił.

Po trzecim dniu w Derbencie moja wdzięczność nie miała granic. Pytałem ich wielokrotnie, czy na pewno nie mają innych planów, sugerowałem, że może ja skoczę do Groznego na jakieś dwa dni, ale powiedzieli, że przecież dobrze się ze mną bawią i że mają jeszcze parę pomysłów. No a w Groznym będzie mi nudno. Skwapliwie się zgodziłem. Bałem się tylko, że ich budżety nie dadzą rady długo mnie tak gościć. Minął właśnie kolejny dzień, w którym nie pozwolono mi za nic zapłacić.

[21.07.2016]

Kimran zarządził dość wczesny start, bo już o 10 rano. Mieliśmy jechać nad wodospad (czyli wodopad), nacieszyć się grillem i pięknem natury. Z racji tego, że obaj z Makssem wyraziliśmy pewne zainteresowanie tematem, obiecał nam trunki do spożycia. Dzień zapowiadał się cudownie. Oddali wodę i mogłem się rano umyć.

Max oznajmił, że przekazał moje brudne ciuchy Marimanowi. Od dwóch dni pytałem ich, czy jest jakaś szansa na upranie rzeczy w sposób inny niż ręcznie. Max zapewniał mnie, że oczywiście. Wprawdzie on nie ma pralki, ale ma ją wiele innych osób. Okazało się, że u kogoś pralka jest, ale zepsuta. Mariman powiedział, że tak, ale ponieważ woda jest w ich mieszkaniu około dwóch godzin dziennie, to matka się czai, gdy włączają wodę odpala pralkę. Nie może zagwarantować więc, że wszystko pójdzie po naszej myśli, ale możemy próbować. Jeszcze wtedy Max myślał, że to kiepska opcja, ale kilka osób później okazało się, że to najlepsze, co mamy. Prałem na bieżąco, ale jednak długich spodni jeansowych sobie ręcznie pod wodą z butelki nie wyczyszczę. Ostatecznie więc pół Derbentu wiedziało, że chcę wyprać gacie i że nie jest to takie proste. A pierwsze pytanie, jakie zadałem w tym temacie, brzmiało: „chłopaki, a gdzie tu jest jakaś pralnia?”. No więc w kwietniu 2016 roku w Derbencie pralni nie było.

Oczywiście zdobywanie jadła zajęło Kimranowi o wiele więcej czasu, o 10 rozmawialiśmy z Makssem o Róży Luksemburg i Ludwiku Waryńskim, a Max próbował dodzwonić się do kierownika wyprawy. Tu się bardzo nie zdziwiłem, że wszystko jest z obsuwą. Koło 11 wyjechaliśmy w cztery osoby (jeszcze Mariman postanowił do nas dołączyć, bo wyznał, że nigdy nad wodospadem nie był). Najpierw dojechaliśmy do znanej mi już wioski, gdzie dołączył do nas Dennis.



Hej, młody junaku, smutek zwalcz i strach. Przecież na tym piachu za 30 lat przebiegnie, być może, jasna, długa, prosta, szeroka jak morze Trasa Łazienkowska...



Manga i butla gazowa. Szkoda, że manga nierozpalony

Było nas więc pięciu chłopów w dość wiekowym Żiguli. Liczyłem na to, że zobaczę góry i Dagestan nieco inny od nadmorskiego. To się zasadniczo udało. Droga była solidnie taka sobie, a z każdym kilometrem stawała się gorsza. Dość szybko straciliśmy zasięg w komórkach. Poznałem inną stronę zawodu kamerzysty weselnego: trudności związane z filmowaniem wyjścia panny młodej z domu rodzinnego. Często zdarza się, że panna młoda (która np. pobiera nauki w szkole pielęgniarek w Derbencie) pochodzi z jakiejś wioski w górach. W dniu wesela powinna wyjść z domu rodziców, moment ten oczywiście musi zostać zarejestrowany. Prześcigali się więc w opowieściach o tym, kto dokąd jechał, żeby nagrać takie wiekopomne chwile. Rekord wyniósł pięć godzin jazdy bezdrożami celem nagrania około 10 minut niesamowitego wyjścia z lepianki (oczywiście w cudownej kiece). No i problemem współczesnym było to, że trafiali się klienci spośród wzgórz i krzaków. Do pewnego momentu mieli napisane na stronie, że jeżdżą wszędzie, potem zawężili to do dwóch godzin wokół Derbentu.

Kimran znał geografie regionu najlepiej, znał też wszystkie drogi. Nie przesadzał, gdy mówił, że gdzieś tam, to nie to, że asfaltu nie ma, tam w ogóle trudno mówić o jakimś trakcie, a kilkanaście kilometrów dalej jest kilkadziesiąt domów. Okazało się też, że Kimran pochodzi z rodu bandytów – ludzi, których wyrzucały okoliczne wioski, a oni w końcu zrobili sobie osadę pośród wzgórz, zatrzymaliśmy się, żeby ją oglądnąć z dystansu. Nie wyglądała imponująco, takie zwykłe domki. Do pokonania mieliśmy chyba jakieś 40 kilometrów, po drodze niezłe widoki. Jak to lokalni, Dennis z Kimranem ustalili, że najlepsza woda do picia jest w rurze znajdującej się w wiosce o jakiejś tam nazwie, więc musieliśmy tam po nią jechać. Obok rur lejących wodę

mieścił się punkt akuszerski, otwarty kilka dni w tygodniu w godzinach 9-16. To nawet ich trochę zgasiło. Ciekawe, czy dałoby się znaleźć zielarza. Co ja mówię, ciekawe, czemu nie było strzałki do zielarza.



Korków raczej nie ma

Byliśmy już bardzo blisko wodospadu, gdy wyjechaliśmy na checkpoint. Nie zdziwiłem się, papiery miałem wszystkie w cudownym porządku.

– *Stop, dzień dobry, kontrola, dokumenty* – wojskowo-milicyjni z całym garniturem karabinów i pistoletów.

Zaczął się:

– *Jaka kontrola, jakie dokumenty? Nad wodospad jedziemy!!!*

– *Panie, pan się nie wygłupiaj, w tym aucie jest przecież...*

Nie. Błagam nie. Nie, nie mów tego. Powiedz cokolwiek innego, tylko nie to.

– ... „drug z Polszy”.

No to pojechaliśmy.

– *WYSIADAĆ! Zaordynował pan w mundurze. DOKUMENTY!!!* – poprawił.

Po chwili złożonej z „panie, turysta, a pan się wygłupiasz”, „panie, odkąd to sprawdzacie swoich?”, „no z Derbentu jesteście wszyscy!”, okazało się, że tylko ja i Kimran mamy jakieś papiery. Cała reszta nic.

– *Co za głupota, w domu jesteście, a oni nam będą dokumenty sprawdzać!* – irytował się Dennis. Dzięki temu, że „drug z Polszy” i temu, że oni nie mieli żadnych dokumentów,

zabrano nasze i kazano nam jechać na posterunek. Całą drogę tamże wyjaśniano mi, że mam się nie martwić, że te skurwysyny nie wiedzą, z kim zadarły, że to wstyd dla całego Dagestanu i że im dopiero pokażemy. O sobie się nie martwiłem – pan policjo-wojskowy powiedział, że chce tylko sprawdzić, czy moje pozwolenie na pracę jest autentyczne – ale o nich już nieco tak, bo nie mieli ze sobą niczego. Mariman to był w kąpielówkach.

Posterunek policji był ufortyfikowaną twierdzą z okienkami strzelniczymi. Max nadział się na dwa „niet!”: po pierwsze czy możemy tam robić zdjęcia, po drugie czy możemy zapalić. Byłem pod wrażeniem, że w ogóle zadał te pytania. Pan policjant spisał ich dane i poszedł sprawdzać w systemie. Pooglądaliśmy sobie poczekalnię, która nie była przesadnie spektakularna i nie miała zbyt wiele do zaoferowania. Po jakichś dziesięciu minutach wrócił, oddał mi paszport i powiedział moim znajomym, że wszystko się zgadza. Wydawał się aż szczęśliwy z tego powodu. Wyjaśnił nam, że kontrola na drodze jest, bo dwa dni wcześniej podpalono szkołę, a kilka tygodni temu ostrzelano właśnie ten posterunek. Upewnił się też:

– *A czy „drug z Polszy” na pewno widział twierdzę derbencką? Pokazaliście mu, jaką mamy piękną twierdzę?*

Zapewniłem, że wspomniałem twierdzę widziałem wiele razy w ciągu tych ostatnich dni. Facet bardzo się cieszył, że mówię po rosyjsku i że przyjechałem. W sumie to po tym epizodzie miałem przypływ ciepłych uczuć do Dagestanu i ludzi go zamieszkujących, bo wszystko poszło więcej niż sprawnie. Byliśmy już blisko wodospadu, Kimranowi włączył się tryb „amant”

– *Ech, te Dargijki, jakie cyce, jakie dupy, tylko obłapiać, chwytąć, ale bym taką obrócił...*

– *Moja matka jest Dargijką, chcesz coś więcej powiedzieć?* – padło z tyłu samochodu. Już nie chciał. A skoro już mówimy o tej grupie zamieszkującej Dagestan:

*Do kabiny pilotów samolotu lecącego na trasie Moskwa-Machaczkała
wpada stewardessa:*

– *Mamy na pokładzie dargijskiego terrorystę z bombą!*

– *Czego żąda?*

– *Na razie niczego, ale rozpoczął sprzedaż spadochronów.*

Ta miejscina, „Huczi” (fonetycznie mam zapisane, może Khuczi, może i Khuktschi), okazała się nieco większa od wcześniej przez nas mijanych. Mówię im to, pada:

– *To miasto jest, całkiem duże. Mają nawet burdel (trachodrom).*

Kiedyś były akty lokalizacyjne, a teraz łatwiej: jak burdel, to miasto, a jak nie, to wioska. Przy okazji dowiedziałem się, że trachodrom w Derbencie jest przy porcie i sesja tamże kosztuje 1500 rubli. W Machaczkałe podobno są nawet kluby, gdzie można spędzić nockę, chlejąc, oglądając striptease i potem bawiąc się z paniami.

Droga zrobiła się trochę ciekawsza, bo zaczęły się góry, ale szybko z nich zjechaliśmy. Byliśmy u celu. Wodopad.



Kaukaz taki kaukaski!

No cóż, rzeczywiście był to dość okazały wodospad. Był jeden problem: śmieci. Tony śmieci. Wszędzie, a najwięcej w wodospadzie. Naprawdę, chyba nigdy nie widziałem czegoś takiego. Takie najbardziej banalne odpady codzienne, butelki po piwie, puszki po oleju samochodowym, po żarciu. Zaniemówiłem. Wszyscy stanęliśmy jak wryci. Mariman przemówił:

– *Najpierw wstydziliśmy się za naszą policję, że cię sprawdza. Teraz wstydzimy się za rodaków, że coś takiego zrobili z tym pięknym miejscem.*



Bryzgi szczęścia

Rozstawiliśmy się na wysepce, dobyli grilla i jakieś dwa miliony innych rzeczy. Dennis i Kimran dyrygowali, bardzo chcieli, żebym niczego nie robił, ale się upierałem, że jednak coś bym chciał podzielać. Oni wzięli się za szaszłyki i rozpalanie. Byli w swoim żywiole, my się uwijaliśmy na ich polecenia.



Jaki kraj, taka Niagara

Potem oczywiście było jedzenie i komplementowanie, że takie pyszne. Pomidory były super, dostałem wielką rybę, chyba największą, jaką w życiu widziałem, ledwo dałem radę zjeść może 3/4.



Ribu, Wielkie ribu. I pieriec. Dagestańska opcja wegetariańska

Zbudowało mnie, że widząc te śmieci w okolicy, sami wszystko ochoczo pozbierali i nic po nas nie zostało. Gdy my zaczynaliśmy, ludzie obok nas kończyli. Odchodząc, dali nam w prezencie wielki chleb, bo im się już nie przyda, a nas w końcu tak wiele. Po raz kolejny byłem pod wrażeniem lokalnej gościny. Oni nie, przecież to normalne, tamci skończyli popas, a my zaczynamy, no to się dzielą. Jak po nas będą inni, to też się podzielimy, no nie mów, że u was jest inaczej.

Odbiliśmy też wino. Nie był to hit eksportowy, ale nie było wstydu, takie typowe domowe. Okazało się, że moi przyjaciele to za wiele o alkoholu nie wiedzą, bo typowali, że wina mają po 20%. Trochę ich olśnilem, że raczej nie, a to na pewno nie. Nieco tego wypiliśmy, ale nie było szans na nawiązanie do tego:

Pijany Dagestaniec wraca po imprezce do domu. Szybciutko otwiera drzwi, przemyka się przez przedpokój, rozbiera się, chwytą największą książkę z półki i kładzie się w łóżku, czyta.

Wchodzi żona:

- Znowu się nawalileś?*
- O co ci chodzi, poczytać sobie nie można?*
- Odlóż tę walizkę, idioto.*



Kaukaska sielanka



Dagestan spotyka XXI wiek

Po paru godzinach i paru setkach zdjęć, pochwał okolicy i jedzenia, zaczęliśmy wracać. Wszystkie śmieci z nami. Po kilku kilometrach zatrzymaliśmy się i Dennis wyrzucił worki z odpadami w krzaki.

– *Dlaczego? Przecież tu są śmieci wszędzie, mogliśmy to wywieźć do śmietnika w mieście.*

– *Przecież tu nie ma wodospadu, o co chodzi?*

Potem mijaliśmy samochód robót drogowych. Na pace stał facet z łopata i rzucał asfalt. Próbował trafiać w dziury w drodze, no ale szło mu to różnie, czasem obok, czasem za mało, czasem za dużo. Nikt tego nie wyglądał. Dostałem wykład:

– *Widzisz, i tak się u nas robi remont nawierzchni i dlatego to wszystko tak wygląda. Potem wypełnią dokumenty, a władza się pochwali, że wyasfaltowano ileś tam kilometrów dróg i że jest lepiej. A jakieś 50% pieniędzy na ten cel rozkradną. Ale nie jest źle, kiedyś kradli wszystko, a teraz chociaż tyle robią.*

Jak widać, złodziejstwo, korupcja, jakość i sensowność pracy też są relatywne.

Moja adaptacja do warunków lokalnych osiągnęła nowe stadium: mianowicie udało mi się zasnąć w samochodzie jadącym po tej gruntowo-asfaltowej drodze. Dojechaliśmy do Dagestańskich Ogni i zawieźliśmy dużo jedzenia znajomym, którzy nie mogli z nami jechać. Ucieszyli się. Cholera, tak ludzkiego zachowania w życiu nie widziałem – kilka kilometrów dołożyć, żeby zawieźć jedzenie temu, który nie dał rady jechać. Oczywiście w opowieściach wodospad stał się najpiękniejszym obiektem na świecie.

Potem pojechaliśmy do Kimrana na kawę i ciasteczka (wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że tak się bawią kibole). On pobił dziecko, bo nie zrobiło czegoś ledwo powiedział, Dennis pokazywał mi najlepsze kawałki walk Abdusalama Gadisowa, dagestańskiego zapaśnika. Ze wszystkich sportów świata, Dagestan musi pasjonować się zapasami. Hura, ledwo zasady znam, no ale tak, ale mu jebnął, ooo, no jak dzik w żółędzie w niego wszedł, o jaka jazda!

Gdy potem jechaliśmy autem, jakoś tak nastroje siadły. Kimran powiedział, że jego żona uczyła się w Krasnojarsku, żadnej Moskwie czy Petersburgu, i jak tu przyjechała, to odkryła, że w urzędach pracują idioci, właściwie analfabeci. Zaczęli wyliczać mi problemy. Fatalne szkoły. Jeszcze gorsze uniwersytety. Brak kadr, żeby ten burdel ogarnąć. Żałosne zarobki. Nepotyzm. Mariman kształcił się na lekarza i musiał jeszcze zapłacić 3000 rubli, które zalegał komuś, kto pisał mu pracę magisterską. Zemdląłem, jak to usłyszałem. Obiecał, że nigdy nie będzie praktykował, ale chce mieć dyplom. Wybrał medycynę, bo to prestiżowy kierunek. Na ekonomiach mniej się płaci za prace dyplomowe. Uniwersytety hodują leniwych debili, na każdym kierunku. Potem ci ludzie uczą w szkołach. Za ZSRR chociaż miewali kadry wyszkolone w stolicy, teraz już nie, bo system stypendiów umarł.

Pojechaliśmy do baru na kaliana. U nas się na to mówi shisha lub fajka wodna. W Dagestanie to jedna z wielkich pasji tubylców, paliliśmy już wcześniej, ale w mieszkaniu. Zawsze towarzyszyło temu takie podniecenie, że myślałem, że mają heroinę, a przynajmniej haszysz. Tego dnia poszliśmy do baru dedykowanego temu celowi. 300 rubli za lufę-flakon, każdy dostaje swój ustnik i idzie kółeczko. Kuriozalne to trochę, bo często jest tak, że palisz kaliana, dajesz następnemu, odpalasz papierosa, kończysz, wraca kalian. Po jakichś dwóch godzinach posiadówki ma się uduszony mózg. Oczywiście, że gada się o kobietach, piłce (na ekranach) i polityce. Z naciskiem na kobiety. A co do piłki, pracownik lokalu pytał mnie, czy w Moskwie boją się fanatów FC Anży Machaczkała. Akurat jakoś tak mam, że jak widzę futbolowych fanatów, to staram się oddalić, więc powiedziałem, że za bardzo nie wiem. Podobno ilekroć grają w Moskwie, to jest zadyma.

Był to mój ostatni wieczór w mieszkaniu muzycznym. Staralem się je sprzątać, ale poziom dramatu pogłębiał się, napetowane było wszędzie, toreb ze śmieciami na pół kuchni, brudnych naczyń pełne stoły. Po raz ostatni siadłem z Cedricem do *Mortal Kombat*. Komplementował mnie, że się super nauczyłem grać. Przeraziłem go siatą jedzenia, w tym kawałkami ryby. Powiedział, żeby to rzucić tam na stół i potem coś się wymyśli. Sugerowałem, żeby kotom to wynieść, w końcu prorok je lubił, ale patrzył na mnie jak na idiotę. Następnego ranka sam to wytachalem.

Koło 10 przyszedł Max i się pożegnaliśmy – musiał jechać dwie godziny do jakiegoś aulu i filmować wyjście panny młodej z rodzinnego szałas. Przez te kilka dni bardzo go polubiłem, wliczając w to wszystkie opowieści o wielkim Związku Radzieckim, Putinie i wrogach kraju. Jakimś cudem udało mi się przeskoczyć z tej kategorii do ligi przyjaciół. Powinni mu dać jakieś dofinansowanie na promowanie regionu, skoro i tak nie ma biur informacji turystycznej. Pisaliśmy potem jeszcze trochę ze sobą, po jakimś miesiącu to umarło.

Potem przyszedł Cedric, pogadaliśmy i poszliśmy na dworzec. Po drodze zapytałem go o reklamy, bardziej ulotki, na słupach, które słabo rozumialem, bo były o macierzyństwie i pieniądzach. Rosja ma katastrofalny przyrost naturalny i dlatego daje dość solidne pokłady pieniędzy, jak się rozmnożysz. Ale nie 500+, tylko na inwestycje w stylu remont mieszkania, ciuchy – wszystko musisz wykazać i dopiero dostajesz pieniądze. To jest solidna kasa, mówiono mi o kilkuset tysiącach rubli możliwych do wzięcia w ciągu dorastania dziecka. Tylko znając Dagestan, Rosję w ogóle, to ludzie już wiedzą, jak to oszukać. I właśnie po to były te ulotki.

Na dworcu Cedric spytał, czy mam pamiątki z Derbentu, a przynajmniej Dagestanu. Miałem magnesy i pocztówki, ale powiedziałem, że mógłbym mieć i koszulkę. Zapewniłaby mi popularność pośród moskiewskiej policji, w to nie wątpię. Przeszliśmy cały bazar, ale nikt nie miał niczego z flagą lub herbem Dagestanu. Szkoda, ale jakby rozumiem znikome zapotrzebowanie na parafernalia lokalnie patriotyczne pośród samych mieszkańców regionu, a ponieważ ruch turystyczny nie istnieje, to i tak cud, że miałem magnesy i pocztówki.

Cedric pogadał z marszrutkarzami i załatwił, że jeżeli zbierze się pięć osób do Kaspijska, to kierowca zawiezie mnie na lotnisko, a jak nie, to zwykła marszrutka do Machaczkały wysadzi mnie przy wjeździe do miasta i znajdzie taksówkę. W ostatniej chwili wsiadły dwie osoby i udało się. Dzięki temu pierwszy raz w życiu zajechałem na lotnisko marszrutką, kosztowało mnie to jedynie 200 rubli, jakieś 15 PLN za ok. 100 kilometrów. Na lotnisku trzeba się wylegitymować, żeby wejść. Jak zobaczyli polski paszport, to mogłem sobie zwiedzić drugi policyjny posterunek w ciągu dwóch dni. Pytali po co, dlaczego – dlaczego Rosja, dlaczego Dagestan? Coś tam mówiłem, że ciekawe i interesujące, kręcili głowami, ale komputer mówił, że nie kłamię.

Do lotu miałem jakieś cztery godziny, poszedłem siedzieć na zewnątrz, gdzie można było palić. Potem musieli mnie znowu sprawdzić, a zmieniła się obsada. Trafił się jakiś pojeb, który mówił po rosyjsku z takim akcentem, że rozumialem połowę. Pytał, czy to Polska jebie w dupę Rosję, czy też Rosja wyjebała w dupę Polskę. Zdurniałem i postanowiłem bardzo słabo mówić po rosyjsku. Kiwałem dużo głową, zwłaszcza gdy bardzo chciał, żebym mu powiedział, że to Rosja jebie w dupę Polskę. Ucieszył się, ktoś mu kazał przestać, wszedłem. Skąd takie bydle załęgło się w tej milej republice? Pewnie z centrali przysłali.

Ochrona była tak miła, że nie zabrała nam żadnych napojów. Kupiłem pożegnalną wodę mineralną.

Wylądowałem na Wnukowie o 23 z okładem, zdążyłem jeszcze na autobus (jeżeli kiedyś byście tam lądowali, to przystanek nie jest za blisko terminala i stada ludzi szukają go – po drugiej stronie ulicy, jakby wcześniej nieco, ale jeszcze naprzeciw budynku lotniska) i metro do domu. Koło 1 w nocy otworzyłem mieszkanie i prawie padłem ze zmęczenia, w dużej mierze nerwowego – zintegrowanie wszystkich środków komunikacji nie było takie łatwe. Ale koniec, dotarłem do mojego moskiewskiego domu. Dzięki polityce linii lotniczych Pobeda przywiozłem sobie symboliczne Mendi. Szkoda, że nie da się tego kupić nigdzie poza Dagestanem, kładzie na plery Liptona i Nestea.



Półlitrowy obiekt kultu

Co mi dała ta wycieczka? O Dagestanie wiedziałem nic. Teraz wiem trochę więcej. Przede wszystkim gdy słyszę „Dagestan”, to widzę ludzi, którzy mi pomagali przez tyle dni. Ludzi, którzy często mieli do siebie niesamowity dystans i okrutne poczucie humoru, zwłaszcza w temacie religii. Sam mówię, że w Rosji zarabiam tak sobie, ale przy nich byłem bogaczem. Jednak to oni cały czas mnie gościli, za wszystko mi płacili i wychodzili z siebie, żebym się dobrze bawił. Tak też było, ale miałem wtedy i mam do dzisiaj wyrzuty sumienia, że tyle na mnie wydali, że poświęcili mi tyle czasu. Jak to często bywa, ludzie są o wiele lepsi niż durny system sprawowania władzy.

Myślałem, że Dagestan jest podobny do Gruzji. Nie jest, właściwie pod żadnym względem. Jedzenie jest nieprzyprawione (adżika? a co to?), ludność prorosyjska, alkohol spożywa się raczej niszowo. Przede wszystkim Dagestan to niesamowite skupisko etniczne ludzi, którzy – według Maxa obecnie dzięki Federacji Rosyjskiej, a wcześniej dzięki zdrowemu rozsądkowi – nie mordują się, tylko koegzystują.

Czy warto jechać do Dagestanu? Trudne pytanie: dla mnie było warto, ale tylko dlatego, że rzucono mnie w ramiona ludności lokalnej. Po dwóch dniach w Machaczkale byłem załamany – nudziłem się, atrakcji turystycznych właściwie brak, a przede wszystkim żadnej infrastruktury turystycznej – gdzie, dokąd i po co się nie dowiesz. W Moskwie rzadko się zdarza, żebym kogoś nie rozumiał, w Dagestanie ludzie czasem mówią w takim wariacie rosyjskiego (z wtrętami np. azerskimi), że drapałem się po głowie. Bywają jakieś wyspy angielskiego, ale

to bardzo, bardzo rzadko. Na pewno nie poleciłbym tej wycieczki samotnej kobiecie. Przy czym ludzie ogólnie starają się pomóc, więc myślę, że dałoby się niezgorzej spędzić czas nawet nie znając rosyjskiego – nie jest to poziom Chin, ale obcokrajowiec-turysta to nieco gwiazda. Jeżeli ktoś robiłby to w miesiącach letnich, to nawet jeżeli nie będzie nic działało, to można się położyć na wybrzeżu Morza Kaspijskiego i tyle. Ani razu nie czułem się jakoś bardzo zagrożony, myślę, że można powiedzieć, że jest bezpiecznie (zwłaszcza w tej wiosce Huczi, co im podpalili szkołę i ostrzelali posterunek). Po miesiącach życia w Moskwie Dagestan odmienił moje spojrzenie na Rosję pod wieloma względami – finansowym, etnicznym, terytorialnym. Gdy słyszymy „Rosja”, to widzimy Moskwę i Słowian. A tymczasem Azerowie o ciemnej karnacji, wpłatający gęsto rodzime słowa w rosyjski, to też Rosjanie. Przez tę wycieczkę solidnie zmieniła się moja wizja Rosji. Przeglądając chujowy magazyn linii lotniczych Pobeda w drodze powrotnej, zdałem sobie sprawę, że zobaczyłem jakiś maluteńki odłamek szóstej części świata. Kto wie co jest w Inguszetii? Buriacji? Jakucji? Pewnie też wiele takich osób, które oferują pomoc odwiedzającym i które odmieniają nasze, scentralizowane na Kremlu, wizje Rosji.

Wycieczka ta dała mi wiele do opowiadania rosyjskim współpracownikom. Chyba już wszyscy oni wiedzą, że lepiej sobie odpuścić negatywne komentarze na temat Kaukazu w mojej obecności, bo będzie chryja. Zacząłem się też rzucać na negatywne komentarze dotyczące Rosji. Nie Władimira Władimirowicza, ale tego, że Ruskie to dzicz i chujów mordować. Mam w pamięci tę monstrualną rybę, którą mnie nakarmili przy wodospadzie, a której resztki wyniosłem kotom i nie chcę, żeby ktokolwiek tak pisał o moich przyjaciółach. Bo jak inaczej mogę nazwać tych ludzi, którzy tak wiele poświęcili dla mnie? Sługusami Putina? Max chciał być dumny z Rosji, inni z Dagestanu. Udowodnili mi na dziesiątą stronę, że mają ku temu powody. Tolerancji i empatii możemy się od nich tylko uczyć. Tak, od Dagestanu. Dagestanu, który ma jakieś 4000 lat doświadczenia w temacie, a o którym wiemy tak bardzo mało i który tylko czasem się przewijał przy okazji Czeczenii. Dagestanu, który okazał się być Kanadą Rosji. Dagestanu, który podarował mi jeden z najlepszych tygodni życia.

Według badań instytutu opinii publicznej, 20% Rosjan uważa, że Dagestan należy do Rosji. Pozostałe 80% woli mieć święty spokój.

[9.05.2016]

Z racji tego, że czas nas przesadnie tu nie gonił, z paroma atrakcjami postanowiliśmy poczekać do wiosny. Do tej kategorii wpadła Siergijew Posad – rosyjska Częstochowa, którą dość łatwo odwiedzić. Nie chcieliśmy jednak mieć wspomnień, że było zimno i padało (najlepiej jeszcze, że śnieżyło w poprzek), więc wyczekaliśmy na wiosnę. Była to dobra decyzja.

Technicznie dostanie się do Siergijewa jest banalne: z dworca Jarosławskiego odjeżdżają liczne *elektryczki*. Cena na maj 2016: 164 rubli, bilet kupuje się w automacie. Jedziemy 88 minut i jesteśmy na miejscu. Banalne? Jasne, ale szczęśliwie podróżowaliśmy w weekend i lokalni zadbali o atrakcje.

Było dość tłoczno, więc gdy zjawił się nieco wcięty pan, to wielkiego wyboru nie miał, usiadł naprzeciwko nas, koło starszego małżeństwa. Ci od razu zaczęli kłąć, że od niego cuchnie. No bywało gorzej, może na salony by go nie wpuścili, ale do podmoskiewskiej *elektryczki* spokojnie się kwalifikował.

Pociąg ruszył i zaczął się festyn sprzedaży: co chwilę ktoś wpadał i oferował podróżującym bogaty asortyment produktów, przykładowo:

- czapki wojskowe na Dzień Zwycięstwa („na mieście zapłacicie trzy razy więcej!”);
- *365 tradycyjnych bajek rosyjskich*;
- pisma jakiegoś Omara, które to zainspirowały Pasternaka, Jesienina, Gumilowa i Mandelsztama;
- spinki do włosów;
- ładowarki do komórek;
- przepisy na dania rybne i z owoców morza.

To wszystko w ciągu może pół godziny. Jednak prawdziwa perła miała miejsce gdzieś między czapkami a pismami Omara: z głośników popłynęła patriotyczna pieśń, czyli *Katiusza*. Trochę pijanawy pan solidnie się pobudził i zatrzymał przechodzącego kolejarza:

– *Panie, wyłączcie tę muzykę, ja tego nie chcę słuchać!*

– *Zamknij się, słuchaj i doceniaj pieśń patriotyczną!*

– *CHOLERNI FASZYŚCI!!! To głośniejsze niż moje słuchawki! JA TEGO NIE CHCĘ SŁYSZEĆ!!!*

– *A mnie się bardzo podoba!* – rzuciła siedząca obok niego pani. – *Oni pana nie pytali o pieśń patriotyczną, a pan mnie nie pytał, czy ja chcę siedzieć koło pana, co tak strasznie cuchnie.*

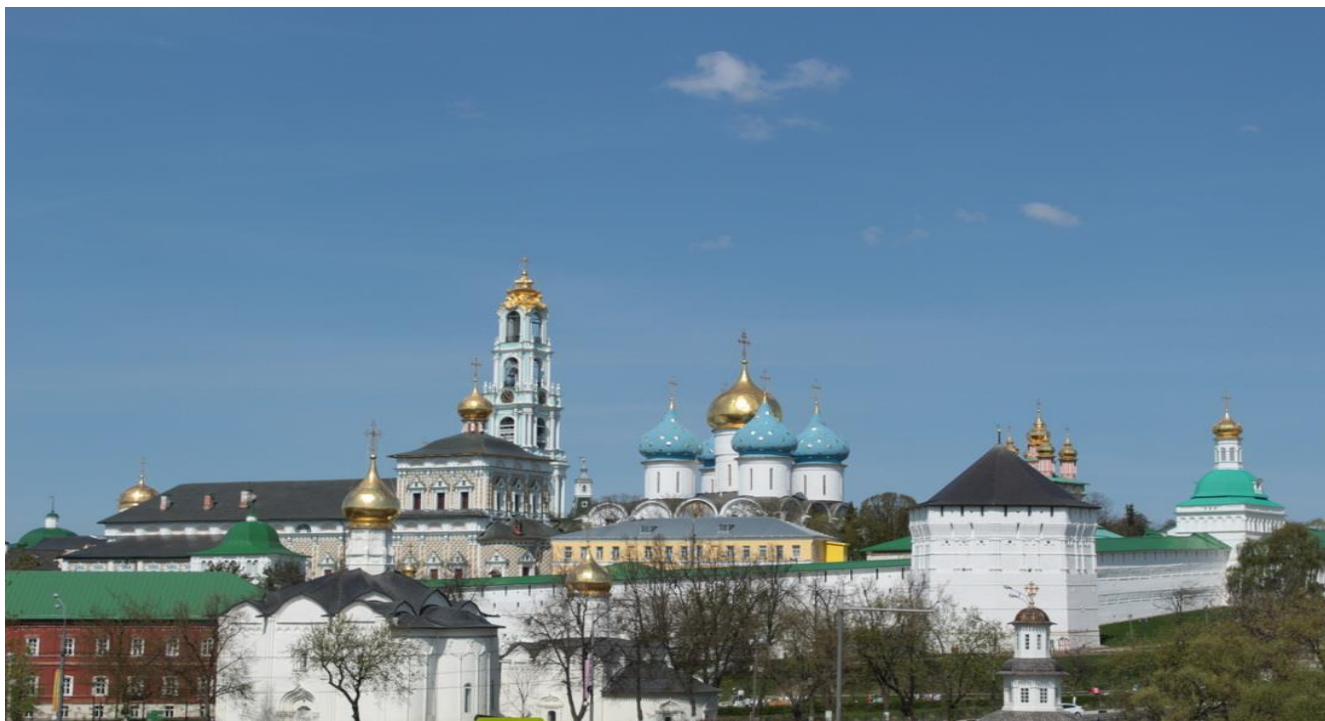
– *Od dwudziestu godzin jestem w podróży! Ale jeżeli pani to przeszkadza, to proszę powiedzieć. To ja wstanę, pójdę sobie i mogę stać. Niech tylko pani powie!*

– *Niech pan już nic nie mówi, tylko słucha patriotycznych piosenek!*

Pan chciał ukoić skołataną nerwy i dobył ginu z tonikiem. Trochę się telepał, więc mu się ułalo na siebie i po okolicy. Wziął też książkę o Putinie i oddał się lekturze zakrapianej ginem. Gdy po tym wszystkim zabłąkał się harmonista ze wzmacniaczem, powiedziałem dyskretnie do Aligatora:

– Nawet jak się okaże, że Siergijew Posad to największa pomyłka świata, to już się cieszę, że przejechaliśmy się elektryczką.

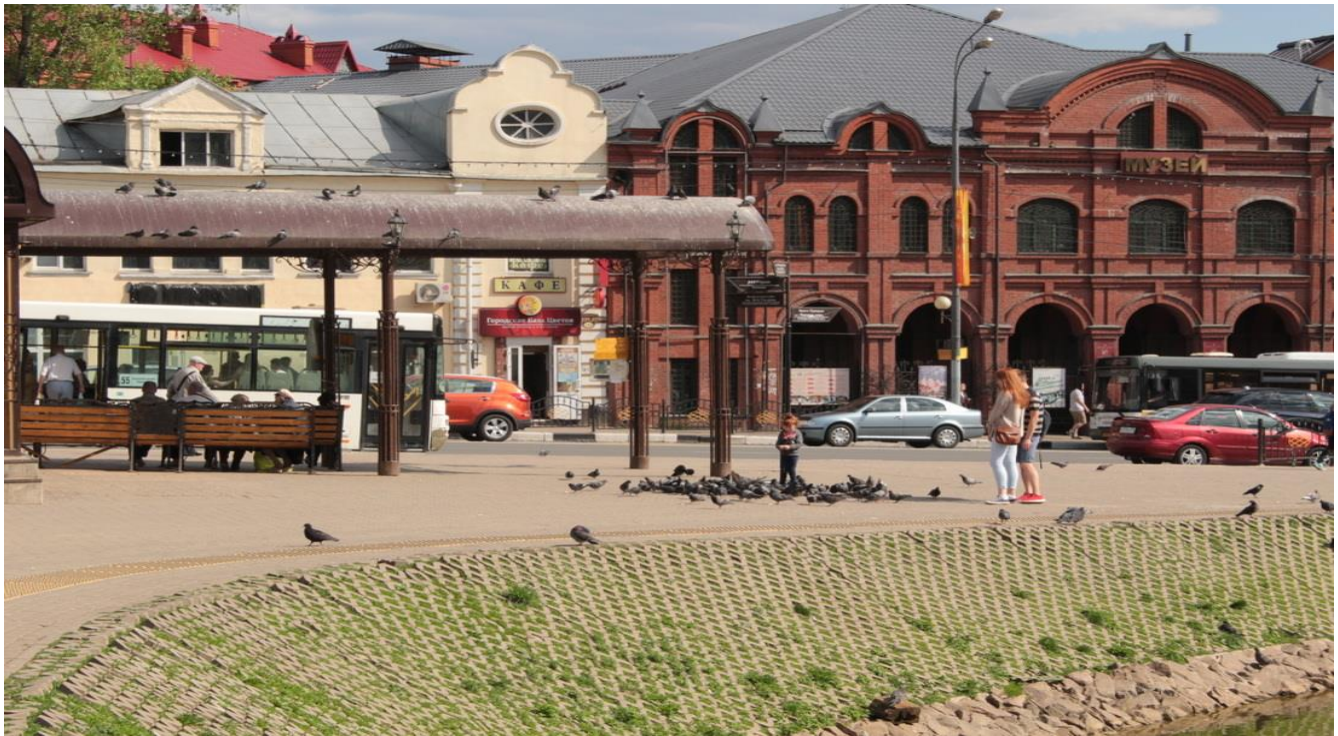
Siergijew Posad okazał się być zaś bardzo daleki od terminu „porażka”. W ciągu góra dziesięciu minut dociera się z dworca na punkt widokowy, który oferuje panoramę głównej atrakcji, czyli dość okazałych rozmiarów klasztoru. Jakimś cudem pogoda była rewelacyjna, więc plus dziesięć do wrażeń.



Kompleks klasztorny z oddali



Z jakiegoś powodu co chwilę mijaliśmy skupiska gołębi



Dziecko, na co karmisz te gołębie?!

Siergijew Posad da się zrobić jako wycieczkę na dzień z Moskwy, ale ponieważ czas nas jakoś nie gonił, postanowiliśmy zostać na noc. Znaleźliśmy naszą noclegownię, zostawiliśmy rzeczy i ustaliliśmy, że ogólnie nie do końca jesteśmy ubrani do odwiedzania cerkwi, więc wzięliśmy sobie ciuchy na zmianę i skierowaliśmy się w stronę głównej atrakcji.



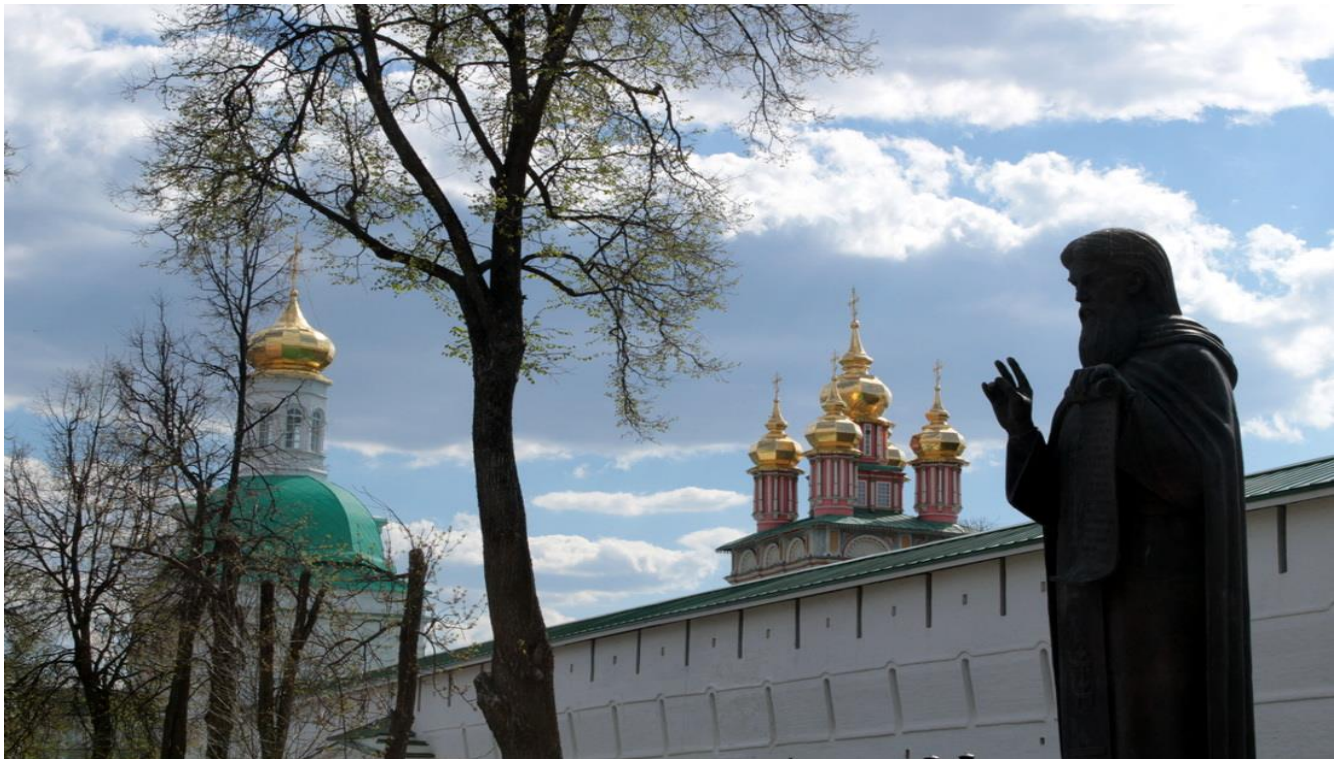
Z cyklu „Jak żyją prawdziwi Rosjanie” – chleb z za firanki



Park, wojownicy i jeszcze trochę gołębi



Wycieczkowicze pędzący w stronę klasztoru



Pomnik świętego Sergiusza i klasztor w tle



*Wejście do przybytku.
So fancy! Such decoration! Wow!*

No są powody do mruczenia, kompleks sakralny jest okazałych rozmiarów, przejście go zajmuje jakieś dwie godziny – bez czytania absolutnie wszystkiego o wszystkim, tylko bardziej takie spacerowanie i cieszenie się okolicą. Samotność nie grozi, jest to jedno z popularniejszych miejsc weekendowych dla moskwićzan. Co do stroju, pełno ludzi chodzi dość swobodnie ubranych i nie interesuje to przesadnie duchownych ani ochrony.

Mała dygresja na temat ubioru: kilkaset metrów obok jest cerkiew Piotra i Pawła – błękitna, dość ładna. Jednak gdy zabłąkaliśmy się do niej, naczelnik pop wyrzucił mnie za nieobyczajny strój (krótkie spodnie). Czyli najświętsze miejsce kraju możesz odwiedzić w krótkich gaciach, ale już atrakcji numer dziesięć nie. Przemię, gdy na zewnątrz mamy około 25 stopni. Jestem święcie przekonany, że około 10 centymetrów moich nagich nóg, od kolan w dół, mogłoby wywołać nieczyste żądze u jakiejś modlącej się starowinki lub młodego popa z chóru.

Wracając do głównej atrakcji: w 2014 roku była rocznica 700-lecia założenia miasta. Z tej okazji wszystko odnowiono. Jest bizantyjski przepych, są najbardziej cebulowate cebule świata, jest też najbardziej błękitny błękit świata. Niestety, sprawia to wrażenie zbudowanego dopiero wczoraj – jeżeli chodzi o prace restauracyjne, to Rosja ma tendencję do robienia z rzeczy wiekowych obiektów niemal nowych.



Już na wejściu można obkupić się suwenirami i jedzeniem...



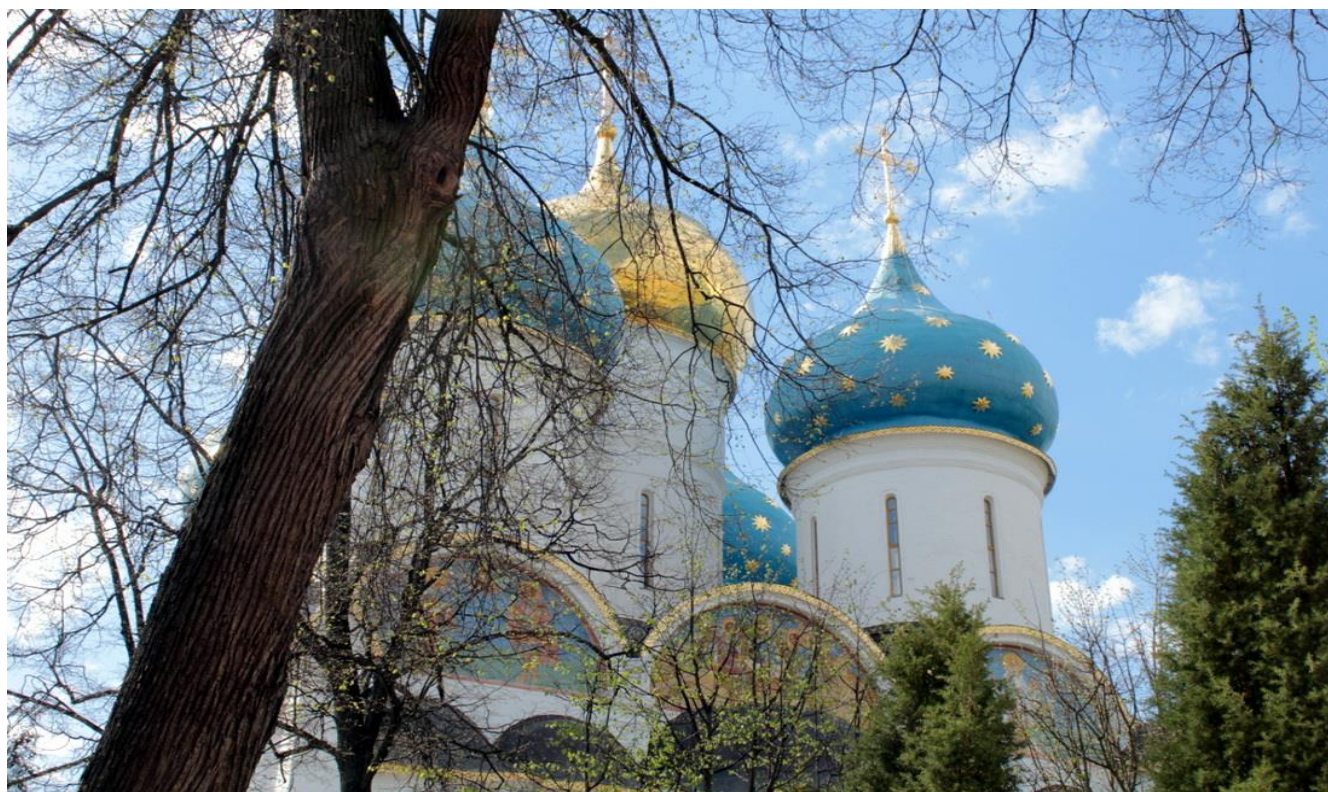
„Daj pan jakieś drobne na piwo...”



Fajnie czasem porozmawiać z kimś na własnym poziomie...



Intrygujące kolory bramy wejściowej



Cebule zza krzaków

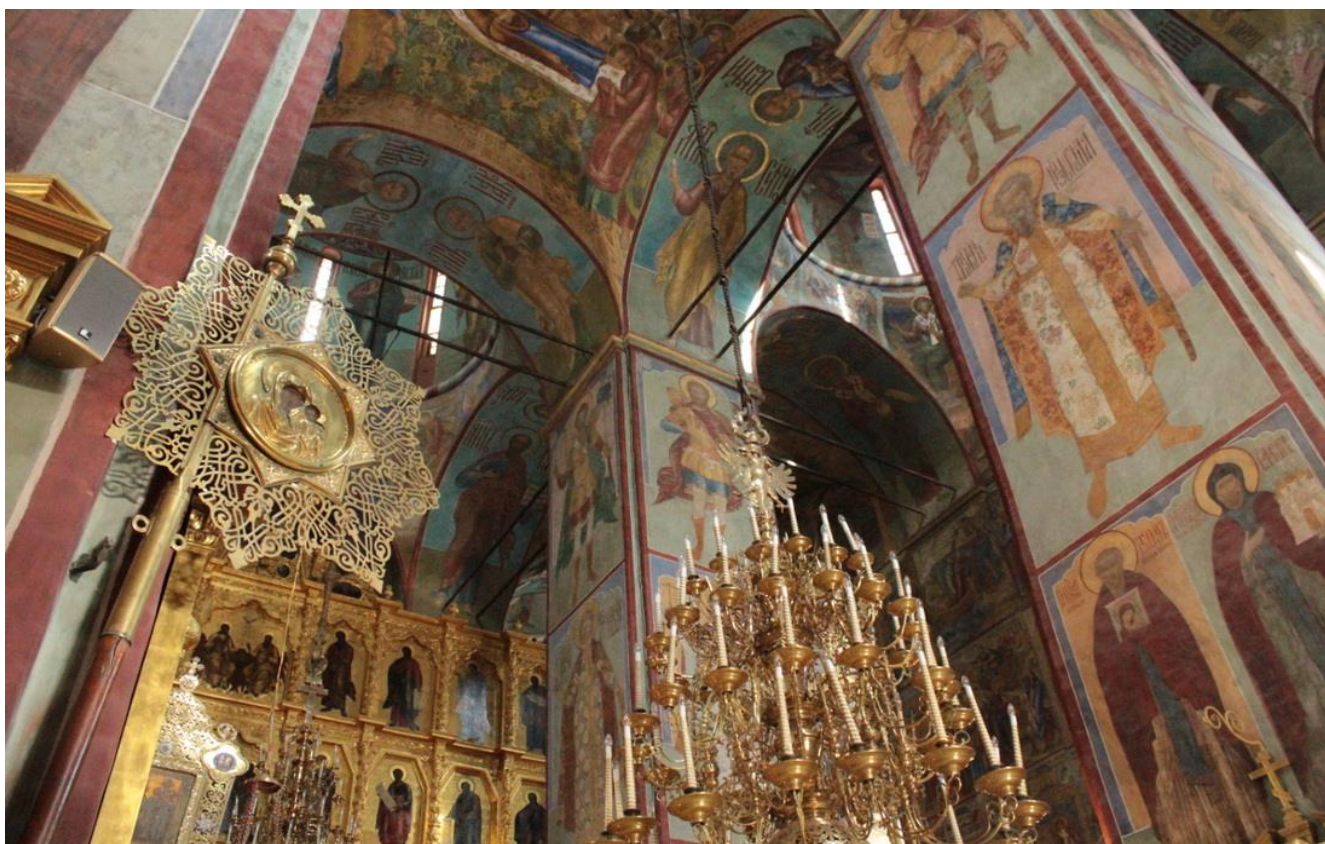
Obiektów do obejrzenia jest kilka, chwilami może być trudno się połapać, co jest właściwie czym, bo tu Chrystus, tam Matka Boska, tam jacyś święci. Główna cerkiew jest zdecydowanie warta obejrzenia i od zewnątrz, i od środka, pozostałe obiekty są raczej ciekawsze od strony fasad, zwłaszcza że niektóre zamieniono na... sklepy. Jest rzemiosło artystyczne (porcelanowe niedźwiedzie, drewniane kaczkę, święte obrazki), są księgarnie religijne, są wszelkiego rodzaju dewocjalia i stroje dla ultrareligijnych.



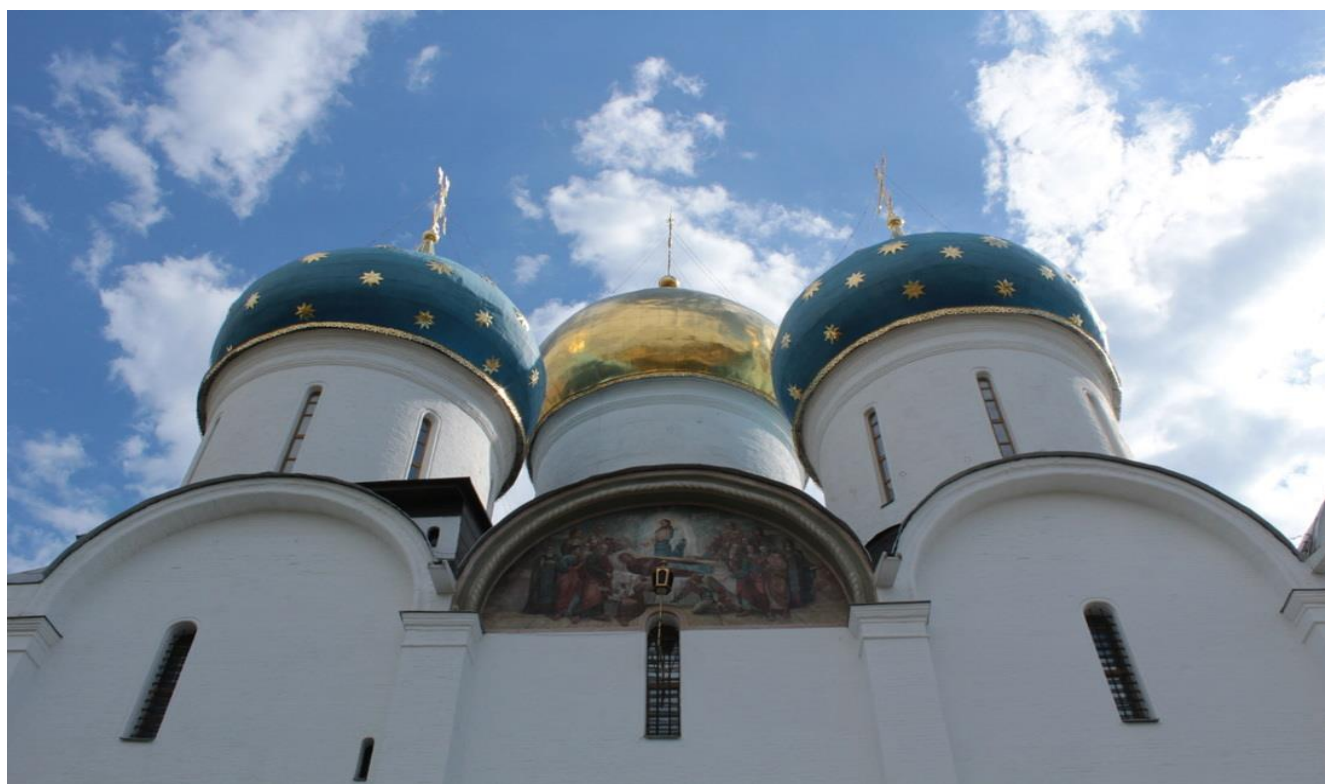
Sklepienie kościoła Zaśnięcia NMP



Adam i Ewa z brodami? GENDER!!!



Jest na czym oko zawiesić...

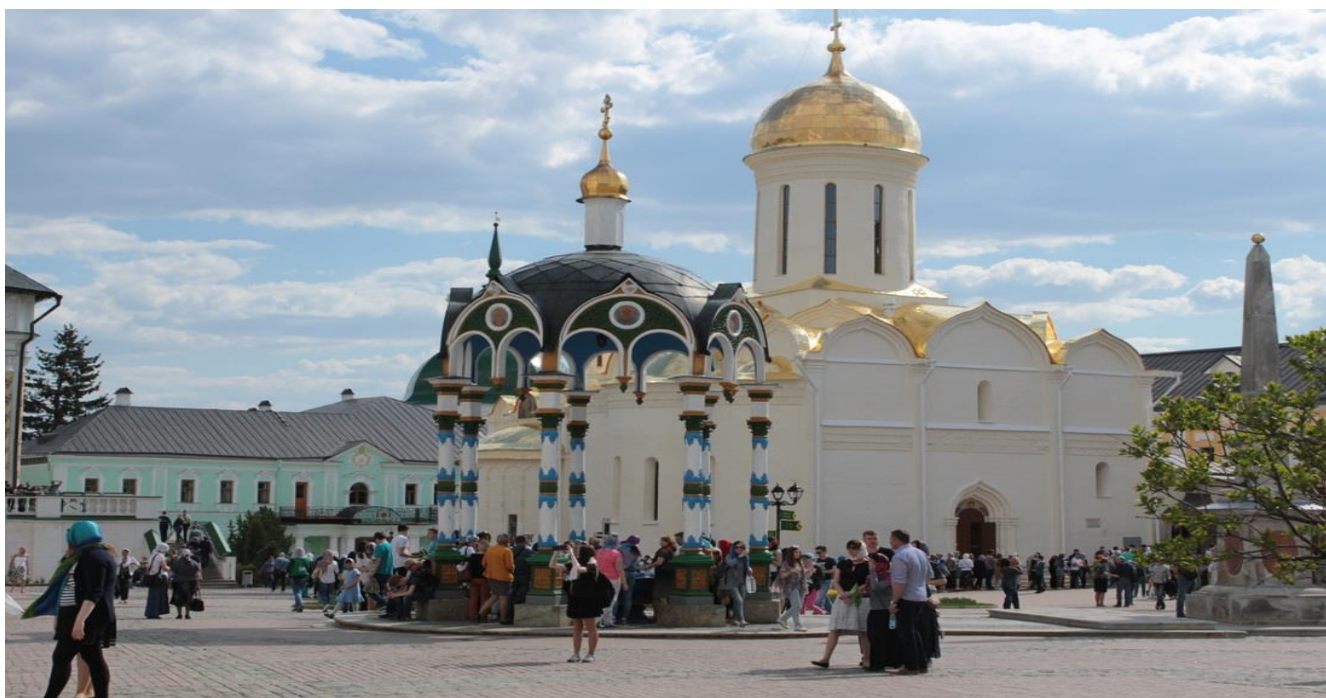


Kopuły cerkwi Zaśnięcia NMP



Bonusowa atrakcja, czyli grób Godunowów, w tym i Borysa

Z atrakcji nieco bardziej kuriozalnych (przynajmniej dla ludzi niewierzących): w centrum kompleksu stoi studnia ze świętą wodą. Według legendy pojawiła się tam ona magicznie podczas walk z Polakami (hurraaa). Źródełko obecnie zwieńczone jest krzyżem, z którego ramion tryska woda, a wierni nabierają ją do plastikowych butelek. Można nawet kupić butle 5-litrowe w pobliskich cerkiewnych sklepikach.



Antypolska studnia

Kuriozum kolejne – do jednego z kościołów była kolejka. Cerkiew najstarsza z zebranych, wybudowana na polecenie świętego Sergiusza, wnętrza malowane przez Andrieja Rublowa, no częściowo tłumaczy to, dlaczego ludzie chcą ją zobaczyć. Jednakże nie to jest powodem kolejki na kilkadziesiąt osób – otóż w środku stoi dorodny pop, który każdego pacjenta głaszcze po główce i odmawia stosowne zaklęcia. Jak tylko to zobaczyliśmy, to postanowiliśmy się ewakuować.

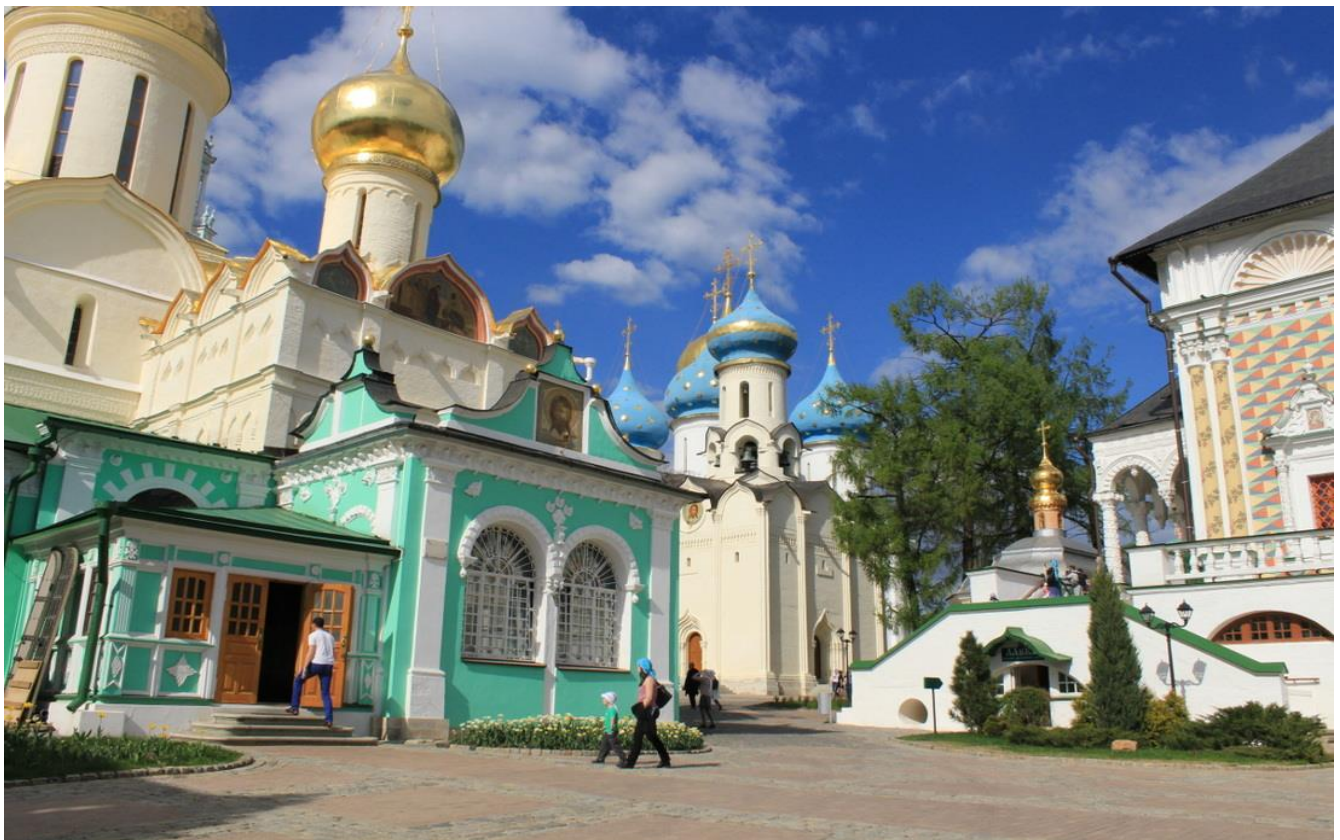


Za czym kolejka ta stoi? Rzucili papier toaletowy?

Nie chodzi nam tu o debatowanie czy chodzenie po błogosławieństwo do księdza ma sens, jak ktoś sobie wierzy, to może i dla niego ma, ale nam jakoś bardziej wartościowe wydaje się podziwianie walorów historyczno-kulturowych tego miejsca niż bycie pogłaskanym przez obcego chłopca. Kolejną ciekawostką była obecność pań sprzątających odwiedzane przez nas obiekty. Kusiło nas zapytać, jaką pensję otrzymują za swoją pracę, bo chyba niemożliwe, żeby pracowały za darmo w miejscach, które ociekają złotem?



Pucowanie podłogi w barokowym otoczeniu



Po rozpracowaniu głównej atrakcji przyszedł czas na atrakcje poboczne. Zdecydowaliśmy się na muzeum matrioszek – miasto było niegdyś centralą produkcji tych cudów. Niestety muzeum jest raczej słabe, no mają trochę matrioszek, wszystkie mieszczą się w jednej sali. Oprócz tego są bardzo śladowe ilości informacji skąd, gdzie i dlaczego.

Jeżeli jednak macie dzieci, to koniecznie kupcie im matrioszkę – dzięki temu wyćwiczą perspektywę, logiczne myślenie i wyczucie formy. Chociaż muzeum jest dość małe, to mają np. matrioszki zrobione na olimpiadę w Soczi, ale też obiekty mające ponad sto lat, a nawet ogromną matrioszkę o 41 składowych. Jednak płacenie za to 100 rubli od osoby i 100 za zdjęcia to pewna przesada.



Matrioszka światowej finansjery



Matrioszka kosmiczna



Matrioszka animalistyczno-satanistyczna



Dyżurny Lenin tuż obok klasztoru

Cały Siergijew Posad jest dość dobrze oznakowany. Poszliśmy sobie nad staw, jakieś pięć minut od klasztoru. Tam ładny zachód słońca, więc na usta cisnęło się pytanie: „czy mają tu jakiś lokal?”. Mają. Ile? Dobrze, połowa cen moskiewskich. Po jakimś czasie stwierdzam, że nastał czas łazienki. Czekam w kolejce do przybytku, jedynego na lokal mogący pomieścić kilkadziesiąt osób. Po paru minutach obsługa przesyła mnie do mieszczącej się obok sali bankietowej. Na drzwiach sali bankietowej wywieszka: „impreza zamknięta”. Wracam więc do baru, że się nie da. Ależ panie, jakie się nie da, pierdol pan wywieszkę, idź sobie tam lać. Idę. Ledwo wchodzę, dopada mnie obsługa i zaczyna wyrzucać. Próbuje cokolwiek powiedzieć. Nie słuchają. Staram się nie krzyczeć, ale próbuję jednak przebić się przez pisk: panie, nie wolno, wynocha! Więc próbuję wyjaśnić, że przysłano mnie tutaj, bo w ich głównym lokalu jest kłopot z toaletą. Kobieta nie daje mi dojść do słowa. Totalnie. Ledwo otwieram usta, krzyczy, że mam wypierdalać. Po jakichś dwóch minutach mam dosyć, mam też wiele przemyśleń o standardach panujących w Federacji Rosyjskiej i o tym, czy warto płacić jakieś trzy razy więcej za piwo w lokalu niż w sklepie. Wróciłem wkurwiony, wydarłem się, że po kiego chuja mnie wysyłają do miejsca, gdzie mnie potraktują jak szmatę i wywalą na kopach. W końcu toaleta się zwolniła – siedziało w niej jakieś dziecko i, zgaduję, srało. No więc udaje mi się odlać, wrócić do Aligatora, wyjaśnić, czemu mnie nie było dziesięć minut, a na to przychodzi pani. Obiecuje mi, że zrobi tamtej, co na mnie krzyczała, jesień średniowiecza. Że niech się młody człowiek nie denerwuje. Lubie, jak mnie tytułują „młodym człowiekiem”, zwłaszcza solidnie młodszy ode mnie, więc młody człowiek się pouśmiał, powiedział, że w sumie to nie problem, że go po sraczach rzucają, że w sumie to on nawet za to dziękuje, i że jest zachwycony.

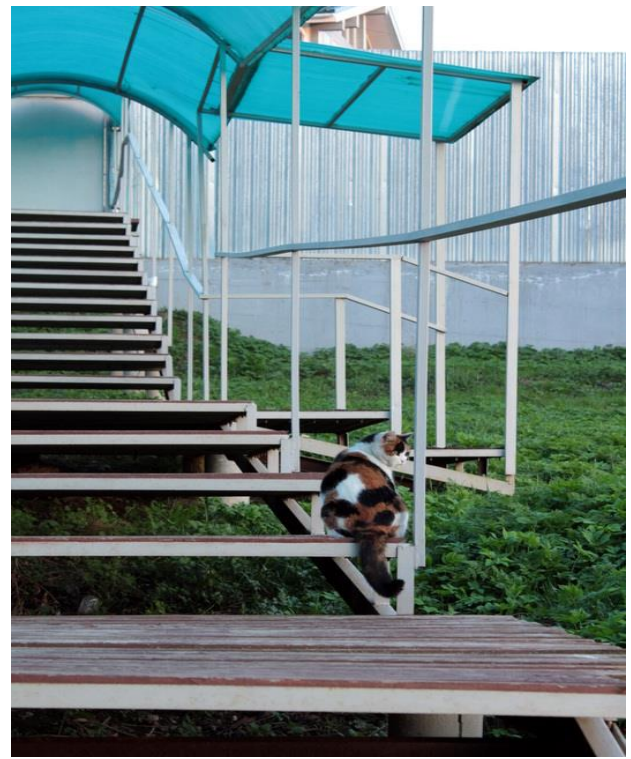
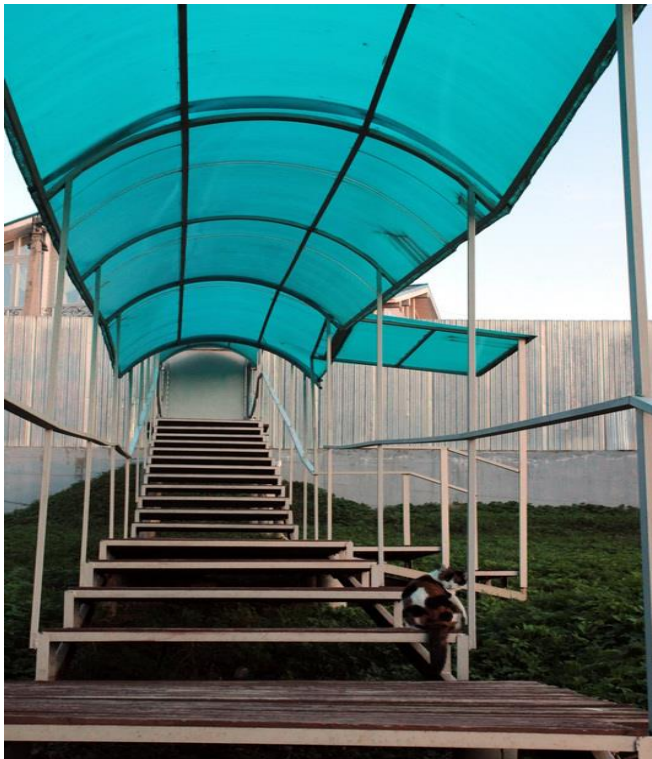
Potem młodzi ludzie poszli na spacer wokół stawu. Atrakcja numer jeden: kot żrący kaczkę. Nie wiem, jak to bydlę dopadło zwierzę większe od siebie, ale żarło je z wielką pasją, łoskotem gryzionych kości i odpadającymi piórami. Oczywiście dookoła stawu chlało milion ludzi, którzy byli mądrzejsi niż ja i zamiast iść do lokalu, zapłacili mniej, a lali bardziej swobodnie.



Kot morderca



Czuźnie pilnuje zdobyczy



W pobliżu był też kot nieco mniej łowny. Pewnie też by sobie skubnął jakąś kaczuszkę...



Okoliczny slums z intrygującym obrazem zamiast okna

Częścią planu zostania na noc było to, żeby zobaczyć, jak to podświetlają. No i się nie zawiedliśmy. Nocą atrakcja wygląda jeszcze lepiej niż za dnia, nie widać aż tak wyraźnie tego, że wszystko zostało obrzydliwie odnowione, złoto jest mniej złociste, błękit mniej żywy. Nie kombinowaliśmy z fotografią nocną, ale naprawdę: warto! Do tego przeważająca większość odwiedzających wyjechała, więc mieliśmy to wszystko dla siebie – i park, i pomnik Lenina, i cerkiewne cebule.

Kierunek: Wschód.
Tam musi być jakaś cywilizacja!

[1.09.2016]

*Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie
Leci kibitka jako wiatr w pustynie;
I oczy moje jako dwa sokoły
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą,
Porwane burzą, do lądu nie zdążą,
A widzą obce pod sobą żywioły,
Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,
W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.*

Zapytana o sposób dotarcia do stolicy Federacji Rosyjskiej, przeważająca większość wskazałaby samolot. Wsiadamy, lecimy dwie godziny, wysiadamy, co może być prostszego? Jeszcze dwa lata temu było banalnie. Aeroflot latał do Krakowa i Warszawy, loty były dość tanie, wszystko trwało jakieś dwie godziny, a Moskwa służyła nam kilkakrotnie jako hub przesiadkowy w drodze do Azji. Niestety od jakiegoś czasu już tak różowo nie jest: lotów do Krakowa nie ma, a z Warszawy latają LOT i Aeroflot. Ewentualnie z przesiadką w Rydze Air Baltic, o niekoniecznie najlepszych godzinach świata, w cenie biletu dają tylko bagaż podręczny. Mimo tego, że Rosjanie nie bogacą się obecnie jakoś szaleńczo, to jest zawsze grupa ludzi, którą stać na wakacje w Europie. Tym samym w sezonie letnim ceny lotów do Moskwy są wysokie, a do Petersburga nawet wyższe. Jeszcze słowo o mieszkaniu poza Warszawą: na lotnisko trzeba sobie jakoś dojechać. Nie jest to może super trudne, ale zajmuje trochę czasu, niezależnie, czy pojedziemy Pendolino, czy autobusem. Zintegrować połączeń się nie da, więc w wypadku opóźnień PKP (tak, wiem, to się nigdy nie zdarza) możemy mieć problem. Niby inny, ale jednak podobny problem możemy mieć, gdy pijany rolnik rozwali się snopowiązałką koło Kielc. Ja mam taką paranoję, że na loty do WAW jeżdżę z okładem kilkunastu godzin. Szczęśliwie, znam ludzi, którzy pomagają i mnie zazwyczaj bez bólu nocują, ale nie jest to sytuacja idealna.

Niektórzy mogliby powiedzieć, a nawet powiedzieli: pociąg! Jedź pociągiem! Tak, jest pociąg, bardzo wygodny, korzystałem z niego w 2002 i 2003 roku. Całość zajmuje około 23 godzin, nie ma limitu bagażu, można wziąć picie, są kuszetki, więc niby bajka. Jest tylko jeden mały problem: odkąd jesteśmy nieco bardziej na Zachód, to mamy wizy na Białoruś. W tym wizy tranzytowe. Ten cudowny twór służb granicznych kosztuje 50 euro, a zdobycie go zajmuje zaledwie siedem dni. Taki dokument daje nam całe TRZY dni na przejechanie Białorusi. Gdyby chociaż rok lub dwa, to bym się zastanowił, ale takie pieniądze za trzy dni? I jeszcze traci się strony w paszporcie. Dzięki temu pociąg potrafi kosztować więcej niż samolot. Posiadanie pracowniczej wizy rosyjskiej nie daje mi żadnych punktów na wizę białoruską. Dlatego też odpadła ta opcja. Siedziałem więc tak sobie i myślałem, jak wrócić do miejsca pracy, przypomniały mi się pewne wygłupy z kiedyś i uznałem: a zobaczę.

Okazało się, że autobus do Petersburga jedzie około 33 godzin, a do Moskwy pod 35. Z Krakowa. Znalazłem dwie linie obsługujące te trasy: Ecolines i Lux Express. Po różnych przemyśleniach (głównie związanych z ceną i godzinami odjazdów), padło na Lux Express do Petersburga. Wyjście miało wiele plusów. Tanio. Z Krakowa. Bez limitu bagażu. Z napojami. Bez uwłaczających ludzkiej godności kontroli lotniskowych.

Miało też jeden minus: 33 godziny w autobusie. Rozpoczęło się o 0:30 w Krakowie. Do pełnego po brzegi autobusu z Brna wsiadłem ja i jeszcze kilka osób. Peron się nie zgadzał, numery się nie zgadzały, ale co tam, hej przygodo! Pełno po brzegi było do Warszawy, potem się nieco poluzowało, więc mogłem wywalić się na dwóch siedzeniach i nawet dość solidnie pospać.

Szczęśliwie, są na tej trasie przewidziane dwie przesiadki: Wilno i Ryga. Do Wilna przyjechaliśmy na taki styk, że bałem się, że nie zdążę. Bo pod Suwałkami snuliśmy się jakąś obłądną ilość czasu za pojazdem rolniczym (patrz: rozwali się snopowiązałka). Oddaję honor, że kierowcy zadzwonili do centrali, żeby przytrzymać ten drugi bus, bo wiele osób chciało się przesiąść na Rygę i Tallinn. Byliśmy osiem minut wcześniej, wręcz idealnie. 16:22 do 16:30, po drodze zmiana czasu o godzinę. Nawet jeszcze nie półmetek drogi.

W Rydze wolne było trochę ponad dwie godziny, byliśmy chwilę po 20. Na dworcu na gastronomię raczej nie ma co liczyć, ale okolica jest całkiem miła, w Muzeum Holokaustu pan grał koncert, nie było to nawet złe, więc pospacerowałem nieco (polecam spacerować z plecakiem ważącym jakieś 30 kg) po brzegach rzeki Dźwiny. Trochę ludzi jeździło na rowerach i się śmiało, trochę było pijanych do nieprzytomności, niektórzy z fiutem wywalonym na całą długość sikali do śmietnika na obrzeżach dworca. Instynktownie zacząłem rozglądać się za prostytutkami (w takim miejscu musi być kilka burdeli, to niepisane międzynarodowe prawo), ale chyba pani 40+ naprawdę tylko czekała na autobus. Kolorytu dodawała grupa Rosjan, którzy rozkręcali imprezę i na ile słyszałem ich wrzaski, nie mogli się dogadać, skąd i dokąd to mają jechać.

O 22:45 opuściliśmy Rygę, zostało mi już tylko jakieś dziesięć godzin podróży. Przejechaliśmy całą Estonię, nawet się trochę zatrzymując. O ile pierwszą noc przeżyłem bez bólu, o tyle drugiej spanie szło mi słabo. Granicę osiągnęliśmy w okolicach 5 rano. Odprawa przebiegała w miarę sprawnie, najpierw celnicy UE sprawdzali Rosjan, a obywatele UE puszczali z buta. Potem to Rosjanie przechodzili automatem, a *inostrancy* musieli wypełnić trochę papierów. Jednak nawet mimo tych procedur po jakichś trzydziestu minutach mogliśmy odjechać w stronę Petersburga. Ten osiągnęliśmy z solidnym zapasem czasu, koło 8:30 rano (planowo 9:30). Odebrałem bagaż, obliczyłem, ile spałem w ciągu ostatniej doby, załamałem się, ale byłem jeszcze żywy. Był to mniejszy horror, niż się spodziewałem.

Przez właściwie cały czas działało Wi-Fi. W każdym busie mieli tablety z filmami, i to z solidną kolekcją, kilkadziesiąt dzieł z ostatnich lat. Toaleta działała, była woda do mycia rąk. Darmowe napoje. Klimatyzacja. Miejsca na nogi było tyle, że można uwierzyć, że projektanci założyli, że może tym jechać kiedyś ktoś wyższy niż 1,60 m. Jedno gniazdko elektryczne na dwa fotele. Gdyby ktoś zastanawiał się nad takimi wyprawami, to wiele zależy od indywidualnych cech pacjenta. Mam na koncie tak urocze przejazdy autobusowe jak Polska-Hiszpania, Polska-Turcja, Polska-Grecja, i to w czasach, gdy czytało się papierowe książki, połowa pasażerów wymiotowała z upału, walkman był szczytem marzeń, a o telefonach komórkowych nikt nie słyszał. To było o wiele poziomów łatwiejsze, machnąłem dwie książki,

popisałem sobie ze znajomymi, fotel miałem niemal cały czas rozłożony, poczytałem różne gazetki, zleciało. Jeżeli mamy dziwny bagaż, jeżeli bardziej zależy nam na pieniądzach niż na czasie, to jest to opcja wcale rozsądna. Jeżeli jeszcze rozbijemy podróż na dwie części i dorzucimy sobie zwiedzanie np. Wilna lub Rygi, to wręcz powiem, że warto.

Warto zaznaczyć, że w autobusach jest zakaz picia. Kiedyś napisałbym, że trochę tak sobie, bo w końcu jakieś piwko lub dwa są wielce przydatne do snu, ale w te wakacje jechałem PKS-em do Jeleniej Góry, w którym to nie było zakazu picia. Wygrałem fajnych współpasażerów, były wrzaski, smród, ogólnie niemilo. Więc ja już wolę żeby ten zakaz jednak był.

*Kto wie! [T]en więzień, chociaż w słomie siedzi,
Jak dziko patrzy! [J]aki to wzrok dumy
Wielka osoba — za nim wozów tłumy;
To pewnie orszak nadwornej gawiedzi;
A wszyscy, patrz no, jakie oczy śmiałe;
Myślałem, że to pierwsze carstwa pany,
Że jenerały albo szambelany,
Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe.
Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?
Jakiegoś króla podejrzone dzieci.
Tak z sobą cicho dowódcy gadali;
Kibitka prosto do stolicy wali.*

[1.09.2016]

Petersburg nie jest jakimś sekretnym miejscem, nieodkrytym skarbem północy, tajemną perłą Rosji i miejscem oddalonym od podróżniczych tras, którego wcale nie odwiedza rocznie ponad sześć milionów turystów. Chwilowo więc nie będę rozpisywał się o tym, że Jeździec taki Miedziany, a Prospekt tak bardzo Newski, tylko o czymś nieco ciekawszym i bardziej unikatowym, czyli o miejscu, w którym przyszło mi spędzić dwie noce.

Znalazłem sobie ten przybytek na Booking.com. Wiedziałem, że po ponad trzydziestu godzinach w autobusie nie będę miał ochoty na zabawy w jeżdżenie po Petersburgu w poszukiwaniu hostelu. Kliknąłem mapkę, znalazło mi kilka obiektów koło Dworca Bałtyckiego i wybrałem jeden z nich. 800 metrów, świetnie, akurat do przejścia w kilkanaście minut, a i mapka pokazywała, że droga prosta jak w pysk strzelił. Miałem tylko nadzieję, że pozwolą mi zająć wyro przed oficjalną godziną rozpoczęcia doby hotelowej, czyli przed 12. Bardzo szybko znalazłem ulicę, dom i tu nastąpił zgrzyt: nigdzie żadnych znaków, że miałyby się tam mieścić hostel. Szukam, w opisie było, że wejście na rogu, trzecie schody, mieszkanie 70. Podchodzę, ale mieszkanie wygląda na prywatne, żadnych informacji, żadnego dzwonka z nazwą przybytku. W końcu jakaś kobieta zapytała mnie, co wyprawiam, po krótkiej rozmowie okazało się, że tak, to tam. Dopytałem jeszcze pana palącego na klatce schodowej i potwierdził jej zeznania. Nieśmiało zapukałem, drzwi się otworzyły i wkroczyłem do innego świata.

Na recepcji pracowała pani, która – nie przesadzając – mogła pamiętać czasy obłężenia Leningradu, a na pewno żalobę po Stalinie. Miała kłopoty z chodzeniem, słabo widziała. Check-in chwilę trwał, w tym czasie oglądałem miejsce. Kuchnia... Widywałem czystsze, ale dobrze. Chryste, ta lodówka chyba gnije, cuchnie, jest brudna. Czyli jadł będę na mieście. *Kurilka*, czyli palarnia. Jeżeli się nie mylę, to rosyjskie prawo zabrania robienia palarni w budynkach (widziałem trochę polikwidowanych, w pociągach zabroniono palić w 2014, więc pewnie i wtedy w biurach), ale tu uznano, że nie ma co się wydurniać.

Ciemno jak szlag, żadnych okien przy recepcji. Po trzeciej osobie, która mnie zbyła „y!” przestałem mówić „dzień dobry”. Odkryłem, że preferowany *dress code* to gacie. Stada chłopów w gaciach, niektórzy w drodze pod prysznic, niektórzy pomijali ten nieistotny etap życia, wiele osób jeszcze spało. Otrzymałem w końcu *kwitancję*, czyli papier poświadczający, ileż to nocy opłaciłem. Wydawało mi się, że to bzdura, ale później zrozumiałem, jak ważna jest *kwitancja* w takim miejscu.

Wpuszczono mnie do pokoju. Zamarłem. Na kilkunastu łózkach spało trochę osób. Nikt nie wyglądał na turystę, wszyscy na pracowników fizycznych, niektórzy na solidnie pijanych, no chyba że to taki nowy petersburski trend, że śpi się w butach i marynarce. Na środku pokoju stała rozkraczona, odpięta od prądu lodówka.

Zrozumiałem, że trafiłem do hotelu robotniczego. Nazywa się to zazwyczaj *obszczeżytie* („ogólne życie”), tak też reklamują się w okolicach stacji metra. Miejsc tych pełno jest w Moskwie, a jak widać nie brak ich i w Petersburgu. Klientelę takich przybytków stanowią często przybysze z Azji Centralnej i z mniejszych miast Federacji Rosyjskiej. Ponieważ Rosja,

to żyw jest tutaj kult rejestracji i papieru – mamy rejestracje na pracę w Moskwie. Nie możemy sobie pojechać uczyć do Tambowa, no bo mamy papiery na pracę w Moskwie, a nie na Tambow. Jednak takie hotele robotnicze nie zadają zbędnych pytań o dokumenty, mieszkają w nich ludzie z różnych biedniejszych części kraju, pracują w raczej umiarkowane prestiżowych zawodach (dla panów to najczęściej budowy, dla pań bardziej gastronomia), dużą część tego, co zarabiają, wysyłają rodzinom, za resztę przeżywają w jakimś takim *obszczeżyciu*. Policja mogłaby to wszystko posprzątać w ciągu kilku dni, ale kto by wtedy malował kominy czy kopał drogi przy wielce niekorzystnych dla zdrowia temperaturach? Podawał gorące lawasze od 7 do 21, mył kieliszki i talerze? Córka mera Moskwy, Sobianina? Czy może jakiś deputowany? No więc nikomu za bardzo nie zależy na tym, żeby tacy pracownicy zniknęli, dzięki temu policja raczej nie gania po tych miejscach. Oczywiście czasem kogoś tam na ulicy zgarną, ale jednak wszyscy są w miarę szczęśliwi z tym, jak się rzeczy mają. Znalezienie tego typu przybytków trudne nie jest, nie szukając, trafiłem na dwa w pobliżu mego mieszkania, a przy stacjach, gdzie przewijają się duże grupy imigrantów, znajduje się ich na pewno więcej. Jednak w życiu bym nie wpadł na to, że jeżeli coś się reklamuje na Booking.com, to właśnie takie miejsce.

Gdy już odzyskałem władzę nad własnym umysłem i kończynami, wybrałem sobie prycę. Wszystkie wyglądały źle, a co gorsza musiałem wziąć górne łóżko. Zastanawiałem się, czy to wyro zaraz się nie rozpadnie, całe się chybotą i trzeszczało. Zapytałem nieśmiało o jakąś szafkę, na co pani się zafrapowała, wysypała kluczyki ze szkatułki i powiedziała, żebym próbował szczęścia. Nie przejęła się specjalnie tym, że dała mi duplikaty do zamkniętych szafek i mogłem wyszabrować trochę rzeczy, zresztą i tak nie patrzyła, co robię. Po czterech próbach znalazłem szafkę, która działała, nie miała w zamku złamanego kluczyka i w której nie było żadnych rzeczy. Drżącymi dłońmi złożyłem tam kosztowności i poszedłem spać, odpowiadając modły za żywotność tego łóża, które już swoje w życiu widziało. Zasypiając, usłyszałem jeszcze: „Ty, co za buty, on to jakaś subkultura chyba”. Subkultura zaczęła się zastanawiać, czy aby tam nie nocują lokalni naziści, ale była tak zmęczona, że szybko zasnęła snem sprawiedliwego.

Gdy po dwóch godzinach wstałem i poszedłem do *kurilki*, siedziała tam smutna pani, miała ponad 30, może 40 lat. Siedzieliśmy i paliliśmy, nagle pojawił się młodzieniec, który zaczął do niej krzyczeć coś o jebaniu ostatniej nocy. Nie do końca zrozumiałem, czy chodzi o to, że oni odbyli stosunek, czy też, że ona odbyła go z kimś innym. Po tej wypowiedzi ona wyglądała, jakby się miała popłakać, a on się dość chamsko śmiał. Trochę zwiędłem. Na pociechę: była ciepła woda.

Potem było trochę nudy w stylu zwiedzanie miasta, czyli właśnie Prospekt taki Newski, a sama Newa znowu taka rzeczna, no nic specjalnego. Specjalne miało dopiero być w hostelu (trochę wzdriagam się przed używaniem tego słowa do opisanie tego miejsca, ale niech już będzie). Jeszcze zanim dotarłem, była jakaś 18, gdy przechodziłem kawałek obok miejsca pobytu. Na krawężniku stała pani 40+, w kusej kiece i przegiętym makijażu. W rękach trzymała klucze do mieszkania i pokazała mi je. Nie skusiłem się.

Wróciłem do swej tymczasowej siedziby dopiero wieczorem, przesadnie mi się nie spieszyło i trafiłem na tak zwaną pełną pompę – w końcu była sobota. Szczęśliwie obsada recepcji zmieniła się na panią z czasów jakiegoś Chruszczowa, która przynajmniej mogła chodzić i widziała nieco lepiej. W hallu siedziało parę osób, oglądali telenowelę, w której dość często padała fraza „ocien sierjozna pił” (bardzo poważnie pił, w sensie dużo, nie że bez

uśmiechu). Ludzie zbierali się na balety, niektórzy ubierali swoje najlepsze ciuchy, inni pili piwa w różnych zakamarkach lokalu.

Królowała jedna z sypialni, na drugim miejscu była kurilka. W kurilce mogły się zmieścić góra cztery osoby, wentylacja była taka, że wtedy dwie nie musiały nawet palić. Prawdziwym dramatem było, że większość nie miała papierosów, więc ilekroć szedłem zapalić, mogłem zabawić się w sponsora. Trochę mnie to irytowało, ale niby starali się nie przeginać, nikt nie prosił mnie dwa razy, a niemal wszystko palili na pół. Paczka papierosów Chesterfield tego dnia kosztowała 85 rubli, czyli jakieś 5 PLN. Są i tańsze. Status artefaktu, jakim fajki się cieszą, pokazuje, jaki jest poziom życia wielu ludzi w Federacji Rosyjskiej.

Jeden chłopaczek handlował marihuaną, ale chętnych na płacenie znaleźć nie mógł, za to jarać chcieli wszyscy. W końcu z kilkoma osobami spalili trochę, ale grudę wydzielał dość oszczędnie, więc ich przesadnie nie trzepnęło. Ktoś gotował grzybową, która ślicznie pachniała. Zacząłem się nieśmiało domyślać, że lokal ma dość restrykcyjną politykę narodowościową, bo wszyscy byli Słowianami, a okolica raczej kolorowa etnicznie. Wiele takich miejsc żyje dzięki przybyszom z Azji Środkowej, inne wolą nie sprawdzać, jak się udał radziecki eksperyment oduczenia ludzi rasizmu.

Po 22 przyszedł chłopak o ciemniejszej karnacji skóry. Przywitał się po angielsku, a gdy w takim języku mu odpowiedziałem, to zbaraniał. Spytał, czy mówię w tymże języku. Potem, czy po rosyjsku. Następnie poprosił o przysługę. Okazało się, że grupa trzech Egipcjan przyjechała do SPB pracować jako nauczyciele angielskiego na letnich obozach językowych. Po minucie rozmowy nie wierzyłem: facet był może B1, jego kolega średnio A2. Musiałem się co chwilę poprawiać, bo się gubili – w gramatyce, słownictwie, wszystkim. W nagrodę za pracę na obozie dostali kilka dni urlopu w SPB. W tym miejscu. Ich wielka misja polegała na tym, że za ileś tam dni płaciła im organizacja, ale ponieważ chcieli zostać dłużej, to potrzebowali dwóch rachunków – jednego do rozliczenia, a drugiego dla siebie. Poszedłem, wyjaśniłem to pani. Użyłem nawet jednego z moich ulubionych rosyjskich terminów – charasza kopiejka („Pani rozumie, jak mu to pani rozpisze tak, to chłopak dostanie 1150 rubli od pracodawcy, no a 1150 rubli to już przecież jest charasza kopiejka” – pani się zgodziła, a potem wspólnie powiedzieliśmy, że jak można jakieś pieniądze mieć lub nie, to lepiej mieć. Głębokie.). Egipcjanie się wzruszyli, trochę pogadaliśmy. Okazało się, że jeden z nich nazywa się Mustafa, a drugi Mustafa. Przynajmniej było łatwo zapamiętać. Pocieszyli mnie, że to miejsce może nie jest bardzo ładne, ale ludzie są uczciwi, nie kradną i nie ma przemocy. Jakaś pociecha to była, w końcu zawsze jak przyjeżdżamy zwiedzać jakieś miejsce, to oczekujemy, że w hotelu będzie dzika patologia, brud, syf, prostytutka i dealerka narkotyków. Egipcjanin kupił takie papierosy, że nawet najwięksi desperaci nie chcieli i mówili, że „jadą gardło”. Mieli rację. Ucieszyli się, że w końcu po parunastu dniach mieszkania razem jest ktoś, kto pomoże im skomunikować się z gościem z Egiptu. Poćwiczyłem się więc z translatoryki.

Równolegle odbywały się też połączenia rodzinne na Skypie. Iwan prosił rodzinę o przysłanie pieniędzy, bo jest chory i wszystko wydał na leki i wódkę. Przy hotelowym komputerze siedział facet, który płakał i głąskał zdjęcie dziewczyny na ekranie. Ktoś inny pijackim bełkotem wyznawał miłość żonie. Muzycznym tłem do tego był głównie badziwny rap dla dzieci, czasem zapalał się bardziej trap, czyli hip-hop z ruską specyfiką. Pod koniec wieczoru usłyszałem też mądrość życiową, starszy lokator przekazywał młodszemu:

– *Widzisz, jak chcesz się napić, a masz mało pieniędzy, to pijesz dwa-trzy piwa, zaczyna się chcieć spać i natychmiast trzeba zasnąć. Jak nie to piździec, będzie cię nosiło, będziesz chciał pić. Sekret to położyć się do wyra ledwo ci się trochę zechce spać.*

Ja byłem nieco za trzecim piwem, ale wydało mi się to wielce cenną wskazówką. Poszedłem spać, udało mi się nawet zmienić pryczę na taką bliższą podłogi, bo ktoś się wyniósł. Gdy leżałem i czekałem na sen, usłyszałem, że wrócił Iwan (oczywiście, że musiał się nazywać Iwan. Jak inaczej może nazywać się pijany facet w Rosji?). Było ciemno, Iwan walnął się z laptopem na łóżko i zaczął oglądać jakiś komediowy show. Na pełen regulator. Leżący nieopodal człowiek, który cały dzień był w pracy, poprosił (no nie użył słów błagalnych), żeby to ściszyć, bo on chce spać, bo i w niedzielę ma robotę. Iwan łaskawie zgasił laptopa.

Kilka sekund po tym usłyszałem, że ściąga bokserki. Potem słyszałem, że się masturbuje. Pomyślałem sobie, że to jednak wspaniałe, że w takim zatłoczonym miejscu niektórzy potrafią czuć się jak u siebie w domu. Nakryłem głowę poduszką – własną, bo hostelowa nie przekonywała do takich działań. Jakoś nie chciałem wiedzieć, kiedy i gdzie Iwan skończy swoje wieczorne zabawy. Miałem tylko nadzieję, że nie przejdzie tych kilku metrów do mojego wyra. W tym wszystkim udało mi się dość szybko zasnąć. Sny miałem kolorowe, może nie aż tak jak Iwan wieczór (definiowany jako „po północy”), ale spało mi się miło.



Zdjęcie nie oddaje ogromu tego dramatu...

Zwlekłem się względnie wcześniej, po 9. W niedzielny poranek część hotelowych (hotelowych...) gości spływała powoli z miasta, inni walczyli z rzeczywistością po wstaniu z pryczy. Niektórzy nie robili sobie przerw śniadaniowych, tylko pili od razu. Ten biedny dealer dalej krążył i próbował wcisnąć Egipcjanom swoje zioło, życzył sobie 3k za nie. Warte to było

jakieś 300-500 rubli (według mojej wiedzy, nie palę – nie bo potępiam, ale dlatego, że nie lubię, więc ceny znam raczej od uczniów niż z własnych doświadczeń). Nie wiem, czy chłopak miał 20 lat. Nastrój był taki, że z ulgą stwierdziłem, że nikt mnie nie okradł, że prysznic wolny, że pogoda też po mojej stronie. Poszedłem w miasto na wiele godzin, w ich trakcie zapoznałem się z meczetem, historią polityczną Rosji i paroma innymi miejscami. Nie spieszyło mi się do miejsca zamieszkania, już wiedziałem, co mnie tam czeka. Chociaż w sumie to nie do końca, ludzie pijący są jednak nieco nieprzewidywalni.

Trochę po 20 przekroczyłem progi „hostelu” Planeta Piter. Wieść o tym, że mówię po angielsku, rozeszła się lotem błyskawicy. Gdy tylko siadałem w kurilce, przychodzili ludzie, prosząc już rzadziej o papierosy, a częściej o to, żebym nauczył ich angielskiego. Nie chciało mi się wchodzić w niuanse i komplikacje nauczania języka wroga, więc zgadzałem się, termin rozpoczęcia zajęć definiowałem jako jutro (bo wiedziałem, że bladym świtem jadę dalej).

Na recepcji była kolejna obsada, tym razem dość młoda Białorusinka imieniem Tatiana. „Czy wy wszyscy musicie mieć takie banalne, ruskie imiona?” – myślałem, patrząc na Iwana w głębokim stadium pijaństwa. Tym razem Lenia miał urodziny i przyniósł hektolitry piwa, więc większość mieszkańców piła. Pani Białorusinka najpierw przyjmowała gacha, ale gdy ten poszedł, bardzo chciała dowiedzieć się, czemu Polak w Rosji i czemu w hotelu robotniczym. Pogadaliśmy sobie, okazało się, że jej marzeniem jest uczenie angielskiego. Rozpoczęła przemowy w tym języku. Jezus Maria, to jednak Egipcjanie nie byli tacy źli. To było A1, może podchodzące pod bardzo słabe A2. Jednak była pewna, że potrzebny jest jej tylko roczny kurs nauczycielski, a potem będzie mogła iść i uczyć na gościach świata. Dałem jej linki do testów Cambridge, bardzo się ucieszyła. Myślę, że jej radość mogła zamienić się w nieco inne uczucia, gdy już zrobiła te testy. A może nigdy ich nie robi, diabli raczą wiedzieć.

Iwan rozpoczął taniec śmierci. Był totalnie pijany, ale na modłę aktywności. Ludzie błagali go, żeby położył się spać, ale on miał inne plany. Chciał zdobyć serce Tatiany, poinformował mnie, że ta zostanie jego żoną. No cóż, nawet w Rosji podryw w stylu „Chodź tu, kurwa! Siadaj! Co do chuja nie słuchasz?” nie działa. Iwan nie mógł zrozumieć tego, że Tatiana chce rozmawiać ze mną, a nie z nim, chodził więc wszędzie za nami. Dzięki temu dowiedziałem się, że Tatiana dała gachowi, ale to dlatego, że on już wiele razy kupował jej różne rzeczy, a nie tylko za dzisiaj. Na to Iwan powiedział jej, że ma się rozebrać. Bo to dobrze się rozebrać. Niech się rozbiera. Tatiana jednak nie poleciała na to. Wiem, wiem, dziwne, ale jakoś jej to nie przekonało, gdy Iwan mówił, że to dobrze, kiedy się człowiek rozbierze. Ten obłądny strumień myśli Bakunina XXI wieku przerwał inny mieszkaniec, który odwrócił uwagę Iwana pielmieniami.

– *No chodź, zjemy sobie pielmienie, no chodź, zostaw ich, mamy pielmienie* – przekonywał Iwana.

W drodze po pielmienie Iwan wywrócił się centralnie na twarz. Mieliśmy chwilę spokoju, okazało się, że w zeszłym sezonie Tatiana mieszkała w takim hostelu przy tej samej stacji metra, co my mieszkamy. Miała też ofertę pracy z Zielonej Góry, ale nie zna polskiego, przez telefon niczego nie rozumiała, gdy ją zatrudniali, więc wybrała SPB. Wyjaśniłem recepcjonistce, wkrótce nauczycielce angielskiego, że w Polsce by ją na kasie wyruchali i pewnie zarobiłaby mniej. Opowiedziałem jej też, że są takie różne kursy dla nauczycieli, ale że poniżej C1 tam nie

ma wstępu, a szczerze to dobrze być C2. Nie zdążyłem do końca wyjaśnić tych enigmatycznych skrótów, gdy wrócił Iwan. Ona uciekła, a Iwan rozpoczął wykład pod tytułem „Pedał”. Pedał się podwala do Tatiany. Czy widziałem, jaki to jebany pedał? Czy nie zgodzę się, że to pierdolony cwel?

– *Hm, jak się podwala do kobiety, to chyba jednak nie jebany pedał, a co najwyżej biseks* – powiedziałem jakoś tak automatycznie, próbując wrzucić trochę logiki do kurilki w peterburskim obszczeżyciu.

– *Coooooowooo? Nie wiesz, że to pedał? A może ty jesteś pedałem?*

– *Pedał, pedał! Cwel jebany!* – załagodziłem różnicę zdań.

Uciekłem do komputera, w tym czasie Iwan bił ścianę. Najpierw powiedział mi, że jego rodzice nie żyją i dlatego muszę nauczyć go angielskiego (logika różnymi prawami się rządzi). Delikatnie zahaczyłem go o tatuaże więzienne, pokazał mi na to trochę blizn, część z walk więziennych, część z samookaleczenia. „Nic ciekawego, co ci będę gadał, no siedziałem”. Widziałem statystykę, że 1/3 rosyjskich mężczyzn ma na koncie pobyt w więzieniu. Obawiam się, że nie są to ludzie pokroju Chodorkowskiego, a raczej takie Iwany, które gdzieś popiły i kogoś przez pomyłkę zabiły. Nie powiem, że miałem wielki komfort psychiczny, siedząc koło totalnie pijanego, przypakowanego faceta, który miał tatuaże robione niebieskim atramentem, pocięte żyły i co jakieś dwie minuty w ataku szału bił ściany, krzycząc, że jebany pedał podwala się do Tatiany, a potem pytał, czy będę go uczył angielskiego. Widziałem jednak, że nie jestem jedyną osobą, która obawia się o Iwana i co dalej będzie. Potem okazało się, że rodzice Iwana żyją.

– *Znalazł uszy do słuchania* – powiedziała Tatiana, widząc moje męki.

Bo gdzie nie poszedłem, Iwan był ze mną. Co kilka minut przedstawiał mi się i pytał, kim jestem. Starszy pan w okularach przyszedł i powiedział, że podzieli się z Iwanem kielbasą. Kilka minut później spotkałem Iwana w kuchni, zjadał kielbasę z cebulą. Kielbasa to zresztą wielkie słowo na to, co jadł – najtańszy produkt mięsopodobny z pobliskiego marketu dla biedoty. Jednak w tych realiach to był rarytas, podzielenie się którym wywoływało dług wdzięczności. Iwan oczywiście po raz kolejny spytał mnie o imię. W pewnym momencie Tatiana powiedziała:

– *Cholera, on jest z Polski i ja go rozumiem, jak mówi po rosyjsku. Ty jesteś Rosjaninem, ale ciebie zrozumieć nie sposób.*

Iwan bełkotał, mówił jakieś nonsensy, można było z niego nagrać egzamin na poziom nawet nie C2, a C5.

– *Polina, Polina!* – dobiegły nas nagle krzyki Iwana.

– *Tu nie ma żadnej Poliny* – powiedziała Tatiana.

– *Ej, a jak mój tata jest pijany i krzyczy „Polina, Polina”, to przychodzi mama. Czemu tu tak nie ma?*

Nie udało nam się rozwikłać tej zagadki wszechświata z Iwanem. Jeżeli jednak wydaje się komuś, że był tylko umiarkowany burdel, to pragnę zapewnić, że wszystkie te rozmowy, które trwały dobre kilka godzin, ulepszone były pytaniami o papierosy, piwo i to, czy chce się kupić jaranie. Jakaś grupa zbierała się na imprezę do miasta, urywki rozmów wskazywały, że chyba trzeba będzie się tam z kimś bić, więc lepiej wziąć wygodne ciuchy i buty. Leciąca ciągle nuta, na przykład [ta piosenka](#) cieszyła się pewną popularnością.

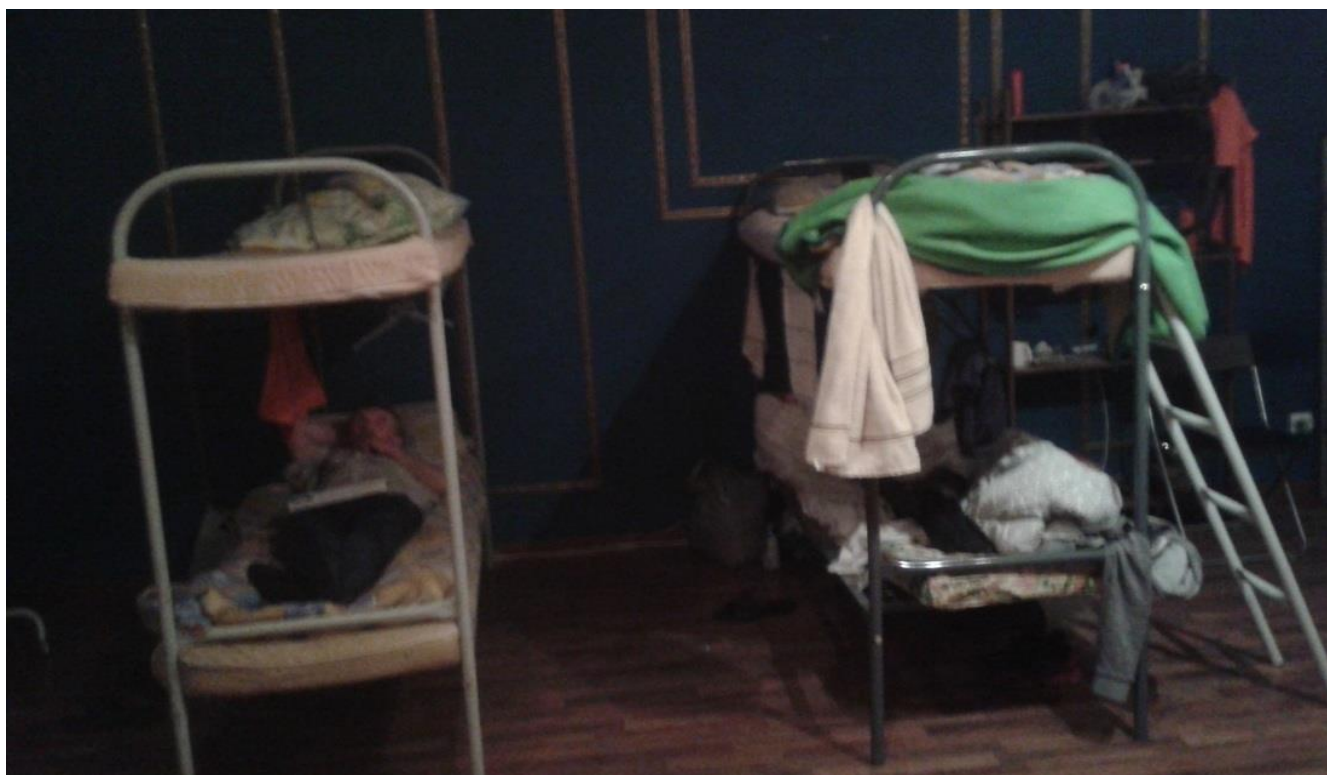
Raz na chwilę przełączyło się na Eminema, ale na szczęście ktoś wrócił do piosenki o heroinie. Są festiwale piosenki o morzu, festiwale piosenki o lecie, ciekawe, czy będzie kiedyś festiwal piosenki o heroinie. Buczał telewizor z ruską telenowelą. Niektórzy palili poza kurilką. Ciągłe coś się gotowało, jak nie kielbasa, to ziemniaki. Szczęśliwie, Iwan w końcu padł i poszedł spać. Odetchnąłem z ulgą i chwilę później sam poszedłem się położyć. Już nawet nie obawiałem się, że mnie mogą okraść, bardziej o to, żeby wstać o 5:40 na pociąg. Tak też wstałem, chwilę po mnie jeden z pracowników chyba salonu telefonów komórkowych. Koło 6 przyszła totalnie pijana ekipa, ci którzy wyszli wieczór wcześniej na imprezę. Siedli w kurilce. Pożegnałem się z Tatianą i wyszedłem. Skończyły się dwa dni, których nigdy nie zapomnę.

Z jednej strony wiedziałem, że takie miejsca istnieją i nie spodziewałem się, że czytają tam Wittgensteina. Z drugiej strony, wiedzieć, a przeżyć jakieś 48 godzin z tymi ludźmi i ich dramatami... Wiele z tych problemów sami sobie sprowadzają na głowę – kilka razy padły opowieści o tym, że szef chuj, że wywalili za spóźnienia, za picie. W takich miejscach dopiero widać, jakie zniszczenie wywołuje alkohol w tym kraju. Zrozumiałem też trochę lepiej, dlaczego często jakoś roboty budowlanych jest taka sobie. Przy tym, jak się niektórzy zachowywali, trudno mi uwierzyć, że czekają ich świetlane kariery.



Dyskretny urok dormitorium

W życiu też nie słyszałem, żeby tak się odnoszono do kobiet. Niby trochę szarmancko, ale jak popili, to leciały teksty o ruchaniu. Bezpośrednio do Tatiany. Te starsze recepcjonistki nie cieszyły się takim powodzeniem. Był też pokój kobiet, mężczyźni mieli tam całkowity zakaz wstępu. Nie zdziwiłbym się, gdyby podczas ciężkich popijaw działy się rzeczy bardziej przerażające.



Piekło wiele ma kręgów...

Na tym wszystkim niektórzy robią całkiem dobre pieniądze – jeden starszy opowiadał drugiemu, że tu jest dobrze, bo był w innym hotelu robotniczym i tam za brak dokumentów na Petersburg liczyli o wiele więcej. Przypadek sprawił, że trafiłem do rzeczywistości, jakiej wcześniej nie znałem. Dla mnie ten odjazd trwał dwa dni. Dla wielu mieszkańców trwa latami.

Przejrzałem sobie opinie na temat tego przybytku na necie. Na pociechę miałem to, że w czasie mego pobytu była ciepła woda i że nie namierzyłem robactwa w kuchni – niektórzy nie mieli nawet tyle szczęścia. Gdy rezerwowałem, obiekt miał średnią ocen 7,6. Wystawiając swoją opinię na Booking.com, pochwaliłem dobre łącze internetowe, niezłą lokalizacją, cenę i bardzo wyluzowaną atmosferę. W minusach wpisałem, że mało informacji dla podróżnych i że raczej nie polecam ludziom, którzy nie znają rosyjskiego, jak również samotnym kobietom, a tak naprawdę to kobietom w ogóle. Z moich ocen wyszła średnia 7,8. Jeżeli ktoś chciałby przeżyć coś w tym stylu, to:

Planeta Piter

ul. 10 Krasnoarmeyskaya 26, klatka schodowa 3, mieszkanie numer 70

[1.10.2016]

Wybrałem się do Petersburga, a nie od razu do Moskwy z kilku powodów. Jednym z nich była ochota zobaczenia miasta, w którym ostatnio byłem w 2003 roku, i które dość miło wspominam. Początkowy plan zakładał, że następnie będzie wyprawa do Karelii – legendarnie pięknej i niedostępnej części Rosji. Kusiły mnie zwłaszcza Sołowki, wyspy z klasztorem, które za poprzedniego systemu służyły jako więzienia.

Rozpocząłem kombinowanie, wyszło mi to następująco: z Petersburga do Pietropawłowska pociąg, tam zwiedzanie, w tym skansenu na wyspie, ponoć piękny. Potem przemieszczenie się do kolejnej miejscowości, skąd można złapać prom na Sołowki. Tam dwa do trzech dni zwiedzania. Potem powrót na stały ląd i do Archangielska. Tam dzień lub dwa i do Moskwy. Akurat około tygodnia z bezpiecznym zapasem czasu na wypadek jakichś problemów logistycznych.

Jednak pojawił się inny problem: ceny transportu kolejowego w Rosji są w miarę rozsądne. Godziny pociągów różnie, ale ogólnie da się żyć, trochę nocek w drodze. To do łyknięcia. Jednak nie do przełknięcia okazały się inne koszty: wstęp do pięknego skansenu na wyspie w wysokości 1400 rubli. Prom na Sołowki w podobnie atrakcyjnej cenie. Nocleg równie horrendalnie drogi, znalazłem jakieś dormitorium... Za 20 euro??? Niektórzy pisali, że opłaca się jechać na pakiet. Kolejne „o rany”, przyspieszony oddech, rozszerzone źrenice i niedowierzanie. Odpada. Rozpocząłem obliczanie, ile mi to wyjdzie na własną rękę. I w pewnym momencie powiedziałem sobie bardzo mądre słowa. Jebać to. Za długo tu jestem, żeby z uśmiechem matola wydawać co najmniej 50 euro dziennie na zwiedzanie dziczy, nawet z zabytkami gułagowymi. Gdyby te Sołowki były w Finlandii, to bym stwierdził, że kraj jest drogi, więc musi to wszystko tyle kosztować, do tego jakoś będzie świetna i człowiek nie będzie miał poczucia, że go przekręcili wszędzie, na wszystkim i w każdą stronę. Ale w Rosji? W kraju, gdzie nauczyciel w szkole państwowej zarabia tyle, że nawet nie stać go na zbliżenie się do tego promu i skansenu? W Rosji, gdzie emerytura może wynosić 150 USD, mam płacić jakieś 20 euro za wstęp do skansenu? Do tego znam rosyjską jakość usług, więc mogę zgadywać, jak to wygląda. Kibel bez papieru, zimne żarcie, chamowata obsługa i piłowanie ryja jakichś nowobogaczy (podobno najlepsze miejsce do jeżdżenia quadami). Karelia na pewno jest piękna, ale za takie pieniądze to ja mogę mieć pięknie gdzieś indziej i bez ruskiego bajzlu. W ten więc sposób Karelia odpadła.

Zamiast tego postanowiłem spędzić weekend w Petersburgu, przypomnieć sobie niektóre z miejsc, które widziałem już kiedyś. Turystycznie tam wiele nie odkryłem, ale parę rzeczy mnie zadziwiło.



Samotni po rosyjsku

Burdele reklamują się właściwie otwarciem. Chyba że założymy, że pani Lena dopiero przyjechała do tego dużego miasta i szuka przyjaciół tak desperacko, że wylepia znaki drogowe swoim numerem telefonu. Podobają mi się też ogłoszenia, że „odpoczynek całą dobę”. Zgaduję, że gałeczka, a nie kąpiel w zdrowotnych solach. W Moskwie takich cudów często nie widuję.



Ciekawe, czy da się zrobić pakiet „Lena + pizza gratis”...

Spodobała mi się sieć dostarczająca jedzenie o nazwie Dostojewski. Widać, że SPB bardziej żyje tym pisarzem niż Moskwa, gdzie Bułhakow zbiera wszystko (ale jeszcze nie dostawy jedzenia).



Luksusy! Mobilne kible!

Nie wiem dlaczego, ale uznano, że autobusy świetnie nadają się na toalety. 20 rubli, warto było.



Bizantyjski przepych skrzyżowania

Petersburg jest dramatycznie wręcz zavalony turystami, w dużej mierze azjatyckimi. Mówię o centralnych miejscach, odchodząc kawałek od głównych traktów zyskuje się względny święty spokój. Mimo wszystko jeżeli będę miał okazję wybrać się jeszcze raz, to poza sezonem, choćby za cenę nędznej pogody.

Zacząłem się zastanawiać, co z sobą dalej robić. Opcji miałem kilka: Psków, ale to trochę w stronę Estonii, więc oddaliłbym się od Moskwy. Wołogda, też nie bardzo blisko Moskwy, ale do zrobienia. Nowogród Wielki, na drodze do Moskwy. Twer, już bardzo blisko. Mogłem łącznie poświęcić tydzień na podróżowanie, postanowiłem się nie zatyrać, wybrałem Nowogród Wielki, z którego – patrząc po mapie – mogłem dość łatwo dostać się do Tweru. Przemyślenia doprowadziły mnie do wniosku, że nie ma po co się zamęczać podróżami po naście godzin pociągiem, skoro w zasięgu nastu godzin za wiele po prostu nie ma.

Według informacji znalezionych na necie przejazd z Petersburga do Nowogrodu trwa kilka godzin. Cztery autobusem, trochę ponad dwie pociągiem. Tyle teoria. A tak się miała do niej praktyka. Ułatwień związanych z tą podróżą nie brakuje. Ułatwienie pierwsze: stacja kolejowa w Nowogrodzie nazywa się Novgorod na Wolkhove. Bo poza Nowogrodem Wielkim jest jeszcze Niżny Nowogród, kilkanaście godzin dalej na wschód. Ułatwienie drugie, w Petersburgu jest kilka dworców kolejowych. Mnie wskazówki pokierowały na Dworzec Witebski, z którego miała być elektryczka o 7:19 rano. Tam pani najpierw powiedziała, że u nich taki pociąg nie chodzi i że mam jechać na Dworzec Moskiewski. Poprosiłem, żeby sprawdziła. Okazało się, że w sumie to chodzi, ale nie w poniedziałki i bodajże nie w czwartki. Oczywiście był poniedziałek, a w ten dzień pociąg chodzi tylko do Rogowki. Na pytania, czy z Rogowki da się dostać do Nowogrodu, odpowiedzi pani udzielić nie była w stanie. Powiedziała, że muszę zobaczyć na internecie. Powiedziałem, że za bardzo go tu nie mam, a po drugie net to mnie przyprowadził na ten Dworzec Witebski. Po dłuższym namyśle pokierowano mnie do jakichś bocznych kas, gdzie mają internet i mi sprawdzą, czy z Rogowki da się jechać do Nowogrodu. Dochodziła 7, wstałem o 5:40. Dzień się jeszcze dobrze nie zaczął, a ja już miałem go dosyć. W tych bocznych kasach – dla odmiany – nie wiedzieli, czy z Rogowki da się dojechać do Nowogrodu. Nie wiedzieli też, jak to sprawdzić. XXI wiek, najbardziej turystyczne miasto kraju, a sprawdzenie siatki połączeń na dworcu przerasta obsługę. Nie muszę chyba dodawać, że po angielsku nie mówił nikt, a na widok turysty ich paraliżowało. Gdy turysta odzywał się po rusku, to im się nieco poprawiało. W sumie każdy chciał pomóc, nie było modelowego „NIET!”. W końcu dano mi nawet niegorszą radę: siedzieć przy kasach i czekać, a jak ktoś kupi bilet do Rogowki, to go spytać, czy da się jakoś pojechać dalej.

Cierpliwości na tę zabawę starczyło mi na jakieś 20 minut. Wiele się nie dowiedziałem. Pojechałem na dworzec autobusowy przy ulicy Obwodnyj Kanał. Przy wejściu na dworzec wojskowy kazał nam grupkami składać swoje rzeczy na dywaniku. Potem podchodził do tego facet w okularach z psem w stylu basseta, basset łaził po betach i obwąchał je. Zafiksował się na jakiejś torbie i mimo usilnych prób opiekuna, ciągle do niej wracał. Opiekun to olewał i tak sobie postaliśmy, patrząc na pieska, który chyba nie wiedział, co ma robić, żeby mu dali spokój. Trwało to kilka minut, zanim pozwolili nam wejść na dworzec. Widziałem, że będzie dobry dzień, a była dopiero 7:40. Bez większego dramatu kupiłem bilet autobusowy za 400 rubli dla siebie i za 50 dla mojego bagażu, odjazd był o 7:55, mniej niż 15 minut, chociaż tyle się udało. Gdy już miałem odejść od kasy, usłyszałem strachliwe:

– *Do you speak English?*

Przed kasą stała przerażona Chinka. Oczywiście w odpowiedzi otrzymała – „NIET!”.

– *Czego ci trzeba, powiedz mi, człowieku?*

– *Ooo, pan mówi po angielsku... Autobusu do Nowogrodu mi trzeba.*

Chinek okazało się być cztery, chwilę zajęło im zrozumienie tego, że za bagaż się płaci. Pani kasjerka była załamana, gdy zobaczyła ich paszporty, jakoś jednak znalazła odpowiednie personalia (albo wpisała Zhong Guo kilka razy) i sprzedawała bilety. Postanowiłem podzielić się obłądną znajomością chińskiego, wrzuciłem więc w jedno zdanie moje ulubione słowo *fapiao*, poprawiłem chwilę potem z *meiyou*.

Nie ma nic lepszego niż *fapiao* z *meiyou* o poranku. Aż mi się humor poprawił. Te kilka minut pozwoliło ustalić, że są z Szanghaju, że najgorzej mówiąca po angielsku jest szefową i że całkowicie nie mają pojęcia, co się wokół nich dzieje, więc za ręce zaprowadziłem na odpowiedni peron, nadałem bagaże, znalazłem im miejsca w busie i poszedłem spać na swoje. Zauważyłem też bardzo sprytny patent: kara za niezapięcie pasa bezpieczeństwa wynosiła 500 rubli. Ponieważ pasów nie było, mogli ją wlepić każdemu pasażerowi. Szczęśliwie, okrucieństwo rosyjskiego prawa łagodzi nieco to, że nie jest przesadnie często egzekwowane.

Po jakichś dwóch godzinach zatrzymaliśmy się na toaletę i szybkie jedzenie. Koło siermiężnych sraczy odpoczywał kot. Moje chińskie koleżanki postanowiły zrobić sobie z nim serię zdjęć. Każdy, kto miał w życiu kontakt z kotem, wie, że koty są urodzonymi tancerzami i że uwielbiają, jak im się wyrywa łapy ze stawów. To też wiedziały moje Chinki, w efekcie kot je pogryzł, podrapał i dał dyla. Od lat mówię, że nie ma większej siary niż wypuszczenie Chińczyków poza granice ich cudownej ojczyzny. Wtedy właśnie mają okazję pokazać ludziom, jacy są mądrzy, co robi niesamowite wrażenie na tych, którzy z Chinami większej styczności wcześniej nie mieli. Dla mnie to standard, daj Chince kota, to go zabije. Lub on ją. Rosyjski okaz wydawał się radzić sobie wcale nieźle z tematem.



Darcie kota, edycja chińsko-rosyjska

Podróż powinna niby trwać ponad cztery godziny, ale jakimś cudem trwała mniej niż trzy i już koło 10:30 wysiedliśmy w Nowogrodzie. Po drodze gdy nie spałem, mogłem podziwiać rosyjską wieś. Dramat. Depresja. Budownictwo się głównie sypie. Jeszcze tego dnia pogoda nie powalała, więc szarość była obłędnie szara. Rzeczy w stylu dróg, chodników, wszystko wyglądało na ciężki socjalizm, który jakoś się jeszcze trzyma. Budynki w stanie agonalnym. Mało ludzi. Czasem jakaś szkoła. Zawsze, gdy mnie pytają, jak jest w Rosji, odpowiadam, że ja to wiem, jak jest w Moskwie i paru miejscach, ale kraj ten jest wielce zróżnicowany. Doświadczalnie i ciekawostkowo to nawet można się w taką podróż wybrać, ale dobrze, że trwała ona tylko trochę ponad trzy godziny zamiast obiecywanych czterech. Chinki były nawet nieco obruszone, człowiek płaci, to wymaga, powstałby w jakimś korku albo chociaż na nonsensownym przystanku autobusowym pośrodku niczego. Po przybyciu powiedziały, że dadzą sobie radę bez mojej pomocy. Pogodziłem się z tym i poszedłem w stronę zarezerwowanego wcześniej noclegu. Wiedziałem, że ciekawiej niż w Petersburgu nie trafię.

[1.10.2016]

Na pierwszy rzut oka (czyli jakieś 20 minut spaceru do hostelu) Nowogród Wielki zrobił wrażenie miasta raczej średnio zamożnego (to bardzo dyplomatyczne słowa) i wyludnionego. O ile wiekowych mieszkańców nie brakowało, o tyle ludzi w przedziale 20-40 lat wielu nie widziałem. Starsi obywatele zajmowali się handlem warzywami i owocami. Ceny bardziej przyjazne niż w Moskwie, ale akurat nie chciałem cebuli, arbuzów ani pomidorów. Sama starsza część miasta nie jest bardzo duża, przy tym dość standardowa, czyli szerokie ulice w dwie strony, wielki plac, trochę socrealizmu budowlanego i trochę kapitalizmu w stylu sieciówka spożywcza czy jakieś mniej lub bardziej kuriozalne usługi – montaż drzwi, sklep z materiałami budowlanymi, oczywiście opony. Jeżeli jest w Rosji jakaś osada o populacji powyżej dwóch obywateli, to będą mieli *szinomontaż*, czyli wulkanizację i zmianę opon.

Tym razem miałem do czynienia z najbardziej standardowym hostelem świata. Czysto, na wejściu buty należało zamienić na pantofle. Klientela też jakoś umiarkowanie rozrywkowa, trochę robotnicza, ale ujarzmiona zakazami picia i palenia. Czysto, jasno, w kuchni też więcej niż akceptowalnie, to jednak nie to samo, co Petersburg.

Nie pisałem nic o tym, co jadłem na śniadanie. Bo nic nie jadłem, w końcu biegałem po dworcach. Koło hostelu znajdował się bar Asia, który kusił business lunchem z pięciu potraw za 190 rubli. Skusiłem się. Ktoś z jakiegoś powodu uznał, że najciekawszą fuzją smaków będzie połączenie kuchni azjatyckiej (zupa miso) z gruzińską (chinkali), śródziemnomorską (sałatka) i rosyjską (lepioszka i słodki kompot owocowy). Pozostaję nieprzekonany.

Nowogród to kolebka Rosji, miejsce narodzin 1/6 świata. Z racji takiej marki, spodziewałem się cudów. Gdy szedłem w ich stronę, spotkałem pijanego pana, który bardzo chciał mi coś przekazać. Ponieważ rozpoczął od prób chwycenia mnie za ramię, to zrobiłem krok w bok, pan zachwiał się i upadł. Myślałem, że na tym poprzestaniemy, ale on jeszcze bardziej chciał ze mną rozmawiać. Zataczał się więc po całym chodniku, miotało nim jak szatanem, ja szedłem z niepokojem, patrząc przez ramię, a on upadał i bełkotał. Pospacerowaliśmy tak wspólnie kilkadziesiąt metrów, zanim udało mi się go zgubić. Kołyska Rosji, jak w dupę strzelił...

Przez dość okazałych rozmiarów park dotarłem do atrakcji numer jeden. Twierdzy. Jeżeli komuś śnią się rosyjskie twierdze po nocach, to śni mu się mniej więcej coś takiego. Poza tym powinien iść do fachowca od głowy.



A przecież z tej cegły można by zbudować jakiegoś Lidla...

Mury obronne są dość imponujące i dobrze zachowane, razem z wieżyczkami. W środku mamy budynki, które nie wyglądają na prastare, ale też nie na postawione wczoraj. Wiśnią na tym rosyjskim torcie jest sobór św. Zofii, najstarszy w kraju. Z zewnątrz dupy nie urywa, standardowe kopułki, ale w środku jest dobrze (focić nie można). Do ładnych fresków dołożyli jeszcze paru denatów, nawet lokalni przychodzą się tym cieszyć, więc przynajmniej nie jest się w stadzie turystów. A co do tychże – tłumy są jedynie w niektórych miejscach. Pod koniec sierpnia byli to głównie Azjaci na pakietach – wywożą ich rano z Petersburga, przywożą na parę godzin, odwożą. Na moście przez rzekę Wołchowa były ich stada, w cerkwiach mniej.

Pośrodku twierdzy stoi monumentalny monument, czyli pomnik 1000-lecia Rosji. O, kogóż na nim nie ma! Władcy, artyści, święci. Gdy w czasie II wojny światowej podbito Nowogród, Niemcy obalili to cudo (były nawet zdjęcia), ale po wojnie odbudowano. Jest to taki typowy bizantyjski przepych, jaki tu uwielbiają: duże, ciężkie, pełno historii, raczej ponuro.

Po przejściu twierdzy wychodzi się nad rzekę. Tam czeka nas kolejny pomnik, tym razem jest to Aleksander Newski na koniu masakrujący faszyzm. Warto podejść pod sam pomnik, bo gdy stoi się tuż przy nim, to łatwo ustawić się tak, żeby go nie widzieć.



*Przynajmniej wznieśli pomnik trwalszy
od komunizmu*



*Powinni zrobić z tego nową dyscyplinę olimpijską
– skok przez swastykę*

Po drugiej stronie rzeki ostało się trochę budynków z dawnych lat, ale nie ma niczego, co by zabijało, urywało pałę i sprawiało „ooo!”. Pewnym bólem jest to, że łódki zbierają ludzi na wyprawy po rzece. Informują o tym przez głośniki. Trzy łódki. Głośniki. Wycieczki.

Nie jest to idylliczna przechadzka, w czasie której zatapiamy się w dźwiękach płynącej spokojnie wody. Dodajmy do tego wspomnianych azjatyckich turystów na pakietach i już mamy pełen obraz tego, jak grubo jest. Można powiedzieć, że nie ma horroru, da się jakoś odejść od tłumów i usiąść na ławce z książką lub własnymi myślami, szczęśliwie to nie szokująca Azja, więc nikt nie gania za człowiekiem z pamiątkami i owocami.

Pewnym problemem było to, że przejście wszystkiego zajęło mi może trzy godziny, a naprawdę się nie spieszyłem. Było wczesne popołudnie, a nie miałem nic wielkiego do roboty, w mieście zaś skończyły się atrakcje, mieli jeszcze muzeum ikon, niby dobre, ale widziałem w życiu o kilka ikon za wiele. Z jakiegoś powodu uznano, że w takim miejscu musi być wypasiona informacja turystyczna. Dali mi mapę, pełno informacji o okolicy. Wyszło, że kończą mi się atrakcje, na następny dzień zostawiłem sobie monastyr i skansen. Snułem się po mieście z nadzieją, że znajdę jakąś ciekawą restaurację lub knajpę. Albo że chociaż ten pijany znowu będzie chciał pogadać. Takiego, lokali wielu nie było, a w sklepach standardowa bieda. Szturm na monopole zaczął się koło 17 i postępował, im bliżej wieczoru. Z jakiegoś powodu sieć Diksi przestała sprzedawać piwo po 21. Zmuszony tymi okolicznościami znalazłem sklepobar z lanym piwem i z braku lepszych pomysłów zaległem tam na trochę.

Był poniedziałkowy wieczór. W okolicach godziny 20 przychodzili ludzie dość solidnie zmęczeni życiem. Mieli tyle szczęścia, że sprzedawczyni humanitarnie dawała im piwo i fajki na kreskę. Z jakiegoś powodu uznano, że najfajniej będzie zatrudnić tam powiedzmy, że atrakcyjną kobietę poniżej trzydziestki, która będzie mogła posłuchać trochę wulgarnych tekstów od pijanych panów powyżej czterdziestki i pięćdziesiątki. Trochę w życiu widziałem i słyszałem, ale „chuj ci w ryj” do pani lejącej piwo, to chyba po raz pierwszy. Obowiązujący strój: rozchełstana koszula, bęben na wierzchu. Ten sklep był żyjącym nocnym centrum miasta, przewinęła się przez niego cała populacja, od nastolatków przez emerytów po biznesmenów o aparycji mafiosów. Trochę śmiesznie, trochę strasznie.

Gdy po 21 wyszedłem przejść się i zobaczyć, czy nie otworzyło się coś ciekawego, na głównym deptaku miasta piło dość dużo osób (przypomnę: poniedziałek). Co jakiś czas widziało się kogoś lejącego spontanicznie na krawężniku. Przejście się po centrum pozwoliło zrozumieć, dlaczego tak wiele osób chce mieszkać w Moskwie lub Petersburgu. A to był Nowogród, miasto które nie jest oceniane jakoś surowo na skali rosyjskiej patologii.

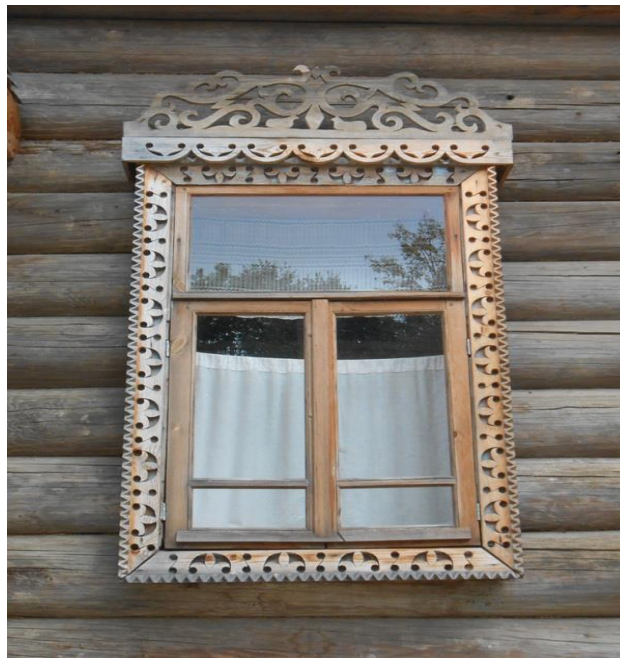
Następnego dnia pojechałem do monasteru Jurjew. Jeździ tam autobus miejski numer 7. Ledwo opuszcza miasto, a już wjeżdża w rewiry na miarę XIX wieku, chyba że akurat budują jakieś luksusowe osiedle na poboczu. Krzaki, losowo porzucane domki, bagna, lasy. Intrygowało mnie, czy jakiś niemiecki żołnierz opublikował pamiętniki z odkrywania tych regionów. Zapewne znalazłyby się tam takie myśli: dlaczego ja tu jestem? Dlaczego Hitler chce te tereny? Po co nam to? Co my tu będziemy robić? Kursy pływania na kaczkach? Dania z trzciny? Ach, kochana Bawario, ty tak daleko!



Powinni zrobić aplikację Monastyr GO: Zbierz je wszystkie!

Monastyr jak monastyr, widziałem kilka w życiu, więc nie zabił mnie. Z drugiej strony, no ładny, kolorowy, jak to monastyr w tej opcji religijnej. Za to turystów były śladowe ilości, spotkałem tylko rosyjskich pielgrzymów, pakietowi docierają tam tylko na łódkach – tych, które krzyczą przy twierdzy, że ich tam wywiozą na rzut oka z wody. Chwała, że nie wypuszczają na ląd.

Bisko monastynu jest skansen. To już typowa pułapka na odwiedzających, z obłądną liczbą turystycznych pamiątek. Rosjanie płacą 150, nie-Rosjanie 200, jak miło! W samym skansenie zebrano architekturę drewnianą okolic, jest to dzieło życia jednego chłopca. Trochę zwieziono, a trochę akurat budowano. Próbowałem rozpaść w sobie pasję do oglądania jakichś żarn i innych cepów, ale nie podeszło mi to. Ten skansen powinien być imienia radzieckiego kosmonauty Władimira Komarowa, bo tyle tych owadów miałem przyjemność poznać, że jeszcze tydzień później znajdowałem ukąszenia. Czekaając na autobus, stwierdziłem, że tak wygląda turystyczna desperacja.



Co za wspaniała, unikatowa ekspozycja! Tradycyjne wykończenia okien mają przynajmniej swój urok

Miałem opcję pojechania do miejsciny Stara Russa, miejsca, w którym bywał Dostojewski i gdzie osadził akcję *Braci Karamazow*. Po przejrzeniu listy atrakcji (o, cerkwie i monastyrze!), opcji dojazdu (jest kilka autobusów, ale podobno bilety lubią się szybko wyprzedawać na te powrotne) i wyciągając pewne wnioski z doświadczeń ostatnich dni (rozkłady jazdy nie muszą się pokrywać z rzeczywistością, a ceny to już w ogóle), odmówiłem sobie tej przyjemności. W końcu jest trochę literatury na świecie, której jeszcze nie czytałem, a gdy akurat nie padał deszcz, to park przy twierdzy był całkiem miłym miejscem do posiedzenia sobie.

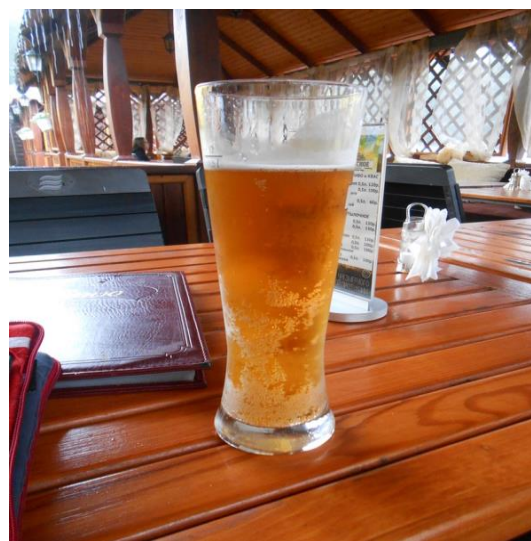


Gdy zaczęło padać, to pobliski bar serwujący lokalną specjalność, miedowuchę, okazał się być wielce przyjaznym schronieniem. Jako kelner pracował tam nastoletni chłopak, miał może 12 lat, ktoś przeczytał mu książkę na temat motywacji i podejścia do klienta przynajmniej raz za dużo.

Byłem jednym z nielicznych gości i chłopak co chwilę przychodził zapytać, czy czegoś nie chcę. Za „nie!” nie dawał punktów. Menu było oczywiście atrakcją dla wegetarianina, oferując mięso przyrządzone na sto sposobów. Tak mnie zachęciło, że poszedłem sobie zrobić obiad do hostelu.

Już kilka godzin wcześniej kupiłem bilet kolejowy do Moskwy. Oczywiście przekreśli mi na nim o 100 rubli, bo kazali wykupić sobie ubezpieczenie na czas podróży i jeszcze podpisać, że ja tegoż bardzo chcę. To był akurat taki moment dnia, że nie chciało mi się walczyć, ale potem deko się wkurwiałem, widząc polisę na tę szaleńczą podróż.

Pozory często mylą, tak więc mnie zmyliło, że jak ktoś czyta po rusku i mówi idealnie po rusku, to jest Rosjaninem. Okazało się, że był Niemcem z mieszanego małżeństwa. Spędziliśmy czas, gadając ze trzy godziny, zgodziliśmy się, że Nowogród Wielki jest dobry na góra dzień. On się w nim uwalil na trzy, ja na dwa. Nie udało nam się zrozumieć, jakim cudem miejsce potencjalnie turystyczne między dwoma największymi miastami kraju ma tak



Przynajmniej trunek niegorszy

dramatycznie chujową komunikację z czymkolwiek (tak przy okazji: są autobusy do Rogowki i jeden do Tweru). Po 20 pojechaliśmy na dworzec, po drodze wyjaśniając pani z recepcji, że jakoś przeżyjemy, że zapłaciliśmy za noc więcej, niż zostaniemy.



Hiperrzeczywistość Baudrillarda w wydaniu rosyjskim

W nowogrodzkich autobusach bilety kosztowały 24 ruble. Po moskiewskich 50 była to dość miła odmiana. Dostawało się je od pani na pokładzie, a drukowali je chyba za średniego Chruszczowa. Ich rozmiar klasyfikował je automatycznie jako śmieci. Gdy jechaliśmy na dworzec, wpadła kontrola. Wyprzutyła się z bileterką i zaczęła sprawdzać bilety. I tu dupa, bo obaj zgubiliśmy nasze, a tak po prawdzie, to chyba nawet ich nie wzięliśmy. Szczęśliwie, pani bileterka wstawiła się za nami i nie dostaliśmy kary.

Jedyny pociąg do Moskwy odchodził o 21 z minutami. Na pokładzie byłem ze znacznym wyprzedzeniem. Tak właśnie skomunikowane jest miejsce narodzin Rosji. Zanim mogłem się położyć, jakaś *mama-san* nazwała mnie dziadkiem. Popatrzyłem na nią, na jej dziecko. Rzeczywiście, byłem dla nich dziadogą. Wywaliłem się na swojej pryczy, starając się nie myśleć o tym, że sobie długo nie zapalę.



Kowboj Rachmaninow deszczową porą

Kolebka i dawna stolica Rosji mnie nie powaliła. Nie jest to jakaś totalna pomyłka, ale też nie ma zbyt wielu powodów do mrużenia. Może gdy jest się z grupą znajomych, może gdy zna się kogoś lokalnego, może gdy pogoda jest lepsza, może gdy ma się samochód... A może nie. Chyba jednak nie.

[12.12.2016]

Nie ma absolutnie żadnych powodów, żeby jechać do Podolska. Ludzkości nie jest znane żadne uzasadnienie wizyty w Podolsku. Istnieją za to uzasadnione podejrzenia, że nawet umarli nie powinni błąkać się w tych rewirach.

Co jakiś czas otrzymujemy natchnione treści przypominające o tym, że nasz pracodawca ma szkoły umieszczone na Podmoskwiu. Kuszą nas ofertami pracy tamże – frazami w stylu „Moskwa jest daleko, gdy chcesz, a blisko gdy potrzebujesz”; „Wszystkie lekcje w jednej szkole”. Niestety nie dodają już, że możesz mieć ich połowę rano, a drugą wieczorem. Nigdy nie rozważaliśmy relokacji na Podmoskwie, może gdyby była jakaś motywacja finansowo-zawodowa, to tak. Ale takowej nigdy nam nie przedstawiono, więc albo te oferty ignorowaliśmy, a gdy już były skierowane osobiście i się nie dało, to dziękowaliśmy za nie. Z jakiegoś powodu ludzie z całej Rosji wolą mieszkać w Moskwie, a nie w mieścinach na Podmoskwiu. Dla ludzi z Krakowa: Bronowice kontra Wieliczka. Dla ludzi z Warszawy: Mokotów kontra Janki.

Jednak pewnej listopadowej niedzieli zdecydowaliśmy się na wizytę w Podolsku. Nie powodowało nami jedynie szaleństwo, a przynajmniej nie tylko nasze. Jeden z naszych współpracowników pracuje w tym niesamowitym miejscu, a ponieważ w ciągu ostatnich miesięcy spędziliśmy z nim trochę czasu, to jakoś tak wyszło, że podczas urodzin innego kolegi (spędzanych na bani piękny wieczór, bo oczywiście bania podwójna) zasnuliśmy wizję, że może byśmy tak kiedyś odwiedzili to jedyne w swoim rodzaju skupisko ludzkie. Chcieliśmy być mili, a on to wziął na poważnie i w kilka tygodni później zaprosił nas na Święto Dziękczynienia. To, że obchodził to wydarzenie, gdy jedni zaprosili drugich do wspólnego stołu, a ci ich w zamian potem wyrznęli do nogi, zdradza, jaka jest okładka jego paszportu. Dodajmy, że kolega uważa Podmoskwie za wspaniałe miejsce do życia, bo jest wiele tras do biegania. Jego pasją są maratony, lubi też triatlony, oczywiście nie pali i nie pije. Właściwie to nie wiem, jakim cudem się ze sobą zadajemy. Jednak skoro nas zaprosił, to nie wypadało nie jechać. Skusiła się jeszcze nasza koleżanka, inni mieli akurat coś bardzo ważnego do roboty i odłożyli swe wizyty w Podolsku na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Dostawanie się do Podolska nie jest jakąś wielką opowieścią, wybraliśmy opcję marszrutki ze stacji metra Yuzhnaya (czyli południowa, co nieco zdradza, w jakim kierunku od Moskwy należy szukać naszej destynacji). Po godzinie siedzenia w nieogrzewanym transporterze (luksus ten kosztował 90 rubli) wysiedliśmy za jakimś placem z Leninem. Powiedziałbym, że Moskwę nieco „odleniniono”, ale wyjazd poza granice miasta owocuje powrotem w lata dawno minione. Leninów nie brakuje, im większy wypizdów, bardziej patologiczne pijaństwo, wyższa stopa bezrobocia i bardziej rozległe polacie smutku, tym większa szansa, że będą stada Leninów. Według naszej wiedzy w Podolsku nie ma zbyt wielu miejsc z listy UNESCO. W necie też jakoś Podolska nie sprzedają na zbyt wiele sposobów, wyszło nam, że najlepszy zapewne będzie monastyr. Musieliśmy poczekać na naszego człowieka, w tym czasie znaleźliśmy jedną z flagowych atrakcji: pomnik pierwszego tańca Nataszy Rostowej. Stoi przed centrum handlowym i nie interesuje nikogo ani niczego poza padającym deszczem.



Czasem to się podobno kręci

A jak już Natasza Rostowa, tańce, to i porucznik Rzewski.

Rzewski tańczy na balu z 17-letnią Olgą Iwanowną:

– A skądże u panienki takie białe i gładkie rączki?

– Bo ja noszę zawsze białe rękawiczki.

– A to panienka, za przeproszeniem, farmazon jakiegoś opowiada, bo ja od dwudziestu lat noszę białe kalesony, a dupa czerwona i pryszczata.

Tańczy Rzewski z Nataszą, w pewnym momencie mówi:

– Ale u was szyja.....

– Całe ciało mam takie! – odpowiada kokieteryjnie Natasza.

– To się myć trzeba...

*– Doktorze, po raz ostatni mówię, że to wstążka z gorsetu Natalii Rostowej,
który rozwiązywałem bez użycia rąk, a nie tasemiec!*

Porucznik Rzewski, ubierając się na bal, wkłada do prawej kieszeni spodni banana.

– Na co wam banan w spodniach, poruczniku ? – pytają go.

*– Ot, cóż... zatańczę z jakąś damą, ona przylgnie do mnie, poczuje banana
i przesunie się tak, by przytulić się z drugiej strony.... A tu będziemy już na nią czekali!!!*

Niestety porucznikowi Rzewskiemu (z bananem czy bez) Podolsk jeszcze pomnika nie postawił.



Z tego ujęcia widać dopiero, w której kieszeni ma banana

Znaleźliśmy też przepiękny mural, głoszący, że *mir, trud schastye*, czyli pokój, praca, szczęście. Obok zaś było centrum biznesu Pijana Kaczka. Bywałem w lepszych kręgach piekła, ale i to wywarło na mnie pewne wrażenie.

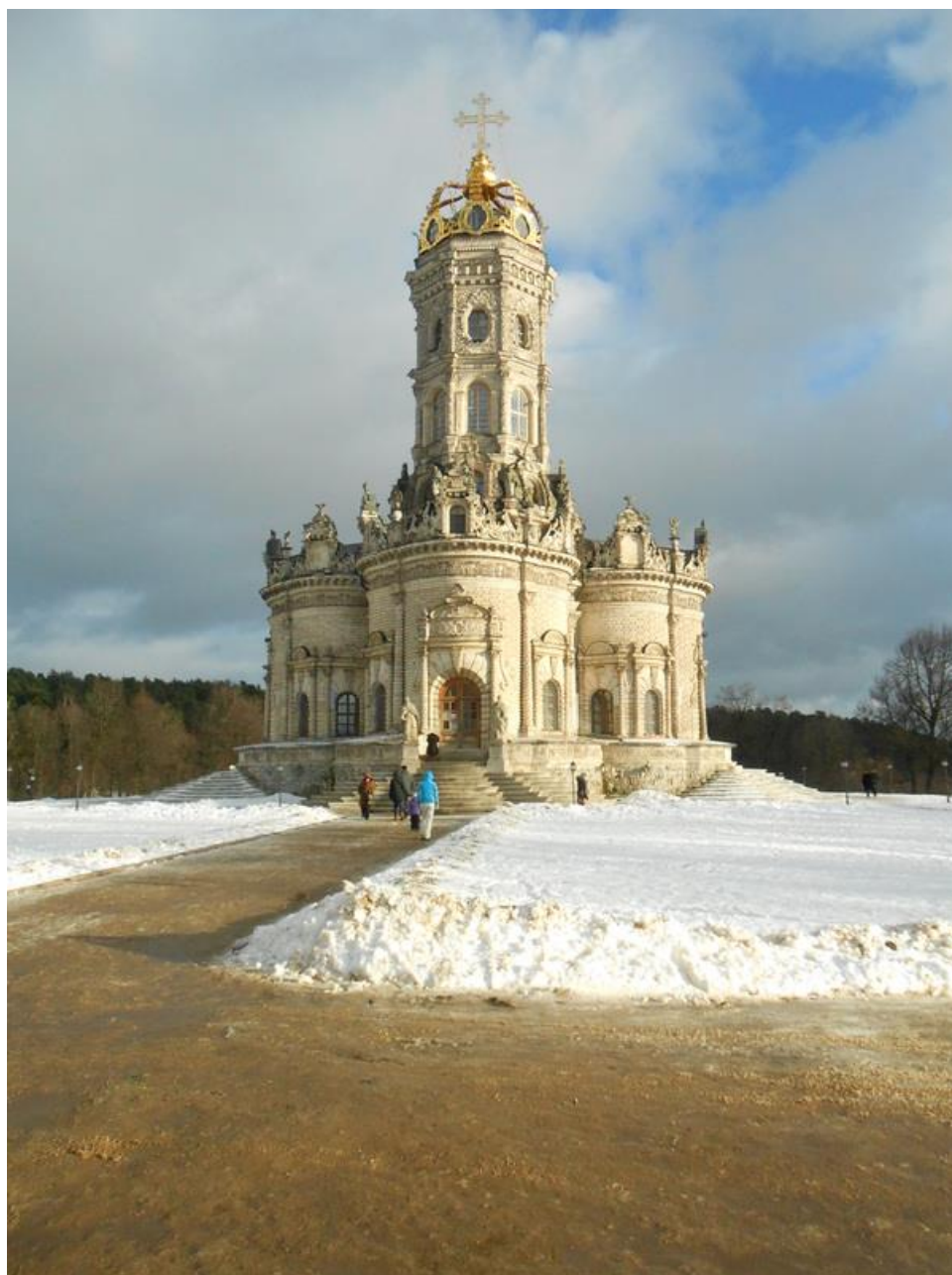


Po lewej praca, w środku pokój, a po prawej szczęście. A może na odwrót? Nie, bar jasno sugeruje, gdzie szukać szczęścia



Miejsce prania podolskich brudnych pieniędzy. Symbolicznie przysyłania szczęście z muralu

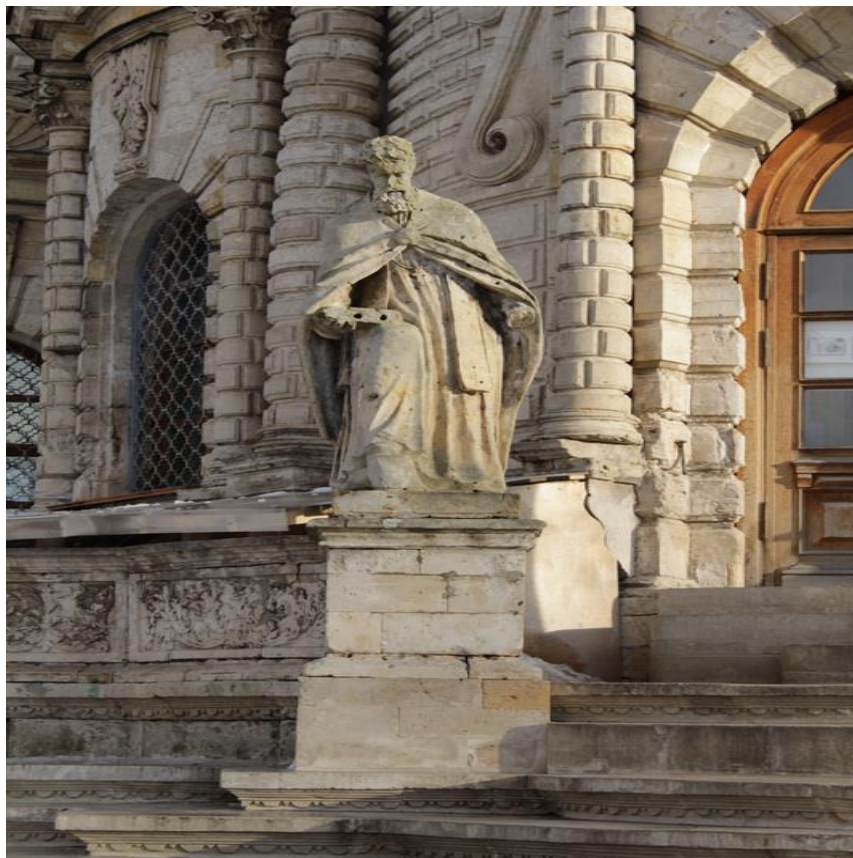
Po spotkaniu się i dotarciu na miejsce okazało się, że to nie w Podolsku, a w Dubrowicy i że to nie monastyr, a cerkiew. Z dystansu wyglądało to nieco kuriozalnie, wieżysko w środku łąki. Po podjechaniu bliżej okazało się być nawet ładne. Po podejściu bardzo blisko okazało się świetne. Jakby ktoś próbował implementować barok na grunt rosyjski, ale nie będąc do końca pewnym, jak to powinno wyglądać. To jedna z najciekawszych i najładniejszych cerkwi, jakie widziałem w życiu i w Rosji (jak wiemy, ona wykracza poza życie). W środku też nie było źle (zakaz robienia zdjęć, więc się nie pochwalimy), ale najlepiej wyglądała z zewnątrz, spędziliśmy z nią więcej czasu, niż zazwyczaj nam się zdarza z obiektami tego typu.



Barokowy rozmach!



Legenda głosi, że ze względu na ekscentryczny kształt budowli ówczesny (XVII-wieczny) patriarcha Rosji odmówił poświęcenia obiektu



Artefakt się odlepił temu świętemu...



Skromny aniołek



Dzwonnik z Notre Dame, edycja podolska



Jedno z najlepszych miejsc w Podolsku – nie widać na nim Podolska!

Naszemu człowiekowi w Podolsku wydawało się, że to koniec części intelektualno-zapoznawczej. Rzucił żartem, że jest dom Lenina. Ja rzuciłem całkiem na poważnie, że jest pomnik Katarzyny II (znanej szerzej jako „kobieta, która dokonała żywota, współżyjąc z koniem”). Nasz człowiek rzucił, że możemy iść na jego dziękczynny obiad. My, że oczywiście, ale ma być Jekatierina Wtaraja i dom Lenina.

Wydostanie się z okolic cerkwi łatwe nie było. Skończyło się na spacerze przez podolskie opłotki (jeżeli Podolsk to moskiewskie opłotki, to czym są podolskie opłotki?). W końcu trolejbus numer bodajże 2 zawiózł nas na dworzec. Porada życiowa: jeżeli was totalnie pojebało i przyjedziecie do Podolska, to miejcie dużo drobnych, bo system komunikacji używa innych kart niż Moskwa. Zwą się one „Strielka” i na pewno ich nie chcecie mieć, jak tam nie mieszkacie, bo i po co. W rezultacie musicie płacić 42 ruble za każdy przejazd. (ZDZIERSTWO!) Tu opcji jest kilka, wszystkie związane są z interakcją z panią biletową: albo macie dokładnie 42 ruble, albo płacie i dostajecie kilogram reszty, albo machacie ruską zbliżeniową kartą płatniczą. Po pierwszym przejeździe i zebraniu paru kilogramów drobnych, przeszliśmy na etap liczenia wszystkiego do ostatniej kopiejki, kartą płacić się nie odważyliśmy. Pani była wzruszona, że turyści przyjechali do Podolska. Nie mieliśmy serca wyjaśniać jej czemu.

Przy dworcu okazało się, że na drodze do pomnika Jekatieriny Wtarej los dał nam nieco socrealizmu. Nasza świadomość społeczna podciągnęła się o kilka pięt, gdy zobaczyliśmy pomnik robotnika i hasło mu towarzyszące.



To górnik, co pozwala zgadywać, jakim przemysłem stoi (a przynajmniej kiedyś stał) Podolsk



Subtelny sierp i młot



Podolsk miastem klasy robotniczej! W tle widać budynek dworca z herbem miasta (dwa kilofy, mieli polot)

Szkoda tylko, że nikt z rządzących Rosją go nigdy nie zobaczy, ale i tak nam się podobało. A co do Jekatieriny... To ona nadała Podolskowi prawa miejskie, więc w efekcie to wydarzenie opiewają na każdym kroku i jak tylko się da. Mają tego pecha, że nawet Niemcy z twarzą nazizmu ich nie podbiły i nie wymordowały, na stalinowskie czystki byli chyba zbyt robotniczy, więc w efekcie muszą obecnie próbować budować tożsamość na Katarzynie II. Wystawili pomnik tego, jak to Katarzyna lokowała Podolsk.

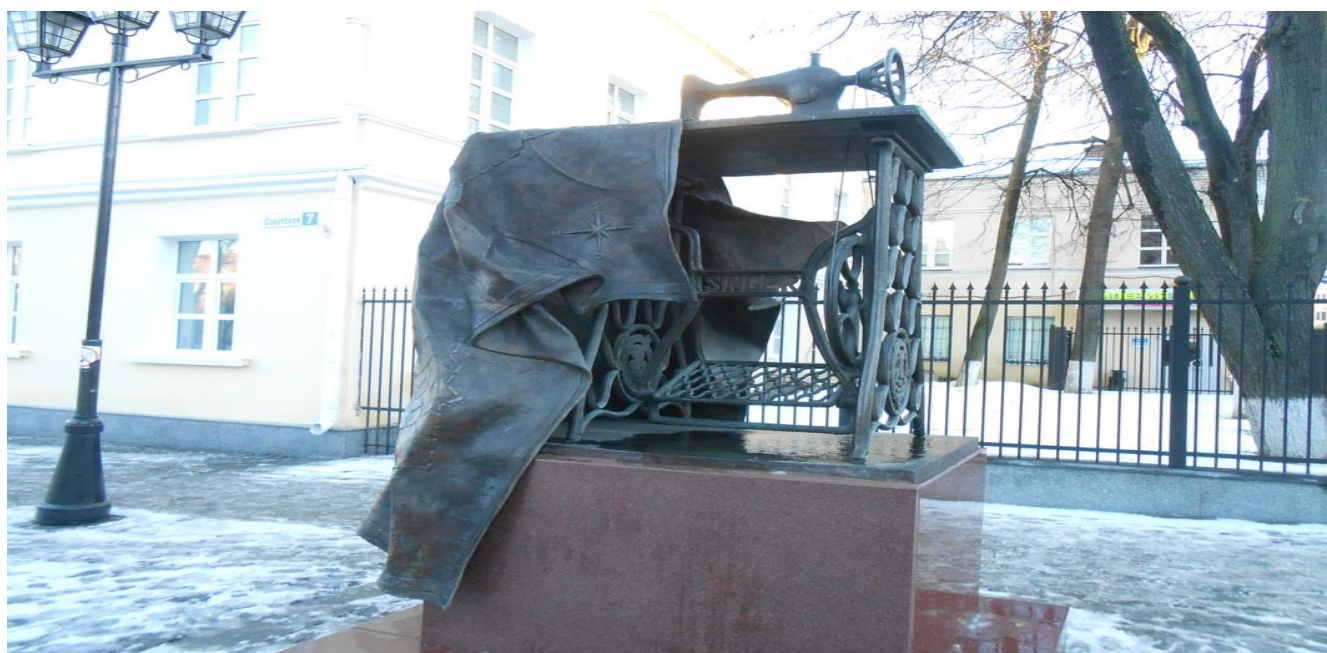


Nie! Nie rób tego!!! NIE PODPISUJ, TO PUŁAPKA!

Jest to jakaś atrakcja, z braku innych nawet zabawna. Trochę dalej znaleźliśmy popiersie byłego burmistrza. Na tle tego, to Jekatierina Wtaraja była naprawdę niezłym pomysłem.



Generyczny rosyjski oficjal



Singer to nie jest rosyjskie nazwisko...

Kolega chciał nas zabrać do swojego mieszkania, ale my się uparliśmy, że dom Lenina. Delikatnie nam sugerował, że może być zamknięte, że to spacer na kilkanaście minut, ale się uparliśmy. Zapewne do końca świata nie powie już nikomu, że jest taka atrakcja. W drodze do tego niesamowitego miejsca trafiło nam się muzeum miasta. Na wejściu pomnik maszyny Singera. O kurwa, no Podolsk to musi być potęgą, że maszynie do szycia pomnik wystawili. Po nacieszeniu się maszyną, weszliśmy do muzeum. Z zebranych w naszej grupie akurat mój rosyjski jest najmniej żalosny, więc zarzuciłem:

- *A co to za muzeum?*
- *Sekret!*
- *A ile sekret kosztuje?*
- *100 rubli za twarz.*

Konsternacja.

- *Nie mówi, to nic nie mają.*
- *Ej, 100 rubli? Jest chociaż miły, ja bym ryzykował!*

W końcu z tych dwóch opcji przeważała hazardowa. Kustosz nie mógł uwierzyć. CZWORO GOŚCI! To mógł być rekord niezależnych turystów – bo zapewne wszystkie szkoły ciągną tam swoich uczniów. Poprosił, żeby poczekać i pobiegł włączyć dla nas światła na wystawie. Mawiają, że z gówna bicza nie ukręcisz. Dzięki odwiedzeniu wystawy muzeum miejskiego w Podolsku zobaczyliśmy to bardzo dokładnie. Starano się i próbowano, zrobiono, co tylko się dało. Niestety, bicza nie było, była to co najwyżej packa na muchy.



Już wielokrotnie wspominaliśmy, że w każdym muzeum musi być samowar



Kura...



Nie kłamali – są maszyny do szycia



Niektóre eksponaty poraziły nas swoją głębią...



Obraz który wyraża więcej niż tysiąc słów...



CO TO MA BYĆ?! DLACZEGO KTOŚ TO WSTAWIŁ DO MUZEUM??? Jaki kraj, taki Batman...



Pejzaż Podolska. Aż chce się tam zamieszkać!



I przypinka z jenotopodobnym lisem na dole

Jakieś głupawe trójwymiarowe wizualizacje. Trochę rzeczy z różnych epok. Oczywiście Jekatierina lokująca Podolsk. Ciekawe, czy ona w ogóle wiedziała, że tego dokonała. Kamienie z podolskich bruków (poważnie). Losowe cytaty z różnych pisarzy i ludzi, którzy być może kiedyś skorzystali z toalety na dworcu w Podolsku. A nad tym i przy tym wszystkim: arcydzieło portretu. Czyli obraz *LENIN W PODOLSKU*.



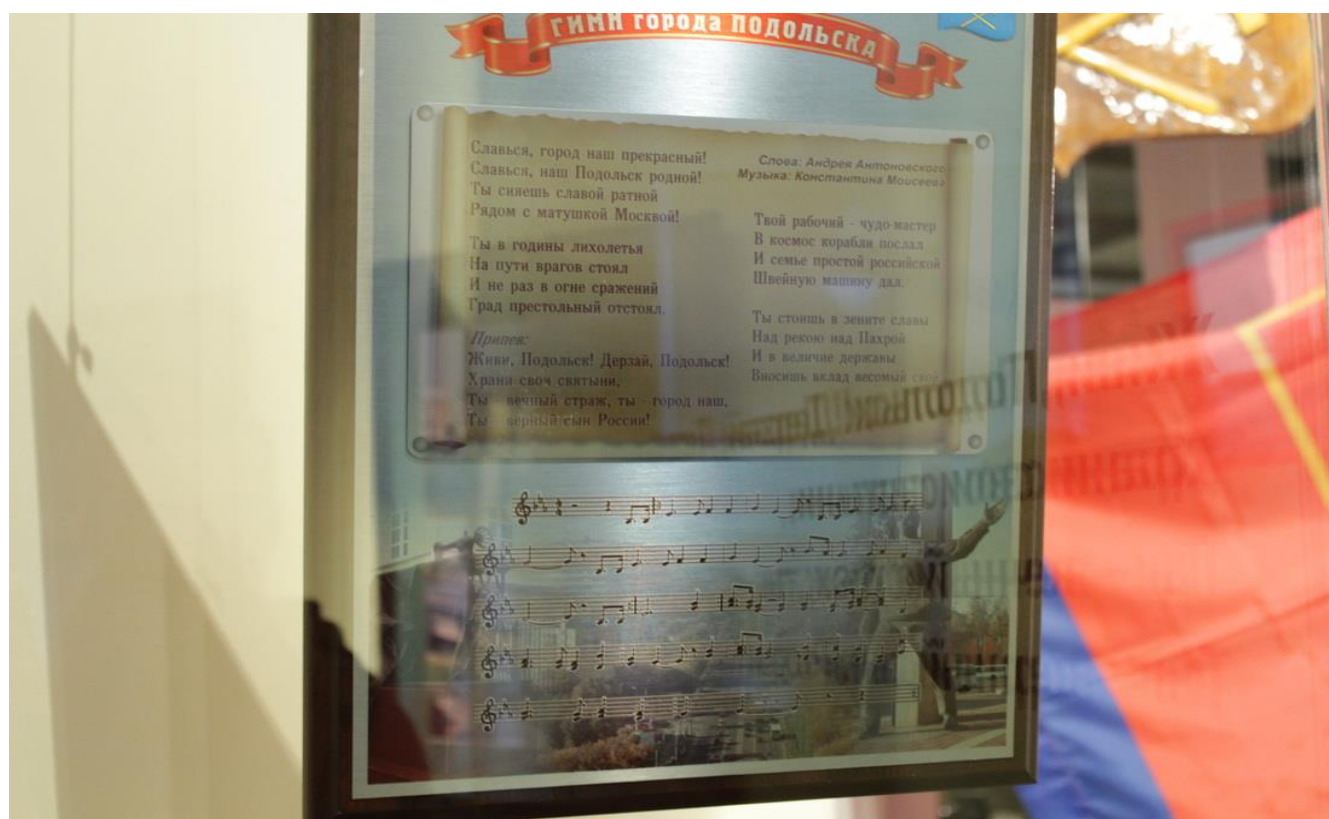
Podobieństwo do szatana jest zupełnie przypadkowe

Oglądanie tego było straszne. Jednak jeszcze gorsza była świadomość, że ktoś namalował to na poważnie. Naprawdę, w historii ludzkości zaistniał człowiek, który wymyślił sobie, że warto namalować Lenina na stacji kolejowej w Podolsku. Podetrzeć się tym byłoby niewygodnie, chociaż innego zastosowania dla tego arcydzieła wymyślić nie mogę. No wisieć w podolskim muzeum sobie może. Jest pewna ciągłość w kulturze, parę sal dalej był obłędnie piękny obraz przedstawiający budowlę osiedla w Podolsku. Muzea świata zapewne zabijają się, żeby wypożyczyć tak unikatowy okaz z gatunku pejzażu miejskiego.



Uroki Podolska, panorama

Muzeum było dumne z tego, że przechodzi przez nie południk. No i przechodzi, tyle że ludzkość zna jeszcze brzydsze miejsca, przez które biegnie jakiś południk. Poza tym, że śmiech, Lenin na stacji, to jeszcze były inne obrazy do śmiechu, ale obraz budowli był obrazem rozpacz. Obsługa była tak cudownie miła, jakby ich wzięli z jakiejś Kanady i to z muzeum o potęgę równej Luwrowi. Dzięki nim nie żalowaliśmy jakoś bardzo tej wizyty. Poza tym naprawdę się postarano, znaleźliśmy nawet hymn Podolska i odkryliśmy, że podczas igrzysk olimpijskich coś tam się w Podolsku odbyło.



Tak, drodzy Państwo, oto moment, na który wszyscy czekali: HYMN PODOLSKA!



Jacyś szaleńcy uznali, że do Podolska należało przywieźć zagranicznych sportowców...

Następnie poszliśmy do domu-muzeum Lenina. Naście minut błocenia, bo Podolsk (a tak w ogóle Rosja) nie wierzy w kanalizację, a listopad jest piękny, ale w Australii, a nie w Rosji. To jest taki krzyż, ponieważ urodziliśmy się za późno, żeby móc przeżyć socjalizm na własnej skórze, to teraz szukam Leninów i Stalinów, bo tak mało ich zostało. Na miejscu popiersie wodza, dom oczywiście wspaniały.



Dobrze, że podpisali

Myśleliśmy, że to tak sobie stoi i można wejść, mauzoleum Lenina jest gratis, poza tym no na litość boską, jest rok 2016, Lenin, proletariat, wiadomo. A gdzie tam. ZAPŁACIĆ!!! A jak zapłacicie, to was wyśmiejemy. Bo do domu Lenina wejść obecnie nie można, ale w sąsiednim domu możecie zobaczyć wystawę poświęconą działalności rodziny Uljanowów w Podolsku.

– *Ile ten zaszczyt?*

– *250 rubli. A bilety kupuje się tam daleko. Nie oplaca się.*



Dzięki mieszkaniu w tym miejscu, Lenin mógł poczuć na własnej skórze ciężki los klasy robotniczej



Kolejek na wystawę nie stwierdziliśmy

Po takiej zachęcie odpuściliśmy sobie wizytę w miejscu, które jakimś nieziemskim sposobem nie jest na liście 7 cudów Rosji. Tym samym wyczerpaliśmy wszystkie atrakcje tej szlachetnej osady. Poszliśmy do mieszkania kolegi, oczywiście po drodze błoto, śnieg i mokro. Dzięki tej wizycie stwierdziliśmy, że nie mamy źle, po pierwsze nasza klatka schodowa nie wygląda jak miejsce, gdzie spotykają się stada alkoszy (jak to ładnie nazywa się tu alkoholików). Po drugie, u nas i u naszej koleżanki winda bardziej działa niż nie. Po trzecie nie mieszkamy przy międzymiastówce. Niebiosom dziękowaliśmy, że nigdy nie skusiliśmy się na Podmoskwie.

Doszło też do dość kuriozalnej sytuacji: ponieważ kolega nie pije alkoholu, przywieźliśmy bezalkoholowe szampany i piwa, które to w Rosji tanie nie są, bo przecież jak ktoś jest psychiczny i nie pije, to jego problem. Przy tym rozmiary tego rynku sugerują, że nie brakuje ludzi, którzy jednak nie piją, ale mają wspomnienia z tym związane – pobliski sklep oferuje z pięć typów piwa bezalkoholowego, a nawet bardzo wysublimowane sieci alkoholowe mają zawsze coś bez alkoholu. Chcieliśmy zrobić przyjemność koledze, kolega chciał zrobić przyjemność nam i kupił wódki smakowe. Siedzieliśmy więc i piliśmy wódkę z szampanem non-alko.

Przy okazji rozmów odkryliśmy, że ceny warzyw są wyższe w Podolsku niż w stolicy. Nie mówimy o jakichś organicznych cudach od farmera, a o cenach w sieciówkach takich jak Diksi. Z tego, co znalazł, spróbował zmontować zestaw, którym podobno Indianie nakarmili białych. Dziwne, że pielgrzymi nie dali dyla po tym. Może to był plan wytrucia przybyszy? Jak bardzo lubię amerykańską muzykę, literaturę i filmy, tak w życiu nie jadłem niczego dobrego z USA, już nawet rosyjska kuchnia przebija tę z Nowego Świata. Niestety, kolacja z okazji Święta Dziękczynienia nie odmieniła tej tendencji. Jako wegetarianie nie nacieszyliśmy się kurczakiem udającym indyka, a sałatka była bardzo odmienna od tych, jakie zazwyczaj jemy. Na pociechę, nasz kolega jest bardziej walnięty niż ustawa przewiduje i gra na oboju. Co też można grać na oboju? Hymny narodowe. Przygotował się na nasze przybycie i odegrał nam hymn Polski, a naszej koleżance hymn Czech. Był to początek rozmowy o tym, co hymn mówi o narodzie. U nas walka i niepodległość, u niej, że szukają domu. Kolega znał jeszcze parę innych hymnów, w tym oczywiście Rosji, ale niestety Korei Północnej nie. Czasem się zastanawiam, czy bardziej walnięty jest koleś goniący żonę z siekierą po klatce schodowej, czy chłop, który biega o 6 rano po mrozie, a potem ćwiczy się w graniu hymnów na oboju. Czasem jeszcze pływa w pobliskiej rzece, oczywiście w jak najgorszej pogodzie. Jedną z najlepszych części pracy w tym fachu jest ciągle spotkanie ludzi nieco mniej standardowych.

Pociągów podmiejskich z Podolska do Moskwy są tony, zazwyczaj ze trzy na godzinę i są nawet tańsze od marszrutek. Przeszliśmy się na stację i kupiliśmy bilety na najbliższą elektryczkę – za bilet do stacji Carycyno zapłaciliśmy 42 ruble, mniej niż kosztuje przejazd metrem w Moskwie. Ponieważ był wieczór, dworcowe toalety nie działały. Szczęśliwie, w tym kraju oddawanie moczu w miejscach publicznych, a raczej w krzakach, nie jest przesadnie stygmatyzowane.

Większość pasażerów wyglądała na ludzi, którzy pochodzą z Podmoskwia, ale pracują w Moskwie. Tachali wielkie siaty pełne domowego jedzenia, towarzyszyły im rzewne pożegnania na peronie. Pociągi z Podolska jeżdżą przez stacje metra Carycyno, Tekstylszcziki i na dworzec Kurski, całość tej trasy zajmuje około godziny. Jeżeli ktoś może sobie znaleźć pracę w takich okolicach, to życie w Podolsku ma sens, mieszkania są o wiele tańsze niż w Moskwie. Wprawdzie

do kina, teatru lub na koncert łatwo pójść nie jest, ale też nie każdy ma takie potrzeby. W samym Podolsku są tony lokali i restauracji, więc kulinarnie nie trzeba się męczyć do Moskwy. Niestety, mimo nazwy reklamowej, Podolsk w żaden sposób nie honoruje piłkarza tureckiego klubu Galatasaray, czyli Lukasa Podolskiego. Jest to pewne oszustwo, ale co zrobić, życie jest ich pełne.



Używając tego miejsca można uciec z Podolska

Podolsk mnie rozczarował: liczyłem, że będzie tam dzika patologia, pijani o 12 w południe, gonienie żony z siekierą po ulicy i jakieś dzieci taplające się w błocie na krawężniku. Niestety ludzie są raczej cywilizowani. Jedna atrakcja świetna, ze dwie akceptowalne, kilka żalonych. Na pewno nikomu nie będę polecał odwiedzin w miejscu, gdzie kiedyś był sam Lenin. Z powodów personalnych i dlatego, że byliśmy zaproszeni na pierwsze w naszym życiu Święto Dziękczynienia, dla nas było warto. Już w pociągu do Moskwy zapytałem Aligatora i koleżankę:

– *Któraś z was wymieniłaby Moskwę na Podolsk?*

Odpowiedzią najpierw była głucha cisza, a potem pełne przerażenia jedno słowo.

– *Nie.*

[9.01.2017]

Nasz zakład pracy bardzo nie lubi dawać swoim pracownikom (czytaj: nam) wolnego. Najchętniej nie dawałby go nigdy, jednak z racji tego, że Nowy Rok to najważniejsze święto w kraju, wolne dostajemy niejako z automatu. Oczywiście odliczają nam to z urlopu, co jest praktyką nieco odmienną od panujących w wielu innych miejscach.

Zastanawialiśmy się, co zrobić z takim uśmiechem losu. Dość szybko dar od losu okazał się być bardziej zamaszystym kopem w krocze niż uśmiechem. W stolicy zostawać nie chcieliśmy – już dobrze ponad rok się nią cieszymy i mimo wszystkich swoich zalet jest dla nas średnio relaksującym miejscem, a do tego większość cudów nas interesujących oglądaliśmy dawno temu. Innym problemem jest to, że w czasie najdłuższego wolnego narodowego wszędzie musi być pełno ludzi, więc nie jest to najlepszy czas na cieszenie się Tretjakówką, Kremlm, a nawet domem Bułhakowa – kolejki do wejść na godzinę lub dwie stania to standard. Co gorsza – niektórzy nawet mogą o tym wiedzieć – styczeń w Rosji nie jest najprzyjemniejszym miesiącem. Jakby nie do końca wtedy chodzi się na długie spacery po parkach, będąc ubranym w szorty i sandały. Mam swoją serię przemyśleń dotyczącą tego, że kraj sobie robi ogromne wolne, gdy wiadomo, że pogoda będzie fatalna. Z drugiej strony, prawosławnych urodzin Jezusa na jakiś czerwiec z 7 stycznia nie przeniosą, a i Nowy Rok jest dość sztywno umocowany w kalendarzu.

Pierwszy raz zapytano mnie o noworoczne plany na początku listopada. Rosjanie przygotowują się do tego wydarzenia miesiącami, więc już wtedy niektóre hotele i miejsca były zarezerwowane. Mieliśmy jakieś tam wizje, chociaż tak naprawdę to za bardzo nie mieliśmy wtedy do tego głowy. Przez następne parę tygodni nasze pomysły były takie:

- Lecieć do Jekaterynburga, chwilę tam, a potem przez Perm jechać pociągiem do Kazania. Jekaterynburg leży przy Uralu, więc jeszcze zimniej niż Moskwa. W Permie był GUŁag do zwiedzania (Perm 36), ale nie jestem pewien, czy dalej działa. Na wysłanego niegdyś maila nie odpisali, co może być odpowiedzią najgłośniejszą z możliwych. A i ten gułag nie jest w centrum miasta, poza tym Perm szaleńcem turystyki też nie jest. Dalej, przejazd do Kazania zajmuje naście godzin. Wspominałem, że cały kraj ma wolne, więc stopień trudności z biletami i kolejkami jest w te dni raczej wyższy niż niższy. Ceny noclegów w Kazaniu solidnie przebijały ceny noclegów w Berlinie. Odpadło. Na wiosnę bym się w to jeszcze mógł bawić, ale nie w styczniu.
- Na północy mamy Murmańsk, Sołowki i Archangielsk. Sołowki są drogie i skomplikowane logistycznie o każdej porze roku, a o tej szczególnie. Murmańsk nie słynie ze zbyt wielu atrakcji turystycznych, Archangielsk też nie, więc i te opcje odpadły. Już nie wspominając o temperaturach.
- Na południu jest Kaukaz i to by mnie bardzo cieszyło, ale są dwa problemy: ogrzewanie, którego w tamtej części nie-świata nie należy brać za pewnik, bo przecież jest ciepło, więc nie wszyscy mają potrzebę instalowania sobie jakichś kaloryferów. Ciepłej jest, ale temperatury w okolicach zera to jeszcze nie do końca upały. Drugim potencjalnym

problemem jest tam lokalny transport, który wcale nie musi działać przy większych opadach śniegu. Uwalić się w jakimś nieogrzewanym hotelu z czasów sowieckich w centrum jakiegoś koszmarnego miasta? I tak odpadł Kaukaz.

Zrobiono nie tak dawno listę Siedmiu Cudów Rosji. Znalazły się na niej Bajkał, Kamczatka, Kurhan Mamaja (miejsce chwały poległych w Stalingradzie), Peterhof, Cerkiew Wasyla, skały Manpupuner i góra Elbrus. Ciekaw jestem, ile osób dotarło do skał Manpupuner w Republice Komi. Po sprawdzeniu sobie opcji zrobienia tego, szczerze się uśmiechnąłem. Kurhan Mamaja jest dość łatwy do osiągnięcia, ale Wołgograd ma opinię miasta raczej takiego sobie. Tak więc lista Siedmiu Cudów Rosji nam nie pomogła.

Myśleliśmy sobie więc o różnych rzeczach i nie mogliśmy się zdecydować na nic, bo jedna opcja była gorsza od drugiej. Właściwie nic nie rozpalało naszych serc. Rosja jest wielka, ale turystycznie średnio rozwinięta (jestem tu dosyć dyplomatyczny), informacji o połączeniach między miastami trzeba solidnie poszukać, a rozkłady autobusowe to sobie bywają, ale nie zawsze się pokrywają z tym co na necie, lepiej pytać na dworcu. A na dworcu potem mówią co innego niż w autobusie. Wiele miejsc jest dziko drogich, a z okazji Nowego Roku stają się jeszcze droższe. W końcu stwierdziliśmy, że cokolwiek, żeby tylko gdzieś pojechać. W ten sposób wybór padł na kombinację kilku miast, zdecydowanie mniej porywających niż np. Kazań, ale dających przy tym nadzieję na to, że nie będzie w nich wściekłych tłumów turystów i cen przyprawiających o palpitację serca. Zastanawialiśmy się, w którą stronę się udać. Kusił Smoleńsk, ale co potem? Skierowaliśmy się więc nieco bardziej na południe i cała operacja rozpoczęła się od kupna biletów do... Woroneża.

Po raz kolejny miałem cudowny ubaw: ilekroć współpracownicy rosyjscy pytali o plany noworoczne, to myśleli, że po chamsku odpowiadam największą bzdurę, żeby się odczepili. Wybór Woroneża na Nowy Rok to trochę tak, jakby wybrać sobie Sosnowiec lub Radom i mówić ludziom, że coś tam przecież fajnego musi być.

Taki pomysł jest nonsensowny tylko pozornie. Może Woroneż nie pojawia się w tekstach historycznych tak często jak Praga, ale miasto założono w 1586 roku, czyli nie wczoraj. Do dzisiaj jest stolicą rolniczych terenów Czarnej Ziemi, to tu Piotr I rozpoczął tworzenie rosyjskiej floty, tu siedzibę przez wieki mieli biskupi. Wprawdzie w 1943 większość Woroneża została zniszczona, to jednak wydawało się, że przez kolejne kilkadziesiąt lat urodzono z tego dziedzictwa historycznego choćby kilka atrakcji.



Komu w drogę, temu dworzec



Mają rozmach w Woroneżu. Tyle zmarnowanego materiału budowlanego...

Na pierwszym miejscu woroneskich atrakcji wszyscy zgodnie wymieniają Sobór Zwiastowania, dodając, że jest to trzeci największy obiekt z serii w kraju. Tu mają 100% racji, budowla jest wielka. Sprawą bardziej problematyczną jest to, czy jest ładna. Niestety z oryginalnego budynku (być może z 1586 roku, a być może z 1620) nie zostało nic po malowniczych latach 30. (lub też po II wojnie światowej – dwie wersje widziałem).

Dzisiaj podziwiać można efekty prac z lat 1998-2009. Samo wnętrze nie jest jeszcze wykończone, ale już na czym oko zawiesić jest. Nie jest to wielki hit, dość generyczna cerkiew, która jest ogromna, ale przy tym oczywiście spod igły. Dookoła generyczny park, standardowa choinka, trochę wspomnień duchownych związanych z miejscem. W tym wszystkim najbardziej dziwi, że zostawili pochodzące z czasów sowieckich ogrodzenie. Albo jest to symbolizm wyższego rzędu (socjalizm zniewalający religię), albo uznano, że szkoda pieniędzy, płot jest solidny, więc niech sobie stoi. Jeżeli ktoś nie przeżyje dzikiego przyływu wiary, to trudno mu będzie spędzić w soborze więcej niż 30 minut.



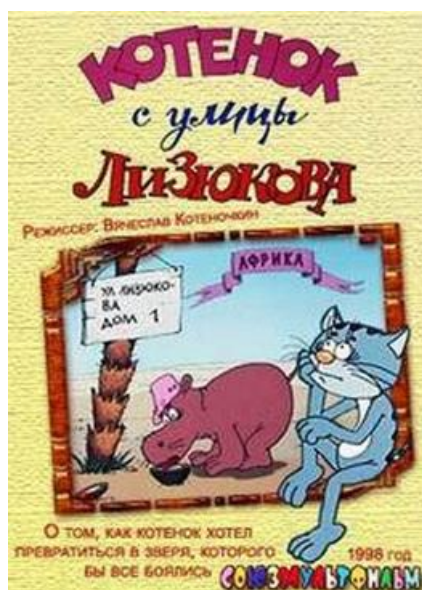
Dramatyczny święty w otoczeniu wątłych aniołów



Ale dlaczego?!

Znane są mi dwa przypadki wspomnienia Woroneża w filmach. Jednym z nich jest radziecki klasyk *Los człowieka*, w Polsce pamiętany najbardziej ze względu na scenę picia wódki szklankami, które to picie ratuje życie głównego bohatera. Andriej Sokołow, protagonista dzieła Bondarczuka, pochodzi z Woroneża, a bombardowanie tego miasta ma dość poważny wpływ na bohatera i fabułę filmu. Jest to bardzo dobre kino, ale do promocji Woroneża wykorzystać się go za bardzo nie da.

Drugi przypadek, gdy zobaczyłem Woroneż w filmie, to krótka animacja z 1988 roku – *Kot z ulicy Liziukowa*. Wizualnie dzieło jest biedne jak mieszkaniec nawet nie Woroneża, ale wioski pod Woroneżem. Pewnego dnia goniony przez psa kot Wasylj ucieka na drzewo i marzy sobie, żeby tak być jakimś potężnym zwierzęciem. Nadlatuje na to wrona i spełnia jego życzenie – z kota staje się hipopotamem, zostaje też przeniesiony w okolice jeziora Tanganika. Tam (nieco wzorem władzy radzieckiej) odmienia okolicę na podobną do tej ze swojego Woroneża. Oczywiście szybko okazuje się, że woli być kotem niż hipopotamem i że woli Woroneż od jakichś tam Afryk.



Kadr z tego wiekopomnego dzieła

Wizja hipopotama uzmysławia nam, jak trudno było wtedy pójść do zoo i zobaczyć zwierzę na żywo, na podobny trop interpretacyjny naprowadzają nas przedstawienia słonicy i lwa. Szczęśliwie, krokodyl wygląda jak krokodyl. Stężenie Woroneża w tej animacji jest obłędne – od otwierającej planszy, przez kota powtarzającego, że jest z Woroneża, aż po robienie ulicy Liziukowa w środku sawanny. Zgaduję sobie, że reżyser – Wiaczesław Kotionoczkin, który w swoim życiu pracował nad wieloma filmami, np. *Wilkiem i Zającem* – dostał polecenie, żeby zrobić coś dla ludzi z takiego typowego radzieckiego miasta jak Woroneż. Niestety był rok 1988, ZSRR miało za chwilę zdechnąć, a lokalna publika zyskać dostęp do kapitalistycznych produktów, więc *Kot z ulicy Liziukowa* nie stał się klasykiem na miarę *Wilka i Zająca*. Poza Woroneżem.



Postmodernizm dotarł do Woroneż



Na pierwszym planie: pomnik. Na drugim planie: fryzjer, samostroj, pustostan...



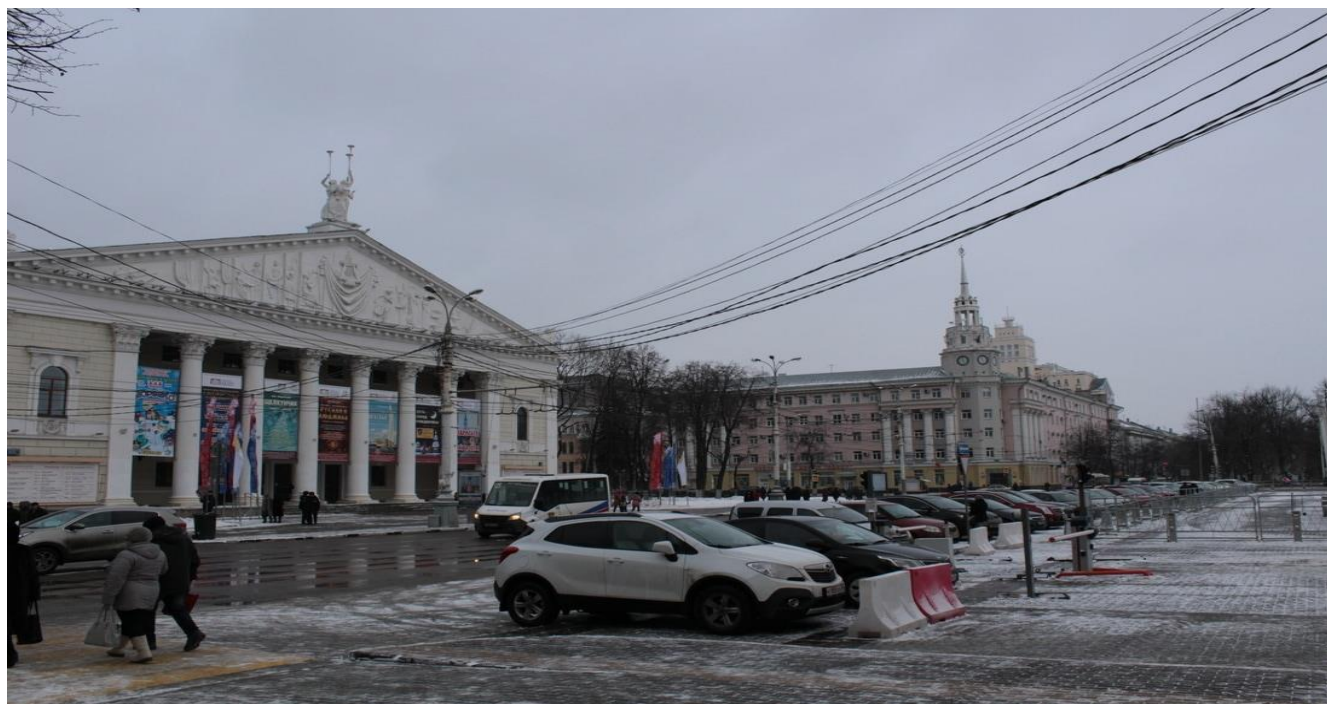
Pamiątkowa tablica z nazwą sponsora

W roku 2006 odsłonięto tam pomnik *Kota z ulicy Liziukowa*. Oczywiście na ulicy Liziukowa. A co innego mieli ukochać? Mieli wybór? No więc mogli ukochać to dzieło albo o nim zapomnieć i czekać, aż ktoś znowu nakręci coś z Woroneżem w roli głównej i może niekoniecznie będzie to dokument o narkomanii i alkoholizmie. Postanowili więc zrobić dobrą minę do złej gry i w 2003 roku wystawili pomnik kluczowej scenie z filmu/etiudy. Miejsce mieli podane na tacy. Generał Liziukow był – NIESPODZIANKA!!! – wojskowym, bohaterem ZSRR, który zginął w 1942 w okolicach Woroneża podczas kontrnatarcia na Froncie Briańskim. Wcześniej jeszcze załapał się na stalinowskie więzienie, intryguje więc, czy dobór kociego adresu był celowy (niech ludzie sprawdzą i wiedzą, a zamiast kota spopularyzujemy generała), czy też autorzy filmu po prostu chcieli wybrać najbanalniejszą sowiecką ulicę tamtych czasów, Liziukow brzmi niegorzej w zestawieniu z *katjonok* i tak to się zdarzyło, że *katjonok* zamieszkał tamże.

Sam pomnik oczywiście jest nieco na uboczu Woroneża, bo przecież inaczej byłoby zbyt łatwo. Podobno jeżeli się chwyci kota za wąsy, to będzie się miało dużo szczęścia (więc będziemy mieli). Dla lokalnych to znaczy tyle, że np. uda im się kupić bilet do Moskwy w jedną stronę. Okolice pomnika są znakiem czasów, raczej depresyjnym – obok monumentu znajduje się McDonald's i targowisko sprzedające cuda z azjatyckich krajów (skarpetki i gacie, a nie przyprawy i szmaragdy). Trochę generycznych budynków, jakiś warsztat samochodowy, supermarket z promocjami. Sam pomnik to wysiłek kilku sponsorów, pomnę, że jednych z nich był Hammerite. Ponieważ pomnik jest z metalu, to ma to sens. Sama bryła jest cytatem z kluczowej sceny filmu, wliczając w to kształt gałęzi, który umożliwia posadzenie dziecka koło kota. Wszystko pokryte srebrzanką wiadomej firmy. Efekt jest zabawno-intrygujący i nawet

przyciąga ludzi, oczywiście głównie tych z dziećmi. Wiele się tam nie da zrobić, po wytarłoszeniu kota za wasy (podobno czasem odpadają) każdy robi w tył zwrot, ogarnia, że tak jak Woroneż jest typowym rosyjskim miastem, tak ulica Liziukowa jest typową ulicą typowego rosyjskiego miasta i rozpoczyna odwrót w swoją stronę.

W 2016 roku rozpoczęto produkcję kontynuacji przygód Kota Wasyla. Mają być one w 3D. Nie wstrzymywałbym oddechu.



W centrum Woroneża jest plac. Proszę spojrzeć, jak pięknie komponują się te secesyjne linie wysokiego napięcia z urbanistycznym planem okolicy!



A na placu jest Lenin. Lenin i choinka. Starcie kultur

Taki modelowy, standardowy Lenin, taki, że bardziej Leninem być nie może. Monument autorstwa chyba już nikt nie wie kogo dłonią wskazuje świetlaną przyszłość, której nad Woroneżem szybko nie zobaczą.



Pomachajcie wodzowi!

A pod jego dłonią trwały zabawy zimowe, z kuligiem dziecięcym w centrum. Jeździła piękna ciuchcia, przerobiona z diabli wiedzą czego, pewnie traktora lub ciągnika, i depresyjnie mrugała oczyma. Robiła kółka o promieniu może czterech metrów. Jeden przejazd bajkowym pociągiem kosztował 150 rubli. W składzie pociągu płaczą dzieci, dookoła biegają rodzice z telefonami i pilują ryje „Ksjusza, się uśmiechaj! Sasza się przesun!”.

Staliśmy przy Leninie i stwierdziliśmy, że jest to lepsze niż zoo. Że to większy odjazd niż buzkaszi. Że musimy iść do jakichś świątyń, kościołów i synagog, a potem odmówić modły i złożyć dary za to, że nie przyszło nam spędzać dzieciństwa w Woroneżu.



Ta trauma musi się śnić po nocach...



Tuwim chyba inaczej wyobrażał sobie Lokomotywę...

Gdy stałem i patrzyłem na to wszystko, w końcu dotarło do mnie, że to jest to, że tak wygląda Rosja. Od Kaliningradu po Kamczatkę, tak wyglądają rosyjskie miasta: Lenin i koszmarna zabawka, zapewne dzieło jakiegoś lokalnego alkosza. Ta zabawka jest katastrofalnie obrzydliwa, ale innych rozrywek zbyt wielu nie ma, więc święto znaczy tyle, że weźmie się dziecko pod Lenina, a potem się idzie pić. Nie wymagajmy od ludzi rzeczy nieludzkich, nie można żyć w takim miejscu i nie pić. Obok była też opcja jeżdżenia na łyżwach, sponsorem lodowiska było KFC. I to był kolejny cios w pysk, bo jakby ten Lenin był za mało depresyjny, to jeszcze pod tym ubaw sponsorowany przez jedną z najbardziej flagowych korporacji świata. Kusiło stanąć koło Lenina i krzyknąć do ludzi:

– *Wiecie czemu tu tak macie? Połowa problemu to ten Lenin i jakieś 70 lat, które wam ufundował. Druga połowa to KFC, ciekawe na ile lat ten.*



Dziadek Mróz, Śnieżynka i... co to w ogóle jest? Kula śniegu?

Potem zaś zrozumiałem, że Woroneż to stolica Czarnych Ziem. Że to miasto wcale atrakcyjne dla mieszkających w okolicach Tambowa i że oni nawet mogą chcieć się tam dobrowolnie przeprowadzić... Aleksander Litwinienko, słynny z tego, że otruto go izotopem polonu, pochodził z Woroneża. Zapewne dość dobrze znał te wszystkie rozrywki, ten oszalamiający standard życia, te szanse i perspektywy. Ciekawe, czy to dzięki Woroneżowi zdecydował się zrobić, co zrobił.



Nawet płaskorzeźby patrzą z potępieniem...



Muzea regionalne – to jest to!

W każdym rosyjskim mieście średnich rozmiarów musi być muzeum. Lista jest dość banalna i krótka, zazwyczaj są to muzea wojny, miasta i regionu lub przyrodnicze. W Woroneżu poszli na połączenie wszystkich takich atrakcji w jedno. Otrzymujemy więc muzeum regionalne, w którym około trzech pięter poświęconych jest historii miasta i regionu, od czasów pierwszych osad ludzkich i mamutów. Skorupy! Dużo skorup! Aż tak dużo, że w sumie chyba nie chcą ich mieć, więc wysypali je w wielkich koszach, można sobie wziąć na pamiątkę bez większych problemów. Dziuryty jakieś, groty do dzid, miecze, wojownicy. Potem trochę ciekawiej, jakiś handelek, różne stopnie rozwoju miasta i klas w nim mieszkających. Dużo o flocie i Piotrze I

(wliczając w to odcisk jego dłoni i kopię maski pośmiertnej – gdyby to przyjąć za autentyk, rękę miał większą od głowy).

XX wiek, była rewolucja, bo w okolicy mieszkało dużo rolników. Lubię, jak z dokumentów wychodzi prawdziwy obraz życia – mieli dyplom z lat trzydziestych dla jakiegoś biedaka, który osiągnął poziom nie-analfabetyzmu, czyli pewnie umiał się podpisać i może coś przeczytać, ale już nie napisać; na dyplomie był też poziom wyższy, czyli czytania i pisania. Niestety kandydat go nie osiągnął. Po latach 20. już nic ciekawego w Woroneżu się nie wydarzyło, nie było żadnych zesłań, aresztowań, a z wojny to jedynie 1945 i odbudowa miasta. Było trochę zdjęć Chruszczowa, który gdzieś tam się zapalał na fali podboju kosmosu. Średnich rozmiarów sala na czwartym piętrze opowiadała właśnie historię podboju kosmosu i wkładu Woroneża w nią. Części modułów rakietowych wyprodukowano w znajdujących się tamże fabrykach. Dużo dużych części. Wzruszające. Było dwóch kosmonautów z Woroneża, obaj napisali książki, pokazano jakieś ich świadectwa pobierania nauk. Zapewne ze 40 lat temu ta ekspozycja była największym horrorem uczniów woroneskich szkół – ciągnęli ich i mówili: patrzcie, chamy, on miał piątkę z fizyki, a ty nie, nie będziesz kosmonautą, jak się nie postarasz!

Dział o kulturze Woroneża był wielce symboliczny, parę zdjęć z 1982 roku, gdy to wystawiono balet oparty na *Baśniach z 1001 nocy*. Tak patrząc na to wszystko, to obawiam się, że potem już wiele nie wystawili.

Na piątym piętrze mieli dział zwierzęcy. Najpierw robactwo. O jakie ładne motyle, to z Woroneża? A gdzie tam, sowieckie republiki Tadżykistan i Kirgizja (jak widać, po 1991 roku nie udało się przeprowadzić pewnej korekty geopolitycznej). Poza motylami robactwo, dużo robactwa, w tym trującego robactwa, a pomiędzy nimi biogramy autorów tych zbiorów. Czyli w Woroneżu jest albo alkoholizm, albo gonienie robactwa po krzakach raczej oddalonych od miasta. Albo jedno i drugie.

W końcu sala ostatnia. Zwierzęta okolic Woroneża z zaznaczeniem, jak bardzo zagrożone są. Pomiedzy nimi rodzina jenotów. Piękne. Poza tym lisy, jakieś kruki, gawrony, a nawet wymarła ryba (osiągała do dwóch metrów i ileś tam kilo wagi, to żarłaki wszystkie około 50 lat temu). Jak im się udało aż tak wiele osiągnąć? Jakies ptactwo wodne, *Czerwona Księga*, stopień zagrożenia I. Jakies robaczki, *Czerwona Księga*, zagrożenie III. Rybki dość małe, jasne, że zagrożone. Jakiś gawron, na liście do bycia wpisanym do *Czerwonej Księgi* – ogłoszono to niemal z dumą. Jenotów nie udało się zagrozić, wilków też nie, ale właściwie wszystko, co miało nieszczęście żyć w okolicy, już tak.

Jako całość nie było to fatalnie złe, bywałem w gorszych muzeach i to nie tylko w Rosji. W końcu mieli jenoty, fatalne zdjęcia Chruszczowa, trochę Stalina (na dyplomach szkolnych i z osiągnięć kołchoźniczych), dużo więcej Lenina. Istnienie tego obiektu pozwala na maskowanie problemu bezrobocia w stolicy Czarnych Ziem – obsługi w muzeum było więcej niż zwiedzających. Teoretycznie obcokrajowcy powinni płacić 240 rubli za wstęp, ale pani zapytała nas, czy aby nie jesteśmy dziećmi, studentami lub emerytami, więc weszliśmy za ruską cenę 180 rubli, co uważam za dość rozsądne, ponieważ płacimy w tym kraju podatki. Poza tym starałem się nie mówić bardzo wiele, więc być może nie zdemaskowałem się lingwistycznie, że nie jestem Rosjaninem. A zresztą wizja turysty-obcokrajowca w takim miejscu jak Woroneż?



Muzealny jenocik



I jego wesola, wypchana rodzinka

Dodajmy, że muzeum nie jest jedynym sposobem na maskowanie bezrobocia. Kolejnym jest policja. Tyłu policjantów nie widziałem nigdzie, stada strzegące same siebie, patrolujące miasto piechotą lub starymi samochodami. Woroneż ma niską przestępczość. Obstawiam, że większość z niej związana jest z prawem drogowym – nie wszyscy kierowcy zatrzymują się na czerwonym, a nie wszyscy piesi czekają na zmianę światła.

Flagową atrakcją miasta, reprodukowaną na wielu pamiątkach, jest pomnik wspominający założenie floty we właśnie tym miejscu. Za nim stoi wielkie centrum handlowe. Jednak kot z wiadomej ulicy prezentował się znacznie lepiej.

Ostatnią atrakcją Woroneża, nieco rozproszoną, są rzeźby różnych cudów – a to psa z *Biały Bim*, *Czarne Ucho*, a to Wysockiego, Jesienina, kogokolwiek, kto się nawinął pod rękę, żeby go wyrzeźbić i wpakować na jakiś skwerek lub jedną z mniej lub bardziej głównych ulic. Jakość artystyczna rzeźb jest dyskusyjna, zwierzęce wyszły nieco lepiej niż ludzkie. Rekordem jest Wysocki, który otrzymał tak przerażający monument, że mógłby równie dobrze być podpisany „Jurij Gagarin” i w takim samym stopniu byłby podobny do oryginału.



Nie, to nie latający spodek. To kula ziemska naprzeciwko budynku uniwersyteckiego...



Kawalek prawnego Woroneża



Przedszkole chyba samo nie wie, czy chce dzieci zachęcić, czy przerazić...



Trolling przed jednym z teatrów



To chyba pomnik idei „Czasami tak bywa, że dziecko lgnie”

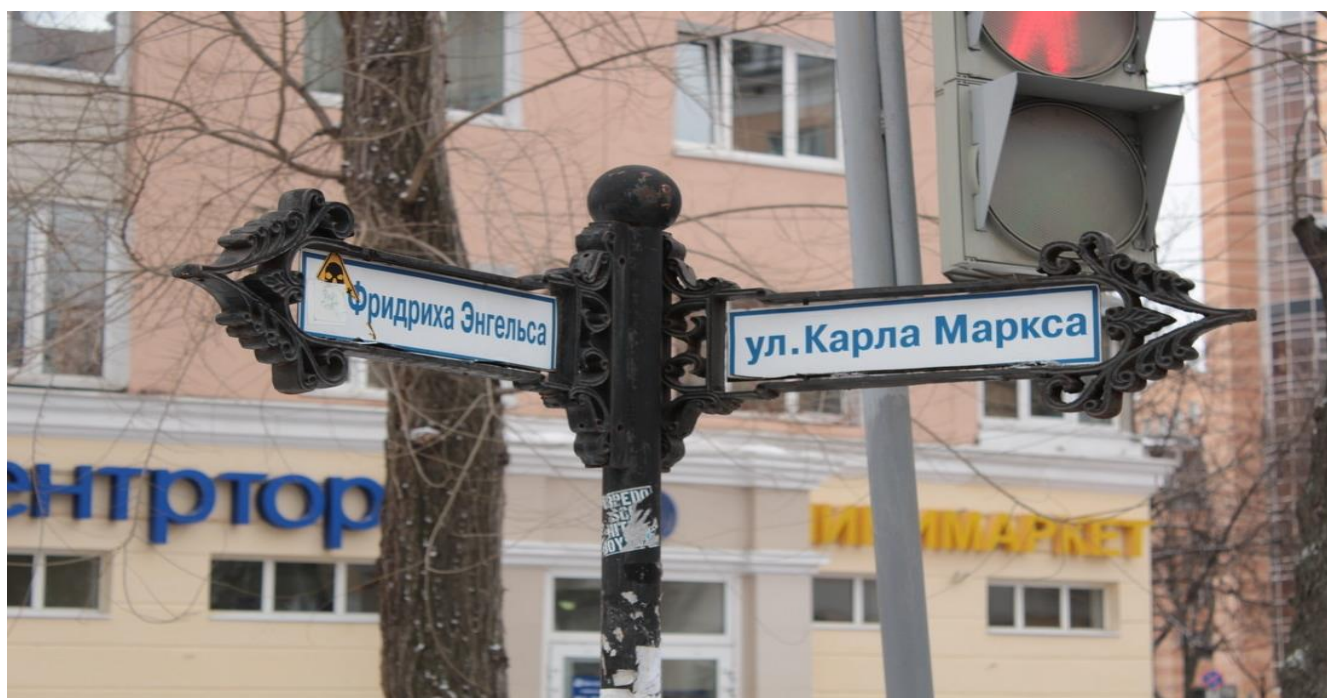


To chyba miał być Wysocki, ale wyszedł jakiś krasnolud...



Całkiem udana instalacja przed teatrem lalkowym

Cieszy też, że szalejąca dekomunizacja nie dosięgła tego miasta. Można więc wejść na ulicę Dzierżyńskiego, przejść się przez Ordżonikidze, a potem stanąć na skrzyżowaniu Marksa i Engelsa. Niestety nie ma Stalina, za to oczywiście jest Lenin.



Ach, jak pięknie...

Odkąd przyjechaliśmy do Woroneża oczom naszym ukazywały się ulotki głoszące darmową pomoc alkoholikom, narkomanom i bezdomnym. Przylepione do słupa, wyświetlane na ekranach przy dworcu, przyczepione do szyb marszrutek i w sklepach. Albo mają jakąś wersję grantów z UE i na to wyciągają pieniądze, albo dramat osiągnął takie rozmiary, że uznano, że coś trzeba z nim zrobić, bo populacja wymrze. A ta składa się z ludzi raczej posuniętych w latach, bardzo rzadko widzieliśmy kogoś z grupy wiekowej 20-40. Dużo emerytów, trochę dzieci. Umiarkowanie radosnego obrazu dopełnia architektura miasta, nie brakuje pustostanów, w wielu miejscach biją po oczach napisy ARENDA, czasem SKLEP ZLIKWIDOWANY. Ulice i chodniki były zazwyczaj pokryte lodem tak, że ledwo dawało się przemieszczać, co kilka kroków ślizgając się i niemal waląc na ryj. A jak nie lód, to woda i mrożone błocko. Po kilkuset metrach buty miało się jak po wielodniowej przeprawie przez bagna. Pomaga transport lokalny, który kosztuje całe 15 rubli za bilet, a od 22 do 6 rano – 20. Życzymy szczęścia w rozgryzieniu go, map nie stwierdziliśmy, więc ilekroć chcieliśmy dokądś jechać, to należało przeprowadzić ankietę na przystanku, a potem uzyskać dość rozbieżne odpowiedzi. Mimo wszystko nie działało to przesadnie depresyjnie, bardziej rozrywkowo. Może też dlatego, że spędziliśmy tam dwa dni, zapewne po tygodniu mielibyśmy inne przemyślenia.

Na plus zapisujemy też ludzi, którzy w odróżnieniu od Moskwy pchają się mniej, a nawet pomagają. Żłotymi zgłoskami w naszej pamięci zapisał się pan, który wyglądał na takiego, który nie ma nic przeciwko alkoholowi. Chociaż popołudnie było wczesne, to dało się odczuć, że już pił, a raczej, że nie robi sobie przerw od kilku dni/lat (niepotrzebne skreślić). Poprosił mnie o papierosa, a gdyby była możliwość to o dwa. Możliwość była i on tak się wzruszył, że zaczął zapraszać mnie na piwo do craftowego baru w pobliżu. Nie wiem, jaki to craftowy bar tam mógł być między garażami, ale był wręcz załamany, gdy z uśmiechem mu wyjaśniałem, że naprawdę jestem wzruszony, ale ja tego nie widzę. Gdy w środku nocy pytaliśmy ludzi o drogę, to powiedzieli, że nie wiedzą, ale złożyli nam życzenia noworoczne.

Nie będziemy nikomu opowiadać, że Woroneż jest jakimś wybitnym hitem turystycznym i ukrytą perłą Rosji, do której należy pielgrzymować, a potem się w niej zakochać i polecać innym. Nie jest, ale nie jest też horrorem, którego należałoby unikać za wszelką cenę. Jeżeli akurat człowiek znajdzie się w pobliżu, bo np. jedzie na Ukrainę lub Kaukaz, to Woroneż stanowi całkiem niezłą opcję na spędzenie dnia, a może nawet dwóch. Zobaczymy też, czy te kocie wąsy nie są oszukane i czy naprawdę przyniosą nam szczęście.

Riazańska dusza, kołomnańska zmarzlina

[23.01.2017]

Gdy ludzie słyszeli, że wybieramy się do Riazania, to stukali się w czoło nieco mniej intensywnie niż gdy mówiliśmy, że Woroneż. Znam nawet przypadek turystyki lokalnej zorganizowanej w tamtą stronę – jedna z mych uczennic pojechała z rodzicami tamże na jesienny weekend. Gdy opowiadałem ludziom, że chcę odwiedzić Woroneż, to patrzyli na mnie, jakbym opuścił spodnie i zaczął im robić na dywan. Gdy mówiłem o Riazaniu, to spozierali jakbym zaledwie czochrał się ostentacyjnie po kroczu w miejscu publicznym. Riazan jest zaledwie jakieś dwie godziny od Moskwy, więc popełnianie głupoty w takim wymiarze czasowym jest jeszcze dla Rosjan do zrozumienia. W końcu idzie o poznawanie historii największego kraju świata.

Wieczorową porą udaliśmy się rzucić okiem na miasto. Oczywiście wiedzieliśmy, że atrakcja jest właściwie jedna, czyli Kreml. Długo nie szukaliśmy. Niestety, nie był on podświetlony (czyli pewnie nigdy nie jest), więc wyglądał ponuro i raczej biednie. Imponował rozmiarami i drzewami okalający go park, ale sam Kreml raczej nie. Wiało śniegiem, temperatura była ujemna, więc temat zwiedzania odłożyliśmy na poranek.



Powinni zrobić aplikację Chram GO – znajdź je wszystkie!

Następnego dnia riazański Kreml wyglądał zaskakująco dobrze, lepiej niż w nocy (bo go było widać). Na drodze do niego rozstawiali się sprzedawcy pamiątek. Jeżeli z jakiegoś miejsca udało się wyprodukować pamiątki, to nie jest źle, coś tam do oglądnięcia być musi – pocieszałyśmy się sposobem znanym desperatom turystycznym na całym świecie. Przeważającą większość suvenirów stanowiły drewniane miecze, łuki i biżuteria z brązu. Produkty te pochodziły raczej z Państwa Środka, a nie z Riazania. Mimo tego udało nam się oprzeć ich wyjątkowej urodzie i ruszyliśmy podziwiać główną atrakcję miasta.



Gołębie anektujące kawałek ogrzewanego chodnika

Sam Kreml jest wcale pokaźnych rozmiarów, ma dobrze zachowane mury i dość dużą ilość miejsc, które dostarczały i dostarczają (z przerwą na większość XX wieku) opium dla ludu. O ile samo muzeum sobie odpuściliśmy (wielka w tym zasługa noworocznych cen biletów – 540 rubli, na drugim miejscu brak informacji o jakichkolwiek eksponatach, które by powalały odwiedzających), o tyle pochodzenie po okolicy było całkiem przyjemne. Turystów śladowe ilości, wiele osób z Riazania, które to z okazji nowego roku wybrały się z dziećmi do największej atrakcji miasta. Cerkwi całe stadko, dość imponująca wieża, mury obronne, most, kilka dobrych widoków na rzekę Okę.



Oczywiście drogę do świątyni zdobią małe geszefty



Widzicie tam z lewej? Ukryty chram!



Ten chram się słabo maskuje...



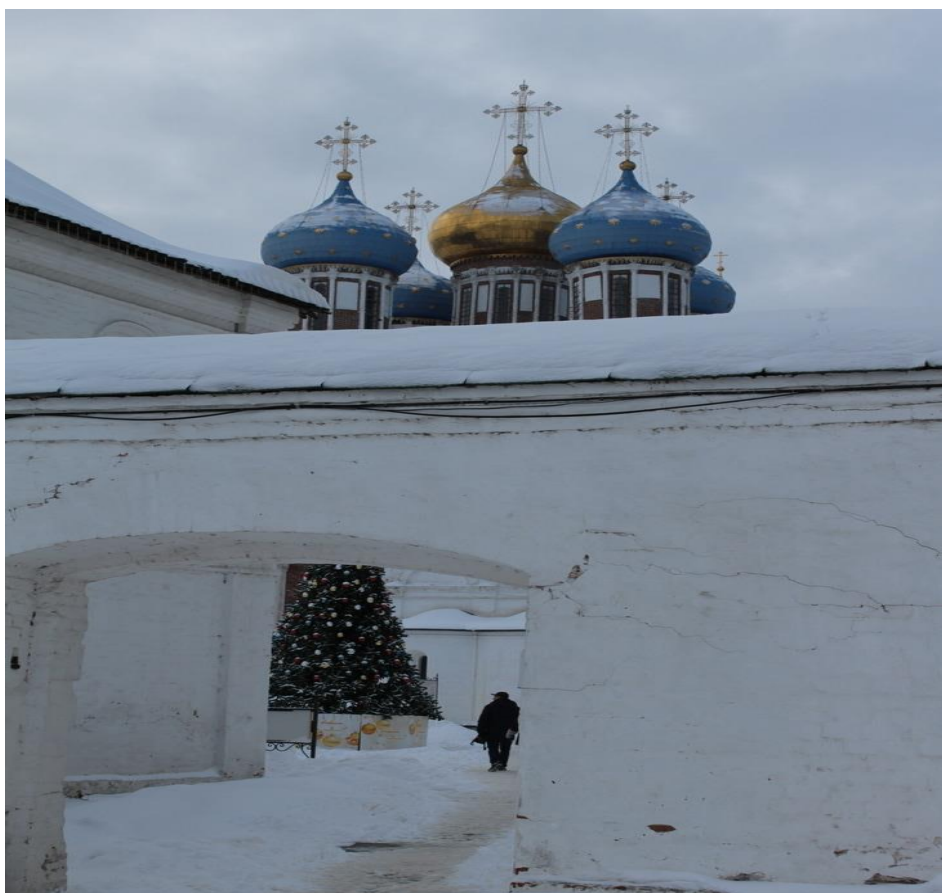
Mała baszta na prerii. Tfu, na śniegu



Miejsce osiedlenia lokalnej populacji popów



A nie mogliby teraz też tak malować okien?



Majestatyczne cebule zza muru!



Ja. Chcę. Takie. Kafelki.

Miasto może mieć nawet ponad 1000 lat. Ze względu na swoje położenie, Riazan' został zdobyty i zniszczony dobre kilka razy, a potem w końcu relokowany. Rozwój miasta poważnie wspierali Sowieci, którzy pobudowali w mieście fabryki, w tym robiącą maszyny do zbierania ziemniaków. O doniosłości funkcjonowania zakładów i tego, jak ważne było to miasto, niech zaświadczy fakt, że był to jedyny obiekt produkujący tak kluczowy produkt w całym ZSRR. Rozwój był taki, że z 72 tysięcy ludności Riazan' dość szybko wyfrunął ponad PÓŁ MILIONA obywateli. Czyż ZSRR nie był cudownym tworem? A ponieważ radzieckie oblicza rozwoju są dość powszechnie znane, to wiadomo, jak miasto musi wyglądać po latach takiej ekspansji. Za wielu działających fabryk chyba już nie ma, ale zostały bloki i budynki w różnym stanie użyteczności, zazwyczaj sprowadzającej się do bezużyteczności. Kilkadziesiąt metrów od kremłowskiego parku straszy szkielet budynku ze zbrojeniami, który chyba jeszcze będą budowali, chociaż pewności mieć nie mogliśmy, bo nie wyglądało na to, żeby jakieś prace tam prowadzono.

I oczywiście jest Lenin. Prawie taki sam jak ten z Woroneża, ale tu nie placu, a na skrzyżowaniu dróg. Wydawał się wręcz zawstydzony tym, że musi się tam znajdować.



Zagospodarowanie urbanistyczne większości rosyjskich miast polegało chyba na zamaszystym rozrzucaniu klocków po makietach...



Lenin zamawia piwo

Drugą atrakcją Riazania, a raczej okolic, jest Siergiej Jesienin. Poeta urodził się w pobliżu miasta i oczywiście jak tylko mógł, to wyjechał do Moskwy, a potem do Petersburga. Można nawet zwiedzać jego posiadłości, ale nie bardzo mieliśmy pomysł, jak się do tego zabrać, bo znajdują się one kawałek od miasta. Przy okazji, jeżeli ktoś chce popularyzować poezję, to powinien to robić przez takich poetów jak Jesienin – alkoholik, kobieciarz, prawdopodobnie samobójca, twórczość też raczej przystępna i mniej oderwana od rzeczywistości niż wielu innych poetów. Obstawiam, że Rianzań jednak nie chciałby tak bardzo sprzedawać jego wierszy, a bardziej to, że się tam urodził i dorastał. Przy tym, jak to wygląda współcześnie, to ponad sto lat temu musiało być strasznie. Z Jesienina pozostały magnesy, pamiątkowe talerze (ten relikw pamiątek jest nadal dość popularny w Rosji) i właściwie tyle. Nie spodziewałbym się wieczorków poezji w przykremlowskim parku. W imię problemu opisywanego jako „Nie przyszła góra do Mahometa”, w utworze *Epitafium dla Siergiusza Jesienina* Przemysław Gintrowski wymienia Rianzań aż cztery razy!

*I Ruś cerkiewna, Ruś dawnej wiary
Szumi pomoriem w rianzańskiej duszy (...)
Rianzańska matko, skąd w oczach łzy
Karczemne szczęście, samogon, dym
Moskwo karczemna, płyn za mną, płyn
Pokochał Zodiak rianzański syn (...)
Tutaj Jesienin w najśmieszniejszej z gier
Wybiegał w błękit zza karczemnej Moskwy
Rianzańską łaką zakwitł w „Angleterre”
Sen pożegnalny, ostatni oktostych.*

To jeszcze nie był koniec odkrywania tego, że Riazań w jakiś dziwny sposób został miejscem wielce znaczącym dla XX-wiecznej literatury rosyjskiej.



Dyskretny urok riazańskiej ulicy



Gdzie się podziały tamte witryny...

Największą niespodziankę w Riazaniu sprawił nam raczej niepozorny budynek przy głównej ulicy. Okazało się, że to szkoła, idziemy i czytamy o kolejnych bohaterach wojennych, którzy pobierali tam nauki, poziomy podniety raczej niskie.



Gieroję. Dużo gierojów

I widzę, że jakiś Solżenicyn. Pewnie jakiś wojak, odbił prarosyjski Berlin, Wiedeń, pobieda na całego. Czytam. Rany, to ten Solżenicyn. Prawdziwy Solżenicyn!



TO ON!

W roku 1957 przyszły noblista przyjechał do Riazania. Przez kolejne kilka lat pracował w szkole numer 2 i pisał, np. *Jeden dzień z życia Iwana Denisowicza* i *Krąg pierwszy*. *Krąg pierwszy* powstał w Riazaniu!!! Zachowały się listy do znajomych, w których wychwalał warunki pracy – po miejscach, w których żył wcześniej, to Rianzań musiał być rajem, chociaż trochę narzekał, że organizowanie kółka fotograficznego dla uczniów zajmuje mu czas. Aleksander Isajewicz spędził w Riazaniu kilka lat i w tajemnicy tworzył. Nie przyjaźnił się z ludźmi, bo suma jego doświadczeń sprowadzała się do tego, że ludzie w systemie totalitarnym to bardzo ryzykowna sprawa.

W tym samym budynku szkoły wiele lat wcześniej pojawiła się sama Nadieżda Krupska. Ach, jaka szkoda, że nie spotkała się z pisarzem! To byłoby wspaniałe starcie dwóch wielkich umysłów, Krupska znana z tego, że nie potrafiła gotować, była średnio atrakcyjna, a Lenin ją puszczał, i jeden z najważniejszych pisarzy XX wieku. Oczywiście tablica upamiętniająca Kruską jest w lepszym stanie niż ta o Sołżenicynie.



Zabrakło informacji o tym, czy tańczyła na stole...

Jeszcze w roku 2017 Rianzań chce otworzyć muzeum poświęcone jednej z tych dwóch osób i nie będzie to muzeum wielkiej przyjaciółki sowieckich dzieci. W jakimś stopniu zachował się dom, w którym żył i pisał autor, którego Rosjanie ogólnie nie lubią, więc miejsce na muzeum

mają świetne. Będzie więc można sobie robić wizyty u Jesienina i Sołżenicyna właściwie w jeden dzień.

Wiadomo nam o jeszcze jednej atrakcji miasta: muzeum Iwana Pawłowa, tego od psa i też noblisty, ale nie literackiego. Po krótkim wahaniu stwierdziliśmy, że dzień jest tak przyjemny, że lepiej nie sprawdzać, jak też postanowiono uhonorować wybitnego uczonego, bo mogłoby to być dość depresyjne. Zgadywaliśmy, że pies, dzwonek, wszystko po rosyjsku i że Pawłow pokazał całemu światu, jakim wielkim krajem jest Rosja.

Riazań stał się sławny na całą Rosję, a nawet i świat w roku 1999, gdy pewien czujny mieszkaniec jednego z wielu bloków zainteresował się tym, że obcy ludzie wnoszą wielkie wory cukru do piwnicy. Cukier okazał się być heksagonem, obcy ludzie prawdopodobnie agentami FSB. Wcześniej Rosję wstrząsnęły zamachy w kilku innych miastach, za wszystkie obwiniani byli Czeczeni, a cała sprawa stała się pretekstem do rozpoczęcia działań wojennych na Kaukazie. Oficjalne tłumaczenia są tak głupie, mętne i bezczelne, że można się z nich jedynie śmiać. Sprawą (w dość szerokim ujęciu) zajmował się Litwinienko i wspólnie z Jurijem Felsztinskim napisał o niej książkę *Wysadzić Rosję*, więc nieco przypadkiem nasza dość alternatywna trasa przez Rosję pokryła się z ważnymi miejscami z jego życia. A za tę książkę raczej nagród z Kremla nie miał szans otrzymać. Chyba że uznamy, że otrucie polonem i straszna śmierć są takową.

Tak jak Woroneż stał na policji, tak Riazań stoi na wojsku. W mieście znajduje się ileś tam szkół o tym profilu. O poranku potencjalni przyszli wojacy odgarniali ulice. Ilości ich były dość zaskakujące. Hm, czyli wy tu tak maskujecie bezrobocie młodych, no jest to jakiś pomysł. Dzięki temu Riazań ma dość niską przestępczość – chyba że jak oni poszaleją, to ich nie spisują. Bardzo bym się nie zdziwił.

Miałem bardzo poważne obawy, że Riazań będzie najsłabszym punktem naszej szaleńczej ekspedycji „Woroneż 2017”. Tymczasem okazało się, że coś w tym mieście jednak jest, a co najdziwniejsze związane jest to z ważnymi dwudziestowiecznymi pisarzami. Gdyby była inna pogoda, gdybyśmy mieli więcej czasu, to można byłoby poszukać domu Sołżenicyna, a może nawet jechać do posiadłości Jesienina. Gdybyśmy wiedzieli o muzeum Pawłowa cokolwiek więcej niż to, że istnieje, to może wybralibyśmy się do niego. Odkąd wróciliśmy, mówię wszystkim (których cokolwiek to obchodzi), że Riazań jest wart weekendu, że chociaż nie wchodzi w skład Złotego Kręgu, to warto. Dla mnie skończył się tym, że zacząłem badać życie i twórczość Jesienina.

Po Riazaniu nieco się wyluzowaliśmy. Jechaliśmy do Kołomny, jednej z bardziej popularnych destynacji turystycznych w okolicy Moskwy. Po Woroneżu i Riazaniu oczekiwaliśmy raczej niskiego poziomu trudności, nawet sam rozmiar Kołomny nie przerażał. Populacja – jakieś 150 tysięcy, stada turystów lejące się przez miasto cugiem od wielu lat, więc czego się bać? W najgorszym razie piszemy sobie na kartce „JESTEM TURYSTĄ-IDIOTĄ, POMOCY!”, przybijemy sobie na czole i ktoś pomoże. A w końcu jakoś jesteśmy nieco bardziej osadzeni w tym cyrku, żeby lepiej sobie dawać radę. Tak sobie myślałem. Rosja nie zarabia tych wszystkich określeń w stylu „stan umysłu” za nic. Szkoda tylko, że tak często to my za to płacimy.

Żeby dojechać do Kołomny, najlepiej wysiąść na stacji Golutvin. Oczywiście, że jest stacja Kołomna, ale z niej nie jest za wygodnie do miasta, więc należy wysiąść na Golutvin. Ma to w chuj sensu. Z naciskiem na chuj, mniejszym na sens. Ale to jeszcze spokojnie ogarnęliśmy, tu bólu nie było. Zakwaterowaliśmy się, poszliśmy do miasta. Przepiękne chaty z czasów dawno minionych, skandal, czemu Stalin tego nie posprzątał? Bo pewnie taki był wtedy standard życia, nawet w Moskwie. Chodzimy więc wieczorem, oglądamy to i po dość krótkim czasie uznajemy, że trzeba uciekać, bo jest solidnie zimno. Udaje nam się przejść całą starą część Kołomny. A raczej przebiec. Zimno było takie, że jądra wypadały nogawkami i można nimi było chłodzić drinki. Usiedliśmy sobie w jakimś lokalu, wzięliśmy napoje. Wysuszyłem sobie onuce w kiblu, gdy nikt nie patrzył. Po dwudziestu minutach przestaliśmy się czuć przemrozeni. Stwierdziliśmy, że jest fajnie i że było po chuju, kurwa, ale wystarczy tego szczęścia, drugą część zostawimy sobie na rano. Zwiedzanie w -7 i po ciemku jest umiarkowanie zabawne.

Następnego poranka wróciliśmy. Na jakiś kwadrans. Temperatura spadła poniżej -20 stopni. Pluło się soplami, a z brody robił się człowiekowi pęknięty jeź. Chcieliśmy się chociaż iść sfocić, ale nie daliśmy rady, mróz dosłownie ścinał z nóg. Po kilkunastu minutach walki z przyrodą uciekliśmy do Moskwy. Nasza mała noworoczna wyprawa skończyła się na stacji metra Wychino. Przeważająca większość moskiewskich stacji metra jest pod ziemią, ale szczęśliwie ta jest na powierzchni. Mogliśmy więc pomarznąć nieco dłużej. Ostatnie dwa dni noworocznych wakacji zostawiliśmy sobie, żeby zebrać siły do walki z życiem i rzeczywistością.

Ekspedycja „Woroneż 2017” ogólnie nam się powiodła. Zobaczyliśmy kota na drzewie, zobaczyliśmy szkołę, w której uczył Sołżenicyn, zobaczyliśmy wow okiennice. Nie ryczymy po nocach, że zdecydowaliśmy się robić Rosję alternatywną dla zdrowego rozsądku. Nie był to wyjazd, podczas którego tłukliśmy jakieś wielkie atrakcje, ale też nie było tak, że patrzyliśmy jedynie na jakieś smutne bloki, gdzie ludzie prażą kaszankę na rurze ciepłowniczej. Nie będziemy nikomu mówić, że musi zobaczyć Woroneż, ale też nie będziemy mówić, że niczego nie da się tam ze sobą zrobić.

Najsmutniejsze jest to, że istnieje pokaźnych rozmiarów grupa ludzi, która nigdy nam nie uwierzy. Nasi rosyjscy współpracownicy. Wszyscy myślą, że pierdolimy od rzeczy i oszukujemy. Gdybym mówił, że jak się wsadzi widelec do kontaktu, to tak fajnie pieści, to by mi w to prędzej uwierzyli niż, że warto jechać do Woroneża czy Riazania. Przez swój upór i znikomą wiarę w atrakcje ojczyzny tracą szanse na wytarganie wąsów kota Wasyla z ulicy Liziukowa i zapewnienie tym sobie wielkiego szczęścia.

Struktura rosyjskiej infrastruktury

[4.02.2017]

Podczas naszej ekspedycji „Woroneż 2017” musieliśmy korzystać z rosyjskiej infrastruktury transportowej, a także noclegowej w miastach średniej wielkości. Ta nas tak zainspirowała, że postanowiliśmy poświęcić jej kilka osobnych, rzecz jasna jedynie ciepłych słów. Jeżeli chodzi o większość dłuższych podróży, to problemów żadnych nie było. Kupiliśmy w bardzo ludzkiej cenie bilety na pociąg z Moskwy do Woroneża. Przez internet, strona kolejowa działa po rosyjsku i angielsku, można płacić standardowymi kartami, no jest to poziom cywilizowany. Ceny ustalają obecnie na wzór większości linii lotniczych – zależnie od popularności danej destynacji i puli dostępnych biletów.

Dlatego podróżowanie w okolicach Nowego Roku jest nieco bardziej wymagające finansowo niż w listopadzie.



Wszystkie odjazdy i przyjazdy były punktualne co do minuty, w samym wagonie nieskazitelnie czysto, a toalety z papierem i mydłem. Na pokładzie automaty z jedzeniem i piciem. Większość pociągów rosyjskich tak nie wygląda, ale dwupiętrowe już tak. Podczas podróży panowała błoga cisza, gniazdko pod fotelami, a do tego jeszcze przeproszono nas, że Wi-Fi nie działa. Tym samym pociągiem przejechaliśmy z Woroneża do Riazania. Z Riazania do Kołomny elektryczką – standard niższy, ale wiedzieliśmy czego się spodziewać, horroru nie było, chociaż w jedynej toalecie na cały skład cuchnęło dość obrzydliwie moczem, a kran stanowił wyzwanie rzucone zdrowemu rozsądkowi. Chociaż w pewnym sensie osiągnięcie inżynierii na miarę kojota goniącego strusia Pędziwiatra – jakieś rurki polepione z butelką po wodzie mineralnej. Nie wiem, czy to działało, woda nie leciała, może jej nie było, a może zamarzła. Ogrzewanie w wagonie włączano w wielce rozsądnym i ekonomicznym systemie: robimy palmiarnię, wyłączamy, robi się Sybir, włączamy znowu. Co kilka minut więc zdejmujesz ciuchy, by za chwilę je ubrać.

Z Kołomny do Moskwy jechaliśmy pociągiem przyspieszonym. Kosztował nieco więcej, niż powinien, było w nim zimno, ale przynajmniej czysto. Trzymaliśmy się z daleka od autobusów, bo słyszeliśmy o nich dość przerażające opowieści – rozkłady jazdy nie pokrywają się z rzeczywistością, duża część taboru pamięta czasy sowieckie i psuje się, zwłaszcza w zimie. Dochodzą do tego wypadki i warunki atmosferyczne. Jedynym zastrzeżeniem, jakie mamy po tych przejazdach do rosyjskiego PKP (czyli RZD – Rosyjskie Żelazne Drogi, jak to ładnie można przełożyć), jest takie, że do każdego biletu chcą człowiekowi sprzedać

ubezpieczenie. Na pewno się bardzo przydaje, ale jeszcze bardziej przydaje się kilka kopiejek. Przy kupowaniu przez internet łatwo się go pozbyć, w kasach, gdzie musimy walczyć z żywym przeciwnikiem, jest nieco trudniej, bo przecież obcokrajowiec to idiota, więc mu je należy z automatu wrzucić i dopiero, gdy się zacznie awanturować, to łaskawie pozwolić na rezygnację z tego szczęścia.



To byłby koniec utrapożytywnej części podróży, w której niemal wszystko poszło lepiej, niż się spodziewaliśmy. Przechodzimy do części kwaterunek.



Czy to siedziba Harry'ego Pottera?

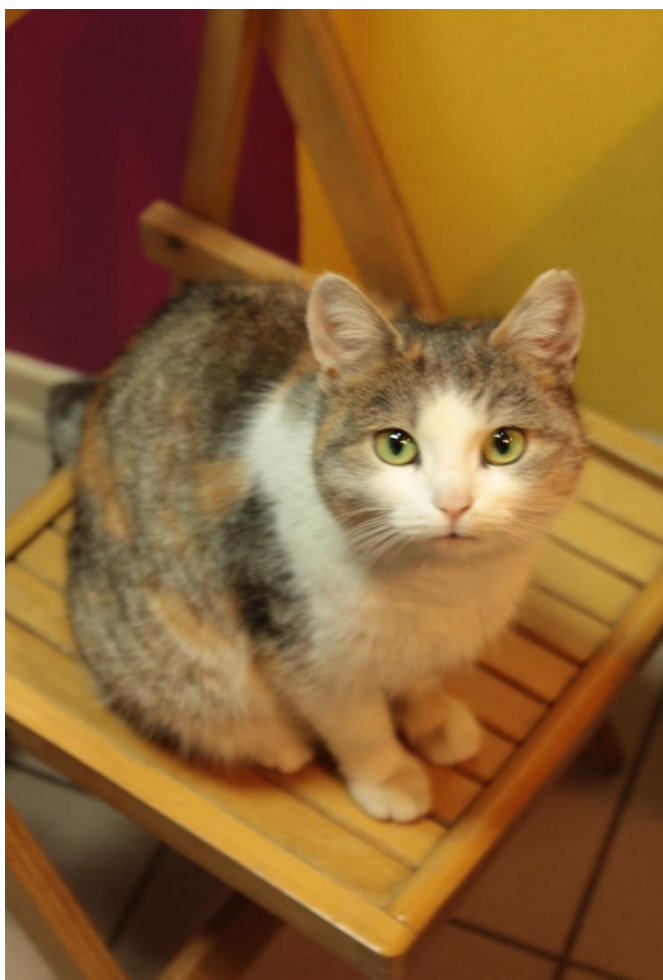


Te przestrzenie!

Mimo pewnej sumy doświadczeń jeżdżenia po tym kraju, nadal nie wiem, ile należy płacić, żeby otrzymać rozsądny standard zakwaterowania. W Woroneżu płaciliśmy ponad 20 euro za pokój bez okna. Pokój to duże słowo, bo była to komórka pod schodami przerobiona na pokój. Drzwi były z drewna jakości tektury, więc już o 8 mogliśmy wstać, bo słyszeliśmy absolutnie wszystko i wszystkich.



Pokój tylko dla bardzo zżytych ze sobą par



Darmowy kot do towarzystwa dla każdego gościa

W łazience panował kult kojota-inżyniera, czyli krzywe kafelki, a sama muszla była pochyla i się chybotwała. Odpływ od prysznica się zatykał, ale źle nie było – w Riazaniu prysznic zablokował się całkowicie i po porannej ablucji na podłodze było wody po kostki. Również i w Riazaniu mogliśmy słyszeć wszystko, co też działo się w okolicy, a płaciliśmy niewiele mniej. W obu tych miejscach obsługa była dość miła, ale mieliśmy poczucie, że turystów to tam za wielu nigdy nie mieli. Takie dekadenskie wynalazki jak mapka okolicy do wzięcia to nie, nie bardzo. Jak gdzieś tam dojechać też nie wiedzieli, a i o jakieś specjalne atrakcje okolicy nie było po co pytać.

Prawdziwy jednak rekord padł w Kołomnie. Tytułem wstępu, co jakiś czas łapię się na tym, że przykładam miary europejskie do pewnych aspektów życia w Rosji. Nie jest to pomysł z tych najlepszych. W Moskwie to sobie jeszcze można, najwyżej będzie drogo kosztowało, pewnie w Petersburgu też, może nawet i w Jekaterynburgu lub Władywostoku, ale jednak gdzie indziej wpadamy w realia wielce egzotyczne, niekoniecznie różniące się na plus od tych znanych nam z kraju przodków. Kultura hostelowa w Rosji nie istnieje, chociaż samo słowo „hostel” jest bardzo lubiane. W Kołomnie zarezerwowałem właśnie hostel, który miał średnią ocen w okolicach „8 na 10” i komentarze, że to cudowne miejsce, z idealną lokalizacją, miłą obsługą, ogólnie rewelacja tak do spania, jak i zwiedzania. Ponieważ Nowy Rok, to rezerwowałem

wszystko z wyprzedzeniem, a i tak nie było łatwo. Uznaliśmy, że na jedną noc możemy wziąć sobie dormitorium, bo ceny za dwójki były dość przerażające – jeżeli w ogóle były dostępne, w większości przypadków nie. W końcu miasto-atrakcja, blisko Moskwy, więc wiadomo, że najazd noworoczny musiał być.

Znalezienie hostelu granczyło z cudem – żadnych znaków na zewnątrz, najzwyklejszy ze zwykłych bloków w mieście. Szczęśliwie jakiś sąsiad wiedział bardzo dobrze, o co nam chodzi. Wewnątrz dramat, mieszkanie przerobione na hostel. Żadnych ścian, tylko firanki. Wisienką na torcie byli goście – pracownicy sezonowi z Armenii w liczbie czterech. Wyglądali średnio turystycznie, leżeli na pryzkach i klepali w telefony. Gdyby nie Nowy Rok i gdyby nie to, że nie wiedzieliśmy, dokąd iść, gdyby nie to, że było późno i zimno jak diabli, to byśmy wyszli. Noc mieliśmy fatalną, łącznie dało się pospać parę godzin. Co chwilę komuś dzwonił telefon, wliczając w to recepcję, czyli kobietę z deską do prasowania. Jeszcze do jakiegoś czasu oglądała telenowelę, co potęgowało przyjemność przebywania w tej wariacji na temat *Hotelu New Hampshire*.

Kolejnym wielkim plusem była łazienka: JEDNA dla wszystkich, wliczając w to ludzi mieszkających w dwójce (w której wszystko i tak słyszeli). Łazienka ta była połączona z toaletą. Jedną na jakieś dziesięć osób. Z prysznicem lejącym na zmianę wrzątek i lodowatą wodę. I przy tym wszystkim oczywiście, że Wi-Fi wymiałało. Bo to jest najważniejsze: Wi-Fi i telenowela, a do kibla możesz postać w kolejce.

Widać było, że to żaden hostel w naszym rozumieniu tego słowa, tylko po prostu kwaterunek dla pracowników sezonowych. To świetnie, że są takie miejsca, nie wątpię, że są potrzebne, tylko czy muszą one ogłaszać się na portalach turystycznych? Niech sobie zrobią jakiś portal „Kiszlak far away from Kiszlak” i trafiają do ludzi, którzy naprawdę chcą w czymś takim mieszkać. My nie chcemy, ale jak widzimy średnią ocen ponad 8 na 10, to spodziewamy się czegoś dobrego, a przynajmniej akceptowalnego. Jeżeli jednak oceniają to pracownicy sezonowi,

to ich definicja dobrego kwaterunku może nieco odbiegać od tej turystów.



Czy wyglądają na bardzo wymagającą grupę społeczną?

Wiem, jak potrafią wyglądać mieszkania na Kaukazie, więc rozumiem, że dla wielu ludzi to już jest hotel na poziomie Four Seasons – ogrzewanie, ciepła woda, kuchnia, czegoś chcieć więcej? A kto był, mówi, że Tadżykistan to jeszcze o jakieś pięterko cywilizacyjne niżej. Dzięki demokratycznym regułom trawiącym internet wkrótce ludzie wygłosują, że taki kwaterunek będzie miał wyższą ocenę niż hotel sieci Hilton – bo tam ktoś się wścieknie, że podali mu zbyt białe wino białe, a ludzie pracy są z natury często dość zadowoleni z małych rzeczy.

W każdym z miejsc, w którym się zatrzymaliśmy, obowiązywał całkowity, absolutny, totalny zakaz spożywania alkoholu. Sprawdzałem wcześniej na stronach kwaterunków tę informację, bo wiem, że w Rosji lubią sobie wprowadzić takie prawo. Żaden z hoteli ani hosteli nie pisał o tym na swojej witrynie ani w opisie przybytku, ale ledwo przekraczało się próg wejściowy, to witały nas znaki zakazu. W Woroneżu było nawet napisane, że mandat 1500 rubli. Oczywiście i tak w koszu na śmieci w naszym pokoju leżała butelka po szampanie – jak można oczekiwać od obsługi wyniesienia śmieci? W końcu jest tyle ciekawych gier na tablet, a i rosyjskie telenowele same się nie oglądają, że po prostu nie można oczekiwać od obsługi tak skomplikowanych czynności jak sprzątanie. Drugiego wieczoru dziewczynka z obsługi uznała, że nie obowiązuje jej zakaz wchodzenia w butach poza recepcję i naniosła błota na całą kuchnię.

Oczywiście jest tradycyjnie, czyli surowość rosyjskiego prawa nieco wspomaga to, że nie trzeba go przestrzegać. Tak więc jednego wieczoru zrobiliśmy wino grzane, kiedy indziej koniaczek, ale raczej się z tym chowaliśmy. Obsługa i tak miała to wszystko gdzieś, ale to już nas wkurwiło do końca. Rozumiem, że mają tu pewne tradycje zamordyzmu i duża część społeczeństwa się w nich lubuje, więc fajnie jest dostać w ryło dużą liczbą zakazów, wspomaga to proces unikania myślenia, decydowania i brania odpowiedzialności za cokolwiek. Rozumiem też, że mają tu dość bogate tradycje alkoholizmu i w nich też duża część społeczeństwa się rozpląwa, w sierpniu w Petersburgu widziałem, jaka dzida była. Istnieją jednak pewne etapy pomiędzy całkowitą abstynencją, a totalnym zugiem alkoholowym, bijatyką, pijatyką, dewastacją i wrzaskiem. Naprawdę. I naprawdę, większość dorosłych ludzi jest w stanie wypić piwo, wino, koniaczek, czy co tam życie zaoferowało i nie rozpieirdolić całego hostelu ani nie wbić drugiemu klientowi noża w plecy. Nam się to zazwyczaj udawało. Nie będę nawet pisał, w ilu krajach spokojnie siedzieliśmy w hostelach, kupowaliśmy sobie piwa od recepcji i rozmawialiśmy z ludźmi. Niestety, w Rosji wydaje się to być niemożliwe, albo patologiczne życie alkoszy, albo klasztor, a raczej ribat.



Zapomnij o takiej imprezie w rosyjskim hostelu!

Podróżując, raczej się sobie nie gotuje, tylko szuka się restauracji. Tu wkraczamy w dramat „kuchnia rosyjska”, czyli poszukiwanie czegokolwiek, co nie jest:

- kuchnią rosyjską;
- z mięsem.

W Woroneżu znalezienie sensownej restauracji nieco nam zajęło. Na dzień dobry trafiliśmy do lokalu gruzińskiego. Ładnie, ceny moskiewskie, ale naprawdę klimatycznie i czysto. Usiedliśmy, zamówiliśmy lobiani. Akurat nie było – gruzińska restauracja, w której nie mają lobiani, to swoisty ewenement, jak włoska bez makaronu. Dobrze, a chaczapuri? Chaczapuri jest. A do picia? Pół litra coli zero. Cena w karcie: 100 rubli. Pan przynosi 0,2 zwykłej coli. Pytam go, dlaczego nie zero i dlaczego 0,2. Pan nie ma odpowiedzi na to wielkie, egzystencjalne pytanie. Pytam go, ile to kosztuje. Pan idzie sprawdzić, bo przecież nie wie, a może wie, ale chce, żeby mi było wstyd, że go ganiam. Pan wraca z odpowiedzią, że 120 rubli. Dziękujemy, do widzenia.

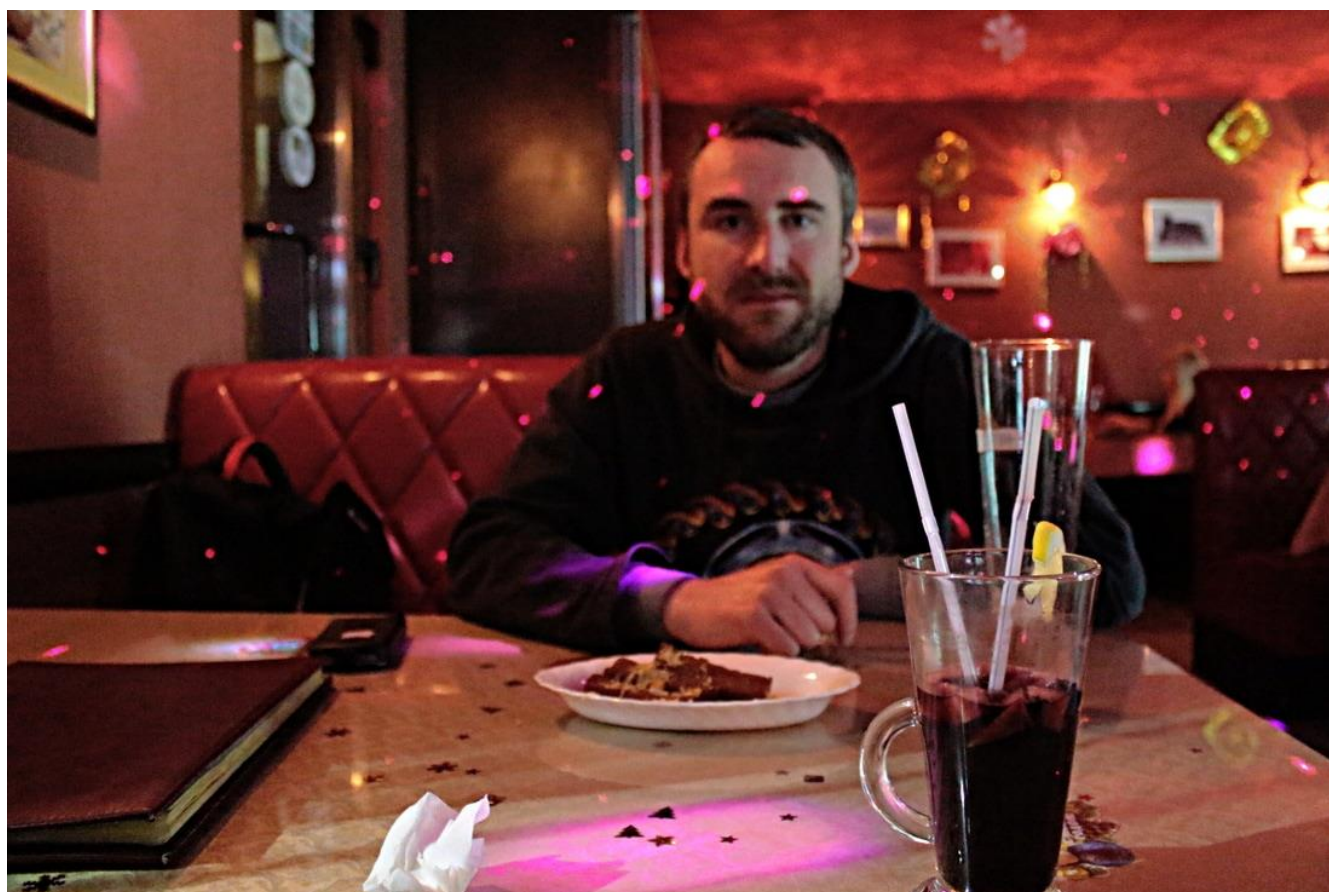
Przystanek inny, wszystko z mięsem. Wszystko. Nawet sałatki. Poszliśmy dalej, znalazł się bar stylizowany na KFC, Wendy's i McDonalda w jednym, sieciówka o nazwie Żar Pizza. Zamawiamy kawałki pizzy, więc oczywiście wybranej przez nas nie ma. Uduje się, że jest druga. A raczej ma być za osiem minut. Czekamy. Zamawiamy frytki. Też będą za chwilę. Bar szybkiej obsługi po rosyjsku, czyli wszystko, co najgorsze z jednego i drugiego systemu, niska jakość jedzenia i obsługi. Oprócz nas czeka jeszcze kilkanaście osób, robi się burdel, pizzę dostajemy z mięsem, oczywiście nikt nawet nie wie, co mieliśmy dostać. Frytki zamówiło kilkanaście osób, więc rozpoczęła się dzika walka, w jakiej kolejności klienci mają je odbierać, wszyscy mieliśmy takie same paragony. Młoda dziewczynka z obsługi wybrała zniknięcie, taktyka znana w wielu krajach, wsparta tutaj dekadami doświadczenia. W końcu jakoś tam ludzie odbierają pozamawiane dania, kolejka na chwilę maleje, za chwilę znowu rośnie. Jeszcze większe problemy mieli zamawiający kurczaki, czyli niemal każdy. Koszmar.

Wieczór, chodźmy do miasta. Przeglądnięcie lokali na Tripadvisor zaowocowało dość długą listą miejsc, do których nie chcieliśmy iść. Trudno czuć się zachęconym, gdy woroneżanie piszą, że oszustwo, że piwo to kombinacja piwa, wody i spirytusu (aż dziwne, że to się opłaca). Znajdujemy jakiś bar Złom, który wygląda na muzyczny. Przy wejściu kontrola jak na lotnisku. Po tejże pani do nas, że po 1000 rubli od osoby, na bon konsumpcyjny. Widząc, że chcemy odejść, wielkodusznie pozwala nam zostać do 22 bez kupna bonu. Ponieważ jest noworoczny tydzień, obowiązują ceny weekendowe, piwo 280 rubli, kieliszek wina 180. Nie było to złe piwo, ale po godzinie słuchania hitów z lat 90. postanowiliśmy się ewakuować. W podjęciu tej decyzji pomogła toaleta, model Soczi, czyli dwie dziury koło siebie i dyskretny zapach moczu. Nawet bardzo się nie zdziwiłem, gdy do rachunku doliczono nam 10% za obsługę, a potem nie przyniesiono reszty. Nie pierwszy raz, obawiam się, że i nie ostatni.

Honor Woroneża uratowała restauracja właściwie dworcowa o nazwie Wojaż. Szliśmy tam jak na ścięcie – czego spodziewać się po restauracji Wojaż przy dworcu w Woroneżu? A tam niespodzianka! Jedna z lepszych pizz, jakie jedliśmy w Rosji. Sałatki, napoje w umiarkowanych cenach. Nienachalna muzyka, bardzo miła obsługa, w tym i szatnia, cywilizowana toaleta. Gdybyśmy wiedzieli, to chodzilibyśmy tam przez cały pobyt.

Stosunkowo w pobliżu naszego hostelu prowadzony był sklepo-bar. Ten wynalazek to odpowiedź Rosjan na zamordystyczne prawo dotyczące sprzedaży alkoholu w godzinach nocnych. Jest sobie sklep, w sklepie lada, pani oferuje wszystko z opcją rozlania na kubeczki, kosztuje to grosze, więc zamawia się i pije na stojąco. Trochę jak piwiarnie w Czechach, ale tu wszystko z butelek, najczęściej towary z najniższej półki. Oczywiście miejsca te nie mają łazienek, więc leje się po okolicy (czasem mam wrażenie, że Rosjanie w ogóle nie leją, bo ilość toalet na obywatela jest tu chyba najniższa na świecie). Szkoda tylko, że koniaczek smakował spirytusem. Złożyliśmy broń. Normalnie w Moskwie można sobie kupić całkiem niezłe koniaki z Kaukazu w dość ludzkich cenach, ale po co, jak można też brać jakiś syfny i jeszcze puszczać go na spirycie.

W Riazaniu zaliczyliśmy lokal o nieokreślonej nazwie. Było po 22, usiedliśmy, posiedzieliśmy chwilę, czyli ze dwie godziny. Lata 90. i to solidne, ale przynajmniej ludzkie ceny i rosyjska telewizja, rarytas, który dawkujemy sobie nader oszczędnie, ale gdy już oglądamy, to odkrywamy niesamowity świat, w którym wszyscy są bogaci, piękni i w ogóle żyją nieco inaczej niż ludzie w Rosji. Piękny eskapizm. Do lokalu przyszły pijane panie z własnym alkoholem, co obsługi nie dziwiło. Nas i tym razem nie zdziwił 10% obowiązkowego napiwku. A jeszcze dla ułatwienia życia w Riazaniu wieczorem zamknięte są wszystkie sklepy, a po 22 Perekrestok nie sprzedaje nawet piwa.



Skansen lat 90.: skórzane fotele, obrusy pod szkłem, disco kula na suficie. Tak się bawi szlachta!

I znowu nieco lepiej wypadł lokal dworcowy. Nie mieli ani pół dania bez mięsa, ale kurczaka w zupie da się dość łatwo omijać, obsługa była miła i jakimś cudem nie doliczyła nam 10%. Oczywiście nie było to miejsce, do jakiego bym poszedł, gdyby był jakiś rozsądny wybór, ale go nie było.

Kołomna szczęśliwie została już częściowo podbita przez turystów i centrum miasta ciąży w stronę standardów moskiewskich. Lokal był czysty, cywilizowany, ceny stosunkowo rozsądne, menu oferowało nawet całego królika, niestety nieco mniej opcji dla osób, których nie podnieca padlina. Drugie starcie z gastronomią to był już dobry ruski standard, czyli pizzeria, która odmówiła sprzedania nam pizzy, bo oni tylko dowożą. Zapytaliśmy więc, czy jeżeli zamówimy i poczekamy, to możemy sobie wziąć sami. Nie, bo oni dowożą i tak nie można. A nie powiem, że mnie zaskoczyli.

Osobną opowieścią jest transport miejski. W żadnym z odwiedzonych przez nas miejsc autobusy i tramwaje nie miały wywieszonych rozkładów jazdy i tras na przystankach. W efekcie należało przeprowadzać wywiad okolicznościowy z lokalnymi zgromadzonymi w pobliżu. Najczęściej jednak nie wiedzieli oni, co i gdzie jedzie. O ile jeszcze można zrozumieć, że nie znają nazw ulic (choć nie wiem, ile ulic może być w centrum Riazania), to nie wiedzieć, co jeździ do dworca, to już inna opowieść. O ile jeszcze w Woroneżu i Riazaniu komunikacja kosztowała grosze (15 i 18 rubli), to w Kołomnie wchodzimy w strefę moskiewską, czyli 46 rubli. Tramwaje jeżdżą systemem kołowym, nie są ogrzewane (przypomnę: minus kilkanaście stopni), a mieszkańcy gadają bzdury. W efekcie objechaliśmy całą Kołomnę, niekoniecznie jakoś super dobrze się przy tym bawiąc. W Riazaniu i Woroneżu zrobiliśmy piechotą znacznie więcej kilometrów, niż planowaliśmy, bo albo nikt nie wiedział, albo podawali nam sprzeczne informacje, albo po prostu nie mieliśmy odwagi sprawdzać, dokąd zajedziemy sypiącym się trolejbusem. Taksówki też jakoś stadami nie jeżdżą (oczywiście jeżdżą, jak są niepotrzebne) więc poznaliśmy takie piękne miejsca, że mogę się bardzo długo śmiać z ludzi, którzy mi opowiadają, jaka to Rosja potężna. Boomu na ceny nieruchomości w Woroneżu i Riazaniu bym się nie spodziewał, można się wprowadzić od zaraz, jest dość dużo pustostanów. Niektóre chyba nawet powinny mieć status zabytków.

Swoistą perłą w osiągnięciach turystycznych jest system kolejowy funkcjonujący w Kołomnie. Istnieje stacja kolejowa Kołomna, ale nie wszystkie pociągi tam docierają. Wszystko za to jeździ na stację Golutvin, kilka kilometrów od centrum miasta. Tak więc, żeby jechać do Kołomny, należy sobie kupić bilet na stację Golutvin, a potem jechać tramwajem. Zrobiliśmy tak przy przyjeździe, ale do wyjazdu bardziej nam leżała stacja Kołomna. Biuro informacji turystycznej powiedziało nam jednak, że nie ma po co tam jechać, bo nic tam nie jeździ. Byliśmy naprawdę blisko właśnie tej stacji, a dość daleko od Golutvina. Z desperacji zapytaliśmy o autobusy do Moskwy, bo wiedzieliśmy, że są, wieczór wcześniej nawet widzieliśmy jeden. Nie, nie ma, musicie jechać na Golutvin. Pojechaliśmy, kupiliśmy bilet na dość drogi pociąg (bo jedzie 12 minut krócej od zwykłego – przy dwóch godzinach to umiarkowany demon szybkości) i pojechaliśmy. Prosto na stację Kołomna. Dla porządku dodam, że kasy dworcowe na wielkim hubie transportowym Golutvin są na zewnątrz, co w lecie może komuś umknąć, ale przy -21 stopniach solidnie wbija się w pamięć.

Dzięki tym doświadczeniom nasza pasja do podróżowania po Rosji osiągnęła niziny. Jeszcze kilka tygodni wcześniej myślałem o Kaukazie. Jeszcze coś tam nam się Bajkał przemykał po głowach.

A jak się mają sprawy po noworocznych wojażach? Po tym jak wygląda jakość wszystkiego w części dobrze rozwiniętej i europejskiej? Nie, dziękuję. Człowiek może męczyć się i śmiać z takich rzeczy w Laosie czy Kambodży, gdzie nie płaci za to zbyt wiele (choć z roku na rok coraz więcej), a pogoda nie zabija. Jeżeli ma się dwa miesiące na podróżowanie, to można się noc przemęczyć, ale gdy ma się tylko parę dni?

W Rosji zwykle podróżowanie to wydatek rzędu przynajmniej 30 euro dziennie, no chyba że robi się te hostele dla pracowników sezonowych i gotuje sobie wszystkie posiłki. Pracujemy dość intensywnie przez cały czas. Nowy Rok to jeden z nielicznych okresów, gdy możemy odetchnąć. Rozumiemy bardzo dobrze, dlaczego kto może, to z Rosji na urlop po prostu ucieka. Kochany Putin może sobie snuć opowieści o tym, że turystyka i że warto oglądać ten piękny kraj. Kraj może i jest piękny, tyle, że infrastruktura turystyczna jest ponurym dowcipem. Ceny europejskie, jakość gdzieś z pomiędzy drugiego i trzeciego świata.

Oto ostateczna wisienka na tym noworocznym rosyjskim torciku ze zguszem: biuro informacji turystycznej w Woroneżu, które z okazji święta narodowego postanowiło wziąć sobie wolne. Czynne będzie, gdy wolne się skończy i już na pewno nikt nie przyjdzie ich niepokoić.



[29.07.2017]

W ośrodku wypoczynkowym dla pracowników FSO w pokoju było zakwaterowanych dwóch panów. Jeden stara się zagaić rozmowę:

- *Na co wydałby pan pieniądze, jakby pan wygrał 1000 zł w Totalizatorze Sportowym?*
- *Na wycieczkę do Związku Radzieckiego*
- *A jakby pan wygrał 10 tys. złotych?*
- *Pojechalbym na wczasy do Związku Radzieckiego.*
- *A jakby pan wygrał 100 tys. złotych?*
- *Pojechalbym na dłuższy pobyt do Związku Radzieckiego.*
- *Panie, co pan, nie znasz pan innych krajów, tylko ten Związek Radziecki?*
- *Inne kraje znam, ale pana nie znam.*

My też znamy inne kraje, ale uparliśmy się, że chcemy pojeździć po Związku Radzieckim. Z racji niegdysiejszych rozmiarów tego niesamowitego państwa, wybór nie był łatwy. Początkowo kombinowałem Kirgizja-Uzbekistan-Kazachstan-Tadżykistan. Już mi się to powoli zazębiało, już tylko czekałem, aż Polakom zniosą wizy do Kazachstanu (znieśli w styczniu) i może do Uzbekistanu (w końcu nie znieśli i dalej to dość drogo wychodzi, za to Czesi nie muszą już kupować zaproszeń, my musimy), aż w końcu Aligator zapytał mnie:

- *Czy tam nie jest przypadkiem zimnawo w kwietniu?*

Okazało się, że jest. Mogliśmy wyrwać się na jakiś miesiąc, może półtora w kwietniu-maju. Zacząłem analizować, wychodziło mi, że klimat w tamtej części świata jest raczej przeciwko nam, zwłaszcza w górach. Co gorsza, jakość lokalnego transportu mogła sprawić, że uwalilibyśmy się gdzieś, czekając aż śnieg stopnieje. Z wielkim żalem byłem zmuszony zarzucić ten pomysł. Co gorsza, nie miałem innego.

Mongolia? Klimat ten sam, za zimno i drogi mogą okazać się nieprzejezdne. Do tego zabawy w wizę, atrakcji na parę dni, a nie na miesiąc z okładem. Dobra, stryj z sowietyzmem, cokolwiek! Bangladesz? Aligator odmawia. Pakistan? Skomplikowana sprawa, też nie do końca ta pora roku na Himalaje. Może jednak sowietyzm? Rosja? Nie, po ponad półtora roku życia w Rosji to byłoby chore, do tego w kwietniu jeszcze za chłodnawo na Syberię, wiza turystyczna droga, odpada.

Siedzieliśmy z paroma kopiejkami i bez pomysłów. Chyba pierwszy raz trafiło nam się coś takiego. Zazwyczaj nie mieliśmy czasu lub pieniędzy. A tu mieliśmy jedno i drugie. Nie mieliśmy wizji, co z tym wszystkim zrobić.

Pewnego dnia zobaczyłem jakiś artykuł, potem poszukałem i wyszło mi coś zaskakującego: Azerbejdżan zmienił regulacje wjazdowe. Gdy w 2011/12 mieszkalem w Gruzji, polityka wizowa Azerbejdżanu była jedną z najbardziej frustrujących mnie rzeczy. Wiza azerbejdżańska wymagała wizyty w ambasadzie w Tbilisi, opłaty w wysokości bodajże 80 jewro, a potem jeszcze trzeba było sobie poczekać, czy zostaniemy uznani za godnych wjazdu na teren raju na ziemi. O ile znosiłem w życiu takie upokorzenia, żeby dostać się np. do Iranu, o tyle

Azerbejdżan nie był na liście miejsc, które mogłyby mnie skłonić do popełnienia aż takiej głupoty.

Jesienią 2012 roku mieszkałem jakieś 40 kilometrów od granicy tego kraju. Gdy w kwietniu tamtego roku wizytowałem u mnie Aligator i zwiedzaliśmy kompleks (od razu kompleks, a może po prostu nieśmiały!) świątyni David Gareja, to widzieliśmy Azerbejdżan po horyzont. Niestety nie mieliśmy magicznego wpisu w paszporcie, żeby tam wjechać. Jeszcze do pieca dawało, że Gruzja postawiła sobie koszary przy granicy i nawet w mojej szkole byłem na bieżąco, gdy walili z czołgów i takich innych, co pocisk kosztuje więcej niż emerytura obywatela i pensja nauczyciela razy trzydzieści lat.



Tyle zachęcających miejsc, a tak mało czasu!

O ile o Gruzji mogę długo, trochę też o Armenii, o tyle Azerbejdżan pozostawał częścią Kaukazu, której nie było mi dane zobaczyć. Gdy byłem w Dagestanie, widziałem autobusy do Baku, ale nie mogłem z nich skorzystać, no bo wiza. A tu nagle i niespodziewanie znak z niebios, wizę obecnie robi się w internetach, płaci za nią 20 USD (o tym jeszcze za chwilę) i dostaje do własnoręcznego wydruku. Lepiej, WizzAir otworzył loty Budapeszt-Baku i ceny były tak przyjemne, że po paru dniach postanowiliśmy zrobić objazdówkę Kaukazu. Pogodziliśmy się z tym, że będziemy mieli trochę powtórek, ale w końcu jeszcze w paru miejscach nie byliśmy. Poza tym Kaukaz to jedna z moich ulubionych części świata, więc ostatnie tygodnie życia w Moskwie spędziliśmy na wyczekiwaniu wyjazdu.

Zmiana regulacji wizowych i otwarcie kraju nie jest związane z tym, że ktoś tam stał się rozsądny lub porządny, o to nigdy nie posądzałbym żadnej władzy na Kaukazie. Stało się tak, bo ceny ropy przyjemnie zagruntowały. Azerbejdżan ropą i gazem stoi, więc najpierw mieszkańcy zobaczyli, jak ich waluta wali ryjem w ziemię, a potem co bardziej świątli z nich mogli zastanowić się, czy władza w kraju spędziła ostatnie ćwierćwiecze na robieniu sobie jaj i nurzaniu się w dzikiej korupcji podlanej nacjonalizmem, czy też na przeprowadzaniu reform mogących wpłynąć na wydajność gospodarki. Niespodzianki i przesadnie oryginalnych wniosków tu nie będzie. Ktoś pewnie policzył, że dzięki uproszczeniu procedur wizowych i dzięki otwarciu się na tanie linie lotnicze liczba turystów wzrośnie, a jak już przyjadą, to przywiozą ze sobą jakiegoś pieniążka, może nawet bardziej podniecającego niż azerski manat. Dla pewności, do ceny wizy doliczono nam 3 USD za płatność kartą (innej opcji zapłacenia, oczywiście, nie ma). Tak więc wiza teoretycznie kosztuje 20 USD, ale praktycznie 23 USD.



Azərbaycan Respublikası
Elektron viza
Electronic visa, Republic of Azerbaijan
AE100019349



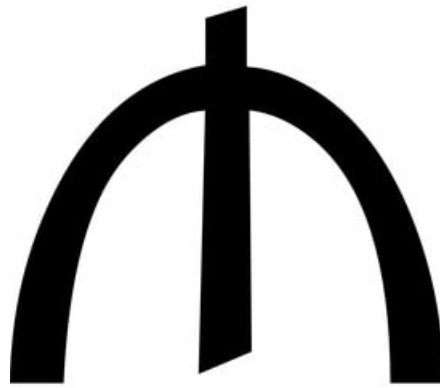
190019349

Vizanın verilmə tarixi / Visa issue date:	25.02.2017
Tarixdən / Valid from:	10.04.2017
Tarixədək etibarlıdır / Valid until:	10.05.2017
Vizanın növü / Type of visa:	Single entry
Girişlərin sayı / Number of entries:	1
Səfərin məqsədi / Purpose of visit:	Tourism
Qalma müddəti / Duration of stay:	30
Vizanı təqdim edən orqan / Visa issuing authority:	Republic of Azerbaijan Ministry of Foreign Affairs

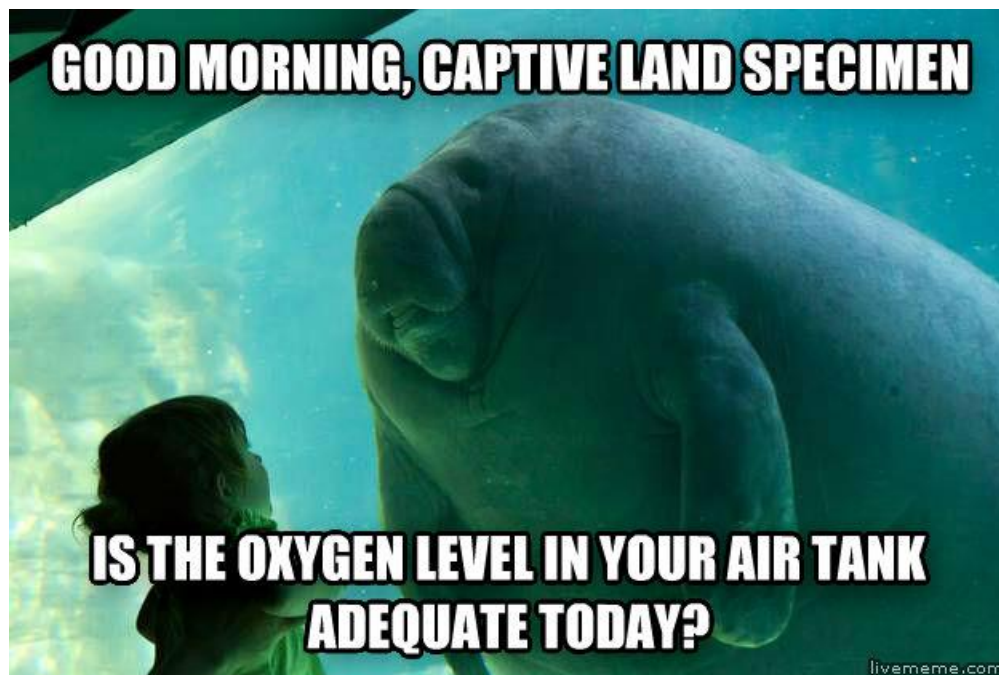
Şəxsi məlumatlar / Personal information

Investycja marzeń

A jak już o walutach, Azerbejdżan ma jedną z najwspanialszych walut świata. Manata. Od wielu lat miałem piękne wizje, jak to Azerowie przynoszą do sklepów manaty i wymieniają je na towary. Przez lata też manat miał moc euro, dzięki temu wspomnienia o podróżach po tej części świata często rozpoczynały się od słów: O jak tam kurwa drogo!!! Dzięki krachowi waluty, w kwietniu 2017 roku manat wart był jakieś pół euro. Niestety dokładniejsze badania zagadnienia doprowadziły do ustalenia, że manat powstał w wyniku zniekształcenia rosyjskiego słowa moneta, a nie z powodu miłości do tych stworzeń. A manat-zwierzę to po azersku Lamantinlər. Tym samym stracili szansę na posiadanie tak pięknej waluty zwierzęcej. Mogli chociaż zrobić jakieś obrazki ze zwierzyną, ale niestety nie zrobili. Nam manaty udało się kupić w Moskwie, ale łatwo nie było i nie sądzę, że gdziekolwiek w Polsce da się je zdobyć. Same banknoty są dość ładne, dużo lepsze niż średnia światowa i nawet instrumenty muzyczne nie wyglądają zbyt kuriozalnie.



Kopnięte euro, czyli manat



Takich oczekiwaliśmy!

W nawiązaniu do serii filmów *Oszukać przeznaczenie* na lot wybraliśmy dzień 10 kwietnia. Chcieliśmy tanio, więc było tanio, czyli wylot o koszarnej godzinie (23:50), a przylot o jeszcze gorszej (4:45). Z racji klimatu w Baku nie rosną brzozy, więc udało nam się przełamać złą passę Polaków do latania 10 kwietnia i we wczesnych godzinach porannych wylądowaliśmy w stolicy byłej republiki radzieckiej. Już na lotnisku widzieliśmy, że szlochają tęsknie, wspominając poprzedni system. Koronnym dowodem na to byli taksjarze, których lica krzyczały, że chcą socjalizmu i że takie stanie przy aeroporcie i próby wyruchania każdego do ostatniego kapika są bardzo wbrew ich socjalistycznej naturze. Szczęśliwie, jest rok 2017 i mamy internet, więc wiedzieliśmy, jak wydostać się z lotniska w wersji budżetowej. Baku aspiruje do miana bycia dość światową stolicą, więc zamiast biletów jedno przejazdowych istnieje Baku Card. Sprawy nie ułatwiają, bo można ją kupić w wersji miękkiej lub twardej – miękka podlega opłacie 30 kapików i daje nam 1,5 manata na przejazdy. Akurat przejazd

z lotniska kosztował manata, ale po mieście to są grosze, 25 kapików za przejazd, więc na jednej karcie mamy sześć przejazdów, potem kupujemy następną. W wersji twardej sama karta kosztuje 2 manaty, ale można ją doładowywać bez końca. O karcie jeszcze będzie, ale nie sądzę, że jakikolwiek turysta jeździłby po Baku aż tyle, żeby mu się opłacała wersja solidniejsza.

Droga do centrum przypomniła nam Chiny – wielkie, puste budynki mieszkalne, sklepy z najdziwniejszym bądziwem i śmieci, dużo śmieci niesionych przez wiatr. Pierwsze pozytywne zaskoczenie: działa lokalizacja Google, zaprowadziła nas jak po sznurku do hotelu. Nazwanie tego miejsca hotelem to pewna przesada; dziewczyna-studentka wymyśliła biznes i oferuje dość tanie noclegi ze śniadaniem. Pozytywnie nas zaskoczyła tym, że koło 7 rano pozwoliła nam zająć miejsce w dormitorium, co pozwoliło nam odespać radości lotu w nocy.

Gdy udało nam się zebrać do zwiedzania miasta, czekała na nas cała seria odkryć. Po pierwsze, wymienić pieniądze wcale łatwo nie jest, trzeba się udać do banku, a kurs może nie powalać. Nie ma katastrofy, ale nie należy spodziewać się, że zrobimy interes życia. W ciągu kilku dni pobytu nie znaleźliśmy żadnego kantoru poza bankami (choć przewodnik uparcie twierdził, że takowe istnieją). A w banku oczywiście miły absurdzik, spisywanie danych, jakieś kwity – szło to szybko i sprawnie, ale biada temu, kto zapragnie manatów po 16.

Mimo solidnych rozmiarów Baku interesująca część miasta jest względnie mała i spokojnie można schodzić ją na piechotę. I o ile w centrum na każdym kroku widać petrodolary wpakowane w odbudowę miasta (w tym butiki z cenami godnymi Mediolanu), o tyle kilka kilometrów od centrum robi się miły, sowiecko-azjatycki syf. W Baku diablo wieje, wiało niemal przez cały nasz pobyt, chwile bez wiatru witaliśmy z oddechem ulgi i naprawdę nie było ich wiele. O ile petrodolary pozwoliły dokonać takich wyczynów architektonicznych, że wow, o tyle nie zmieniły lokalnego podejścia do czystości i utylizacji odpadów. Śmieci. Tony śmieci niesionych przez wiatr. W Gruzji też nie jest dobrze, ale Baku to chyba najbardziej zaśmiecone miasto, w jakim byłem, nawet w Chinach aż takiego dramatu nie widziałem. Dostanie w pysk przefrującą torbę po chipsach to stała składowa spaceru dalej niż 500 metrów od centrum. Lokalnym wydaje się to nie przeszkadzać, nas doprowadzało do łez. Siatki jednorazowe dają wszyscy i wszędzie, najczęściej za darmo, więc ma co fruwać po mieście.

Co do samego wysprzątanego centrum: pochodzi z przynajmniej XII wieku, jest wpisane na listę UNESCO i nietrudno zrozumieć dlaczego. Śliczna niska zabudowa, Wieża Dziewicza z XII wieku, pełno wijących się uliczek i pałac Chanów. Samo spacerowanie bez celu jest niezłą atrakcją, a gdy dodamy do tego muzea, to robi się rewelacyjnie. Nad miastem górują Flame Towers, świetne połączenie tradycji lokalnych – czyli gazu i ognia – z architekturą nowoczesną. Chwilami Baku kojarzyło mi się z Kuala Lumpur – tam Petronas Towers, tu Flame Towers, i jedno, i drugie związane z wydobywaniem paliw. Chwała, że jednak coś za te petrodolary zrobili, że miasto zyskało budowlę, która jest takim samym jego symbolem jak Wieża Dziewicza z XII wieku. Jeszcze o wieży: wstęp kosztuje osiem manatów i jest wart każdej pletwy – budowla jest fascynująca, a znajdująca się w środku wystawa rewelacyjna, interaktywna, zabawna, zrobiona z polotem rzadko spotykanym w muzeach. Lektura informacji o niej pozwoliła ustalić, że autorem jest chłop z Łotwy. Chwała, że ktoś pomyślał, zapłacił specjaliście i osiągnął to, co osiągnął. W tym grę w rzucanie antycznych granatów w mury lub też bronienie tych murów laniem antycznej oliwy na atakujących. Do tego legendy, teorie spiskowe, ciekawostki z dawnych czasów. Oglądnęliśmy i przeczytaliśmy absolutnie wszystko, co było do przeczytania

i oglądnięcia. Podobnie pozytywnie odebraliśmy pałac Chanów, gdzie ubawu jest nieco mniej, ale skoro dali ten pałac na awers banknotu dziesięciomanatowego, to znaczy, że i tak nie mają niczego lepszego.



Popularna atrakcja związana ze śmieciami: koty śmietnikowe



Iskrzące się kolory, feeria barw – to właśnie Baku!



Obowiązkowy punkt z najpotrzebniejszymi rzeczami – dywany, amfory, a czasem jakiś zabłąkany Lenin



W ZSRR też można było udać się na wakacje pod palmami



Basen kąpielowy – początki (w tle stara wieża podziwia nową)

Jakoś nigdy nie kojarzyłem Azerbejdżanu z ciekawą architekturą. Błąd, bo widać, na co poszły petrodolary z lat prosperity. Są więc Flame Towers w kształcie płomieni, które wieczorami wyświetlają dość ładne wizualki ognia i flagi. To nie koniec, takie muzeum dywanów mieści się w budynku w kształcie dywanu, nawet zwykłe budynki mieszkalne są ciekawsze niż zazwyczaj. Poza Flame Towers obłędnie wygląda centrum byłego prezydenta Heydara Aliyeva, które zaprojektowała Zaha Hadid. Z jednej strony emerytura w kraju wynosić może poniżej 100 USD, z drugiej wydano szalone pieniądze na takie cuda. Gdy człowiek stoi przed czymś takim i gdy wiatr go niemal zdmuchuje (centrum jest na wzgórzu i tam wieje po prostu niewiarygodnie), to myśli sobie o tym, ile ciekawych budynków powstało w ciągu ostatniej dekady w Krakowie. Potem mu wychodzi, ile i odchodzi nieco zgaszony, że taki Azerbejdżan ma pomysł na siebie i na architekturę miejską, a Polska jakby nie za bardzo. Chwilami trochę się gubią i prowadzą walkę o największą flagę świata (tu po chwili prowadzenia w klasyfikacji Azerbejdżan został zdetronizowany przez Tadżykistan, który ich wyczekał i wywalił sobie jeszcze większą), ale niech sobie powiewa. Tak jak zaskoczyła nas architektura, tak też muzeum sztuki współczesnej dało w końcu nieco sowietyzmu w postaci sztuki naiwnej, za to traktującej o codziennym życiu obywateli tej dawnej republiki radzieckiej. Były więc kolchozy, traktory i fabryki. To muzeum też dają za darmo, jest nad brzegiem Morza Kaspijskiego i jest lepsze niż można by się spodziewać – po części dzięki kuriozalnej ekspozycji sztuki sowieckiej, a po części, bo w drugim budynku są wystawy artystów z całego świata, które są nieco lepsze niż obrazy o żniwach.



Dywan jaki jest, każdy widzi



Płomienne wieże, a na pierwszym planie lokalny sadysta znęca się nad zwierzyzną



Wtedy budujemy statek kosmiczny. Cały na biało!



Azerbaijan... The Final Frontier

Jeżeli komuś wyjdzie daltonizm z tablic Ishihary, to na pociechę i tak może zobaczyć wszystkie kolory flagi Azerbejdżanu. Na wszystkich listach rzeczy do zobaczenia w Azerbejdżanie jest muzeum miniaturowej książki. Trudno mi powiedzieć, że jest to jakiś wielki hit, kilkaset miniaturowych książek spokojnie leży w gablotkach, informacji za wiele nie ma, ale jest za Bóg zapłać, do tego w samym centrum starówki, więc nie wypada narzekać.



*Próby łowienia ryb na literaturę okazały się rozczarowujące.
Dar azerskich rybaków dla muzeum w Baku*

Znacznie mniej popularną atrakcją jest park imienia Richarda Sorge, poświęcony radzieckiemu szpiegowi, który urodził się koło Baku. Jakimś cudem nie został zdekomunizowany i dzięki temu można cieszyć się zaskakująco dobrą rzeźbą, która oddaje hołd Bondowi czasów ZSRR. Niestety, reakcyjne siły sprawiły, że jest to właściwie jedyne nawiązanie do systemu dawno minionego (no i obrazy o żniwach). Miasto jest niemal w całości przebudowane, w muzeach sowietyzmu praktycznie nie ma, tak jakby cały XX wiek się nie wydarzył. Można natrafić na wspomnienie prac archeologicznych z dawnych lat, ale niestety, nie widzieliśmy niczego traktującego o 26 komisarzach z Baku, o bardziej szalowych postaciach dawnego systemu (Le-nin! Le-nin!) nie wspominając. A jak już o komisarzach mowa, to jest taki błąd dowcip:

Baca chce się zapisać do partii. Dostaje pytanie:

– Wymieńcie 30 komunistów.

– Lenin, Stalin, Chruszczow, Breżniew...

– Dalej, dalej!

– I 26 komisarzy z Baku.



Sorge patrzy. Sorge widzi. Sorge wie o Tobie wszystko!

Początkowo mieliśmy zostać w Baku trzy dni, ostatecznie zatrzymaliśmy się na nieco dłużej. Poziom trudności był niski, wszyscy mówią po rosyjsku (z angielskim też nie było źle), a azerski pisany jest alfabetem łacińskim z pewnymi wariacjami. Po opanowaniu paru nieco dziwnych (z naszego punktu widzenia) realizacji liter, da się zrozumieć przynajmniej nazwy miast i przystanków w metrze. Samo metro jest typowo sowieckim tworem z paroma nowoczesnymi dodatkami. I tak jak widać, że Sowieci wiedzieli, jak budować metro, tak też widać, że bardziej współczesne systemy polityczne miały z tym bardzo poważne kłopoty. Dodane linie są kuriozalne, mapa jest nieintuicyjna i da się nieco pogubić albo nie wpaść na to, że po jednej trasie jeżdżą składy mające różne pętle. Na każdym kroku chwaliliśmy kryzys, bo mimo załamania waluty ceny pozostałe na poziomie sprzed lat. W efekcie Azerbejdżan roku 2017 jest krajem dość tanim do podróżowania, budżet 20 euro dziennie spokojnie wystarcza na zwiedzanie stolicy i stołowanie się na mieście.

Jeżeli chodzi o samo jedzenie, Azerbejdżan to raj dla wielbicieli kebabów i wegetariańskie piekło. Kebaby są wszędzie i są tanie, 3 manaty to standardowa cena, ale można zjeść za jeszcze mniej. Niestety temat wegetarianizmu jest w Azerbejdżanie bardziej obcy niż temat praw człowieka w Chinach. Znaleźliśmy jeden lokal, który robił falafele, ale jeżeli akurat nie byliśmy w jego pobliżu, to przychodziło nam jeść dania mięsne. Najczęściej wygrywał lahmacun, niby tureckie, ale dość popularne i ze znikomą ilością mięsa, przy tym ostre, więc nie było czuć smaku tej wykwintnej mielonki, którą do niego dawali. Sama kuchnia azerska chyba nie przewiduje, że możliwe jest jedzenie czegoś bez mięsa. Teoretycznie kutab (czyli taki naleśnik) można dostać z warzywami, ale nam się nie zdarzyło, zawsze były warzywa z mięsem.

Lepsze wspomnienia mamy związane z odkrywaniem lokalnych win. O ile w Moskwie zdarzało nam się widzieć, że coś tam z Azerbejdżanu monopole miewały, o tyle nie przypominam sobie, żeby cokolwiek docierało do krajów Unii Europejskiej. Wycieczka po okolicznych sklepach pozwoliła na ustalenie, że islam islamem, ale trochę wina robią. Z kilku przetestowanych przez nas żadne butów nie zerwało, ale już za jakieś pięć manatów mogliśmy cieszyć się czymś wcale pitnym. Nie jest to poziom Gruzji, ale szczęśliwie dało się znaleźć coś sensownego. Tak dobrze nie można się wypowiedzieć o lokalnym piwie – różne etykiety, różne nazwy, jedno oblicze dramatu, czyli za mało smaku piwa, a za dużo wody, wołtaż dziecięcy, a czasem można naciąć się na ciepłe (w końcu w takim kwietniu bywa około 20 stopni, więc jak pić zimne?). Nieco, ale niewiele lepiej jest w lokalach, gdzie piwo kosztuje manata. Lokale te jednak nie wydają się być przesadnie zainteresowane obsługą ruchu turystycznego, a przede wszystkim, kobiet. W centrum są miejsca, gdzie płaci się solidnie, ale standard jakby bardziej zachodni, czyli popularna nuta, wyemancypowane Azerki i ogólna pompa. Mamy pewną awersję do takich klimatów, ale widzieliśmy, że są miejsca, gdzie można pójść po bandzie i to przez wszystkie wiraże. Poza nie wypadł pan odziany w łachmany, z włosami które przemieniły się samoczynnie w dredy, który pewnego wieczora siedział pod marketem i jadł kostki cukru. Kupiliśmy ładny chleb – lawasza i chcieliśmy mu go podarować. Miał jednak swoją godność:

– *PASZOŁ TY NA CHOJ!* – odparł, widząc mój szczodry prezent.



Ich werf ein Licht, in mein Gesiht



Które wrota prowadzą do piekiel?



Z cyklu „Jak zrobić zdjęcie tak, żeby nie było widać tych okropnych turystów”

Początkowo myślałem, że Baku będzie drogie i będziemy chcieli z niego szybko uciekać. Myliłem się, było tanio i wygodnie, więc nie spieszyliśmy się z opuszczeniem miasta 26 komisarzy. Jeden dzień poświęciliśmy na wizytę w zoroastriańskiej świątyni na obrzeżach miasta. Dostanie się tam pozwoliło odkryć różne oblicza bakijskiego transportu (kilka przesiadek w metrze i busy), ale udało nam się i było warto. Jak przystało na miejsce słynące z kultu ognia, świątynia jest dość pokaźnych rozmiarów, ale niestety odrestaurowana całkiem niedawno. Płonie zoroastriański ogień, ale z palnika gazowego, w paru miejscach sprzedają gówno dla turystów. Szczęśliwie, tych zbyt wielu tam nie dociera, więc nie ma katastrofy. W sumie to jeden z większych plusów Azerbejdżanu – kraj ten mało komu kojarzy się z turystyką i mało kto tam jeździ, dzięki temu przez większość czasu ma się święty spokój, a wiele miejsc tylko dla siebie. Upierdliwość ludności miejscowej też jest znikoma, więc zwiedzanie nie jest horrorem na miarę Azji lub popularniejszych miast Europy.

Największy dramat zaliczyliśmy dzięki Baku Card. Po dwóch dniach widzieliśmy, że nie ma sensu kupować karty, którą można łądować – komunikacja miejska jest tak tania, że papierowy bilet wystarczył nam na trzy dni. Gdy chciałem kupić kolejny, z pomocą przyszedł mi azerski młodzieniec, który chciał sobie poćwiczyć angielski. Zaoferował, że kupi nam bilety, bo automat jest taki skomplikowany, że nie podołamy. Dałem mu pieniądze, powiedziałem, co dokładnie chcemy. A on na to kupił nam plastikowe karty do łądowania. Cztery manaty w dupę i musiałem bardzo się trzymać, żeby się nie wydrzeć, że jak nie rozumie, to niech, kurwa, nie pomaga, bo więcej szkody niż pożytku. Podziękowałem przez zaciśnięte zęby, westchnąłem ciężko nad straconymi pieniędzmi i poszedłem doładować te wspaniałe karty. Tu oczywiście okazało się, że automaty działające wystawiono na lotnisku, ale w mieście to już są takie zdezelowane maszyny, które bardziej nie działają niż działają. W efekcie nie udało mi się doładować karty – z kilkunastu monet jakie wrzuciłem, maszyna przyjęła tylko kilka. Starszy pan zamienił mi niektóre z moich kapików na swoje, ale nawet po tym manewrze mieliśmy jedynie 0,9, a karty nie można doładować kwotą mniejszą niż jeden manat. Z pomocą pana wydrukowaliśmy papier (maszyna nie oddaje pieniędzy) i poszliśmy do metra. Bardzo nas cieszyło, że zamiast iść coś pooglądać, to możemy odkrywać wątpliwe uroki zbiorkomu stolicy Azerbejdżanu. W metrze oddano nam 0,9, co je maszyna wzięła. Według wszystkich informacji, powinni też oddać po 2 manaty za Baku Card. Pan powiedział, że nie odda. Porozmawialiśmy dość długo na ten temat, poinformowałem go, że jego pracodawca oficjalnie reklamuje się, że Baku Card można oddać, ale pan powiedział, że on jej nie weźmie. Wkurwiłem się i wieczorem napisałem maila do odpowiedniego miejsca. Następnego dnia dostałem odpowiedź:

Dear Jenot

well, officially you can get a refund, the other reason is why they didn't do it? perhaps just didn't want to bother. One can launch a complain to managing authority but am not really sure about the procedure. But they definitely should have made you a refund at the first request.

*Yours sincerely,
Communications director,
Zaur XXXXXXXX*

To jest po prostu piękne – no oficjalnie tak, ale im się nie chce i nic się z tym nie da zrobić, tak jest i tyle, na chuj robić problem? Potem zaś krążą takie rzewne opowieści, jak to biednie i ciężko. Może dlatego, że korupcja, lenistwo i niekompetencja? Przyznam, że tak mnie rozbawili, że w pewnym sensie się ucieszyłem z tej całej przygody. Baku Card używam jako zakładki do książki, jest to jakaś pamiątka, chociaż mam też ciekawsze.

Swego czasu Aligator robił kurs nauczycielski z dziewczętami z Azerbejdżanu. Jeszcze zanim je poznałem, wiedziałem jedno – azerskie imiona żeńskie niesamowicie rozpalają wyobraźnię – Guntakin, Guney, Zeynad, Nuhra, przy tym dagestańskie Patimat brzmi jak pseudonim wyuzdanej portowej striptizerki. Wykorzystaliśmy tę znajomość i dzięki temu pewnego wieczoru mogliśmy zobaczyć, jak żyją ludzie, a konkretnie azerska klasa średnia. Bogactwa nie było, bizantyjskiego przepychu brakowało, ostatecznie zastaliśmy kilka osób na średnim metrażu. Najbardziej jednak dziwiła nas ascetyczność pomieszczeń, z naszego punktu widzenia było tam strasznie pusto. Z ich punktu widzenia, każdy dom w Europie przeładowany jest przedmiotami i należałoby przynajmniej z połowę z nich pochować (co zresztą uczyniły, gdy kiedyś były w Polsce). Nasz wegetarianizm wzbudził nieco popłochu, ale udało się podjąć nas jedzeniem bezmięsnym. Przy tym, jakie one miały mięso dla siebie... Niebiosom dziękowaliśmy, że nie jemy mięsa. Aż trudno uwierzyć, że takie ładne Azerki mogą jeść coś tak odrażająco cuchnącego, pełnego tłuszczu, kości i mięsa, które w niektórych miejscach miało odcienie czerni. Z rozmów udało nam się ustalić, że mimo wpisu w *Lonely Planet* to policja w Baku ma ogólnie wyjebane na rzeczy w stylu przechodzenie ulicy na dziko i tylko od przypadku do przypadku pozbiera jakieś łapówki, a to raczej od lokalnych, a nie od turystów. Nie zdziwiło nas, że egzamin na prawo jazdy jest absolutną fikcją, uprawnienia można sobie kupić, a ktoś, kto chciałby je robić po bożemu, odbierany jest jako wariat, mściciel i podejrzany. W efekcie ruch uliczny wygląda tak sobie, lepiej niż w Indiach i Chinach, ale nieco gorzej niż w Rosji.

Nie przeżyliśmy przesadnego zaskoczenia, gdy dowiedzieliśmy się, że rodzina wywiera presję w kwestii brania ślubu i mnożenia się, również nie pomdleliśmy, gdy opowiedziano nam o dramatycznym skażeniu przyrody, w tym jezior. Głodowe emerytury? Nie, niemożliwe, w byłej republice sowieckiej? To musi być kłamstwo! Im człowiek dłużej żyje, tym mniej niespodzianek go spotyka. Tu jednak czekało nas coś pięknego: odkąd gruchnął kryzys, sobota stała się dniem pracującym. Jedna z nich jednak miała ludzkiego pana, który pozwalał im wychodzić aż GODZINĘ wcześniej w soboty. W ten sposób jej tydzień pracy wynosił 47 godzin tygodniowo, przy pensji takiej jak wtedy, gdy miała tych godzin 40. Zachciało się obalać socjalizm i wychodzić z ZSRR? Zaraz się jeszcze dowiedzą, że ten kryzys taki straszny, że i w niedziele trzeba robić, no tak tylko po 6 godzin niech będzie. W świetle tych opowieści prawdziwie szokowały informacje o tym, że młodzież chce uciekać, masowo uczy się angielskiego i/lub rosyjskiego, bo przyszłość wydaje im się malować w dość ciemnych barwach. Sam rosyjski ma status z czasów ZSRR, odbierany jest jako język wykształconych i elit, aż do takiego stopnia, że niektórzy się lansują, że nie znają azerskiego – bo chodzą do szkół z wykładowym rosyjskim.

Jedną z największych atrakcji całego kraju (a zaszalejmy: Kaukazu) jest Qobustan, oddalone kilkadziesiąt kilometrów od Baku miejsce, gdzie w odległości kilku kilometrów możemy podziwiać błotne wulkany i petroglify. Można dostać się tam w wersji łatwiejszej, ale znacznie mniej pasjonującej – wykupując wycieczkę, nasz hostel chciał 160 manatów

za samochód. Ponieważ było nas tylko dwoje, wyszłoby po 80 za twarz, trochę dużo. Internet donosił, że da się tam dostać za grosze zbiorkomem, a taksówkę wynająć dopiero na miejscu. Dopiero ta wyprawa pozwoliła nam należycie ocenić rozmiar Baku – po przedmieściach jechaliśmy dobre 40 minut, głównie po szerokiej drodze bez świateł, co jakiś czas kogoś wysadzając lub zbierając. Wiedzieliśmy, że przesiąść mamy się przy centrum handlowym Dina. Spodziewaliśmy się – zwiedzeni nazwą – centrum handlowego. Zamiast tego wjechaliśmy w dramatyczny trzeci świat, w którym budy, pospiesznie sklezione jakieś 20 lat temu, oferowały produkty wiadomej jakości z Chińskiej Republiki Ludowej. Kupujących nie brakowało, tak jak i ruchu w interesie. Centrum ciągnęło się solidny kawał drogi (która z okazji dotarcia do tej świątyni konsumpcjonizmu zamieniła się w trakt). Gdy nas wysadzono, to myśleliśmy, że to jakaś pomyłka. Jakies bloki betonu przy stacji benzynowej, kilka metrów dalej była toaleta publiczna. Dookoła wesoło fruwały śmieci, toczyły się puszki, a słoneczne promienie odbijały w pustych butelkach. Nie brakowało też odpadów nieco mniej banalnych – a to worek jutowy, a to kanisterek po oleju. Byłem pewien, że utkniemy tam na kilka godzin i skończy się na powrocie do Baku. Oczywiście myliłem się, w kilka minut później jechaliśmy do Qobustanu – bo ta zapadła stacja benzynowa za centrum handlowym okazała się być jakimś lokalnym węzłem komunikacyjnym. Kierowca jeszcze upewniał się, że zależy nam na atrakcji turystycznej, a nie na samej miejscinie. Gdy kilka razy potwierdziłem, że rysunki skalne, a nie jakaś bieda, mogłem oglądać, jaki ten Azerbejdżan piękny. Śmieci, śmieci i śmieci. Co jakiś czas szyb naftowy, trochę Morza Kaspijskiego, ale dominowała półpustynia. Brzydko i smutno.



Krajobraz księżycowy, rzut beretem od stolicy Azerbejdżanu

Intrygujące jest to, że do dwóch największych atrakcji kraju dostać się da jedynie, korzystając z transportu taksówkowego. Po krótkich negocjacjach wsiedliśmy z panem i ruszyliśmy w stronę pierwszej z nich, czyli wulkanów błotnych. Mnie by było szkoda samochodu na takie klepisko. Śmieci, śmieci, tony śmieci, jakieś smutne pozostałości trakcji elektrycznej, krajobraz księżycowy. W końcu dotarliśmy do wulkanów i zaczęło to wyglądać intrygująco, okolice z cyklu całkowity koniec świata. Dookoła pełno wulkaników błotnych, niektóre wesoło bulgoczące i plujące trochę błotem. Turystów kilku było, ale nie mieliśmy problemu, żeby móc znaleźć sobie obiekt dla samych siebie i poobserwować, jak to gulgocze. Wulkany Qobustanu były swego czasu finalistami konkursu na nowe siedem cudów świata, ale przegrały. Dzięki temu nie ma tam wścieklej liczby turystów, nikt nie sprzedaje niczego, a cała atrakcja jest za darmo, chodzić można wszędzie, a jak ktoś miałby specjalne życzenie, to może się i w tym wulkanie wytarzać.



Plenerowe SPA, a także DIY

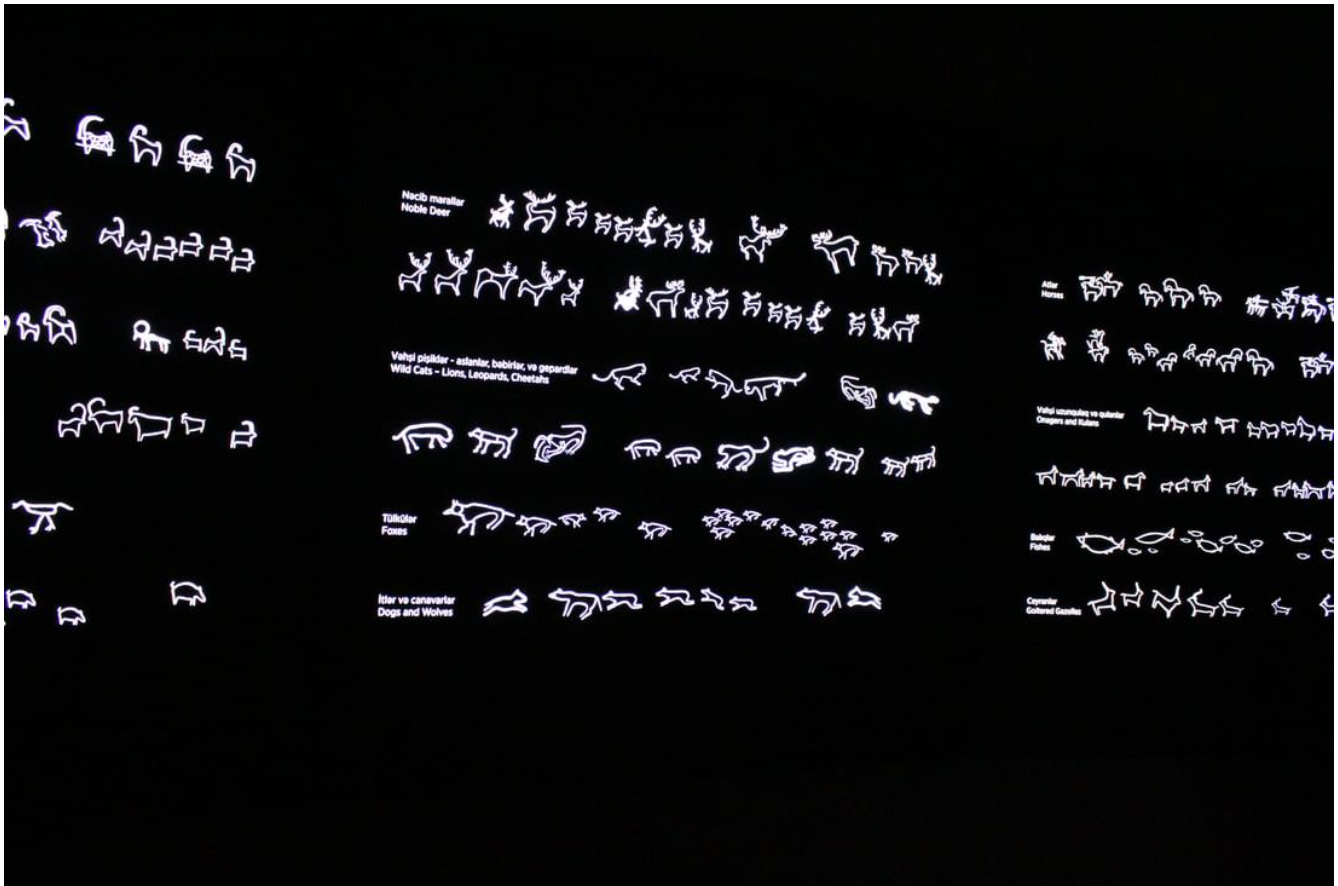


Wulkan taki dystygowany!

Już po tym byliśmy pod wrażeniem, a czekały na nas petroglify. Kolejny dzień podbudował pozycję Azerbejdżanu na miejscu lidera muzeów – znowu wszystko było ciekawe, w dobrym angielskim, z wielką ilością obrazków i rzeczy do poklikania. Siedzieliśmy w tym muzeum dość długo, więc gdy wyszliśmy, to nasz kierowca chciał nas zabrać z powrotem na przystanek autobusowy. Pozwoliliśmy sobie zirytować go nieco, życząc sobie, żeby jednak zawiózł nas jeszcze parę kilometrów dalej, bo poza muzeum to interesowałyby nas petroglify na żywo. Sapiąc z irytacji, zabrał nas do głównej atrakcji kraju. Nie wiem, kurwa, czy myślał, że zmieniliśmy zdanie? Że nie chcemy jednak tego oglądać? Przytachaliśmy się, kupiliśmy bilety wstępu, zapłaciliśmy za jego wjazd, a potem uznaliśmy: „a, jebać petroglify, wulkany wystarczą!”? Dzięki wszystkim moim podróżom napiszę kiedyś monografię o taksiarzach świata – dokąd nie pojedziesz, króluje kombinatorstwo, nachalność, bezczelność i w miarę możliwości omijanie podatków. Azerbejdżan to i tak nieźle, a pan łaskawie zawiózł nas, dokąd chcieliśmy i przecierpiał, że oglądaliśmy tysiącletnie malunki przez dłuższą chwilę, bo skoro już przyciągnęliśmy się do Kraju Ognia, to chcieliśmy zobaczyć coś z jego największych atrakcji turystycznych.



Piękny, zadbany ogród pośrodku pustyni. Kto bogatemu zabroni?



Kiedys to mieli fantazję, a teraz tylko litery, litery i litery



Petroglify live! Czyli wizerunki miłego bydła



I jeszcze trochę bydła...



Graffiti, czyli wandalizm. Początki

Powrót do Baku udało nam się odbyć za pomocą transportu publicznego i kosztował nas kapiki, dokładnie 50. Czyli mimo sporej odległości da się dostać do Qobustanu za jakąś złotówkę (plus opłata za taxi, plus wstęp do muzeum). W skali różnych pułapek turystycznych jest to bardzo niski poziom trudności, wręcz rozczarowujący.

Z całego pobytu w Baku najbardziej zapadł nam w pamięć jeden z obywateli bywszego Związku Radzieckiego. Muhammad z Tadżykistanu. Dzielił z nami hostel i nie miał zbyt wiele do roboty. Gdy go poznałem, zagaił do mnie po angielsku. Był się w stanie komunikować, ale dość szybko przeszliśmy na rosyjski. Decyzji mogłem pożałować w kilka minut potem, gdy poprosił mnie o rolę tłumacza w jego dynamicznie rozwijającym się biznesie. Interes stulecia zasadzał się na sprzedaży gazu ziemnego z Rosji do Indii. Po drodze kluczową rolę odegrać miała ojczyzna Muhammada, Tadżykistan. Hindus po angielsku mówił nieco lepiej, ale nie do końca rozumiał, co też się dzieje. Tłumaczyłem więc, że Muhammad ma wtyki w Gazpromie i że jest mu w stanie załatwić gaz. Tamten miał się zająć transportem gazu z Tadżykistanu do Indii. Zapewne transport tego przez Pakistan byłby świetną zabawą, ale zachowałem swoje myśli dla siebie i tłumaczyłem te negocjacje, które zasadzały się na tym, że Muhammad chciał, żeby Hindus do niego oddzwonił. I tak w tym miejscu, gdzie Europa spotyka Azję, w kraju, w którego całą historię wpisany jest ogień, mogłem pośredniczyć w interesach pomiędzy wysokiej klasy wspólnikami z krajów dynamicznie się rozwijających.

Kolejnego dnia poinformował mnie, że zmienia rynek inwestycyjny. Na Jewro Sajuz, bo Unia Europejska zużywa dużo mazutu. Nie znam się na tym, ale jakoś nie wydaje mi się, że polityka energetyczna UE miałaby być powiązana z „oleistą cieczą będącą pozostałością po destylacji niskogatunkowej ropy naftowej”. Znowu zachowałem swoje przemyślenia dla

siebie i odpowiedziałem według swojej wiedzy na temat możliwości sprowadzenia mazutu do Polski. Odpowiedź zacząłem od tego, że Jewro Sajuz to takie magiczne miejsce, gdzie papiery jednak wypada mieć w porządku i że z racji tego, że obecnie na Rosję nałożone są sankcje, a póki co jeszcze nie mamy granicy z Tadżykistanem, to nie bardzo widzę możliwości importowania jakichś wielkich ilości czegokolwiek. Padło pytanie o Krosno i możliwości inwestycji w Krośnie. „Huta szkła” – tyle byłem w stanie z siebie wydusić. A czy w Krośnie jest lotnisko? Na to odpowiedź też znałem, ale jeżeli narodowa polityka rozwoju będzie dalej szła znanymi nam torami, to kto wie, może wkrótce w Krośnie powstanie lotnisko, a tadżyckie firmy będą tam przysyłały swoje towary, w tym i mazut. Temat umarł, następnego dnia Muhammad miał kolejną wizję: on będzie sprowadzał do Polski owoce i warzywa. Trochę mi się kończyła cierpliwość, o ile jeszcze opowieści o tym, że Tadżykistan to najpiękniejszy kraj świata, pokryty w 93% przez góry zniosę, o tyle piłowanie mi, że potrzebny jest pośrednik do importu owoców i warzyw, uważam za nieco wykańczające. Co więcej, pan bardzo chciał się zaprzyjaźnić z Aligatorem i co chwilę odczuwał potrzebę zrobienia sobie zdjęcia i przytulenia się. Istnieje poetyka hostelu, istnieje poetyka podróżowania, ale istnieje też mordercza upierdliwość. Po drugim dniu Muhammad zaczął wpadać w ten rejestr. To, czego przez dwa lata nie dokonali rosyjscy nacjonaści, opowiadając mi o Tadżykach, on przebił z nawiązką w cztery dni, a właściwie w dwa.

Po nacieszeniu się Baku postanowiliśmy jechać do Szeki, a Muhammad stwierdził, że na pewno będzie nam go brakowało. Mimo delikatnych sugestii, że nie, on nie dawał się przekonać. W końcu wyszliśmy z hostelu, żeby po dotarciu na przystanek stwierdzić, że już na nas tam czeka. Cały jego dobytek mieścił się w plastikowej siatce – oto, co znaczy hipsterskie hasło „travel light”. Zdurnieliśmy. Zrobiliśmy w tył zwrot i pojechali w drugą stronę. Dopiero na wielkim i koszmarnie chaotycznym dworcu (dla ułatwienia nie da się tam dojechać metrem), pozwoliliśmy sobie odetchnąć z pewną ulgą. O ile jeszcze początkowo zastanawialiśmy się, czy jechać autobusem, czy marszrutką, to gdy zobaczyliśmy, jak straszny burdel panuje w tym węźle komunikacyjnym, chwyciliśmy pierwsze, co było pod ręką.

[6.08.2017]

W czasach gdy Azerbejdżan był diabło drogi, sprawa była prosta – zwiedzało się Baku, a potem uciekało do Gruzji, być może zatrzymując się po drodze w Szeki. W kwietniu 2017 było na tyle tanio, że postanowiliśmy spokojnie pozwiedzać ten zakątek świata, no bo skoro już zapłaciliśmy za wizę, to lepiej mieć pewność, że nie będziemy żałować, że coś odpuściliśmy. Rozważaliśmy udanie się do Quba – azerskiej stolicy jabłek. Okazało się, że jest to wysoko w górach i że temperatury tam panujące rankami i wieczorami oscylują w okolicach zera, nocami zaś można cieszyć się ujemnymi. Co gorsza, wyprawa do Quby oznaczała potem konieczność powrotu do Baku, bo Kaukaz nieco komplikuje sprawy – w linii prostej z Quba do Szeki jest całkiem blisko, ale nie bardzo są drogi. Chyba dałoby się to przejść na piechotę, ale Azerbejdżan ma pewne sowieckie dziedzictwo, czyli specjalne strefy militarne. Cholernie trudno uwierzyć człowiekowi, że sprawą żywotną dla bezpieczeństwa narodowego są jakieś krzaki i że przez te krzaki pod żadnym pozorem nie mogą przejść turyści z tobołami. A jeżeli mogą, to muszą wystąpić o zezwolenie (oczywiście zapłacić za nie), potem jeszcze wynająć przewodnika – co przy tym, jak wyglądają szlaki w tej części świata, nie jest takim złym pomysłem, ale potrafi solidnie kosztować. Dopiero po spełnieniu tych formalności można wyruszyć cieszyć się dziką przyrodą. W lipcu może chciałoby nam się w to bawić, ale nie w czasie, gdy temperatury były solidnie przeciwko nam. Wybór padł więc dość banalnie na Szeki. Szczęśliwie, droga tamże nie była aż tak banalna jak sam kierunek.

Dopóki autobus nie odjechał, obgryzaliśmy paznokcie, czy aby nasz kolega z Tadżykistanu do nas nie dołączy. Termin „odjazdu” rozłożony został na dobre dwadzieścia minut. Już szukając połączeń, widzieliśmy, że bakijski dworzec to gigantyczny burdel, nikt nic nie wie, żadnego oznakowania, za to stada upierdliwych taksjarzy i pośredników biletowych. Niewiele lepiej sprawy mają się dla autobusów. Po przejechaniu nastu metrów zatrzymano nas i trzymano tak sobie diabli wiedzą po co. Żeby chociaż sprawdzili dokumenty, zadali trochę głupich pytań, a tu nic. Mogli chociaż załadować jakieś owoce, warzywa albo zwierzęta, a ci nic, tylko patrzyli sobie, jak rośnie korek. W końcu uznano, że już wystarczy i mogliśmy odjechać.

Większość drogi Baku-Szeki jest tak ciekawa, że lepiej sobie założyć klapki na oczy. Dopiero ostatnia godzina oferuje krajobraz bardziej urozmaicony, wcześniej jest pustynnie. Tyle że nawierzchnia pozwala na czytanie i spanie, to jest do tej ostatniej godziny (z jakichś pięciu). Wtedy robi się nieco bardziej po kaukasku – droga oddaje swoją atrakcyjność na rzecz okolicy. Razem z parą Rosjanek byliśmy głównymi atrakcjami dla lokalnych, więc mogliśmy sobie poopowiadać o tym, że Polska, że Szeki to miasto słynne w całym świecie i że od lat marzyliśmy, żeby je odwiedzić – przecież nie mogliśmy im powiedzieć prawdy, to był ten przypadek, kiedy prawda by nas nie wyzwoliła.

Warto jeszcze zaznaczyć, że do Szeki można także dojechać pociągiem. Stacja kolejowa znajduje się jedyne SIEDEMNAŚCIE kilometrów od centrum miasta. Wiem, że są dwa pociągi dziennie, oba przyjeżdżają o dziwnych godzinach. Spotkana turystka mówiła, że bardzo poleca, że tak pustym pociągiem w życiu nie jechała. Ciekawe, dlaczego tak się dzieje... Wisienką

na torcie jest to, że pociąg jest droższy, a kupno biletów bardziej skomplikowane. Wychodzi więc, że PKP jest całkiem poskładaną firmą, która wie, co robi i dba o komfort swoich klientów. Szeki było oddechem świeżego powietrza po Baku. Kilkadziesiąt decybeli ciszej, czysto, ulice dwupasmowe, niska zabudowa, ogólny relaks. Miejsce, które wynaleźliśmy na nocleg, było położone nieźle na uboczu i nieźle je przekleliśmy ciągnąć się tam na piechotę. Dzień wcześniej właściciel odezwał się do mnie na WhatsApp-ie, nasza rozmowa wyglądała tak:

– Mówisz po rosyjsku? – on.

– Tak – ja.

Kurtyna. Szkoda, że nie napisał, że do jego siedziby można dostać się marszrutką z samego dworca, a nie iść 40 minut różnymi drogami. Z zewnątrz wyglądało to strasznie i myślałem, że po jednej nocy podziękujemy. Jednak w środku było bardzo ładnie, czysto, a metrażowo dostaliśmy jakieś 100m². Najważniejsze: hasło do netu. Żona pana nie mówiła za wiele w żadnym języku obcym, ale przez telefon ustaliliśmy, że my to my i że to nasz hotel. A raczej *homestay*. Jak zwał, tak zwał, z racji późnej pory dnia udałem się do pobliskiego sklepu. Nie spodziewałem się hipermarketu, ale chyba też nie tego, że będzie to zbiór losowych produktów spożywczych, częściowo przedatowanych. Za ladą stała staruszka, która miała jakieś 80 lat, może więcej. Okazało się, że nie mówi ani słowa po rosyjsku, niedowidzi, a po chwili nawet, że jest właściwie analfabeta. W sklepie był jeszcze jeden klient, mężczyzna w podobnej grupie wiekowej, bez większości zębów. Szczęśliwie, on po rosyjsku mówił. Pojawienie się turysty na samym końcu Szeki wywołało taką furorę, że chyba do dzisiaj jeszcze dochodzą do siebie po tym wydarzeniu. Powiedziano, że mam sobie zebrać z półek, co chcę. Trochę to pomogło, po kilku minutach miotania się udało mi się znaleźć opakowanie makaronu, słoik pomidorów w wodzie, które chyba leżały tam kilka lat i ostrą paprykę w tubce. Pan się dopytał:

– *A nie chciałbyś sobie kupić wódki? To moglibyśmy ją razem wypić...*

W pierwszym odruchu chciałem odpowiedzieć, że nie. Zreflektowałem się jednak i zapytałem:

– *A ile kosztuje pół litra?*

Rozpoczęła się debata. Na półce były dwie połówki i parę setek. Widziałem, że moja decyzja o zapytaniu o największą z dostępnych pojemności spotkała się z aprobatą:

– *2,2 manata* – powiedział pan, zawieszając głos.

Jakieś 5 PLN. Mój budżet udźwignie ten ciężar.

– *Dobrze, to kupię. Tylko ja sobie do tego wezmę colę zero... Zwykłą colę... Sprite'a... Tę ciepłą Fantę, co stoi za panią.*

Dozownik. Dozowniki wymyślili, żeby ludzi wkurwiać. Dozować się tym nic nie da, za to picie z gwinta jest o wiele bardziej skomplikowane.

– *Mamy jakieś stakany?* – pytałem, myśląc, że w najlepszym razie pani da nam jakiś swój kubek do herbaty, a w najgorszym pojedziemy z centralki, przez ten kretyński dozownik. Okazało się, że jak niczego w tym sklepie nie mieli, to akurat kubki do wódki były. Dostaliśmy je w promocji, gratis. Pan najwyraźniej bał się, że ucieknę mu z tą wódką po pierwszym rozdaniu, więc nalał nam dobrze ponad sto mililitrów.

– *Za spotkanie!*

Wódka nie była zła. Niestety była ciepła, ale mimo tego mankamentu *stakańczyk* wszedł bezboleśnie. Jeszcze nie chwyciłem oddechu, a pan już polewał następną kolejkę.

– *Wie pan, bo na mnie tam żona czeka, ja tylko po rzeczy na kolację wyszedłem...*

– *Dobrze, dobrze. Gdzie mieszkacie? U Tehrana? O KURWA, to on naprawdę hotel otworzył i ktoś do niego przyjechał!!!*

Dwa. Pan był zachwycony. Zapakował mi wódkę do osobnej siatki. Zostało może ze 100 mililitrów. Osiągnięcie tego zajęło nam około pięciu minut. Myślałem, czy mu jej nie podarować, ale bałem się, że może się obrazić. Poza tym wódka, to wódka, zawsze się przyda, nawet taka symboliczna ilość, dla dziecka wystarczy. Moje zakupy ostatecznie kosztowały jakieś sześć manatów i trochę pletw. Z tego niemal połowa to była wódka.

Wypicie takiej ilości wysokoprocentowego lokalnego trunku na pusty żołądek po większości dnia przesiedzianej w busie miało takie efekty, że obiad gotowało mi się rewelacyjnie. Czułem się, jakbym znowu miał jakieś piętnaście lat, po kilkunastu minutach miałem taką orbitę, jakbym spalił solidnego jointa. Stwierdziłem, że rozumiem, czemu mówią, że ludzie w tym kraju są tacy przyjaźni i że są jego największym skarbem. Rzeczywiście, trudno byłoby mi powiedzieć, że dworce budują urok kraju. Za to emeryci, którzy pewnie nie dostają emerytur albo dostają je w śmiesznych rozmiarach (w końcu zachciało im się projektów Zahy Hadid, to nie mogą liczyć na benefity od państwa, ale za to mogą pooglądać pałac dokonań swojego byłego prezydenta), to zdecydowany atut i rejestry przyjaźni ludności lokalnej rzadko spotykane w podróżach.



Głównym powodem odwiedzin w Szeki jest pałac Chanów. Odnalezienie tej atrakcji nie jest przesadnie skomplikowane, Szeki jest kompaktowe jak scyzoryk Victorinox. Komplex pałacowy jest dość solidnych rozmiarów i ma naście budynków. W jednym z nich mieści się biuro informacji turystycznej, a w korytarzu przed nim lokalne kobiety oferują barachło dla turystów – przyszedłeś po mapkę, może skusisz się na dywan albo chociaż magnes z Szeki.



Informacja turystyczna była na pierwszym piętrze, tuż obok losowych popiersi antycznych

Samo biuro przeżyło szok związany z naszymi odwiedzinami i dało nam mapkę, a także słowniczek angielsko-azerski. Kusila nas strzelnica mieszcząca się w piwnicy, ale ostatecznie wybraliśmy pałac, który jest największą atrakcją kraju. Sprawę wymyślono niegłupio: do środka wpuszczane są małe grupy zwiedzających. Kolejka może sobie robić selfie ze stawem i okolicą. Czekano około dziesięciu minut, więc dość niski poziom trudności, ale kołatało mi się pytanie: jak to wygląda latem? Jak to wygląda w święta narodowe? Wtedy pewnie czas oczekiwania na wejście jest taki, że ludzie chodzą na strzelnicę.



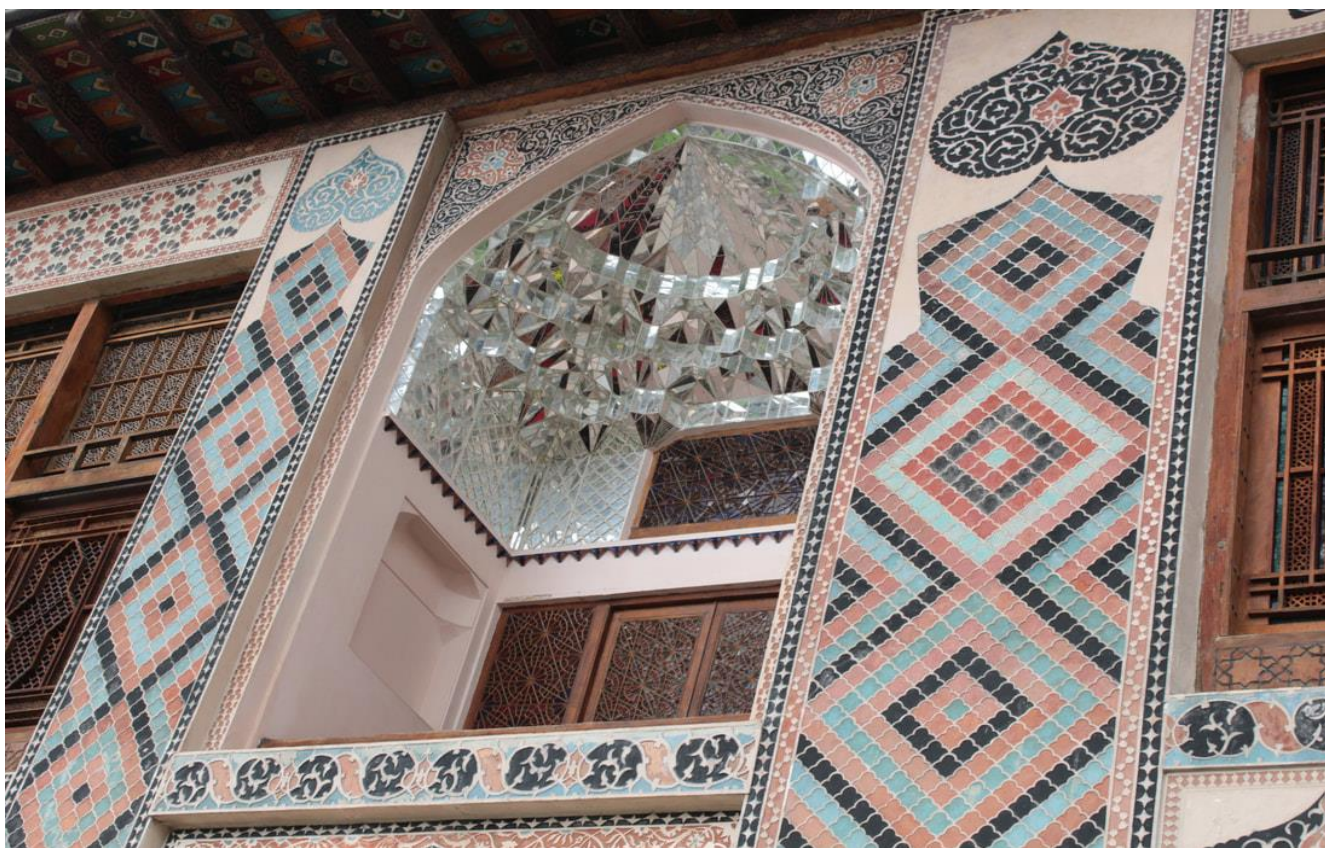
Rustykalne lustro nieopodal informacji. Selfie – you are doing it wrong!



Pałac przyczajony za murem



Rzut pawiem nabiera tutaj nieco innego znaczenia



Jeżeli tak lubili lusterka, to czemu nie zbudowali sobie gabinetu luster?



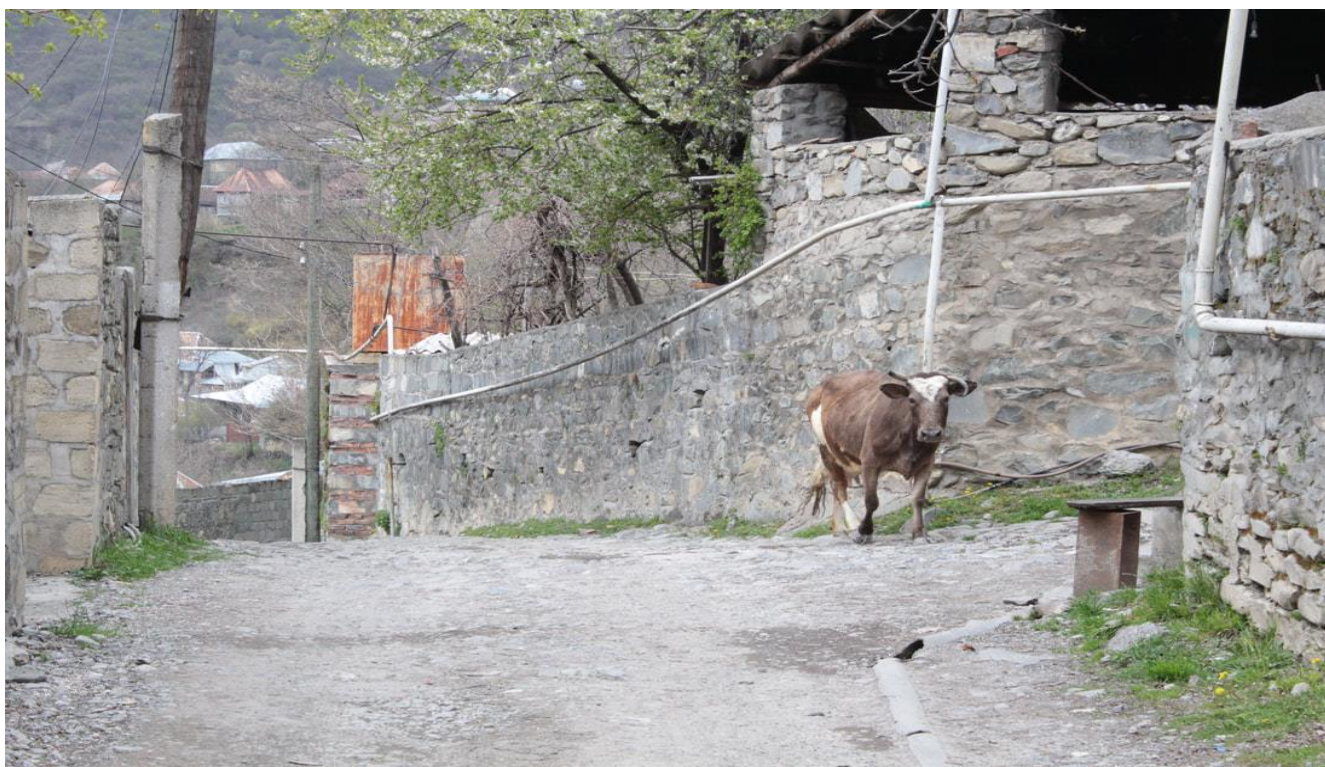
A może zrobić sobie takie w domu...

W samym pałacu nie wolno robić zdjęć, całe zwiedzanie odbywa się pod czujnym okiem przewodników. W odróżnieniu od Baku, tu lubili bizantyjski przepych i dużo designu, są więc lustreczka, malunki na ścianach, kafelki, no jest na czym oko zawiesić. Jeżeli ktoś nie jest wielkim fanem tej estetyki, to powyżej 15 minut nie zabije – w odróżnieniu od Baku, tu informacji jest jak na lekarstwo (właściwie zero), więc pozostaje nam cieszyć się kafelkami i drzewkami. Jest to ładne, ale nie jest to jakiś absolutny hit, który sprawiałby, że będę ludziom krzyczał, że muszę jechać do Azerbejdżanu i zobaczyć ten pałac! Warto, ale to nie Tadż Mahal ani żaden z pałaców jakich niemało w Iranie. Niemniej lepiej nie mówić tego lokalnym – i tak nie uwierzą, a lincz za głoszenie herezji jest całkiem prawdopodobny.



Mała rotunda rzut beretem od pałacu

Znacznie mniejsze oczekiwania odwiedzający mają związane z Kisz – brzmi nieco bałkańsko, ale jest to wioska znajdująca się na obrzeżach Szeki. Raz na czas jeździ tam zbiorkom, potem czeka nas trochę spaceru pod górę na drodze z rzecznych kamieni i możemy cieszyć się kilkoma rzeczami. Na samej drodze – inwentarzem lokalnym.



Endemiczna azerska krowa

Na szczycie zaś cieszyć się możemy świątynią z V wieku, wielokrotnie przerabianą. Obok jest popiersie Thora Heyerdahla. Zdębiałem.



Dość ładnie odnowiona świątynia z czasów wczesnochrześcijańskich



Norweski etnograf w pełnej okazałości

Co norweski bohater od wyprawy Kon-Tiki ma wspólnego z wioską w Azerbejdżanie? Okazało się, że swego czasu przyjechał kilkakrotnie do ZSRR/Azerbejdżanu i badał pochodzenie Norwegów. Wyszło mu, że pochodzą od Albańczyków, którzy niegdyś zamieszkiwali Kaukaz – są to inni Albańczycy niż ci, którzy kojarzą nam się z Hodżą i krajem ze stolicą w Tiranie. Sprawa jest dość interesująca, teorie są takie, że tę część Kaukazu zamieszkiwali niegdyś ogromni blondyni (tacy na ponad dwa metry), którzy dali początek Skandynawom, a na samym Kaukazie nie przeżyli. Na dowód pokazywane są groby z dawnych czasów, w których spoczywają okazałe szkielety. Jest tylko jeden problem z tą teorią: większość naukowców zajmujących się tematem ją odrzuca, a sam Heyerdahl dokonał takiej selekcji materiałów, żeby wszystko pasowało.

W Kiszu ponownie na naszą korzyść grało bycie z egzotycznego kraju i brak ruchu turystycznego – obsługa tak się wzruszyła, że dała nam gratis panią przewodnik ze złotymi zębami, która oprowadziła nas w JĘZYKU ANGIELSKIM po całym terenie i opowiedziała o architekturze budowli sakralnych (podkreślając przy tym, że Ormianie im wiele zniszczyli i że jest to bardzo podły naród).



Kości pradawnych gigantów z Kaukazu



Mimo zniszczeń wyrządzonych przez podłych Ormian udało się nieco zagospodarować teren świątyni i nawet postawić kiosk z pamiątkami!



A także postawić modele innych świątyń z Kaukazu we wnękach arkadowych



Starożytni Albańczycy nie mieli zbyt wielu pomysłów na dekorację wnętrza...



Chociaż trzeba przyznać, że żyrandol robi wrażenie!

Szeki nie przeżyło sowietyzmu bez strat. Na drodze do Kiszu wybudowano im fabrykę, która wyglądała na opuszczoną i marnieje. Marszrutki mają przystanek „Zawody”, ale nie wyglądało na to, żeby w tych Zawodach działa się cokolwiek. Tyle że nie zbudowali im tego koło pałacu Chanów, ale bezużyteczna, za to solidnych rozmiarów fabryka w środku Kaukazu zawsze cieszy. Na pociechę mają działające zakłady produkujące jedwab.



Kaukaska myśl techniczna: wodociąg

Szeki słynie z chałwy. Sprzedają ją wszędzie, przy głównej ulicy nie da się przejść 20 metrów, żeby nie trafić na sklep ze słodyczami. Chałwa w wersji Szeki to bardziej baklava, obłędnie słodki placek z nadzieniem. Wzięliśmy dość mały kawałek (wiele miejsc chce sprzedać przynajmniej z kilogram, więc chwilę poszukaliśmy pani, która nie miała problemu z odcięciem nam kilkuset gramów) i wystarczył nam na trzy dni, a jedliśmy do pierwszych wymiotów. Niesamowicie syjące i zapychające.



Chalwa na szczęście pakowana jest w zgrabne pudełko, bez których całe miasto uwalone byłoby miodem i karmelem, które obficie wyciekają z przysmaku



A oto i chahwa!

W jakieś sześć godzin wyczerpaliśmy potencjał turystyczny Szeki i okolic. Na początku myśleliśmy, żeby nocować się w Karavansarai – prastarym hotelu, gdzie kiedyś zatrzymywały się karawany, a w którym współcześnie zrobiono hotelo-hostel dla turystów. Przerazały jednak recenzje – obsługa chamowata, standardy czystości dalekie od oczekiwanych, do tego hałas w weekendy, a akurat była sobota. Ostatecznie pooglądaliśmy Karavansarai i postanowiliśmy zostać na naszym wywiejewie, kilka kilometrów od centrum – drugiego dnia ogarnęliśmy transport i dzięki temu nie musieliśmy odwalać urokliwego spaceru po nie do końca asfaltowej drodze. Cena podobna, ale ciszka, spokój, miła obsługa. I emerycki monopolowy.



Całkiem zadbany dziedziniec karawanseraju



Spowita w ciemnościach fontanna przy recepcji

Z takich lokalnych ciekawostek i podejścia do biznesu: nocleg zarezerwowaliśmy przez Booking.com. Oficjalnie mieliśmy zapłacić 25 manatów. Na miejscu pan jednak powiedział, że 28, bo przecież to my musimy zapłacić jego prowizję dla pośrednika. Ponieważ na kolejny nocleg dostaliśmy zniżkę do 20, to wyszło mniej więcej na jedno. Problem jednak jest taki, że ludzie w niektórych częściach świata nie do końca rozumieją, jak działają biznesy w stylu Booking.com i że ta prowizja powinna być zapłacona przez niego, a nie przez gościa.



A oto nasz piękny salon z prasowiecką pieczką!

Kolejny dzień spędziliśmy na trekkingu do pochodzących z zapewne VIII wieku ruin Gelsen Gorersen. Nazwa oznacza „Przyjdź i zobacz” – takimi słowami w 1744 poinformował jeden władca lokalny drugiego, że ten mu może skoczyć. I miał rację, tamten oblegał go dość długo, ale twierdzy nie zdobył. Oneliner, którym spławił go właściciel, został oficjalną nazwą ówczesnej twierdzy, a obecnie ruin. Szlak nie jest oznakowany, ale każda napotkana osoba była w stanie wskazać nam drogę. A raczej kierunek, kilka razy trzeba się było cofnąć i musieliśmy przejść przez dość rozległą rzekę, chociaż zgaduję, że według lokalnych, to całkiem standardowa marszruta.

Jak jednak piszą specjaliści od coachingu: czasami cel podróży nie jest najważniejszy, liczy się sama droga, to czego się na niej dowiadujesz, co robisz. To był ten przypadek, mineliśmy porzucony punkt wojskowy, mineliśmy opuszczony ośrodek wypoczynkowy i po wspięciu się po błocie mogliśmy nacieszyć się ruinami z VIII wieku.



Wspomniana rzeka



Kamienny łuk wychodzący na dramatycznie stromą i błotnistą ścieżkę



Roślinność ruderalna, czyli drzewa porośnięte mchem



Fragmenty murów twierdzy – pewnie przy nich obściskuje się lokalna młodzież w XXI wieku



Spowite mgłą okoliczne góry

Ucieszyło nas, że znowu było dużo śmieci! Nie aż tak dobrze jak w Baku, ale zbocza góry, na której mieści się twierdza, pełne są pustych butelek, opakowań po chipsach, po prostu wszystkiego, co ludzkość mogła przywieźć, żeby zjeść i wypić w okolicznościach przyrody. Widoki są kaukaskie, czyli rzeka, lasy, droga. Może nie jakiś wielki hit, który należy robić, jak się ma mało czasu, ale też nie pomyłka.

Super by było, gdyby pewnego dnia wytyczono szlaki i je oznakowano, bo chodziliśmy nieco na pałę i tak jak nam się wydawało, że iść powinniśmy. Widoki były dość dobre, więc chciałoby się móc po prostu wyruszyć na kilka dni i wiedzieć, że nie uwalisz się w środku lasu na noc, w końcu wilków i niedźwiedzi trochę tam mieszka. Do tego Szeki słynie jako miejsce wypoczynkowe, które pozwala uciec od bakijskich upałów i to właśnie bliżej Kiszu jest większość ośrodków wypoczynkowych. W kwietniu tematu nie było, ale w sezonie jest gęsto i wiele z ośrodków wczasowych zaludnia się krajowcami. Ceny są raczej srogie, standard z zewnątrz wyglądał nieco lepiej niż ten, w jakim mieszkaliśmy, ale dla obcokrajowców to hit raczej nie jest, bo poza paroma spacerami za wiele zrobić się nie da.



No chyba że kogoś kręcą pikniki w krzakach



Nigdy tego nie kupujcie!

Mieliśmy dość spokojne tempo i odkrywaliśmy sekrety lokalnych win, a także piwa, chociaż to szybko zarzuciliśmy. Nauczyłem się też w dość bolesny sposób, żeby nie pytać lokalnych o dobre krajowe papierosy. Różen syf w życiu paliłem, ale takiego jak papierosy Visore jeszcze nie. Kosztują manata, ale nie są warte ani kawałka tego szlachetnego zwierzęcia. Bardzo szybko powróciłem do międzynarodowych marek, w końcu w ilu krajach można kupić Davidoffy za jakieś 6 PLN? Przez to, co oferowały restauracje (mięso, mięso i mięso, nawet zupy z mięsem) przeszliśmy na tzw. self-catering, czyli gotowanie przy wykorzystaniu całkiem nieźle wyposażonej kuchni. Naszym hitem zostały sznurki serowe, podobne do tych z Podhala, Czech i Słowacji, ale jeszcze lepsze, przy tym znacznie tańsze niż w Polsce (8-10 manatów za kilogram). Jeżeli chodzi o sery, to Azerbejdżan jest potęgą, wiele sklepów ma produkty od chłopca z łańcucha, z łańcucha.

wszystko jest świeże i dobre. Trochę gorzej ma się sprawa z warzywami i owocami, ale katastrofy nie ma. Bardzo często brano nas za Rosjan, pan w warzywniaku nawet nam przeliczył wszystkie ceny na ruble i poinformował, że „U was w Moskwie takie pomidory to trzy razy tyle kosztują, bo od nas sprowadzacie”. Akurat trafił z tą Moskwą, z ceną trochę przegiął, chociaż nie przypominam sobie *tomatów iz Azerbejdżana* w najlepszym mieście świata, więc może i nie przesadził. Z produktów niespodziewanych, wielkim hitem krajowym jest napój Hell, który sprowadzają z Węgier. Energetyk jak energetyk, ale przynajmniej satanistyczny.



Piwo z dzielnym rycerzem!



Nieco bardziej banalne etykiety, wśród nich niezwykle popularna Iwanowka



*Piękna etykieta z endemiczną
kaukaską kozicą górską (prawdopodobnie)*

Mimo usilnych starań nie udało nam się znaleźć niczego więcej do roboty w Szeki, a nawet w szeroko rozumianych okolicach. Następnego dnia rano podziękowaliśmy za gościnę i pojechaliliśmy w stronę Gruzji.

Nie płacz, kiedy wyjadę z Azerbejdżanu

[25.08.2017]

Baku odwiedza każdy. W Szeki zatrzymują się niemal wszyscy jadący do lub z Gruzji. Zaqatala to destynacja dla prawdziwych koneserów Azerbejdżanu. Dystans między drugim a trzecim miastem wynosi jakieś 80 kilometrów, po relatywnie dobrej drodze. Oczywiście nie może być tak prosto, więc liczba busów na trasie jest solidnie reglamentowana. Rozkład niby jakiś jest, ale w sumie to nikt do końca nie wie. Nam udało się wsiąść w coś w okolicach godziny 10. Chwilę potem zabrakło już miejsc, a gdy odjeżdżaliśmy, to więcej osób stało, niż siedziało. Dopiero w połowie drogi zagęszczenie Azera na centymetr kwadratowy marszrutki zaczęło pozwalać na oddychanie. W samej Zaqatali są dwa dworce autobusowe – nowy, położony daleko od centrum, i stary, czyli burdel w centrum. Na co mieścinie z populacją mniejszą niż publika na hitach ekstraklasy (około 30 tysięcy) dwa dworce, tego zrozumieć nam się nie udało, ale może wymyślili to taksjarze, którzy dzięki temu mogą wozić ludzi z jednego na drugi.

Przewodnik *Lonely Planet* głosił, że w Zaqatali jest cudowna informacja turystyczna, właściwie tak dobra, że warto odwiedzić to miasteczko, żeby poznać ludzi tam pracujących, którzy wymiatają po angielsku (to jasne, że i po rosyjsku), są kopalniami informacji o regionie i robią turyście tak dobrze, że zostaje się tam miesiącami. Lepiej! Zaqatala jest stolicą orzeszków ziemnych i można się w nich tarzać. Szło nam tak dobrze, że postanowiliśmy zatrzymać się na jeden dzień przed przejazdem do Gruzji.

Pierwsze kroki skierowaliśmy do informacji turystycznej, bo jak są tacy dobrzy, to pewnie od razu ogarną nam nocleg. Zaqatala to już taki poziom trudności, że lokalni przestają rozmawiać i patrzą się z rozdziawionymi ustami na to, że jakiś turysta się do nich zabłąkał. Sami oferują pomoc, niektórzy nawet mówią po angielsku. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką się od nich usłyszy, jest pytanie:

– *Ale po co tu przyjechaliście?*

Kurtuazyjnie jakoś wybrnęliśmy i po kilkunastu minutach znaleźliśmy legendarnie cudowne biuro informacji turystycznej.

– *Po angielsku.*

– *Yyyyyyyyyyyyy.*

– *Po rosyjsku.*

– *Aaaaaaaaaaaaa.*

Cholera, próbować po gruzińsku? Chyba jeszcze dam radę zapytać o hotel...

– *Niet, no, no English, niet pa russki.*

To już wiemy...

– *Hotel? Ho-tel? HO-TEL?*

– *Nieeeee...*

– *Sastumro?*

Tak to chyba było w pierwszym języku Stalina.

Dobrze, pani nie mówi w zbyt wielu językach, ale ma pełno ulotek, to coś weźmiemy. To nie, to też nie, a po co wam to? Mieli ulotki z całego kraju, mieli nawet jakieś albumy przemysłowe w stylu rurociąg nad Morzem Kaspijskim. Nie mieli prostej mapki swojego miasta ani niczego o otaczających je wioskach. Nic, żywcem nic. Mogłem sobie poczytać o wystawie szafirów w Baku, ale niczego o Zaqatali. Podziękowaliśmy, poszliśmy na azymut. Zimno nie było, ale w końcu znaleźliśmy, jest hotel.

– *Tourist no! No, no!*

– *Pa Russki?*

– *Ooo, po rusku... To ja sprawdzę... Nie, nie mamy miejsc.*

Była połowa kwietnia. Zaqatala. Hotel uważa, że jest pełen.

– *Jaja sobie pani robi? Na jedną noc coś dla dwóch osób? Może być z łazienką na korytarzu.*

Azerski, azerski, azerski na dwa głosy.

– *Nie, nie, u nas jest kongres lekarzy*

Chyba, kurwa, patologów. Takich od wódki, nie od denatów.

Pospacerowaliśmy, oczom naszym ukazał się jeden z największych hoteli w mieście.

Dobra, nie wydawaliśmy ostatnio dużo, jak nie przegną, to pozwolimy sobie na luksus.

– *Pokoje są czy u was też zlot lekarzy, pszczelarzy, dziwkarzy?*

– *Są.*

– *Drogo?*

– *Drogo, bardzo drogo! 25 manatów od osoby.*

– *Bierzemy!*

Obsługa nas znienawidziła. Przez naszą decyzję musieli wykonać jakąś pracę, chociaż to zbyt wielkie słowo w tym kontekście. Chociaż może nie mam serca, bo w końcu trzeba było skserować nasze paszporty. Podać samcowi z naszego duetu formularz do wypełnienia. Znaleźć klucz od pokoju. Wezwać obsługę, żeby nas zaprowadziła. Tu już ich wyręczyłem i zapytałem, czy dobrze rozumiem, że 205 to będzie na drugim piętrze. Dobrze rozumiałem i już w kilka chwil później zakochaliśmy się w Zaqatali i dziękowaliśmy tamtej tureckiej norze, że nas nie przyjęła. Za jakieś 10 euro od osoby wykupiliśmy sobie śnieżnobiałą pościel, czyste ręczniki, własną łazienkę i wielki balkon. Interes pobytu.

Racjonalnych powodów do odwiedzenia Zaqatali nie ma. Widzieliśmy, że poziomy stresu są raczej niskie, podobnie też poziomy obsługi klienta. Samo miasto jest dość ładnie odnowione w części centralnej i dość fatalnie zapadłe w każdej pozostałej. Można podziwiać platany mające po kilkaset lat, do dzisiaj pozostajemy pod wrażeniem.



Zadbany park w centrum starówki, czyli miejsce tłumnie odwiedzane przez lokalną młodzież, dzieci, starców i wszystkich innych, którzy marzą o znalezieniu sobie czegośkolwiek do roboty



Wschodnie Drzewo Samolotowe. To pewnie ono rosło w Smoleńsku...



I Dede Korkut, czyli bohater legend tureckich nomadów

Jest stara twierdza, która w sumie nie jest taka stara, bo Sowieci ją odbudowali, właściwie do dzisiaj służy ludziom i niektórzy w niej mieszkają. Po drodze zatrzymała nas para emerytów. Standard. Po ustaleniu, że Polska, na cały park huknął okrzyk:

– JARUZELSKI!!! To Polak?

– Tak.

– Rokossowski!

– Tak!

– BIERIEZOWSKI TEŻ?

– Nie, nie, ten nie nasz. Może Brzeziński, a nie Bieriezowski? Zresztą nieważne, to i tak niesamowite, że kojarzycie jakichś naszych, jestem pewien, że w Polsce niemal nikt nie kojarzy ludzi z Azerbejdżanu, może Kasparowa, ale i tak mało kto wie, że urodził się w Baku.

Na pociechę, że Bieriezowski nie był Polakiem, dostaliśmy trochę orzeszków ziemnych. Były pyszne. Przez następne kilka godzin próbowałem takie kupić. Nie udało mi się. Żaden sklep nie prowadził sprzedaży tych majestatycznych owoców, jak przystało na azerbejdżańską stolicę orzeszków ziemnych.



Twierdza, ale bez Nicolasa Cage'a



A żeby było bardziej malowniczo, to obok twierdzy postawimy sobie ruiny kościoła. Kto bogatemu zabroni?!

Im dłużej zwiedzaliśmy Zaqatę, tym bardziej nam się podobało. Prawdziwy popłoch wśród krajowców wzbudziliśmy, gdy postanowiliśmy wysłać pocztówki nabyte jeszcze w Szeki. Budynek poczty jest ogromny, zajmuje połowę jednej ze ścian głównego ronda miasta. Tylko naszym chamskim nietaktem można tłumaczyć to, że przyszliśmy tam między 13 a 14, kiedy wszyscy mieli przerwę obiadową. Z jednej strony tak daleko od Polski, z drugiej tak blisko! Małe stadko ludzi koczowało przed wejściem, w tym wojskowi, którzy uprzejmie udzielali informacji, że o 14 się otworzy. Po 14 kolejki były dość imponujących rozmiarów, ale wystąpiłem się w jednej. Oczywiście, okazało się, że tu się nie da niczego wysłać – chwała niebiosom, że znaczki mieliśmy kupione wcześniej – z kolei w Szeki poczta była pusta i cudownie miła, więc naiwnie założyliśmy, że tak to u nich działa. Odstąpiłem swoje do innego okienka, ale gdy już miałem błagać, żeby wzięli ode mnie moje cenne atkrytki, zawołała mnie pani z nieczynnego okienka i przejęła treści dla krewnych i znajomych królika, a raczej jenota. Z czterech kartek trzy dotarły przed upływem tygodnia, a czwarta nigdy, aczkolwiek tę wysłaliśmy do Rosji, więc niewykluczone, że inni szatani byli tam czynni. Polska doszła bez problemów.

Wszędzie piszą, że należy odwiedzić jedną z pobliskich wiosek, najlepiej Car, bo jest tam po prostu pięknie. Obrzydliwie nie jest, ale nie takie rzeczy widziało się w Gruzji. Powraca też problem znany z dnia wcześniejszego, czyli może i są jakieś ciekawe szlaki, tylko na pewno nie zostały wytyczone i oznakowane. Jest to też blisko rosyjskiej granicy, więc można spotkać pracowników ochrony pogranicza, to oczywiście zawsze jest ciekawym i fajnym wydarzeniem, potem to dopiero jest co spisywać, chociaż jednak nie żałuję przesadnie, że ostatecznie nie mieliśmy tego doświadczenia.



Kaukaz w pełnej okazałości



Endemiczne kaukaskie mućki

Po przejściu się po wiosce Car i docenieniu tego, że nie urodziliśmy się w takim miejscu, zrobiliśmy w tył zwrot. Nie spodziewaliśmy się, że największą atrakcję Zaqatala skrzętnie ukryła przed nami i zostawiła na koniec. Było to miejsce tylko dla wytrwałych, krzyczące aż 3 manaty za wstęp. Muzeum regionu, czyli wszystko o sztuce, kulturze, przyrodzie i historii Zaqatali. Właściwie wszystko, co znaleźli w okolicy i co dało się wrzucić do muzeum. Postanowiliśmy zaryzykować. Obsługa była zarazem zadowolona, że ktoś to odwiedza, ale jednocześnie rozgoryczona, że muszą dla nas wszystko otwierać, włączać światła i ustawić się na pozycjach związanych z wykonywanym przez nich zawodem.

Było warto, bo już na wejściu powitał nas wypchany jenot. Potem były amfory i dość szczątkowa historia regionu. Każdy pasjonat Zaqatali będzie zachwycony. Korany, zdobienia kamienne, stroje kobiece, dywany, talerze (w tej części Kaukazu talerze służyły do tańczenia lezginki – zgaduję, że należało wytańczyć lezginkę, nie spadając z talerza). Robiliśmy temu wszystkiemu zdjęcia, a obsługa chyba nie była pewna, czy poza zdjęciami robimy sobie też jaja, jesteśmy psychiczni, czy też zawitała do nich para pasjonatów Zaqatali i naprawdę nas to wszystko interesowało. Jenot sprawił, że nasz entuzjazm osiągnął bardzo wysokie rejestry, ale niestety potem nie było już zwierzyny, tylko historia materialna regionu i (słynne w całym świecie) antycarskie powstanie zaqatańskie roku 1863, które podobno wstrząsnęło całym Kaukazem, a nawet i Petersburgiem. Niestety był to standard regionalnych muzeów, takich bez dotykowych ekranów z Baku czy Qobustanu. Dopiero wejście w XX wiek i wiadomy system

polityczny spowodowało, że ekspozycja znowu nas ożywiła. Udało nam się odkryć, że pomnik kobiety w centrum poświęcony jest jednej z mieszkanek Zaqatali, która zginęła w walkach o Nagorny Karabach. Jednak prawdziwym objawieniem było ustalenie, że pierwszy azerbejdżański elektroniczny instrument muzyczny powstał w... (niespodzianka) Zaqatali. Przy tym banknoty z Leninami i legitymacje partyjne już nie robiły żadnego wrażenia. Muzeum opuszczaliśmy podniesieni na duchu. Obsługę pozostawiliśmy skonfundowaną naszą wizytą. Pewnie do dzisiaj wspominają wariatów, którzy pewnego kwietniowego popołudnia przypałątali się do ich siedziby.



Lokalne filigranowe rękodzieło



„A z tej wazy dziadzius wypił całe wino. A potem wytoczył wojnę carowi!”



Grubiej. Być. Nie. Mogło.



Patrzcie bracia, oto jenot (a raczej szop)!



Po lewej, na dole: kaukaski bliźniak Louisa de Funes



Fanki musiały padać mu do stóp...

Odwiedziliśmy kilkanaście sklepów, wszystkie w jednym celu: znalezienia schłodzonego picia. Nie udało się, jedynie restauracje miały coś w temperaturze innej niż moc. Dało się znaleźć lody, ale za nic napojów chłodzących, w tym piwa. Zaqatala ma dość solidne zagęszczenie sklepów monopolowych na kilkaset metrów miasta, ale i one nie miały zimnego piwa. Fenomen ten zrozumieliśmy po odkryciu, że w naszym hotelu mieści się bar. Nie było to miejsce z marzeń walczących o równouprawnienie kobiet, ale podzieliliśmy siły i mogłem wzbudzać furorę pośród mężczyzn grających w domino i jedzących orzeszki. Nikt z obsługi nie mówił ani słowa po angielsku i rosyjsku (za młodzi na drugi, zbyt mało możliwości na pierwszy). W przybytku klasy „II wojna światowa” piwo kosztowało 80 kapików, niecałe dwa złote, i nie było złe, lepsze niż większość sklepowych. Lokalni i tak wybierali herbatę ze słonecznikiem. Po początkowej radości związanej ze znalezieniem takiego zajebiste endemicznego miejsca alkoholizacji wkroczyła nuda. Posiedziałem przy stoliku jak Bogart i po jakichś dwudziestu minutach stwierdziłem, że wyczerpałem potencjał tego miejsca, a następnie pożegnałem się z hotelowym barem i jednym z najtańszych knajpianych piw w życiu.

Nie mieliśmy już niczego do zobaczenia w Azerbejdżanie. Odpadły nam atrakcje związane z górami, które latem na pewno zajęłyby nam kilka dni. Pozostawało drugie co do wielkości miasto kraju, Gandza. Pytałem o nie krajowców (bo może w przewodnikach i na necie czegoś nie piszą), ale zeznania wszystkich były zgodne: nie ma tam po co jechać, no chyba że dla jaj. Postanowiliśmy pożegnać Zaqatalę i cały gościnny Azerbejdżan.

Najpierw marszrutką dojechaliśmy do Balakanu. Poziom trudności niski, z tego miejsca do granicy z Gruzją jest jakieś dwanaście kilometrów. Niestety transport publiczny nie jest po stronie podróżujących (chyba że robimy Baku-Tbilisi lub Szeki-Tbilisi na jeden strzał). Konieczne jest wykosztowanie się na taksówkę. Oczywiście osób chcących pomóc turystom nie brakuje i w końcu za jakieś 12 manatów znaleźliśmy przyjaciela.

Były to klasyczne miłe złego początki. Kilometrów do granicy jest jakieś 12, oczywiście w świecie lokalnych taksiarzy milion i w ogóle to nieprawda, że to blisko. Po drodze rozpoczęliśmy rozmowy towarzyskie, no więc Polska, on zna Polaków, kiedyś jakaś Polka zgubiła telefon, a on jej oddał, dzięki temu oszczędziła miliony manatów i złotych i do końca świata będzie mu błogosławiła. Szkoda, że już wyjeżdżamy, bo on by nas zaprosił do siebie do domu, tylko opalalibyśmy się, spacerowali po lesie i łowili ryby. W jego rodzinie tyle osób, dzieci mają po tyle, a jak u nas? Ile macie dzieci?

– Zero.

– *W tym wieku i nie macie dzieci! Musisz przełamać wstyd i iść do lekarza!!! To trzeba wyleczyć!*

Po drodze zaproszono nas na herbatę, szokująco miło. Pan uparł się, że za nią zapłaci, ale gdy dojeżdżaliśmy do granicy zaczął opowiadać o tym, że w sumie to by chciał zarobić więcej niż 12. Powiedziałem, że przepraszam bardzo, ale 12 jest 12, a nie 15. Ostatecznie umówiliśmy się, że podwiezie nas jeszcze jakieś dwa kilometry po gruzińskiej stronie i dostanie 15. Zastanawiałem się, czy mu się opłaca przekraczać granicę dla trzech manatów, ale widocznie tak, bo dość szybko zgodził się na tę ofertę.

Sama granica (Balakan-Lagodekhi) ma opinię miejsca o niskim poziomie trudności. Z jednej strony tak, z drugiej postaliśmy sobie w sumie z godzinkę. Bez samochodu jest raczej szybciej, bo po tym, jak postaliśmy w kolejce do przejścia, i tak nas wysadzili. Warto odnotować

bezcłówkę, czyli kiosk z pamiątkami i papierosami, ceny jakieś 2-3 razy wyższe niż w całym kraju, kolejek nie było. Całą granicę przeszliśmy na piechotę. Jest to kawałek drogi, wiele ciekawego się nie dzieje, pokazuje się kwitek, na którym się wjechało i żegnamy Azerbejdżan, przechodzimy przez most i jesteśmy w Lagodekhi. Do Gruzji wjazd jest bezwizowy, ale skanują bagaże, zapewne w poszukiwaniu papierosów i alkoholu, co w tym przypadku byłoby przysłowiowym wożeniem drewna do lasu. Żmudnie i nudno, ale szczęśliwie ktoś przewoził miód, ten miód się rozwalił, zrobiła się kałuża, przyleciały owady, celnicy się podkurwili, więc przynajmniej jakaś lokalna ciekawostka.

Nasz kierowca pojawił się chwilę po nas. Aż się zdziwiłem, bo zapłaciłem mu przed granicą i nie miałem wielkich nadziei, że jeszcze się spotkamy. Ruszyliśmy, mijając gigantyczny korek tirów. Jechaliśmy w niepokojącej ciszy, wcześniej facet gadał bez przerwy.

– 73!

– Co 73?

– 73 tiry czekają na granicy, policzyłem wszystkie! W nocy je puszczą, a w dzień kierowcy mają wolne i nic do roboty.

Popytałem i powiedział, że wszystko mają importowane, że produkty tureckie i rosyjskie cieszą się popularnością, krajowe nie. Trochę mnie to zdziwiło, bo na ile mieliśmy z nimi styczność, nie był to krańcowy syf – czy mydło, czy jedzenie, czy wino, czy pety, czy herbata. Być może lata poprzedniego systemu sprawiły, że poziom zaufania jest tak niski. Z drugiej strony, rzeczy rosyjskie są drogie i je lubią, podobnie gruzińskie.

Po przybyciu na przystanek marszrutek zapłaciliśmy, podziękowaliśmy i życzyliśmy miłego dnia. Marszrutka zbierała się do odjazdu, poszedłem pytać o bilety do Tbilisi. Odpowiedź mnie przeraziła.

– 15 lari

– JAKIE 15 LARI??? Panie, ja wiem, jakie są ceny w Gruzji!!!

– Wasz taksówkarz powiedział, że mam wziąć od was po 15 lari i że się podzielimy tym, co zedrę. No dobrze, to po 8.

Najszybszy targ świata. Jeszcze popatrzyłem na taksiarza, który stał może dwa metry od tej wymiany zdań. Kim trzeba być, żeby zapraszać ludzi na herbatę, do siebie do domu, rozmawiać o wszystkim, a chwilę potem chcieć z nich zedrzeć ponad dwa razy więcej, niż powinni zapłacić? Naczytałem się wcześniej, że Azerbejdżan to najmiłsi ludzie Kaukazu. Sam jestem raczej ostrożny z takimi tekstami, więc specjalnie się nie zdziwiłem, że było w porządku, ale bez dzikiego szału. Po opuszczeniu Baku szło jednak dość dobrze, wszędzie było raczej miło, nie mieliśmy poczucia, że ktoś chce z nas zedrzeć, a pan od wódki w Szeki to wygrał kraj. Taksiarz zaczął się wpisywać w bardzo pozytywne doświadczenia, dopóki nie dojechaliśmy do przystanku. Już nawet nie chodzi o pieniądze, bo w końcu nic nas nie zgolono, ten bus naprawdę kosztuje 8 lari. Chodzi o to, że dokąd nie pojedziesz, to wygląda to mniej więcej tak samo. Jeżeli nawet przez chwilę wydaje ci się, że jest dobrze, że tu jeszcze nie dotarła prymitywna zachłanność, że ludzi nie są chamsko bezczelni w darciu z ciebie pieniędzy, to po prostu należy popatrzeć dokładniej. Szkoda, że jedna z naszych ostatnich interakcji z Azerami potoczyła się tak. Sam Azerbejdżan jest takim w porządku miejscem do odwiedzenia. Jaj nie urywa, nie ma tam atrakcji skali Angkor Wat czy Petry, ale to, co jest, wystarcza na kilka dni. Przy obecnym kursie manata jest budżetowo. Jakość pobytu można sobie stopniować,

infrastruktura jest na akceptowalnym poziomie. Przypomnę tylko, że jest to wegetariański horror, w zamian oferują niezgorsze wina. Nie wpiszę na pewno Azerbejdżanu do pierwszej piątki moich ukochanych krajów. Dziesiątki? Może. Mniejsza jednak o takie bzdurki, obecnie dostanie się do Baku jest tak tanie i łatwe jak nigdy. A nie jest to jedyny plus byłej republiki Związku Radzieckiego, która zaoferowała mitologii sowieckiej 26 komisarzy ze swej stolicy.

Jeden z posłów PiS-u, Dominik Tarczyński zwany (niestety) Jenotem, również spędzał swoje wakacje w Azerbejdżanie. Wcześniej chwalił się, że jedzie do Miami, potem skończył tam, gdzie i my byliśmy kilka miesięcy wcześniej. Gdyby ktoś chciał wybrać się na wycieczkę śladami tego wybitnego polityka, powinien zacząć (i chyba skończyć, bo miłośnik jenocich futer nie chwalił się odwiedzeniem innych miejsc) w Baku. Może jednak jeszcze trochę zająć, zanim Baku wyprzedzi Miami na liście najpopularniejszych kurortów świata.

Jeżeli komuś brakuje wrażeń po przekroczeniu granicy Balakan-Lagodekhi, to koniecznie powinien skorzystać z toalety po gruzińskiej stronie. Za jedyne 20 tetri zostaje się zabranym w świat fekalnego odlotu, jest to miejsce, gdzie pałacy dziękują niebiosom za swój nałóg, a myślę, że wiele osób stwierdza, że w sumie to im się nie chciało.

[7.09.2017]



Podróż sentymentalna

Czy jest ktoś, kto nie wzrusza się podczas jedzenia chinkali?! Po tym, jak mieszkałem w Gruzji przez jakieś półtora roku, mój poziom adrenaliny związany z przekroczeniem granicy kraju ze stolicą w Tbilisi był niski. Jeżeli ktoś przyjeżdża do Gruzji po raz pierwszy, to z granicy Balakan-Lagodekhi ma dość blisko do Telawi lub Signaghi. My znamy oba miejsca dość dobrze, więc zdecydowaliśmy się od razu uderzać na Tyflis. Gdyby nie to, udalibyśmy się do jednego z wyżej wymienionych.

Po Azerbejdżanie Gruzja robi wrażenie dość solidnie rozwiniętego kraju, w którym komunikacja szosowa jest wcale dobrze rozwiązana i zorganizowana. Szczęśliwie już jeden ze stolicznych dworców, Isani-Samgori, nie robi takiego wrażenia. Burdel panował tam monstrualny (w sumie jak zawsze, ale kiedyś wiedziałem, jak się w tym orientować), ale na szczęście po szybkim kontakcie z kantorem mieliśmy więcej lari na pobyt w ojczyźnie Józefa Stalina. Z wizytą w kantorze związane było pewne dramatyczne wydarzenie – pozbyliśmy się ostatnich manatów. Lari to też nie jest zła waluta, prawie wygrała jakiś konkurs na najpiękniejsze pieniądze świata, ale jednak: manat to manat. Czuliśmy się, jakbyśmy opuszczali własne dziecko, ale prawa rynku okazały się nieubłagane.

W roku 2011 byłem na Tbilisi Film Festival i musiałem ogarnąć jakiś nocleg. Znalazłem dość tani hostel, nazywał się Georgia. Miejsce to wkrótce stało się moją odskocznią od wioskowej rzeczywistości dnia codziennego. W kwietniu 2012 roku właściciel poinformował

nas, że otwiera wkrótce drugą filię, hostel Romantik, na obrzeżach luksusowej dzielnicy Vake. Była Wielkanoc i hostel Georgia cieszył się pełnym obłożeniem, więc znając nas i wiedząc, że może nam zaufać, właściciel zabrał nas do swojego nowego przybytku. Nocowaliśmy tam, zanim w ogóle był oficjalnie otwarty. Wtedy powaliła nas czystość sanitariatów, brak ciepłej wody i ogrom miejsca. Potem jeszcze parokrotnie nocowaliśmy tam, ostatni raz pod koniec 2012 roku. Miejsce było najtańsze w całym Tbilisi, a przy tym oferowało jakość w rozsądnej cenie. Było jednak coś jeszcze lepszego: darmowe wino. Poważnie. Płacąc 10 lari, czyli jakieś 20 PLN, dostawało się dostęp do marani (piwniczki) właściciela. A raczej bukłaka. To nie mogło się kalkulować, w dobre wieczory schodziło tam kilkadziesiąt litrów wina. W kilka lat później słyszeliśmy, że hostel cieszył się dofinansowaniem państwowym. Nie wiemy, czy to prawda, wiemy natomiast, że to był ideał hostelu. Z jednym problemem: zakazem przyjmowania Gruzinów. Podobno dlatego, że państwo chciało, żeby to turyści mieli dobre wspomnienia z Gruzji i zachęcili swoich znajomych do jej odwiedzenia. Ponieważ Gruzini wielkiego wyboru nie mają i są w Gruzji permanentnie, nie było sensu marnować wina na nich, bo co z tego, że sobie lepiej o kraju pomyślą? Ich znajomi w przeważającej większości też już są w Gruzji, więc nie bardzo można ich zachęcić do odwiedzenia jej. Palenie peta pod kartką „GEORGIANS NOT ALLOWED” wiało rasizmem na miarę Alabamy 1955 roku, turyści stoczyli wiele rozmów na ten temat, ale ten punkt pobytu nie podlegał negocjacjom i Gruzini mogli co najwyżej odwiedzać gości, a i to nie na za długo.



Nastroje gruzińskiej młodzieży mają się dobrze...

W kwietniu roku 2017 z hostelu Romantik zostały strzępy. Zamiast naszego znajomego za ladą stała pani, która nie wyglądała na zachwyconą swoją pracą. Byliśmy początkowo jedynymi gośćmi. Nowiutka w 2012 roku lodówka, w 2017 pleśniała. Pralka chodziła tak, że w sumie trudno to nazwać działaniem. Sanitariaty dramat, właściwie wszystko dramat, antyczny gruziński epos narodowy, kombinacja pawia i brudu, tak w warstwie wizualnej, jak i odorowej. Jedyne co można zapisać na plus, to że palenie wywalili na zewnątrz, ale trudno powiedzieć, żeby to wiele pomogło, chyba lepiej było, gdy wisiała tam wielka chmura dymu. Ponieważ życie nie boi się hiperboli, to żeby podkreślić dramatyczny poziom czystości hostelu, na schodach przed wejściem ktoś zdefekował i wrzucił w to gazetę. Mimo że Vake to jedna z najbardziej luksusowych dzielnic Tbilisi, okolice tejże noclegowni wyglądały na ciężki slums. Kilkadziesiąt metrów w prawo lub lewo było lepiej, ale budynek, w piwnicy którego mieścił się hostel, emanował atmosferą nędzy, śmieci i po prostu brudu. Całe miejsce było na sprzedaż, ale nie sądzę, że ustawiły się kolejki potencjalnych kupców.



Miło widzieć, że w Tbilisi pojawiła się sztuka uliczna, chociaż niektóre jej przejawy są nieco zastanawiające



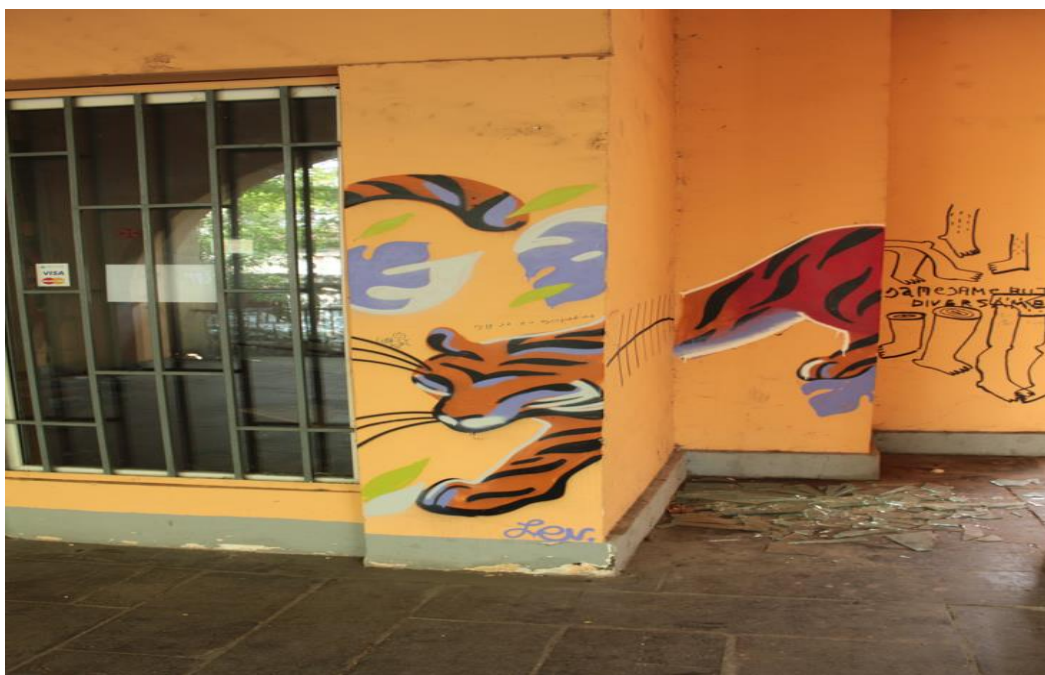
Ale z drugiej strony – kto nie chciałby owinąć się w dywan?

Ruszyliśmy pooglądać znane nam z dawnych lat rewiry. Zmieniło się wiele, można powiedzieć, że na plus: przybyło restauracji, kantorów, miejsc oferujących ekskursje wszelakiego rodzaju i sklepów. Pomędzy tymi ukłonami w stronę turystyki międzynarodowej dalej znajdują się miejsca typowe dla Tbilisi, czyli ciemne zaułki, nierówne chodniki, pokaźna ilość śmieci. Jeżeli chodzi o ludzi, przybyło młodzieży, którą spokojnie można określić mianem hipsterskiej i raczej nie ubyło ludności wiekowej, którą można nazwać biedną – jakoś tak dziwnie się składa, że w większości znanych mi miejsc emeryci są ubodzy. Jak dowiedziałem się już w paru krajach (w tym i w Gruzji), kobieta paląca publicznie to prostytutka. Można powiedzieć, że stolica zaliczyła solidny przyrost kobiet zajmujących się tą profesją, odkąd ostatnio tam byłem, bo palą stada dziewcząt,

zwłaszcza takich koło dwudziestego roku życia. Widocznie nie uwierzyły tatusiom, braciom i babciom.



Feminizacja Gruzji posiada różne oblicza...



Endemiczny kaukaski tigr?

O ile lari nieco się osłabiło, o tyle ceny zamortyzowały to osłabienie z nadładkiem. Z polskiego i rosyjskiego punktu widzenia nie jest drogo, ale nie jest też bajecznie tanio. Z perspektywy lokalnego emeryta lub studenta z wioski za to bardzo drogo. Nie tyle lane wino, fajki i czacza, za to knajpiane fancy wina i czacze to poziom już niemal zachodni. Szkoda, bo w 2012 można było wejść do lokalu, zrobić pełnego sultana i zapłacić za to poniżej 50 PLN. Teraz taki numer też jest możliwy, ale nie w tych ładniejszych restauracjach. Ba, wiele lokali zaczęło wpisywać obowiązkowy napiwek, zazwyczaj na poziomie 7%, co często owocuje tym, że trzeba go zaokrąglić nieco bardziej, oczywiście na korzyść restauracji. Taksiarze stali się upierdliwi niemal jak na Filipinach, jeden z nich nagabywał nas po polsku. Proszę, jak tajlandyzacja Gruzji wpływa na zdolności lingwistyczne kaukaskich autochtonów!



Spokojnie, obsługa prawdopodobnie opanowała te frazy po angielsku



Dzień dobry, poproszę dwa kilo patriarchatu

Postanowiliśmy zostać w Tbilisi na jeden dzień, zrobić sobie wspomnień czar i zobaczyć, co się zmieniło, a co nie. Odkąd byliśmy tam ostatni raz, otwarto muzeum poświęcone nielegalnej drukarni prowadzonej przez towarzysza Stalina. Zastanawialiśmy się, czy to nie jakiś błąd. W Gruzji otwarto coś dla najsłynniejszego syna narodu? Raczej zamykają atrakcje z nim związane, a tymczasem muzeum jego działalności rewolucyjnej???

W drodze do tego miejsca zlokalizowałem pomnik bohaterów filmu *Mimino*. Miło, że są miejsca, gdzie ludziom przychodzi do głowy, że pomnik nie musi upamiętniać straszego bohaterstwa narodu i tysiąca lat zmagania z jakimś okupantem. Są też miejsca, gdzie takich pomysłów nieważą mniej. Jeżeli ktoś podziela me ciepłe uczucia względem dramato-komedii o gruzińskim pilocie, a także o profesorze Khachikyanie, to powinien nieco dokładniej oglądnąć okolice stacji Avlabari.



Dzieło naczelnego gruzińskiego rzeźbiarza Zuraba Tseretelego



Cel wyprawy

Muzeum nielegalnej drukarni i rewolucyjnej działalności towarzysza Stalina mieści się w dawnym Centrum Marksizmu i Leninizmu, które spędziło nieco czasu pod wodą. Jest to nieco na uboczu i znalezienie tej perły Tbilisi nie jest przesadnie łatwe – lokalni nie wiedzą, przewodniki o tym nie piszą, drogowskazów też nie ma, tak więc telefon plus Google Maps muszą wystarczyć. Warto jednak się poświęcić, bo doznania są nie z tej ziemi. Miejsce zostało otwarte całkowicie niezależnie przez pana, który jest przewodniczącym Gruzjińskiej Partii Komunistycznej. Wyżej wymieniona Partia chce resuscytacji komunizmu w – niespodzianka! –

Gruzji. Jak przystało na pasjonata, właściciel sam wszystko wykupił, odremontował, a teraz pokazuje zainteresowanym temat.

Może kwiecień to nie szczyty sezonu turystycznego, ale coś mi mówi, że i w lipcu kolejki nie będzie. Gdy przyszliśmy, pan akurat oprowadzał Norwega z Ormianką. Walczyli po rosyjsku, ale nie bardzo im to szło, więc z dumą i radością mogłem zostać tłumaczem naszej wycieczki i przybliżyć Norwegom (w połowie solidnie farbowanym) koleje życia Stalina i problematykę reinstalowania komunizmu w Gruzji. A tych nie brak. Przede wszystkim, nie ma pieniędzy, co może wynikać z poparcia mieszczącego się w granicach błędu statystycznego. Nie ma struktur, nie ma organizacji, nie ma członków partii, a ci którzy są, nierzadko pamiętają czasy swojego wielkiego rodaka. Dowiedzieliśmy się, że najwięcej datków i zrozumienia płynie z Chin, ale niestety komendant całej imprezy bardzo słabo mówi po angielsku, Chińczycy nie mówią po rosyjsku, więc po prostu odbiera od nich datki, sztandary i ciepłe słowa, potem robią sobie zdjęcia, ale wielkiej współpracy póki co nie udało się z tego wyrąbać. Słyszeliśmy wielki żal w głosie naszego przewodnika, gdy opowiadał, że gdy Jiang Zemin był u władzy, to obiecał mu datki, a potem skończył się pontyfikat, a datki nie przyszły. Następca poczynił podobnie. Ze słów pana przebijało rozgoryczenie: gdy trzeba było, to oni Chińczykom pomogli zbudować komunizm, a gdy teraz oni potrzebują wsparcia z ich strony, to co? Pierdolić taki interes, my wam zbudowaliśmy komunizm, a wy nam nie chcecie tegoż odbudować, teraz wy pławicie się w dobrodziejstwach ustroju socjalistycznego, a u nas kapitałiści podnieśli głowy.



Już hol nie pozostawia złudzeń co do tego, kogo czci się w tym budynku

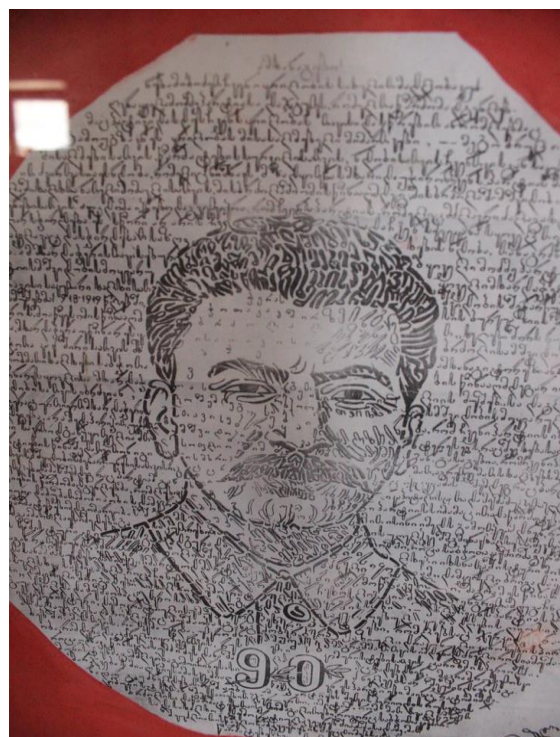


Gablotka z aktualnymi dokonaniami gruzińskiej partii komunistycznej



Róże dla Safony, goździki dla Stalina...

Oprowadzono nas bardzo rzetelnie po całej ekspozycji, mogliśmy zobaczyć makietę pokazującą, jak wyglądała drukarnia w latach 1903-1906 i jakie sygnały dawano ludziom siedzącym pod ziemią. Jedno jeb oznaczało „druk stop”. Dwa razy jeb oznaczało „drukuj dalej”. Trzy – „jedzenie gotowe”. Znając gruzińską pasję do jedzenia, to pewnie poza trzema jebnięciami wiele tam na dole nie słyszeli. W 1906 roku drukarnię zniszczono i dopiero w 1937 zdano sobie sprawę, jakie чудо historii ludzkości Tbilisi posiada. Wisienką na torcie i perłą w kolekcji była autentyczna maszyna drukarska, której używał wiadomy kto. Podobno Lenin miał powiedzieć, że gazeta to kolektyw, tym samym dając zielone światło do rozwoju prasy w komunizmie.



Typograficzny Stalin



Kochane dzieci, tak powstawał komunizm



Tutaj mieściła się tajna drukarnia wodza



Przewodniczący Komunistycznej Partii Gruzji prezentuje studnię



A pod studnią – tajna drukarnia i autentycznie pordzewiała prasa drukarska

Po 1990 muzeum/instytut marksizmu i leninizmu był zamknięty. Dopiero kilka lat temu pozwolili przejąć im spuściznę. Okazało się, że wszystko rozkradziono, poza ww. maszyną drukarską. Bo była za ciężka, żeby ją wynieść. Sam sprzęt, który potem stał się źródłem światła od towarzysza Stalina, przybył z Niemiec przez Baku. Ucieszyliśmy się, że w jakimś stopniu i sensie odtwarzamy podróż sprzętu, który pomógł budować komunizm w czasach przed Związkiem Radzieckim. Przeszłość spotykała teraźniejszość (a nie bójmy się powiedzieć, że nawet i przyszłość!): poza sztandarami z epoki dawno minionej, pan miał zdjęcia z różnych spotkań, w jakich brał udział, np. na Białorusi. Z dumą pokazał nam zdjęcie, jak depczą flagę NATO, a potem się zreflektował, że Polska do tego NATO należy. Postanowiliśmy nie żywić urazy za to małe *faux pas* z dziedziny stosunków międzynarodowych.

Na pożegnanie przekazaliśmy wodzowi pieniądze na budowę wiadomego systemu w wiadomym kraju. Daliśmy nieco więcej, bo czuć od niego było alkoholem, więc już na wejściu miał dodatkowe punkty. Myślę, że zarówno rozmiar naszego datku (5 lari, Norwegowie dali 10), jak i siły stojące po jego stronie pozwolą wszystkim spać spokojnie w obliczu nadejścia jutrzejki komunizmu. A jeżeli nie, to zaburzenia snu nie będą związane z gruzińską partią komunistyczną.

W tym całym chaosie stalinowskiej hagiografii, dowiedzieliśmy się, że jeden z najbardziej rozpoznawalnych plakatów ZSRR „Rodina Mat’ Zovet” jest dziełem gruzińskiego *chudożnika*. I że był to plakat o wielkim wpływie na II wojnę światową.



Ten styl!



Pan przewodniczący prezentuje pamflety tematyczne

Została nam łyżka dziegiu dla wszystkich Norwegów, jacy kiedykolwiek żyli i jacy kiedykolwiek się urodzą: kraj taki piękny, ludzie tacy dobrzy, ale jak oni mogli dać Nobla temu szkodnikowi, temu niszczycielowi??? Oto odpowiedź na pytanie: z jakim przyjęciem w ZSRR spotkała się nagroda Nobla dla Michaiła Gorbaczowa?



Nigdy nie zgadniecie, kto tutaj spał!

Popołudnie spędziliśmy na części gastronomicznej. Składała się ona z badania tego, co też znane nam sprzed lat lokale oferują. Ceny poszły solidnie w górę. Jakość jakby w dół. Za to ilość przybytków zaskakiwała.

Niestety zniknął też jeden z moich ulubionych sklepów z winem. Pojawił się nawet lokal o nazwie „Warszawa”, gdzie można sobie wypić piwo ze słoika za lari lub bańkę za dwa. Cena do jakości działała nieźle, więc we wczesnych godzinach wieczornych opuszczaliśmy lokal w trybie króla życia.



In vino veritas

Znaleźliśmy sobie jeszcze craftowy bar z piwem po pięć lari za sztukę, posiedzieliśmy tam, połowa z nas wygrała konkurs na dowolnie wybraną banie alkoholu:

- Co łać? Whisky, wódkę?
- Czaczę.
- Możesz wybrać nawet Jaegermeistera.
- CZACZĘ!



Z braku zdjęcia czaczy prezentujemy zdjęcie kota

Czacza to nie jest alkohol, to jest styl życia. Gdy ktoś zdrowy na umyśle ma taki wybór, wybierze wszystko, tylko nie czaczę. Czacza to *aqua vitae* świata. Czacza to ogień wlewany w gardło i żyły, to stan umysłu. Totalny bimber z siłą rażenia porównywalną do bomby atomowej. To też zapis nędzy i dramatów Kaukazu – wódka destylowana ze zgniłych odpadów produkcji wina. Odkąd znam czaczę, to mówię, że wódka jest dla dzieci. Czacza, to jest życie!

Komu w drogę, temu trampki. Następnego dnia wyjeżdżaliśmy z Tbilisi. Chcieliśmy dostać się do granicy z Armenią, co jest zadaniem dość nieskomplikowanym, ale tylko pod warunkiem, że zechce się zapłacić za całą trasę do Erywania – nie da się kupić biletu tylko na kawałek trasy. Ponieważ uznaliśmy, że takie rozwiązanie nas nie satysfakcjonuje, postanowiliśmy dojechać do granicy transportem mniej komercyjnym.

Przysięgam, w miarę czytam po gruzińsku i mówię dość biegle po rosyjsku. Mając te wszystkie zdolności na pokładzie, miotałem się jak jenot na farmie futer. Chcieliśmy jechać do Sadakhlo, wioski przy przejściu do Armenii. Powiedziano nam, że dojedziemy tam z dworca Samgori. Na Samgori powiedzieli, że z Ortachala. Tam powiedzieli, że bussem się nie da, ale może taksówką. W końcu zarządziłem wyjście na wylotówkę z Tbilisi – bo skoro tak często wracałem na wioskę w 2011 i 2012, to pewnie i w 2017 patent ten działa (Kaukaz nie jest przesadnie dynamicznie rozwijającym się miejscem). Patent ogólnie działał, tylko potrzebowaliśmy do tego dobrych dwudziestu minut. Marszrutka zawiozła nas do Marneuli, gdzie przesiedliśmy się na kolejną, do Sadakhlo. Chyba. W sumie nie wiem dokąd. Wiem, że po drodze jechaliśmy przez Teleti. Dokładniej: przez Kvemo Teleti (Niżne Teleti) i Teleti. Nie są to miejsca, które można znaleźć w jakimkolwiek przewodniku, ale mieszkalem tam przez jakieś dziewięć miesięcy. Kicałem z radości po całej marszrutce. Nie starczyło mi jednak odwagi, żeby odwiedzić miejsce, które wówczas nazywałem domem. Jak zobaczyłem te dramatycznie smutne budy, betonowe bloki, rozpadające się chaty... Moja Gruzja się nie skomercjalizowała nawet na centymetr, w żadnym stopniu. Myślę też, że nie wydarzy się to szybko i proces westernizacji Gruzji ograniczy się jedynie do większych miast, a wioski pozostaną sobie w tym wzruszającym stanie, w jakim zostawił je socjalizm.

[9.09.2017]

Po wielkiej walce stoczonej w imię dotarcia do Armenii, kierowca ostatniej marszrutki był na tyle miły, że podrzucił nas pod samą granicę. Sama granica prezentowała sobą niski poziom trudności (podchwytliwe pytanie w stylu: „Po co byliście w Azerbejdżanie?” i tyle) i podobny poziom infrastruktury – nie ma niczego do jedzenia, do picia tylko jakiś automat. Jest za to cywilizowana toaleta!

Po drugiej stronie przejścia czekały już stada taksiarzy. Długa walka, trochę wrzasków i 4000 (jakieś 8 euro) dramów zaowocowało transportem do miejsca, w którym chcieliśmy się zatrzymać, czyli do Alawerdi.

Uwaga walutowa: w kwietniu 2017 za 1 euro dostawało się jakieś 510 dramów. We wrześniu 2017 waluta sobie deko gębnięła i obecnie za jedno euro dają 575 dramów. To miło, że Armenia ostatecznie też postanowiła iść w ślady Gruzji i Azerbejdżanu, bo jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się to strasznie niesprawiedliwe, że im jako jedynym pieniądze nie gruchnęły.



Powyższy widok to główna przyczyna zatrzymywania się w Alawerdi

Alawerdi po gruzińsku znaczy plus minus „stworzony przez Boga”, zgadywałbym więc, że po ormiańsku też coś w ten deseń. Mieścina jest prześlicznie położona w górach, ale prawdziwym hitem jest pobliska kopalnia-fabryka miedzi z własną kolejką liniową. Wygląda jak

Mordor, dymi się z niej, a zabudowania całego kompleksu sprawiają, że jest jeszcze brzydziej niż ustawa przewiduje. Jest rzeczka, są ładne góry, no ale przede wszystkim jest kopalnia, która truje wszystkich mieszkańców. Zamknąć jej jednak nie można, młodzi i tak uciekają, a innych miejsc pracy nie ma – trudno liczyć, że jeden supermarket i kilka pomniejszych sklepików mogłoby utrzymać kilkanaście tysięcy ludzi. Nie udało nam się znaleźć nawet żadnej czynnej gastronomii, a pieniądze da się wymienić jedynie w banku Credit Agricole, który szczęśliwie był czynny do 17 i dzięki temu udało nam się zdobyć dramy. Kopalnia jest z jednej strony przekleństwem, a z drugiej błogosławieństwem miasta, pracuje w niej około 1600 z 14000 mieszkańców. Dane podała nam pani z hotelu, więc ich weryfikacja przebiegła na zdrowy rozum, ale mają sens.



Może cierpimy na pareidolię, ale ten budynek wygląda jakby krzyczał...



I ty możesz poczuć się jak w czołówce Twin Peaks



Zapewne kiedyś jakiś oficjał rozejrzał się po okolicy i pomyślał: „Jaki piękny krajobraz, zbudujmy tu kopalnię!”

Turyści najczęściej zahaczają o Alawerdi po drodze, my jednak postanowiliśmy zostać na chwilę, żeby pooglądać bardziej rustykalną Armenię. W położonym nad rzeką hotelu aż nie mogli uwierzyć, pracująca tamże pani bardzo się ucieszyła, że mamy taką pasję i poopowiadała nam o okolicy, a przede wszystkim o realiach finansowych. Jej pensja wynosiła 220 USD miesięcznie, a na cztery tygodnie pracy przysługiwał jej JEDEN dzień wolny. Zajmowała się księgowością, reklamą w internecie, sprzątaniem i pomaganiem gościom. Była to dość dobra posada, wielu mieszkańców Alawerdi musiało opanować sztukę życia za okolice 100 USD miesięcznie. Żał nam było dobrodziejki, bo z jej pracowitością, miłym usposobieniem i poziomem ogarnięcia życia mogłaby w jakimś innym kraju wygrać o wiele lepszy los na loterii. W hotelu niestety poznałem też matematykę po ormiańsku: jeżeli macie za coś zapłacić 3800 dram i dostajecie 9% zniżki, to znaczy, że płacicie 4000. A że tak było na stronie? „Och, to źle jest na stronie!”. 4000 dram to około 8 euro, a standard przybytku zdecydowanie nie uprawniał do tego, żeby brać za niego aż tyle, po prostu najzwyklejszy hostel. Zaczęliśmy w końcu dostrzegać, że informacje o bardzo atrakcyjnych cenach w Armenii stały się częścią przeszłości.

Jest co z życiem zrobić, kilka kilometrów w jedną stronę jest monastyr Hachpat. Większość przewodników głosi, że do monastyrów można dotrzeć tylko taksówkami, w związku z czym pragniemy donieść, że jest to bzdura – wystarczy zapytać kogokolwiek, aby dowiedzieć się o numery odpowiednich marszrutek. Transport lokalny startuje z placu w centrum wioski, jednakże akurat my mieliśmy to szczęście, że zapomniał sobie przyjechać. Dzięki temu mogliśmy przespacerować się po urokliwym Kaukazie, popodziwiać wściekle psy, udomowione świny i lekko zdziczałe dzieci. Gorąco nie polecamy powtarzania tego wyczynu, bo droga jest długa, średnio ciekawa, do tego pozbawiona sklepów z zimnymi napojami.



Monastyr zza muru

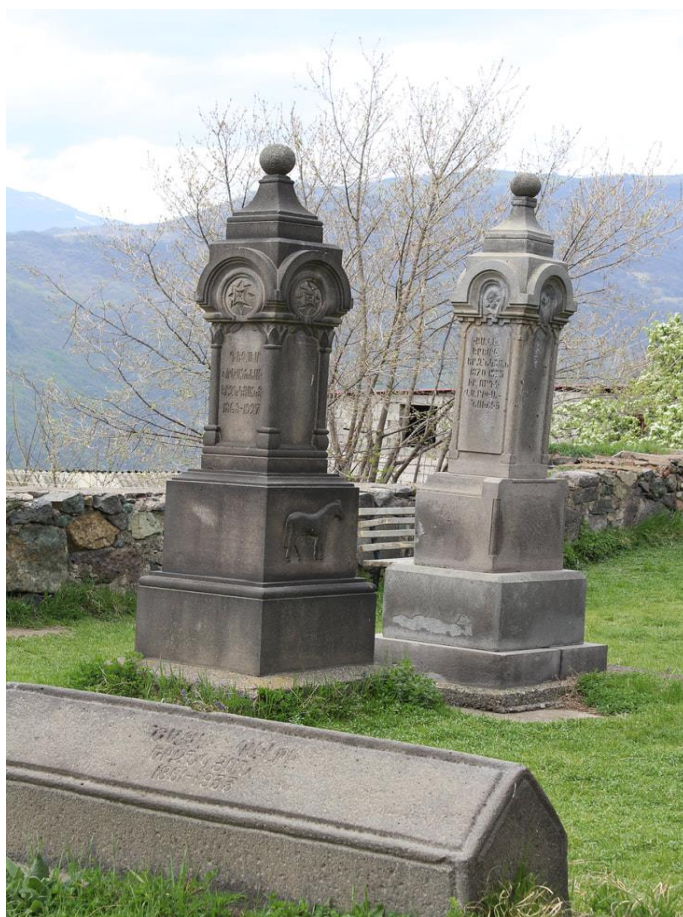
Do Hachpat dociera raczej mało osób, więc handlarze bardzo się ucieszyli na nasz widok, chcieli nam sprzedać wiele rzeczy, najczęściej ręcznie robione serwety. Wybór suvenirów był dość solidny, niestety wszystkie przedmioty posiadały jedną wadę – brak karteczki z ceną.



Mapa urokliwej okolicy



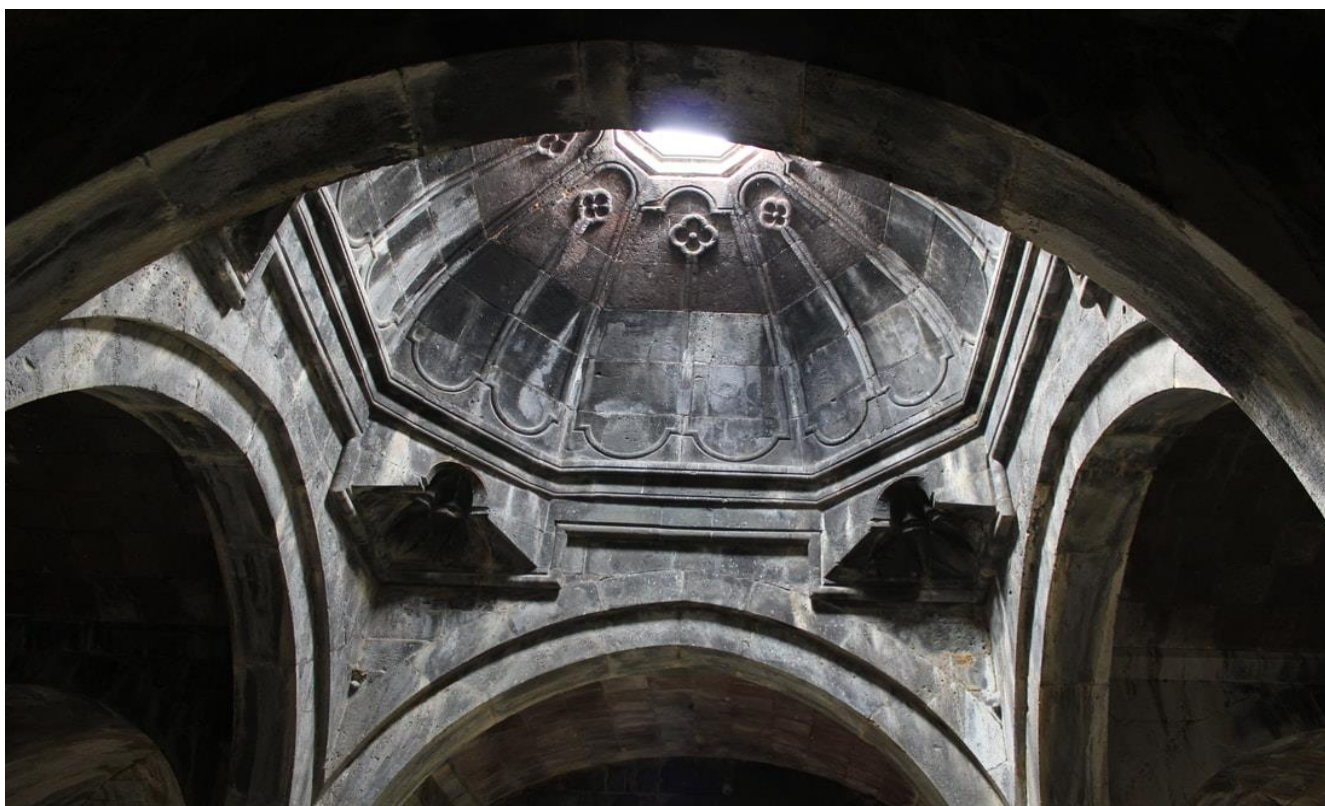
Pewnie każdego poranka mnisi rozglądali się wokół i stwierdzali „Zielono... jak szlag!”



Nagrobek konia?



Tutaj jeszcze nikt nie wpadł na pomysł elektrycznych świeczek



Fiat lux!



Ponoć w tychże dziurach przechowywano księgi klasztorne. My bardziej stawiamy na to, że przechowywano tam trunki...



Wieża. Niestety nie jest to Tower of Song

W drugą stronę Alawerdi jest wioska Sanahin z kolejną świątynią, a także z muzeum poświęconemu Mikojanowi, który po pierwsze był Ormianinem i urodził się w 1905 w Sanahin (w 1918 wyjechał, co nas jakoś bardzo nie zdziwiło, pytanie czy kiedykolwiek powrócił), a po drugie był konstruktorem samolotów MIG. Mikojan ma swój pomnik i muzeum. Oprócz pięknej rzeźby jego dokonania, w okolicach placówki są świny, dzieci i psy. Cała trójca w różnym stopniu zdziczenia.



Spontaniczne rysunki nagrobne



I wszyscy wiedzą, gdzie jest krzyż. A nawet krzyże



Tutaj też nie dotarły elektryczne świece!



Kącik zabaw dla dzieci?



Ach, te kolumny. Co za proporcje. Ta smukłość. Ta lekkość



Machina czasu którą dotarliśmy do Sanahin



Oraz jej system zasilania. Bezpieczeństwo naszym priorytetem!



Lokalna trzoda przechadzająca się obok muzeum



To łon, to łon skonstruował MIG-a!

W pewnym sensie największymi atrakcjami okolicy są pozostałości po czasach sowieckich, czyli autobusy i przerażająca kopalnia. Sama miejscina się sypie, gołym okiem można zauważyć, że ludziom się nie przelewa. Mimo tego mało radosnego poziomu życia Armenia obecnie jest najdroższym krajem z wiadomej trójcy. Na pociechę – mają piwo Kilikia, które wygrało w moim regionalnym rankingu piw.

Nie wpadliśmy na jedno: transport. Z trójcy Azerbejdżan, Gruzja, Armenia ta ostatnia ma najbardziej niewydolny system transportu. Na pytanie o durny bus do Erywania zebraliśmy całą kolekcję odpowiedzi sięgających od 7 rano do 12. Ostatecznie wybraliśmy tę, która nakazywała nam, żebyśmy przyszli o 11. Oczywiście o 11 nie działa się nic, potem w końcu przyjechała marszrutka, której kierowca gdzieś poszedł, wrócił i dopiero łaskawie pozwolił nam wsiąść na pokład, chociaż nie mieliśmy rezerwacji. Bus wypełniony był po kaukasku, czyli było tam znacznie więcej osób niż dowód rejestracyjny przewiduje. Zgrupowano nas z Niemcem, uznając, że zachodni to się pewnie dogadają. Niemiec poinformował nas, że w Armenii jest taniej niż w Bremie, co niesamowicie nas zaskoczyło, bo w Bremie przecież 220 USD to też jest dobre wynagrodzenie. Dojazd do stolicy zajął nam parę godzin, droga jest z tych ładnych – przepaście, krzaki, trawy, rogacizna i nierogacizna, oczywiście obowiązkowa ilość śmieci i odpadów gospodarczych. Pewną różnicą na plus wobec gruzińskiego modelu transportowego jest to, że marszrutka zrobiła przerwę przy stacji benzynowej, dzięki czemu pasażerowie nie musieli cierpieć na ból pęcherza aż do stolicy.

[23.09.2017]



Sto lat temu Erywań liczył 29 tysięcy mieszkańców. Obecnie ma ich ponad milion. Lista osiągnięć Związku Radzieckiego jest bardzo długa. Jednym z moich ulubionych jest seria dowcipów o Radiu Erewań (właśnie tak, a nie Erywań). Chociaż sama tematyka nieco umarła wraz z poprzednim systemem, niektóre z używanych dawniej fraz weszły do powszechnego użytku. Poniżej zebraliśmy wszystko, co udało nam się znaleźć. Tym samym chcemy poczynić pewną propagandę geniuszu człowieka radzieckiego (czasem też polskiego) walczącego z opresyjnym reżimem. Nie zapominajmy, że chociaż poprzedni system się skończył, to w socjalizmie człowiek wyzyskiwał człowieka, a obecnie jest dokładnie na odwrót! Odyseję Radia Erewań pozwolę sobie rozpocząć z bardzo grubej rury:

*Opowiadano mi, że Stalin umarł w dniu wielkiego święta. Jakie to było święto?
– Dzień śmierci Stalina.*

I nieco lżejszego kalibru:

*– Jakie miasto w ZSRR jest najważniejsze?
– Oczywiście Erewań.
– Ile potrzeba bomb atomowych aby zniszczyć Erewań?
– Moskwa to też bardzo ważne miasto...*

Moje wspomnienia z wizyty w Erywaniu z roku 2006 okazały się być solidnie nieaktualne. Niemal wszystko się zmieniło, chociaż kurs drama do dolara pozostał niemal taki sam. Gdy podbijaliśmy Armenię w 2006 roku, mieszkaliśmy w bardzo klimatycznym postsowieckim hotelu i według mojej wiedzy nie było innych opcji. Obecnie hosteli są dziesiątki, zabłąkał się nawet jeden imienia Sacharowa.

W 2006 jedliśmy, żeby przeżyć. W 2017 gastronomicznie można szaleć i wybierać, są nawet lokale stricte wegetariańskie. Miejsca z craftowym piwem? Znalazłem dwa, słyszałem o dwóch kolejnych, pewnie jest więcej. Centrum, gdzie w roku 2006 było dość smutno i gdzie powoli rodziło się jakieś życie kulturalne? Jest nowocześnie, deptak spacerowy, sklepy z całego świata. Erywań jest obecnie miastem, które spokojnie klasyfikuje się jako europejskie. Jest tylko jeden problem. Ceny.

Od słuchacza z Ameryki:

– Czy w Związku Radzieckim inżynier może kupić z pensji samochód?

– A u was biją Murzynów.

Może nie do końca jest to taki wielki problem, ale bardzo dobrze pamiętam, że w 2006 roku Armenia była tania. W każdym przewodniku po regionie wpisywana jest jako najtańszy kraj z całej trójcy. Niestety, już nie. Armeński dram nie zaliczył aż takiego dramatu jak... (baczność!) manat (spocznij!), ale ceny wyfrunęły do poziomów właściwie polskich. Za nocleg w dormitorium płaciliśmy 8 euro (Aligator został gratisowo pokąsany przez jakieś niezidentyfikowane owady), wycieczki jednodniowe to koszt w okolicach 20 euro. Jedzenie uliczne nie jest bardzo drogie, ale craftowe bary to już ceny na poziomie polskich (chwała, że nie moskiewskich).

– Czy to prawda, że wkrótce będzie u nas jeszcze gorzej?

– To nieprawda. Gdyby mogło być gorzej, to by już było.

Lepiej, a raczej gorzej: stolica Armenii zyskała jedną, bardzo irytującą cechę: napiwki. Właściwie każdy lokal dopisuje 10% do cen w imię „dobrowolnego napiwku”. Nie sądzę, że jest to jakaś dzika miłość do systemu amerykańskiego, tylko po prostu ruchanie klienta na każdym kroku. W połączeniu z podejściem lokalnym, to lubi być tak, że coś w cenie 600 dram ostatecznie kosztuje 700. Bo przecież nie będą ci wydawali tych 40 pieniążków. Tak więc piwo kosztujące 800 dramów tak naprawdę kosztuje 900. Idziesz do baru, zamawiasz piwo, pan lub pani ci je leje, a potem sam się tipuje 10% – za nalanie piwa w piwnym barze! 900 dram to w kwietniu 2017 roku było jakieś 7 PLN, no nie jest to dramat w skali europejskiej, ale mówimy o kraju, gdzie ludzie jednak nie zarabiają bardzo dużo. Ja jestem sobą, nie lubię być zmuszany do tipowania na każdym kroku i parę razy przypiliwałem się o to, że jednak chciałbym dostać jakieś końcówki, bo jakoś kurwa nie wydawało mi się, żeby poziom życia poza Erywaniem wyskoczył do rejestrów takich, że ludzie mają w pompie, czy dostaną resztę, czy też nie. Zresztą nawet w stolicy, poza centrum, ludzie jednak nie machają ręką na 50 dramów – tyle kosztuje bilet na trolejbus (autobus to już 100). Do tego nie miałem poczucia, że otrzymuję jakąś niesamowitą jakość za pieniądze. Zazwyczaj dostaje się postsowiecką jakość w europejskiej

cenie. Ogólnie większość moich relacji finansowych z mieszkańcami stolicy Armenii było naznaczonych pewnym podkurwieniem, zapewne z obu stron, bo wielu turystów grzecznie wszystko płaci i nie piluje się o końcówki. Miałem też poczucie, że ruchają mnie bez mydła, na czym tylko mogą, co dość poważnie wpływa na moje czerpanie radości z podróżowania.

– *Czy wspaniałe osiągnięcia komunizmu znane są całemu światu?*

– *Niestety, tak.*



Pralka znaleziona w jednym z przejść podziemnych Erywania uosabia nasze przemyslenia zwiqzane z jakością obsługi w niektórych lokalach

Jeżeli ktoś kojarzy Armenię z czymkolwiek, to zapewne z ludobójstwem i System of a Down (którzy też nierzadko nawiązują do ludobójstwa, a nawet zrobili o nim film dokumentalny). Temat mnie kiedyś dość interesował, zwłaszcza dzięki filmom Atoma Egoyana. Nie będę opowiadał, że wiedziałem o tym wszystkim bardzo wiele przed pierwszym przybyciem do Armenii, ale potem jednak natykałem się na niego więcej niż parę razy. Wydawało mi się, że powoli staje się on bardziej znany w świecie, ale jednak jest to pewna nisza w dziedzinie „genocydów”. W jakimś stopniu, bo każdy przewodnik po Armenii ma sekcję na temat ludobójstwa Ormian.



- Czy wolno krytykować partię?
- W zasadzie tak, trzeba jednak pamiętać, że we własnych czterech ścianach jest zdecydowanie przyjemniej.

W naszym hostelu spotkałem parę osób, które podzieliło się ze mną swoimi przemyśleniami dotyczącymi problemu. Przyznam, że do dzisiaj pozostaję pod wrażeniem tych mądrości. Młody Fin uważał, że w imię racji moralnych współczesna Turcja powinna być podzielona pomiędzy Armenię i Grecję. Uważał, że jest to absolutnie realny koncept polityczny. Było mu szkoda, że jego kraj jest taki zachodni, uważał, że potrzebny mu zwrot na Wschód. Dość szybko przestałem traktować tę wymianę poglądów poważnie, więc nie pytałem, co dokładnie ma na myśli z tym zwrotem na Wschód. Może chciałby pensji takiej jak w Murmańsku? Takiego dostępu do edukacji, jakim cieszą się mieszkańcy Wołogdy? Paszportu o mocy rosyjskiego? Bo przecież jeżeli chodzi o duchowość, to może sobie chodzić do cerkwi, ile chce. I czytać Dostojewskiego, Gogola, innego Sołżenicyna. Czasem strasznie mi trudno zrozumieć ludzi Zachodu. Do naszej rozmowy dołączyła Amerykanka, która powiedziała, że główną wadą czasów stalinowskich było to, że Józef Stalin nie dał republikom wolności bazującej na etniczności mieszkańców. Zdębiałem i odpaliłem sobie peta, jak to usłyszałem. Naprawdę, cały stalinizm był średnio relaksacyjnym czasem do życia tylko dlatego, że Stalin nie oferował republikom niepodległości? Nawet mi się nie chciało pytać, czy pani słyszała o tym, że w latach 30. parę osób umarło nieco przedwcześnie i że więcej niż kilka osób wygrało wycieczki do różnych atrakcyjnych destynacji w stylu Syberii i Kazachstanu, a znacznie mniej z nich wróciło. Trochę mi było szkoda, że wygrałem tę dwójkę interlokutorów, bo wcześniej rozmawiałem

z recepcjonistą, który akurat był w trakcie pisania pracy magisterskiej o amerykańskiej polityce wobec Kaukazu. Liczył na to, że pozwoli mu ona na studia za granicą, a konkretnie w tym USA, o którym pisał. Pisał głównie o tym, że chuja się znają, co według mej wiedzy jest zgodne z prawdą. Jego optyka nie była wybitnie pro-ormiańska, więc zaczynało się nam ciekawie rozmawiać, ale ostatecznie skończyło się na opowieściach Amerykanki o tym, że Izmir jest mniej światowym miastem niż Erywań, bo tam żebrzą bardziej niż tu. A także, że ona jest *self-made woman*, bo skończyła studia gry na saksofonie na jakiejś czwartorzędnej uczelni na Florydzie (ja tego nie wymyślam...). Teraz wprawdzie będzie spłacała pożyczkę przez lata, ale przynajmniej ma wyższe wykształcenie, co pozwala jej na pracowanie za granicą i dzięki temu może zarabiać na siebie. Robi to, ucząc angielskiego w Tbilisi. Na moje pytanie, jakie ma kwalifikacje do wykonywania tego zawodu, odpowiedziała w jedyny możliwy sposób:

– *Jestem native speakerem.*

Powodzenia drodzy uczniowie z gruzińskiej stolicy! Nie zapominajmy, że *кадры пеуаюм все*. A te, które poznałem, na pewno zadecydują o sukcesie Gruzinów w poznawaniu języka wroga. Ta głębia refleksji nad otaczającym światem, ta niesamowita znajomość realiów poparta oblataniem w językach innych niż pierwszy, to niesamowicie cenne wykształcenie, te zainteresowania!

Dwa wieczory później trafili nam się Filipińczycy, którzy spytali, jak się pije wódkę i czy rzodkiewka to dobra zakąska. Lepszego pytania do otwarcia znajomości zadać nie można. Dwie wódki później słuchaliśmy o tym, że pracują w Dubaju, gdzie życie jest chujowe i podobnie też ich traktują, ale chociaż pochodzą z pięknego Palawanu, to żyć tam nie mogą, bo opcji kariery brak. Oferowali też historie o nieudanych małżeństwach zawartych w wyniku nacisku rodzin, mężu alkoholiku, dzieciach mieszkających z ich rodzicami. Nasze serce zdobyła pani, która wyszła za mąż w wieku lat 16 tylko po to, żeby zapewnić lepszy byt swojemu młodszemu rodzeństwu. Jej mąż okazał się być bardzo złym człowiekiem, więc wyjechała do Emiratów, nauczyła się samodzielnie arabskiego i angielskiego i teraz pracuje jako organizator imprez, a całą swoją pensję wysyła rodzinie, która ciągle tylko prosi o więcej i więcej, nigdy zaś nie dziękuje. Pełen przekrój depresji i dramatów życiowych, żadnych debilnych przeświadczeń o tym, że „TRZEBA BYĆ POZYTYWNYM, ŚWIAT NALEŻY DO CIEBIE!!!”. Proza życia, walka z rzeczywistością, smutek i płacz. No i wódka, Insallah!

Schodząc bardziej na poziom ogólnie dostępny niezależnie od pory roku i spotkanych ludzi, czyli atrakcji stolicy Armenii – wszyscy zgodnie twierdzą, że warto odwiedzić muzeum historii Armenii. Pewnie dlatego, że siara powiedzieć, że deko nudno oglądać to wszystko, bo człowiek nie będący pasjonatem tematu raczej się pogubi, chociaż chwilami można się wciągnąć. Zbiory są dość rozbudowane, opisy po angielsku i rosyjsku w porządku, da się coś zrozumieć, z jednym problemem: o niemal każdym okresie historii kraju jest dość dużo informacji po angielsku. Niestety, nie o najnowszej, bo XX wiek opisany został jedynie po ormiańsku. Kurwa, naprawdę? Chciało wam się przełożyć opisy wazonów sprzed dwóch tysięcy lat, ale już nie rzeczy związane z ludobójstwem, więc serwujecie zwiedzającym, płacącym za to ciężkie dramy jakieś foty wojskowych z narodową flagą? Oczywiście, że wam ufam i wierzę!



Ozdoby wejścia na lokalny bazar



Z atrakcji głównego nurtu, u nas wygrało muzeum wielkiego sowieckiego/ormiańskiego reżysera Paradżanowa. Położone jest ono kawałek od centrum, ale dostać się tam nie jest bardzo trudno (Google Maps prowadzi za rękę), piechotą zajmuje to jakieś 40 minut. Przeżyliśmy zachwyt. Jeżeli nie policzymy muzeum działalności poligraficznej towarzysza Stalina, to jest to najlepsze muzeum regionu. Poza robieniem filmów, które lubi jakieś kilkadziesiąt osób w skali globu, Paradżanow zajmował się też sztukami wizualnymi, które wyglądają jak prace wariata. Reżyser wykorzystywał cuda w stylu szczotek klozetowych i wszelakich możliwych śmieci, odpadów i robił z nich wcale ciekawe rzeczy.

Pewnie czasem jego żona wstawiała rano i zadawała magiczne pytanie:

– *Gdzie jest, kurwa, mój durszlak?*

A na to Sierioża odpowiadał:

– *To nie jest durszlak! To symbol zniewolenia artysty!* – i pokazywał jej jakieś swoje cudo. A ona odcedzała makaron przez talerzyk, przeklinając, że siostrzenicy to się powiodło, wyszła za rolnika i ma święty spokój, a tu jakiś pierdolony intelektualista niszczy wyposażenie kuchni.

Tak przy okazji, poza robieniem rzeźb ze szczotek do kibla i filmów Paradżanow siedział w więzieniu, co odkryliśmy dopiero w muzeum. Dostał pięć lat Syberii za biseksualizm i gwałt na kimś z partii. Odsiedział cztery i dopiero liczne listy intelektualistów wybawiły go od siedzenia w pierdlu. Potem dostał kolejny wyrok i posiedział sobie niecały rok za łapówkarstwo. W dziełach zgromadzonych w muzeum widać dość solidnie wpływy tego uroczego czasu w jego życiu. 22 lipca 1990 roku umarł na raka płuc, kino straciło magika – jak to ujęli reżyserzy świata w depeszy przesłanej do Rosji, którą pewnie ktoś się podtarł i tyle. Armenia wygrała los na loterii, bo reżyser miał identyfikację potrójną – ukraińsko-gruzińsko-ormiańską, ale klasyfikuje się go zwyczajowo jako kino armeńskie.

Przed wizytą w muzeum myślałem, że ZSRR ceniło wielkiego reżysera, ale gdzie tam, można powiedzieć, że śmierć go bardziej rozpieściła niż życie, umarł w 1990 roku i dopiero wtedy jego filmy zaczęły podbijać świat. Na pociechę ma, że do dzisiaj cieszą się pewną renomą i nierzadko wymienia się go jako jednego z najważniejszych reżyserów czasów Związku Radzieckiego. Szkoda, że w ramach jego twórczości nie uwzględnia się tych rzeźb ze szczotek do kibla.

– *Czy Czajkowski był homoseksualistą?*

– *Tak, ale nie za to go cenimy.*



Hommage dla reżysera-artysty

24 kwietnia to dzień upamiętniający ludobójstwo Ormian. Trafiło nam się jak kurwie dziecko, że akurat byliśmy w Erywaniu. Symbolem tego dramatycznego wydarzenia jest kwiatek – niezapominajka. Poszliśmy odwiedzić miejsce pamięci i ogólnie byliśmy pod wrażeniem. Zastanawialiśmy się, jak ważna jest to data w życiu „normalnych” Ormian. Otóż – bardzo ważna! Niemal każda napotkana przez nas osoba miała wspomnienie ludobójstwa wplecione w swój strój, najczęściej w formie niezapominajki lub koszulki. Już dobry kilometr od miejsca pamięci zaczynał się ludzki korek. Nastrój był taki refleksyjno-podniosły, szliśmy z braćmi i siostrami Ormianami/Ormiankami, i próbowaliśmy wpasować się w tłum, co z racji mego nieco ruskiego ryja nie było łatwe. Szczęśliwie, nikomu to nie przeszkadzało, więc na zmianę szliśmy z młodzieżą, z policją, z żołnierzami, bo wlekli się okrutnie i jakoś tak wyprzedzaliśmy co chwilę kolejne sekcje marszu.

Ze strony estetycznej: memoriał ludobójstwa w Erywaniu nie jest najlepszym ze zrealizowanych projektów rzeźbiarskich świata. Gorzej pewnie też się dało, ale to co mają, sprawia, że patrzy się i myśli, że smutno i tragedia, nie tylko z powodu działalności tureckich bojówek wiek temu. O ile większość osób idzie rzucić kwiatkiem, a potem odchodzi, o tyle my chcieliśmy wejść do muzeum ofiar i zobaczyć sobie, jak opisują te wydarzenia. Okazało się, że lekko nie będzie, w ciągu kilku minut zebraliśmy kilka wersji, w tym, że muzeum jest zamknięte, wejść się nie da i że w ogóle nie ma żadnego muzeum. Trochę chujowo, że w dzień pamięci ludobójstwa wszystko idzie w temat składania kwiatów, a nikogo nie obchodzi nieco bardziej dogłębne zapoznanie się z historią i tłem tych wydarzeń. Nas zainteresowani się tym kosztowało solidny spacer dookoła wzgórza z memoriałem (pełne słońce, asfalt i śmieci), bo skretyniały policjant nie pozwolił nam przejść kilku metrów wstecz do wejścia do muzeum. W końcu nie ma to, jak kogoś przegonić po okolicy, więc spędziliśmy ze dwadzieścia minut, leżąc od początku po całym szlaku łez. Co jeszcze dziwniejsze, wejście do muzeum oznakowane tak, że w ogóle.

Samo muzeum jest zrobione na tip-top, według wszelkich wytycznych światowych muzeów ludzkich tragedii. Wystarczy się po nim przejść, żeby zobaczyć, jak wielkiej tragedii doświadczyli Ormianie z rąk Turków. Problemy są pomniejsze:

- Nikt nie wspomina, jakie wtedy panowały tendencje pośród Ormian – czyli o chęci przyłączenia się do ZSRR. Trochę słabo to pasowało upadającemu Imperium Osmańskiemu. Nie usprawiedliwia to mordowania ludzi, ale jednak pozwala nieco na zrozumienie tego smutnego zjawiska.
- Trzeba bardzo dokładnie czytać, żeby zrozumieć, że w paru miejscach Ormianie też się rozkręcili przeciwko Turkom. Nie było to nic o zbliżonych rozmiarach, ale niektórzy lubią o tym wspominać, gdy mówią o tym, że Ormianie kłamią w sprawie ludobójstwa i że to były działania wojenne. Skądże, nie kłamią, do tego wynaradawiania dzieci Ormianie Turkom nie robili, jak również nie zmuszali tureckich kobiet do brania z nimi ślubów.



Spacer w stronę mauzoleum, nie dało się narzekać na samotność



Ciekawi nas, jakie przemyślenia na temat tego wydarzenia ma przeciętny 10-latek...



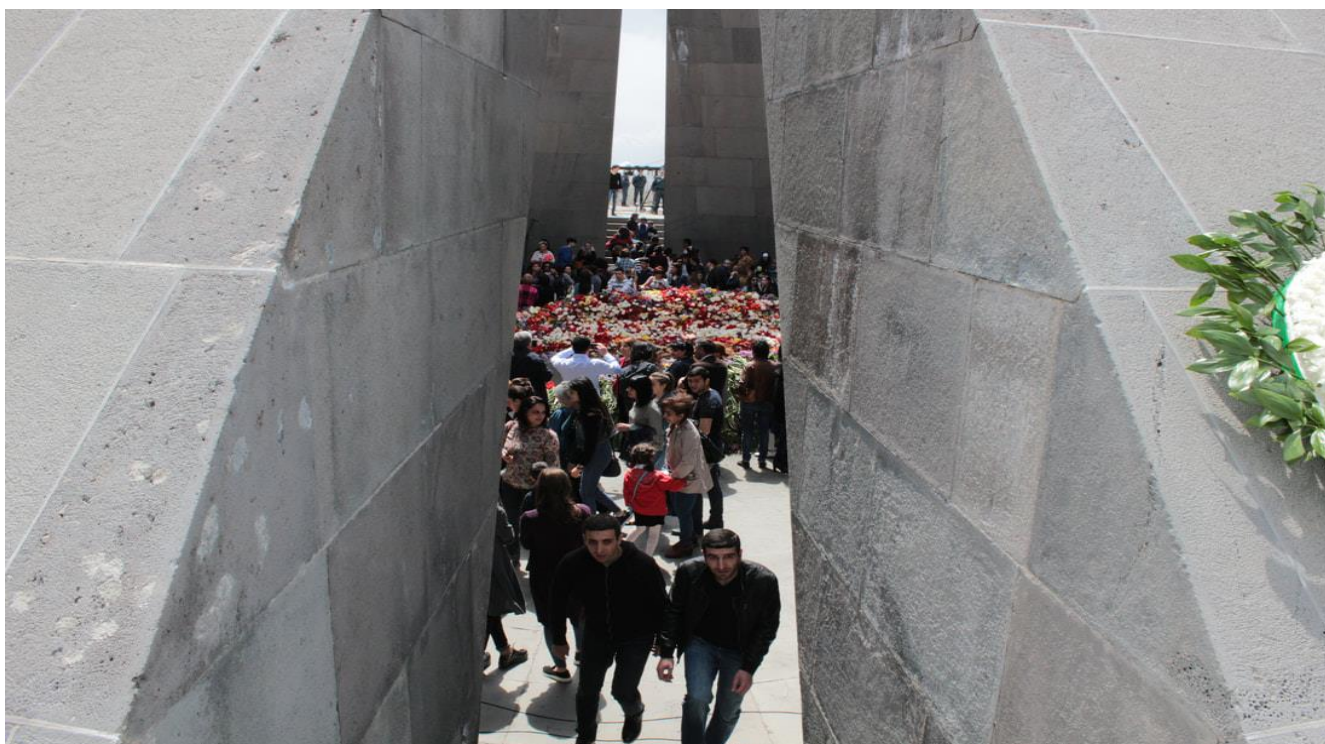
Istnieją piękniejsze pomniki...



Nie, te kamienie nie przygniotą zebranych wewnątrz



Wieniec od przedstawicieli różnych współczujących krajów



Rzut oka na wnętrze mauzoleum

Zasiedzieliśmy się w Erywaniu kilka dni. Nie było nam źle, atrakcji niskiej rangi nie brakowało. Zaliczyliśmy dyżurne narodowe muzeum książki. Gdy widziałem je w 2006 roku, miałem poczucie odkrywania czegoś niesamowitego i jedyne w swoim rodzaju. W 2017 roku miałem wrażenie uczestnictwa w banalnej wycieczce, podczas której solidnie brakuje objaśnień.

W muzeum książki są książki, Ormianie lubią książki, amen – to wszystko czego można się dowiedzieć z tego dość ogromnego kompleksu. Rzutem oka można się domyślić, że zapewne istniały różne szkoły książkopisania czy też ośrodki iluminatorskie, ale niestety w muzeum nie znaleźliśmy żadnych informacji, które mogłyby poszerzyć naszą wiedzę na ten temat.



A tutaj w wiecznym ogniu można zutylizować wiązanki kwiatków



Wątpliwej urody eksponat z muzeum ludobójstwa...

Ostatecznie naszą listę atrakcji wygrał podziemny kompleks tuneli. Nie jest to żaden zabytek. W 1985 roku pani poprosiła męża, żeby jej wykopał piwnicę. Ten wziął się do roboty i tak jakoś mu się spodobało, że spędził kolejne 23 lata życia na dłubaniu w ziemi, a przy okazji porobił trochę sakralnych wrzutek. Robota nie została skończona, panu Lovanemu zmarło się w wieku 67 lat, ale chyba tłumów chętnych do kopania dalej nie ma. Nie wyszło źle, dzięki pomysłowi męża obecnie żona ma w miarę stabilne źródło dochodu – biletów wstępu niby nie ma, ale każdy zostawia jakieś pieniądze. Znalezienie obiektu łatwe nie jest, trzeba dojechać do wioski Arinj na obrzeżach Erywania, a potem pytać. Problem jest taki, że jak tylko człowiek się pyta, to patrzą jak na wariata i nie bardzo są w stanie pomóc. Nas uratowali jacyś starsi lokalni, którzy bardzo skomplikowanym systemem skrótów między domkami wyprowadzili nas na uliczkę przy szkole (tak chyba najłatwiej to znaleźć – pytać o szkołę). Tam przejęły nas dzieci, by z radością odkryć, że kłecimy po rosyjsku i oprowadzić po katakumbach, które sąsiad ich rodziców wyrąbał dla małżonki – władczyni. Na pożegnanie pani pokazuje, ile już książek i czasopism napisano o dziele małżonka. Miejsce jedyne w swoim rodzaju i warte zobaczenia, gdy już się znajdziemy w okolicach Erywania, chociaż jednak nie aż tak szalone, że jechałbym specjalnie do Armenii, żeby je zaliczyć.



Begemot, jaki jest, każdy widzi

Innego dnia trafiliśmy do miejskiego zoo. Akurat było w remoncie, lojalnie poinformowano nas, że zapłacimy całe 200 dramów, a zobaczyć będziemy mogli zwierzęta jedynie do *begemota* (jak to zwą hipopotamy w tej części świata). Niestety jenotów nie było, na pociechę zostały nam całe stada wesoło tańczących sępów, leniwych krokodyli, pływających begemotów i lokalnych na randkach.



Czarny łabędź, edycja ormiańska

- Czy to prawda, że w Moskwie na Placu Czerwonym rozdają samochody?
- Tak, to prawda, tyle że nie w Moskwie, a w Leningradzie, nie samochody, tylko rowery, nie na Placu Czerwonym, tylko na Newskim Prospekcie, i nie rozdają, tylko kradną.

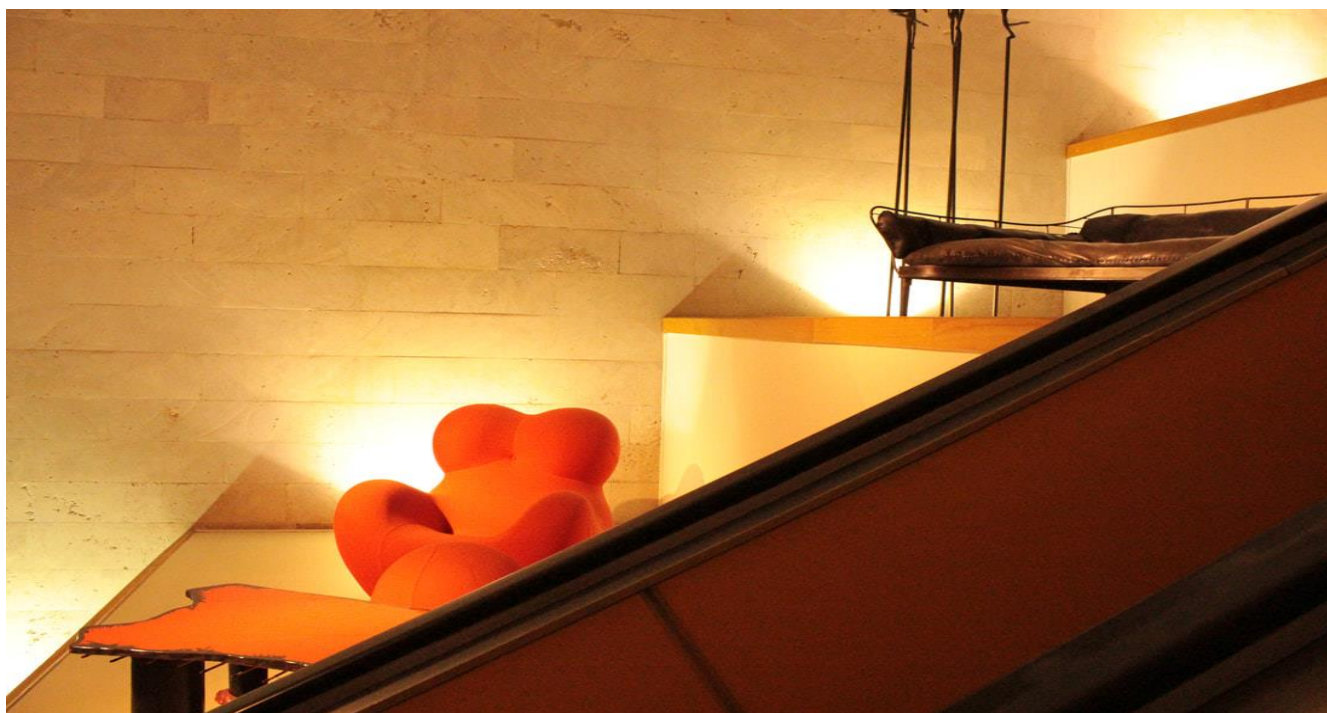
Wariacja:

- Czy jest prawdą, że kompozytor Chaczaturian wygrał samochód na loterii?
- Tak, to prawda, ale z małymi poprawkami: nie Chaczaturian a Szostakowicz; nie samochód a motocykl; nie wygrał, ale przegrał; i nie na loterii, tylko w pokera.

Życie nocne w stolicy Armenii przebiło nasze oczekiwania – miejsc z piwem i winem nie brakuje, inną kwestią są ceny, które są niebezpiecznie blisko tych znanych nam z Europy. Oczywiście w całkiem innych rejonach świata jest obsługa, która myli zamówienia, rachunki, gubi się, a potem w sumie jest na nas obrażona. Sprawy tak się miały w niemal każdym z odwiedzonych przez nas barów, w tym w jednej z dum stolicy, czyli browarze Kilikia, gdzie panował rekordowy burdel mimo tego, że odwiedziliśmy ich poza sezonem i to w dzień roboczy. Samo miejsce jest dość fajne i klimatyczne.

Podobnie opisać można starą fontannę – Kaskadę – która nie działa. Ponieważ ZSRR to był bogaty kraj, to mógł sobie pozwolić na wybudowanie wielkiej schodo-fontanny w stolicy Armenii (i chyba nigdy przez nią nie puścić wody). Obecnie zrobiono tam galerie, z obrazami, nie ze sklepami. Na szczyt można wejść w sposób aktywny, można też leniwie wjechać eskalatorem, przy okazji podziwiając zebrane eksponaty. Kaskada jest chyba numerem 1

instagramowych miejsc w Erywaniu, więc lokalna młodzież wali tam stadami, aby zrobić sobie magiczną fotkę na tle schodów lub miasta.



Widok na eksponaty z eskalatora



Yue Minjun w sercu Armenii



Efektowne rzeźby zdobiące kaskadę



Piękne połączenie sowieckiego brutalizmu i XXI-wiecznej rzeźby!

- Czy obywatel radziecki może swobodnie wypowiadać swoje zdanie?
 - Tak, jeśli przekroczył granicę i nie zamierza wracać.
- Jaki jest najwspanialszy organ kobiecy?
 - Nasze znakomite czasopismo „Sawieskaja ženszczina”.
- Nienawidzę naszej komunistycznej partii, pierwszego sekretarza i innych przywódców KPZR! Co mam zrobić?
 - Podać nam imię, nazwisko i dokładny adres.
- Czy Pan Bóg może zostać członkiem partii?
 - W zasadzie tak, aczkolwiek najpierw musiałby wyrzec się Kościoła.
- Jak zachowa się rząd radziecki w beznadziejnej sytuacji?
 - Nie jesteśmy upoważnieni do wypowiadania się na temat sytuacji w naszym rolnictwie.
- Kiedy odbyły się pierwsze na świecie wybory wg komunistycznego wzorca?
 - W raju, gdy Bóg przyprowadził do Adama Ewę i powiedział: „Wybierz sobie żonę”.
- Czy to prawda, że w ZSRR trudno jest o rozwód?
 - Tak, to prawda, ale rozwody są u nas niepotrzebne. Wystarczy przecież zwykły donos.
- Czy to prawda, że w obozach pracy panują doskonałe warunki?
 - Tak, to prawda. Pięć lat temu jeden z naszych słuchaczy nie był o tym przekonany, więc wysłaliśmy go, by przeprowadził wywiad. Wygląda na to, że mu się tam spodobało, bo jeszcze nie wrócił.
- Wczoraj miałem małą dyskusję z kolegą na temat tego, kto jest najbardziej wartościowym członkiem Biura Politycznego. Ja twierdziłem, że Breżniew. Czy miałem rację?
 - Radio przeprasza za małą przerwę w transmisji z powodu burzy.
- Czy to prawda, że radzieckie łodzie podwodne mają rekord zanurzenia?
 - Tak, to prawda, dwie ciągle jeszcze pozostają w zanurzeniu od 1957 roku.
- Jak zdefiniować komunistę?
 - To człowiek, który stracił wszelką nadzieję na zostanie kapitalistą.
- Jaka jest najlepsza droga do socjalizmu?
 - Najdłuższa.
- Czy można by wprowadzić komunizm w Szwajcarii?
 - Owszem, można, ale byłoby szkoda.

- Co to jest kwartet smyczkowy?
- Moskiewska orkiestra symfoniczna po powrocie z tournée zagranicznego.
 - A duet?
 - Tenże kwartet po wizycie w siedzibie KGB.
- Czy to prawda, że nasi przywódcy powstrzymali czeskie odchylenie, grożąc jednym palcem?
 - Tak, to prawda, ale był to palec na cynglu.
- Co by się stało, gdyby zamiast prezydenta Kennedy’ego zabito Chruszczowa?
 - Nie wiemy tego na pewno, poza jednym: Onassis nie ożeniłby się z wdową po Chruszczowie.
- Jaka jest różnica między rakietami typu SCUD a samolotami AEROFLOT-u?
 - To proste. Samolot AEROFLOT-u jest w stanie zabić więcej ludzi.
- Jaka jest definicja chaosu?
 - My nigdy nie ujawniamy informacji o radzieckim rolnictwie.
 - Jakie jest największe osiągnięcie radzieckiego rolnictwa?
 - Siać zboże w ZSRR, a zbierać w Ameryce.
 - Jak to możliwe, że USA i Kanada przysyłają nam zboże?
 - To wszystko przez ich katastrofalną nadprodukcję.
- Co to jest postulat?
 - Żądanie klasy robotniczej, które zostanie spełnione po stu latach.
 - Dlaczego tak mało dowcipów opowiadano o zjazdach Partii?
 - Bo wszystkie były zawarte w tezach zjazdowych.
 - Dlaczego, mówiąc o ZSRR, mówimy „nasz brat”, a nie „przyjaciel”?
 - Przyjaciół można wybierać.
 - Czy to prawda, że wojska radzieckie stacjonują na Kubie?
 - Nieprawda. Prawdą natomiast jest, że ostatnio powróciło do ojczyzny 20 tysięcy Kozaków kubańskich.
 - Jak długo będzie żyć Przewodniczący Komunistycznej Partii Chin?
 - Nie wiemy, ponieważ nie leczy się w Moskwie...
 - Czy to prawda, że marchew bardzo wzmacnia potencję u mężczyzn?
 - Tak, to prawda, z tym, że bardzo trudno ją przymocować.

- Czy w Związku Radzieckim istnieje cenzura poczty?
- W zasadzie nie, jednakże listy o antyradzieckiej treści nie będą doręczane
- W reportażu z Polski nadanym w radzieckiej telewizji ujrzeliśmy kolejki przed sklepami mięsnymi. Jak to wytłumaczyć?
- Po prostu w Polsce bywa jeszcze mięso.
- Czy istnieje jakaś zaleta systemu jednopartyjnego?
- Gdyby było wiele partii, trzeba by uważać na to, co się mówi i robi, a to byłoby bardzo uciążliwe.
- Czy pluskwy mogą zrobić rewolucję?
- W zasadzie tak, gdyż płynie w nich krew robotników i chłopów.
- Jaka jest różnica między socjalizmem a kapitalizmem?
- W kapitalizmie człowiek wyzyskuje człowieka, a w socjalizmie – na odwrót.
- Jaka jest różnica między planowaniem socjalistycznym a kapitalistycznym?
- W kapitalizmie panuje ostra dyscyplina produkcji i chaos w konsumpcji, zaś w socjalizmie jest chaos w produkcji i dyscyplina w konsumpcji.

Radio Erewań podaje:

*Grupa komunistów chińskich zaatakowała pracujący w polu radziecki traktor.
Traktor odpowiedział celnym ogniem kilku dział rakietowych,
po czym odleciał w kierunku Moskwy.
Ministerstwo Rolnictwa ostrzega chińskich towarzyszy, że jeśli incydent się powtórzy,
na pola zostaną wysłane kombajny.*

- Jaka jest różnica między wywiadowcą a szpiegiem?
- Wywiadowca to nasz, a szpieg to ich.
- Dlaczego odbiór waszych audycji ostatnio się pogorszył?
- Nadajemy teraz z Magadanu.
- Drogie radio, dlaczego nie cytujecie kawałów politycznych?
- Drogie słuchaczu, bo jest nam bardzo dobrze, że jemy biały chleb nad Morzem Czarnym, a nie odwrotnie...
- Z jednej strony informuje się nas, że USA zmierza ku przepaści, z drugiej strony, że Związek Radziecki wkrótce wyprzedzi Zachód. Jak mamy to rozumieć?
- Przepraszamy, ale musimy kończyć na dzisiaj.

[4.10.2017]

Cały nasz czas pobytu w Erywaniu naznaczony był wielkim pytaniem: co dalej? Początkowo chcieliśmy jechać do Stepanakertu, stolicy Nagornego Karabachu. Od jakiegoś czasu teren sporny między Armenią a Azerbejdżanem przestał ludziom walić stemple do paszportów, więc można w miarę bezboleśnie go odwiedzić. Sprawa ostatecznie ryła się z powodu komunikacji; obsługa hostelowa zazwyczaj nie mogła się dodzwonić na infolinię komunikacji szosowej, a gdy już im się udawało, to otrzymywali odpowiedzi w stylu „nie wiadomo”, „może pojedzie, ale może nie”, „trzeba przyjść i czekać”. Najczęściej przewijała się informacja, że należy przyjechać o 6 rano i czekać, jak będą ludzie to koło 7 może pojechać, ale w sumie to może i do 9 będą czekać, a może w ogóle nie pojadą.

Wobec takich przeciwności losu, chcieliśmy to rozbić jakoś sensownie na dwa etapy i najpierw jechać np. do Tatewu, a dopiero potem do Agdam (jak to zwą Nagorny Karabach w Armenii). Okazało się, że są takie same przeboje z transportem, czyli „bywa, ale nie musi być”, „wyjść na drogę i machać, a może wziąć taksówkę...”. Ostatecznie zaczął nas na to wszystko trafiać szlag i postanowiliśmy zafundować sobie dość wyjątkowe i unikatowe doświadczenie, czyli podróż armeńskimi pociągami. Tu, jeżeli chodzi o mnogość destynacji, klient nie jest przesadnie rozpieszczany, sprawa ogranicza nas właściwie do jednego kierunku świata, czyli zakosami w stronę Gruzji. W efekcie można pojechać do Tbilisi lub do Giumri. Trakcja prowadzi też do Turcji, ale od ponad dwóch dekad nie pojechał tam żaden pociąg, za to na ostatniej armeńskiej stacji pracuje zawiadowca. Jest to jedna z najlepszych ilustracji problematyki rynku pracy w tamtej części świata – jak wiele sensu mają liczne posady na Kaukazie.

Do Tbilisi jechać nie mieliśmy po co, do Giumri zasadniczo też nie, ale tam nigdy wcześniej nie byliśmy. Internet nie jest do końca wiarygodnym źródłem, jeżeli chodzi o pociągi w Armenii, więc znowu poprosiliśmy nasz hostel, żeby zadzwonił na informację, tym razem kolejową. Oczywiście to nie było tak, że oni od razu odebrali i powiedzieli, gdzie tam! Nasi dobroczyńcy dzwonili, a dzwonili. Chcieliśmy dla bezpieczeństwa kupić bilet dzień wcześniej, ale dowiedzieliśmy się, że w takiej sytuacji płaci się karę w wysokości 100 dram – masz, chamie, podróżę planować się zachciało! Przyznam, że tego chyba jeszcze nie przerobiłem w żadnym innym kraju. Z drugiej strony pociąg, którym ostatecznie jechaliśmy, był bardzo daleki od pełnego obłożenia.

Dworzec kolejowy w stolicy Armenii to bardzo spokojne miejsce, ostatni mający ochotę jeździć pociągami umarł lata temu. Z jakiegoś powodu pokazują tam wystawę o tym, jak hartowała się stal, a konkretnie armeńskie koleje państwowe. Jest to takie kuriozum, że warto zapuścić się na dworzec dla samej wystawy; jakieś budki, jakieś pamiątkowe księgi, telefony, zdjęcia sprzed lat (w tym nawet towarzysza Stalina), naprawdę trudno się nie zachwycić. Wisienką na torcie była wystawa wspominająca wielkie zwycięstwo w wielkiej wojnie. Jeżeli już oszalałeś i chcesz gdzieś jechać pociągiem, to masz, wystawa o wojnie gratis! Oczywiście są też wspominki o ludobójstwie. Dzięki temu można zauważyć, że każdą tragedię da się wynieść do rangi absurdu.



Jadą po ciebie!



Każdy kraj ma swoją enigmę



Ewolucja idei dworca kolejowego



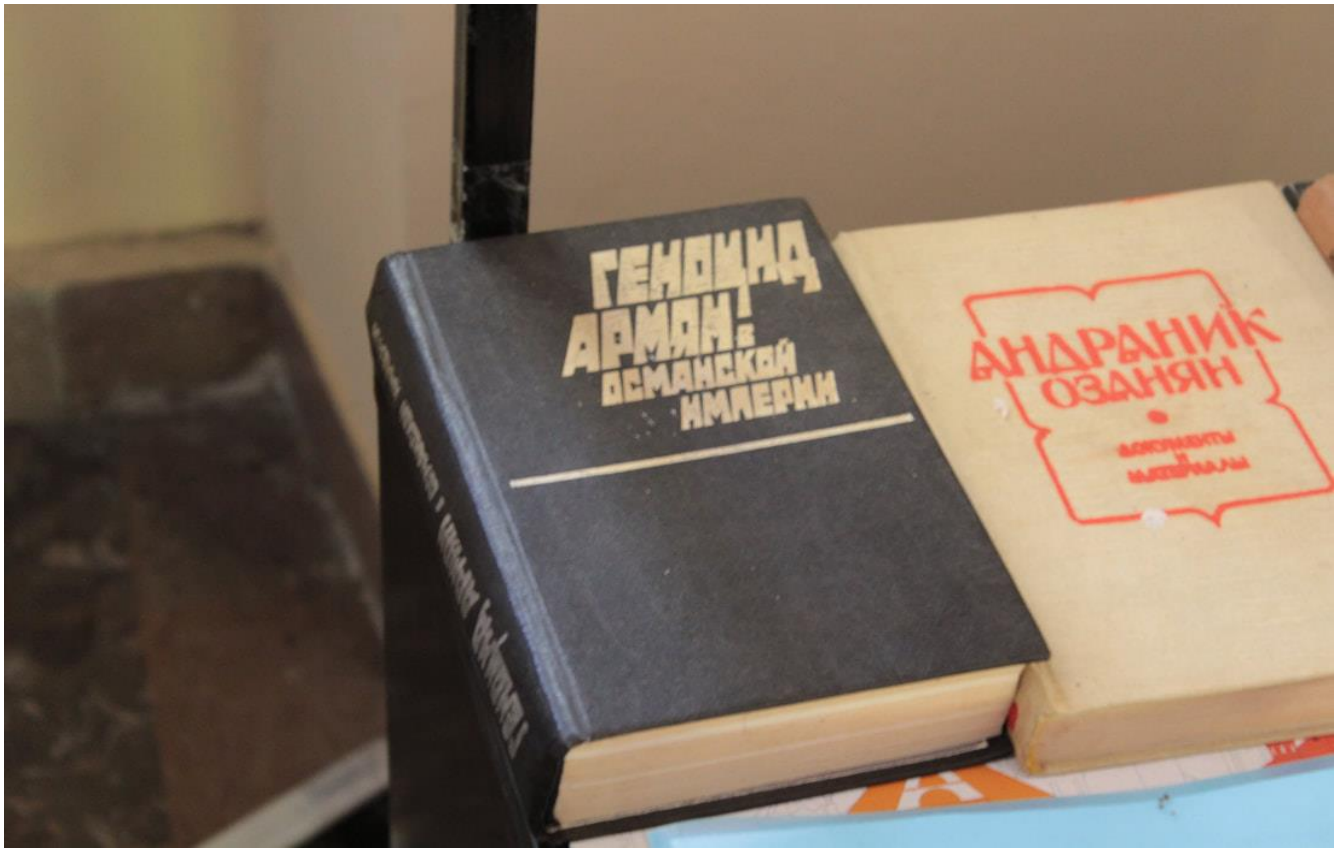
Spontaniczny Stalin! Zdjęcie zamieszczono, bo jest na nim kierownik kolei terenów Leninakanu (pośrodku drugiego rzędu – szkoda, że nie pierwszego)



Masz, chacie, zadumaj się nad wojną!



Zawsze miło zobaczyć jakąś deptaną swastykę



I jeszcze genocyd!

Mile komponują się z tym okolice dworca, gdzie są jeszcze bary z czasów wczesnego kapitalizmu, czyli piwo jest po 400 dram. Jest tanio, umiarkowanie czysto, prymitywnie, tylko w językach lokalnych. Jest kilkadziesiąt razy lepiej niż Starbucks czy Costa.

Sam pociąg kursujący na trasie Erywań-Giumri można spokojnie sprzedawać jako atrakcję regionu; prześwity między szybami w oknach są takie, że da się w nie włożyć palce (a może nawet i rękę) i je wietrzyć. W jedynej toalecie (czyt. dziurze w podłodze) na pokładzie (koło maszynisty) panuje łatwy do przewidzenia dramat wizualno-zapachowy. Ławki są drewniane, wygodniej już bywało, szczęśliwie jest rozsądnie czysto. Dystans trochę ponad 100km pociąg pokonuje w czasie trochę ponad trzech godzin, co daje nam szalową średnią nieco ponad 30km/h. Po drodze można podziwiać Armenię, a raczej

puszki, ewentualnie czasem wypatrzeć jakieś zabudowania. Trudno powiedzieć, że warto, z drugiej strony – tak ludzie żyją, a nie w tych luksusowych barach w Erywaniu.



Tryumf lokalnych inżynierów nad międzynarodowymi standardami



Trzeba było wziąć piwo na drogę...

Oficjalnych powodów do odwiedzenia Giumri jest niewiele, dlatego baza noclegowa w drugim największym mieście Armenii nie rzuca na kolana. W pierwszym hostelu powiedzieli nam, że akurat tego dnia nie pracują – wcześniej upewnili się, czy nie mamy rezerwacji netowej, jasne więc było, że im się nie chce, bo chuj, w końcu w Giumri jest bogactwo i nie trzeba się męczyć ani tyrać, tylko można spokojnie siedzieć i nie robić nic. Szukając drugiego z noclegów, zapytaliśmy o drogę studentów. Trafiliśmy w dziesiątkę. Zaoferowali swoją pomoc, my ochoczo ją przyjęliśmy, rozpoczęliśmy wspólnie poszukiwania miejsca snu. Powiedzieli, że mamy absolutnie 100% racji, że nie chcemy zapłacić więcej niż 10k dramów za noc. Dość szybko okazało się, że łatwo nie będzie, chciano raczej dwa razy więcej, i to nie za miejsca, które wydawały się mieć potencjał Hiltona. Hoteli nie brakowało, wszystkie wyglądały na dość puste, ale nie wydawało się, że z tej okazji zawitały tam realia konkurencji i dzięki temu coś stargujemy, wszyscy raczej chcieli mieć święty spokój i nie zajmować się gośćmi. W końcu zaproponowano:

– *A czy zgodzilibyście się spać u naszego kolegi zamiast w hotelu?*

Może byśmy się zgodzili...

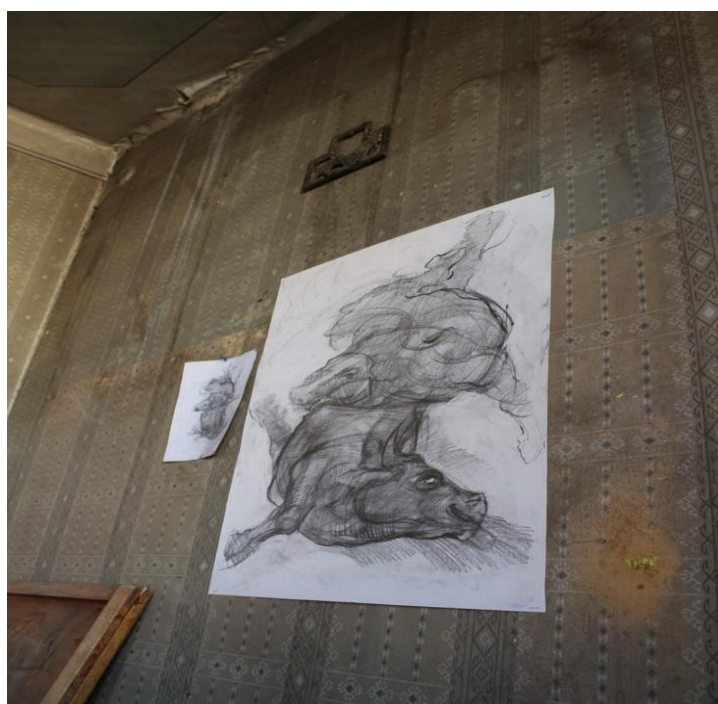
– *Rany, pewnie, dzięki wielkie!*

Po drodze do kolegi jeszcze ustaliliśmy, że znamy się od dawna z netu i że przyjechaliśmy w odwiedziny. Upewniliśmy się, że chociaż wszyscy znamy nasze imiona (jeden z naszych nowo poznanych kolegów nazywał się Rafael) i udaliśmy się na ulicę Lenina. Mieszkanie kolegi spowodowało, że „wow” zrobiliśmy dwa razy – pierwszy raz, gdy zobaczyliśmy metraż. Drugi, gdy oglądaliśmy łazienkę. Jest to taki przypadek, gdy dwa „wow” są bardzo odmienne.

Wyglądało, że przez ostatnie pięćdziesiąt lat nic się nie zmieniło, ewentualnie parę rzeczy odpadło, zwłaszcza z sufitu. Bieżącej wody nie było, ogrzewania nie było, kuchenki nie było, a ogólny poziom czystości przerażał. Jak przystało na studenta sztuk plastycznych, chłopak miał pełno przyborów do malowania, farb, sztalug, trochę szkiców na ścianach. Znał też śladowo język rosyjski i kilkadziesiąt słów po angielsku.



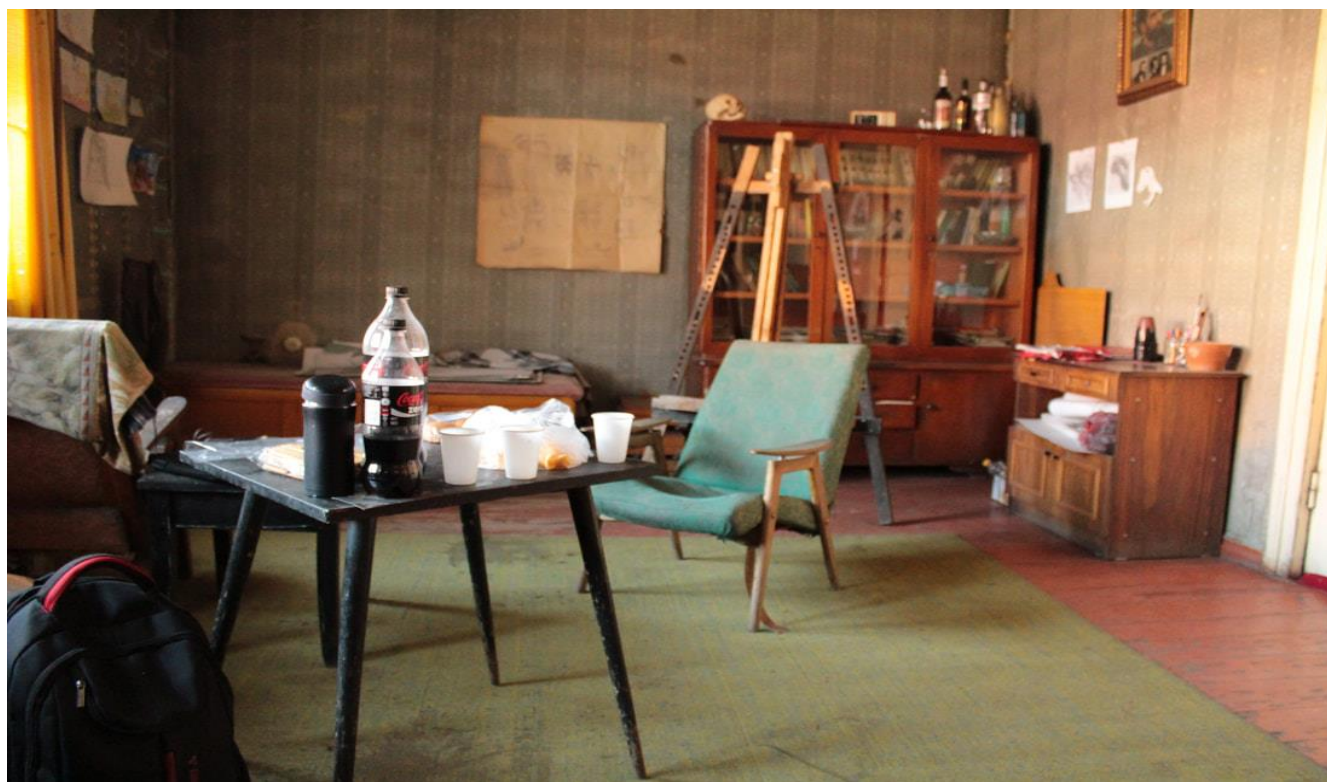
Sufit taki rozkurwiony!



Proszę państwa, oto byk!

Nasi dobroczyńcy zmyli się po kilkunastu minutach i zostaliśmy sami z dziewiętnastoletnim van Goghiiem Kaukazu. Od razu pognaliśmy do sklepu po jedzenie i picie. Kredens w salonie pełen był butelek po winach i wódce, więc od razu stwierdziliśmy, że chłop solidnie tankuje. Ze sklepu wróciliśmy z jedzeniem i dwoma winami. Pojawił się jednak pewien problem: okazało się, że Karlen raczej nie pije, a te butelki to tak zostały po poprzednich właścicielach. No cóż, skoro mieliśmy już te wina... Rozpoczęliśmy wieczór robienia jedzenia (makaron z parówkami, nie wypada urazić gospodarza, ale jeszcze mniej wypada nazywać takie produkty parówkami) i dogadywania się na różne desperackie sposoby. Szło to całkiem dobrze, zwłaszcza gdy pytaliśmy go o studia i Armenię, a on nas o Polskę. Jeszcze muzyka pociągnęła nasze wymiany zdań, tu angielski się przydawał bardziej niż rosyjski. Chwilami było ciężko, do tego nie było netu, żeby cokolwiek sprawdzić (czy to językowo, czy faktograficznie), ale jakoś to szło. A jak Armenia i ciężka muzyka, to oczywiście SOAD, ale też Metallica. Takie rozmowy bywają solidnie depresyjne, bo ludzie urodzeni w krajach poza tzw. Zachodem zazwyczaj byli w życiu na dokładnie zerowej liczbie koncertów. SOAD grywa coś czasem i to za darmo w tamtej części świata, ale nasz gospodarz nigdy nie miał szczęścia być na porządnym gigu. Gdy w niecałe dwa miesiące później byliśmy na koncercie SOAD w Krakowie, to było nam w pewnym sensie głupio, bo znaliśmy przynajmniej jedną osobę, której bardziej się ten koncert należał.

Z rzeczy mniej banalnych, podobno wielu Ormian jest pod wrażeniem utworu Niemena *Dziwny jest ten świat*, który to przybliżył im ich rodak w lokalnym *X Factorze*. Pytał, czy to popularne w Polsce. Trochę trudno odpowiedzieć na takie pytanie, niby wszyscy znają, ale żeby ktoś zasłuchiwał się w Niemenie, to się jeszcze nie spotkałem. Karlen był pod takim wrażeniem, że [miał to w komórce](#).



Pracownia artysty, służąca nam jednocześnie za sypialnię

W takich sytuacjach przydaje się jeszcze, że podczas podróży miałem na tyle czasu, żeby sobie poczytać wiadomości sportowe i dzięki temu mogliśmy omówić, kto komu naklepał, a kto dopiero to robi, a w ogóle to jeszcze, kto wygra Ligę Mistrzów. W okolicach godziny 23 wspólnie zdecydowaliśmy się iść spać. Braki w umeblowaniu pomieszczenia wywołały pewną konsternację, ale ostatecznie postanowiliśmy spać na stoliku, na którym podłożyliśmy sobie obrus, firanki i jeszcze jakieś inne losowe przedmioty, które wpadły nam w łapy. Jeszcze wtedy nie przychodziło nam do głowy jedno: Giumri to nie Erywań, miasto położone jest znacznie wyżej od stolicy (dokładniej 1509 wobec 990 metrów). O ile w dzień było bardzo miło, o tyle w nocy temperatury ledwo sięgały o stopni Celsjusza. Spaliśmy we wszystkim, co mieliśmy (wliczając w to bluzy i kurtki), do tego pod obrusem, firankami i serwetą. Jeżeli spanie na twardym jest na coś dobre, to mamy to bardzo w porządku. Dzięki tym warunkom bez żadnych problemów wstaliśmy o 8, a raczej nie spaliśmy już od okolic 6.

Szczęśliwie, zadbano o nas i nasz czas wolny. Najpierw spotkaliśmy się z naszymi dobroczyńcami z wcześniejszego wieczoru przed wejściem do lokalnego ASP. Zaczęli nas oprowadzać. My po całej nocy spania na deskach, w dość zniszczonych ciuchach, brudni i bez śniadania, a lokalni w nieco lepszym stanie. Od razu zabrano nas do rektora, który bardzo się ucieszył, że ludzie z Polski. On też nie był przyrodziany za szawowo, ale jednak wyglądało na to, że udało mu się umyć. Potem rozpoczął się wielki tour całej uczelni, na dzień dobry pokazano nam, że lata temu byli w Polsce. Przyjechali na malowanie pejzaży w okolicach Chełma. Biedni ludzie, nie dość, że komunizm, nie dość, że trzęsienie ziemi, to jeszcze pejzaże koło Chełma...

Większość naszego czasu na uczelni spędziliśmy głównie na odwiedzaniu sal, w których ćwiczyli się młodzi ormiańscy chudoźnicy. Pukano do drzwi, modelka się ubierała, a nam pokazywano, co też komu udało się narysować. Chodziliśmy, kiwaliśmy głowami z uznaniem i przechodziliśmy do następnej sali. W jednej siedział bardzo rozradowany pan w przepasce biodrowej. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że był to wykładowca, który uwielbia pozować i bardzo się cieszy, gdy ktoś ogląda go w negliżu. Pokazano nam jeszcze inne miejsca na uczelni, już bez ekshibicjonistów z kadry naukowej. Giumri to jeszcze nie Padwa, na nasze oczy całkiem dobrze im idzie, zwłaszcza, że działają od dopiero 20 lat. Mieli cały dział designu materiałów i ubiorów, mieli dział reklamy, wiele sal dość estetycznie urządzonych, dobrze wyposażonych. Cieszyła też ogólnie panująca atmosfera, poziomy stresu dość niskie, za to przyjaźni, pomagania sobie i współpracy raczej wysokie – nie sądzimy, że tak kolorowali trawę na zielono tylko dlatego, że wpadli brudni obcokrajowcy.

Samo Giumri może jeszcze przez jakąś chwilę nie zostać światową stolicą turystyki. Jeżeli chodzi o infrastrukturę, powodzenia życzę ze znalezieniem czegoś do picia lub jedzenia przed godziną 12. Oczywiście, da się chwycić coś z marketu, kiosku lub od staruszki, ale restauracje najczęściej były zamknięte lub też informowały, że przyjdzie poczekać z godzinkę. Jeżeli chodzi o zabytki, to jest dość specyficznie, głównie za sprawą trzęsienia ziemi z grudnia 1988 roku, które spustoszyło Giumri (a raczej Leninakan jak to ładnie się wtedy zwało). Wiele udało się odbudować, ale jeszcze nie wszystko. Są więc dość klimatyczne ruiny, sterty cegieł, pomnik upamiętniający tych, którzy wówczas pomagali w mieście. Wielkiej atrakcji turystycznej z tego ukreślić się nie da, no jest średnich rozmiarów pomnik Lenina, ale swój urok miasto ma.



Urokliwe Giumri. Dzisiaj na obiad proponujemy gołębia



Zaskakujaco klimatyczne wnętrze Katedry Matki Boskiej



Napoleon przebrany za świętego Jerzego



Efektowna kopuła katedry



Kościół Zbawiciela w trakcie odbudowy, z siedliskiem gołębi z boku



Pomnik ku pamięci ofiar kataklizmu z 1988 roku



Kamieni kupa, czyli pozostałości po trzęsieniu ziemi



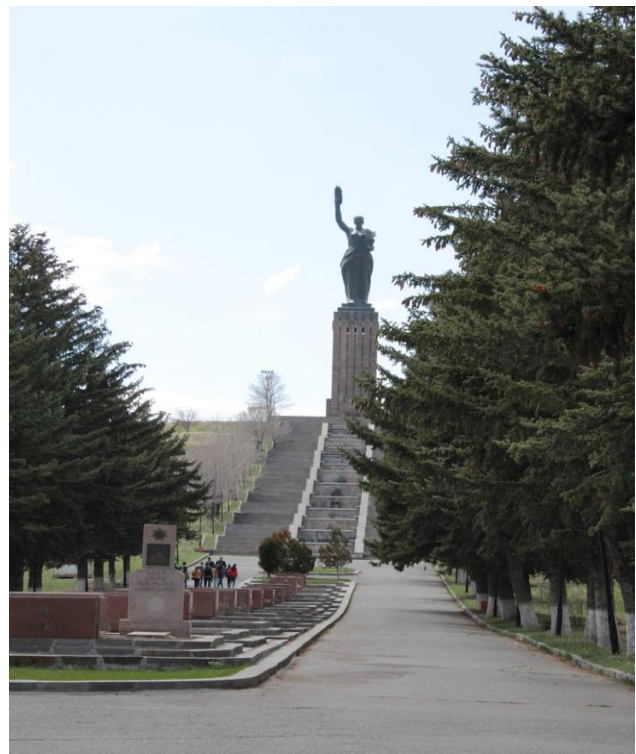
Dziecko Rosemary, edycja giumrijska (plus kopuły, które spadły z katedry w 1988 roku)



Jak hartowała się giumrijska młodzież...

Giumri ma też muzeum lokalnych atrakcji, które za dobre nie jest. Znajduje się w nie najbrzydszym budynku i dociera się do niego przez lokalny bazar z trzodą, ale mimo wszystko nie warto.

Znacznie lepsza jest położona na obrzeżach miasta statua *Matka Armenia* z 1975 roku. O ile stoliczna zastąpiła samego Stalina, o tyle tę chyba postaviono, bo nie miano lepszych pomysłów. Po drodze do niej mija się bardzo udane przedstawienie żołnierzy z wiadomego kraju.



Mają rozmach...



Tu chyba ktoś próbował kręcić Manekin Giumri Project



Kocham wymierający sowietyzm na jakimś wywiejowie bywszego ZSRR



Giumri, Sriumri. SMOLEŃSK, KURWA!



Mokry sen o potędze Armenii



Oraz czarna forteca, czyli siedlisko wojsk z zaprzyjaźnionego kraju

Nie udało nam się odwiedzić słynnego browaru w Giumri. Żadnego z dwóch słynnych browarów w Giumri. Jeden był zamknięty na głucho, a w drugim panowie na bramce mówili, że są zamknięci.

Nasz gospodarz bardzo się cieszył, że obejrzelśmy tak wiele miejsc w jego mieście i przeprosił za pana profesora, który pozował. Przybliżył nam bogatą historię sportu związaną z tym miastem. Okazało się, że jak na miejsce, z którego ludzie stadami uciekają, to sport ma się rewelacyjnie, mają nawet jakichś olimpijczyków. Pewnie dlatego, że nie ma zbyt wielu innych opcji spędzania czasu wolnego, więc albo sport, albo ucieczka, albo handel na urokliwym bazarku i jeżdżenie marszrutką. No albo chłanie, ale w tym zawodów póki co nie ma, więc nieco trudniej zasłynąć, a medalu dostać nie idzie.

Oferowano mi możliwość umycia się w misce z zimną wodą, ale pozostałem ogólnie nieprzekonany. Druga noc na drewnianym stoliku była jeszcze mniej porywająca niż pierwsza, było chłodniej i ostatecznie nie wiem, ile przespaliśmy, na pewno nie za wiele. Trochę to przerażające, że w XXI wieku w kraju, który jest na obrzeżach Europy, panują takie warunki zakwaterowania. Z drugiej strony to wspaniałe, że ludzie chcą się dzielić, chociaż mają tak mało. My też chcieliśmy się dzielić, ale nie wiedzieliśmy czym, więc skończyło się znowu na winie, tym razem z pigwy, które drugiego wieczoru nasz bohater przyjął z większą radością niż pierwszego. Okazało się, że nasz gospodarz w sumie nie wie, co ma w mieszkaniu, znaleźliśmy kolekcje dzieł lokalnych pisarzy, ale też Londona i Sienkiewicza. Portret ze ściany okazał się przedstawiać pana Koczariana.

- *Dobrze kojarzę, że Koczarian to wasz były prezydent?*
- *Był prezydent Koczarian, ale to inny Koczarian.*
- *Jakiś twój krewny?*
- *Nie, nie wiem kto to.*
- *Masz w salonie portret jakiegoś nieznanego ci Koczariana?*
- *A jakoś przez rok nie zwróciłem uwagi.*

Niestety nie doszliśmy do etapu, który pozwalałby na uznanie, że jest nam obojętne, na czym śpimy. Było naprawdę ciężko, twardo i zimno. Nastął czas pożegnania. Naszemu gospodarzowi z przypadku udało się powstrzymać łzy wzruszenia. My mogliśmy odbyć kolejną fascynującą podróż przez Kaukaz. Czyli dworzec, tam odkryć, że trzeba będzie poczekać, potem wyruszyć i jadąc dość dziwaczną trasą (czytaj: zbieranie pasażerów po bocznych uliczkach), dojechać do granicy z Gruzją. Na tejże stwierdzić, że o ile nas puszcza bez większych problemów, o tyle lokalni mają takie ilości dziwacznych rzeczy, że chwilę to potrwa. Ekonomicznego Nobla powinna dostać osoba, która zrozumie, dlaczego mieszkańcy tej pięknej części świata mają pomysły przewożenia obłędnych ilości dziwnych towarów do krajów sąsiednich. Naprawdę, naprawdę opłaca się wozić butle oleju, które wszędzie kosztują tyle samo? Fajki i alkohol? Przecież to są groszowe różnice, ale to jeszcze można sobie tłumaczyć takim pomysłem, że Ormianie przyjeżdżają i robią taki teatr:

– *Patrzcie, Gruzini! To jest dobry alkohol, a nie to wasze! A widzicie, jak się fajki robi? Zapalcie se Akhtabara!*

Trudno jednak wyobrazić sobie, żeby takie dialogi towarzyszyły tym, którzy przywożą kaszę, ryż i olej. Za to dzięki temu, jakie się robią problemy, jaki burdel, jakie płacze na granicy! My nawet aż tak nie krzyczeliśmy i nie płakaliśmy, gdy zobaczyliśmy, jak dramatycznie wygląda sanitariat na przejściu granicznym Bavra-Ninotsminda. Na samym przejściu mieliśmy przyjemność spędzić nieco czasu, jeden z naszych współpodróżników palił papierosa za papierosem, zastanawialiśmy się, czy nakazano mu spalić nadwyżkę, czy po prostu się denerwował. W końcu puścili nas jedni, potem drudzy i wjechaliśmy do Gruzji. Z racji solidnych rozmiarów mniejszości ormiańskiej zamieszkującej tereny przygraniczne, do celu naszej podróży, czyli Achalciche, dojechaliśmy sami, jako ostatni pasażerowie. Po drodze dane nam było zobaczyć, że kładą trakcję na trasie Tbilisi-Turcja. Skończyć mieli w roku 2014... Rzetelność i terminowość jak krakowski ZIKiT. Docelowo chodzi o połączenie Baku ze Stambułem, więc sprawa mogłaby solidnie odmienić oblicze podróżowania po regionie, ale nie wyglądało na to, żeby wkrótce mogło nam to zagrozić.

Armenia moich wspomnień była krajem tanim, biednym, cierpiącym na braki infrastrukturalne, ale za to niesamowicie przyjaznym (choć pewne przeboje finansowe też się zdarzały). W 11 lat później transport jest nadal w powijakach, za to jest znacznie drożej. Szczęśliwie, przybyło dość dużo opcji noclegowych, więc pod tym względem jest o wiele łatwiej. Gdy jest tanio i biednie, to da się to jakoś wybaczyć. Gdy jest drogo i biednie, to zaczyna to być irytujące. Planując wycieczkę, chcieliśmy spędzić w Armenii znacznie więcej czasu, niż ostatecznie spędziliśmy. Obecnie tak zwane *value for money* jest raczej kiepskie, najgorsze z całej kaukaskiej trójcy. Z turystycznego punktu widzenia pozostaje żyć w nadziei, że ich waluta gruchnie, tak jak gruchnęła w kraju manatów.

Od naszej ostatniej wizyty w Achalciche w 2012 roku nieco się zmieniło. Chyba lokalni uwierzyli byłemu prezydentowi, że cały świat będzie odwiedzał Achalciche i wybudowali taką bazę turystyczną, że hotel na hotelu. Ceny rozsądne, standard powyżej oczekiwań, z naszego punktu widzenia super. Nieco gorzej z perspektywy hotelarzy, bo turystów poza nami właściwie nie stwierdziliśmy. Jeżeli ktoś nie żyje problematyką peryferyjnej turystyki kaukaskiej: w Achalciche odbudowano właściwie od zera całą fortecę, chyba trochę w imię nazwy miasta, Achalciche to Nowa Forteca. Pamiętam, że w 2012 roku gruzińska telewizja pokazywała nawet ceremonię otwarcia tego niesamowitego hitu. Miało to przyciągnąć miliony turystów i dać mieszkańcom tego umiarkowanie bogatego regionu pracę. Jakoś się na razie nie udało, forteca nie wygląda bardzo źle, ale jednak trochę sztucznie, no i nie jest to żaden hit w kraju pełnym tego typu autentycznych zabytków.

Mieliśmy w pamięci jedno niesamowite miejsce z Achalciche. Głęboko patologiczny bar z lokalnymi emerytami i lanym winem za grosze, a raczej tetri. Wydawało nam się, że tam; potem, że jednak tam; a potem stwierdziliśmy, że pewnie nie dał sobie rady z tym zalewem komercji i przepadł. W dwie minuty po tej konstatacji znaleźliśmy go. Nic się nie zmieniło, chyba nawet siedzieli ci sami ludzie, co w 2012, a wino po 3 lari za białe, a 2,5 czerwone. Za litrowy dzban.



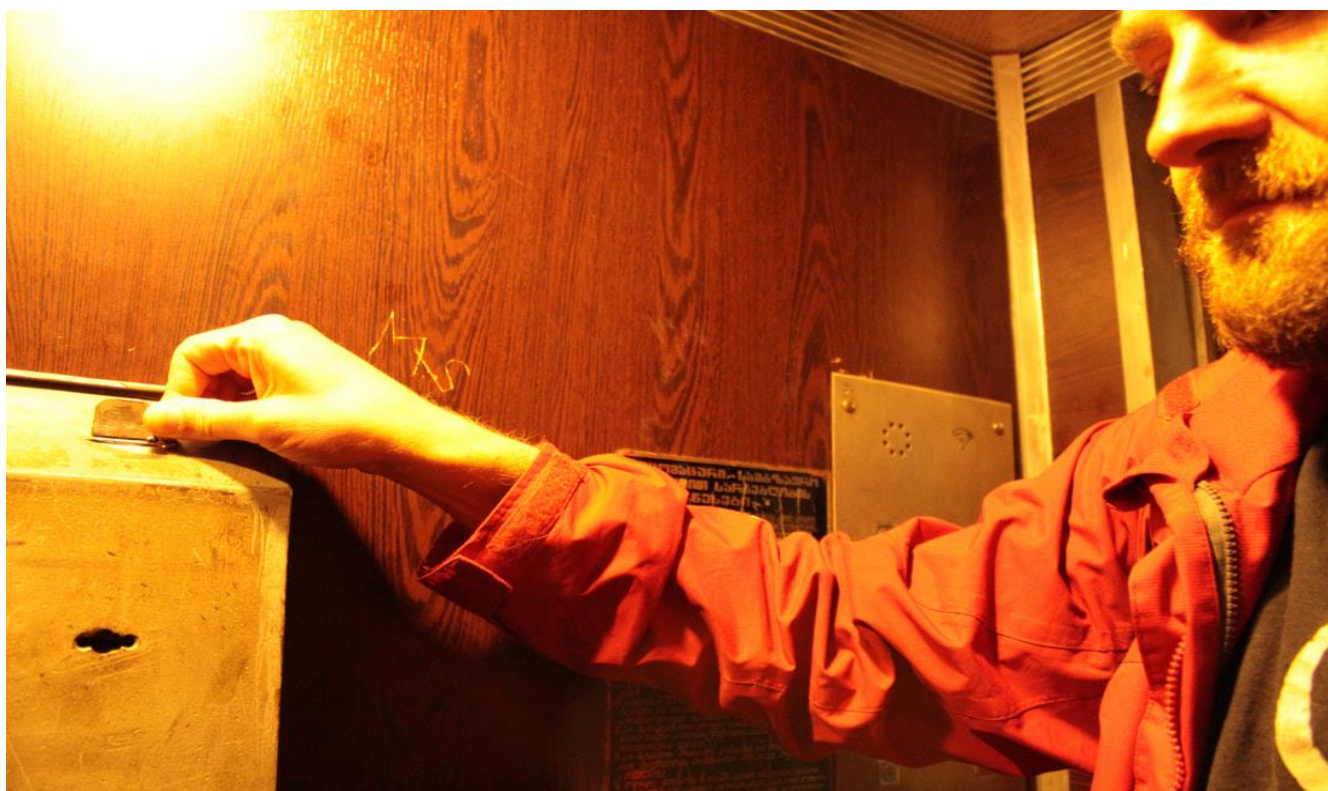
Patologiczny emeryt-amator w środowisku naturalnym

Wraz z rozwojem turystyki w regionie, obcokrajowcy to już nie taki hit, jakieś tam parę zdań wymieniliśmy, ale to już nie ten obłęd, co kilka lat temu, kiedy to każdy chciał wiedzieć, skąd jesteś i czy Gruzja jest piękna. Na pociechę mieliśmy inny lokal, były w nim same kobiety, zarówno po stronie klienteli, jak i gości. Niektóre solidnie pijane, co jest raczej dość rzadkim widokiem na Kaukazie. Albo burdel, albo jakaś Nino uznała, że ma dosyć, zebrała koleżanki i teraz sobie spokojnie imprezują.

Dla tych, którzy rozpoczynają przygodę z tą częścią świata, to z Achalciche koniecznie należy jechać do miasta skalnego Wardzia, można do tego łatwo dołożyć twierdzę Ketrisi i za kilka lari więcej monastyr Sapara. Dla nas sprawa ograniczyła się do wypicia niezłej ilości wina u patologii, dokładnego umycia się, wyprania ciuchów i przede wszystkim wyspania się w cieple i nie na stoliku.

[7.10.2017]

Zastanawialiśmy się, co robić dalej. Spędziliśmy dwa dni w Borjomi, gdzie znowu, dla niesamowitej odmiany, mieliśmy poczucie, że turystyka morduje tę część świata. Dostępny niegdyś dla wszystkich park zdrojowy zyskał bilety wstępu dla obcokrajowców. Ogólnie jest to rekordowe gówno, tak złe, że aż warto zobaczyć, no ale nie za opłatą. Nie dlatego, że ta jest jakaś strasznie wysoka, ale z powodów moralnych, niech sobie sami to oglądają za pieniądze. Infrastruktura zmieniła się o tyle, że pełno osób oferuje kwatery i można się bardzo tanio przespać – w naszym przypadku na 11. piętrze sowieckiego bloku, w którym przejazd windą kosztował pięć tetri.



W świecie, gdzie nic nie działa, działa automat wrzutowy na pięć tetri

Niestety, nadal nie ma za bardzo miejsc, żeby sobie wyjść wieczorem i spokojnie posiedzieć przy piwie lub winie. Szczęśliwie dla nas, gruzińska kuchnia jest dość wegetariańska, ale i tak w Borjomi cudów nie ma. Oczywiście znaleźliśmy coś, co bardzo złe nie było, ale nie był to też wielki hit. Zniknęła najlepsza informacja turystyczna kraju, miejsce, w którym w 2012 roku obsługa załatwiała wycieczki, noclegi i wszystko, co się dało. Chcieliśmy odwiedzić daczę Stalina, nie udało się. Według naszych ustaleń, dacza wodza obecnie znajduje się na terenie prywatnego hotelu, który ma w chuj gwiazdek i ochronę. Ta twierdzi, że to nie u nich.



Sanatorium pod klepsydrą



Gdyby Gaudi żył w Sowietach...

Na pociechę pojechaliśmy do parku Borjomi i przez jeden dzień po nim chodziliśmy. Turyści przyzwyczajeni do pięknie oznakowanych szlaków europejskich muszą szybko się odzwyczaić – mniej więcej co 50 metrów stawaliśmy, drapaliśmy się po różnych częściach ciała

i dumaliśmy, w którą stronę teraz iść. Szczęśliwie widoki i samotność na szlaku (i poza nim) nagradzają te trudy.

Jeżeli chodzi o możliwości podróżowania, to Borjomi nie zmieniło się w ogóle – można pojechać elektryczką do Tbilisi lub marszrutką dokądkolwiek. W naszym przypadku wybór padł na Batumi. Pięć godzin jazdy w dobrym, kaukaskim stylu, z deskami, wiadrami i płacząco-rzygającymi dziećmi. Te dwie czynności mogą wydawać się trudne do wykonywania jednocześnie, ale gruzińskie dzieci tak potrafią.

Batumi to kolejne gruzińskie miasto, gdzie ruch turystyczny zaowocował rozkwitem zdawania komnat i przedsiębiorczości lokalnej. W efekcie jest tanio, jest z czego wybierać i ogólnie jest fajnie. Niestety akurat w 2017 wszyscy lokalni zgodnie mówili, że jest to zaskakująco chłodna wiosna i kąpiele w morzu nie były możliwe, ale czytanie na plaży jak najbardziej tak. Batumi ma taki miły wygląd miasta niemal wyciętego z jakiegoś europejskiego kraju i wrzuconego w środek Kaukazu. Wieżowce, szerokie i czyste chodniki, stylowo odnowione fasady budynków. Oczywiście wszystko to przemija, gdy odejdzie się kilkadziesiąt metrów od głównych ulic – wtedy mamy kaukaski standard, czyli ekscentryczne balkony będące rupieciarniami, wesoło latające śmieci, sypiące się autobusy, stoiska blokujące ulice, upierdliwych taksiarzy – pod tym względem Batumi to gruziński rekord. Adżaria jest dość bogata, ale jakoś nie wydawało nam się, że rzeczywistość przesadnie rozpieszcza mieszkańców Batumi, którzy nie odnieśli sukcesu w branży turystycznej. W tej, z kolei (a nie z PKS-u), jest zbyt wiele gwiazd, a zbyt mało nieba.



Tu akurat mamy niebo, nie mamy gwiazd

We wszystkich odwiedzonych przez nas republikach postsowieckich napotykalismy na to samo: dziki kapitalizm w sferze usług hotelowo-taksjarskich i prasocjalizm w sferze infrastruktury. Nie mam danych, ale nie zdziwilbym się, gdyby się okazało, że od upadku ZSRR na Kaukazie nie położono ani metra trakcji kolejowej (dobrze, kładą z Gruzji do Turcji. I kładą, i kładą.). Erywań, Tbilisi i Baku mogą cieszyć się metrem, właściwie niezmienionym po 1991 roku (w Baku troszeczkę dobudowali, ale nie jakoś imponująco dużo). Kaukaz skupia na sobie wszystkie choroby kapitalizmu wieku dziecięcego: cudownie społecznej dystrybucji biedy i prywatyzacji zysków. Na korzyść turysty działa to np. w Batumi, gdzie może sobie wybierać kwatery w bajecznych cenach (za dwie osoby w dość dobrym standardzie płaciliśmy 10 euro) i winiarnie (na początku maja sprzedawcy zabijali się o klientów). Niestety, jakiegokolwiek przejazdy między miastami to już konkretny horror, chyba, że ktoś lubi płacić za taksówki. Marnuje się obłędne ilości czasu, siedząc w marszrutkach i czekając aż pan kierowca uzna, że mu się opłaca jechać. W efekcie wyklepalismy kilkadziesiąt poziomów w grze w koty z kulkami, przeczytaliśmy po parę książek, a i tak wystarczyło czasu, żeby się solidnie wkurwić.



Kojąca nerwy Wieża Alfabetu

Nasz pobyt w Batumi był niemal czysto wakacyjny. Niestety zniknęło muzeum poświęcone towarzyszowi Stalinowi i czasowi, jaki spędził w Batumi – w 2012 nie dało się wejść do środka, ale jakieś muzeum jeszcze było. Obecnie nie ma nic. Zostały imponujących rozmiarów ogrody botaniczne i trochę miejsc ze sztuką lokalną.



Fauna i flora wspomnianego ogrodu

Dzięki poznanej w hostelu Nino udało nam się zostać zaproszonym do jednej z galerii, potem jeszcze trafić na próbę lokalnej grupy teatralnej. Chociaż odbywała się ona po gruzińsku, co jest umiarkowanie podniecające dla osób nieznających tego języka, ale przynajmniej klócili się, kto z kim spał po pijanemu i w końcu wszystkich za karę odesłano do domu. Mając takie uśmiechy losu, da się coś z tego Batumi turystycznie wykrzesać. Problem, że bez nich jest raczej bieda, bo trudno znaleźć inne słowa mogące opisać lokalne muzea. Wyprawa do twierdzy Gonio nie jest czasem całkowicie zmarnowanym, ale też nie jest to hit, na pewno nie będę nikomu opowiadał, że musi tam koniecznie jechać.



Są bunkry, ale nie jest przesadnie zajebiście

Mieliśmy parę dni do zabicia i mordowaliśmy je nad brzegiem Morza Czarnego, łudząc się, że zrobi się na tyle ciepło, że będzie można w nim popływać. Ostatecznie postanowiliśmy wyprawić się do położonego dwie godziny od Batumi Chulo. Chulo nie ma na liście najczęściej odwiedzanych miejsc Gruzji. Atrakcje są zasadniczo dwie: tytoń rwany prosto z krzaczka i kolejka wożąca mieszkańców do wioski obok. Droga do Chulo jest śliczna, wiele osób uważa, że Adżaria to najładniejsza część Gruzji (morze, góry, rzeki, rolnictwo), na tej trasie w pełni można to zrozumieć. Można też umrzeć ze strachu. Nasz kierowca jechał jak walnięty i to nawet, jeżeli weźmiemy pod uwagę standardy lokalne. Zawrotki na środku ulicy, patrzenie w telefon, a nie na drogę, dzwonienie gdzieś, szukanie pasażerów po wioskowych drózkach. Wysiadaliśmy zieloni na twarzy. Po zostawieniu betów, pognaliśmy do kolejki – Chulo ma takie rozmiary, że zorientowanie się w mieście zajmuje do dziesięciu minut. Niestety po ponad godzinie oczekiwania okazało się, że z powodu wiatru *kalioska* nie chodzi, trzeba poczekać, może przestanie wiać, to pojedzie. Siedzieliśmy więc i czekaliśmy. A wiało naprawdę srogo. Z pewnym przerażeniem obserwowaliśmy pracownika stacji, który był tak pijany, że ledwo mógł otworzyć drzwi do zakładu pracy. Zastanawialiśmy się, czy w takim stanie będzie mógł tym jeździć. Okazało się, że facet dobrze znał lokalną pogodę, wiało bez przerwy przez całe popołudnie, więc ostatecznie wszyscy oczekujący się poddali i rozeszli, a on sobie mógł iść i pić dalej.



Dyskretny urok jedynej ulicy w Chulo

W Chulo są knajpy w standardzie kaukaskiej rzeźni. To są super miejsca, zresztą samo Chulo to jeszcze jeden z kawałków Gruzji, który się wiele nie zmienił wobec stanu z nie wiem kiedy. Czyli ludzie zaczepiają na ulicy, pytają skąd, a potem się cieszą, że z Polski. Bycie zaproszonym na chłanie należy do lokalnych standardów. Nas bardzo chciał ugościć całkowicie pijany facet, imiennik Aligatora, który oferował, że zawiezie do siebie do domu w góry, a tam już żona i trójka dzieci będą nam usługiwać. Próbowaliśmy się z tego wykręcić, bo wszystkie te wizyty, to taki śmiech przez łzy – ty chlejesz, a dzieci na to patrzą, żona zamiast zajmować się czymś konstruktywnym, podaje jedzenie, a potem jeszcze musi po was posprzątać. Do tego ci

ludzie często nie mają za wiele pieniędzy, więc głupio człowiekowi, że wydają te symboliczne lari na niego. Szczęśliwie nasz potencjalny dobroczyńca był tak pijany, że nie mógł znaleźć samochodu, którym chciał nas zawieźć i w efekcie temat umarł, on sam pewnie umarł chwilę potem. Z drugiej strony, połowa z nas nie była taka bardzo pewna, czy nie warto jechać, bo to są zawsze piękne opowieści, a i bania totalna. Ostatecznie plan przepadł, ale gdyby ktoś wybierał się do Chulo i chciał budżetować, to niech zamiast do jedynego w mieście hotelu idzie do menelni przy głównej ulicy targowej. Tam pewnie do 30 minut znajdzie nocleg i jadło w najlepszej cenie świata.

Asortyment sklepów jest bardzo podstawowy, za to żaden lokal nie doliczy 10% napiwku do rachunku, bo by go lokalni spalili. Niestety, to też się za jakąś chwilę skończy, bo już mamy hotel, w którym mogłem sobie porozmawiać o tym, że przez telefon koleżanka zarezerwowała nam pokój za 30, a nie za 50 lari i że cena pokoju nie jest uzależniona od kraju pochodzenia turysty. Jak również, że skoro się robi miłą atmosferę i zaprasza do restauracji, to jeszcze milej byłoby nie liczyć więcej niż lokale w centrum stolicy. Mieliśmy za to przyjemność spróbować sobie narodowych dań adżarskich – konkretnie Borano i Achma. Oba były cholernie tłuste – mieszanka sera, makaronu i masła – tak więc nie daliśmy rady zjeść żadnego z nich do końca. Jeżeli na Kaukaz kiedyś dotrą jakieś trendy dietetyczne i zdrowego żywienia, to ludziom chyba tylko tytoń zostanie do jedzenia. Wyżej wspomniany sprzedawany jest na wagę z worów na bazarze, za pokaźnych rozmiarów wór i bibułki (nadające się chyba jedynie do wyrzucenia) zapłaciłem 10 lari. Wystarczył mi na bardzo, bardzo długo, głównie dlatego, że nie mogłem się do niego przekonać i dopiero w jakieś trzy miesiące później go wykończyłem.



Kółowrotek kolejki linowej

W końcu następnego poranka udało nam się wspólnie z Gruzino-Niemcami wsiąść do kolidki i przejechać do wioski Tago. Obsługujący już dobrze wiedzą, co robić z turystami, więc otwierają drzwi w trakcie przeprawy i zachęcają do pooglądania sobie przepaści. Jest to kilkadziesiąt metrów w dół i wszyscy kurczowo trzymają się rurek.



W tej mgłę nie ma goryli...



Oczom ich ukazał się las...



Rwająca rzeka w dolinie

Samej kolejki nie zbudowano w imię turystyki, tylko żeby mieszkańcom było łatwiej – szosa idzie solidnie dookoła i wymaga zrobienia jakichś 16 kilometrów. Kolejka biegnie w linii prostej i dzięki temu pozwala zaoszczędzić czas. Pod warunkiem, że nie wieje. Po drugiej stronie nie ma za wiele, kto mógł, już dawno uciekł z Tago. Z nami jechała jedna bardzo wiekowa staruszka, wybierała się na targ do Chulo.



Zielono jak szlag...

Po 10 minutach upojnego pobytu w Tago udaliśmy się w drogę powrotną. Cena? Lokalni płacą 20 tetri. Niemco-Gruzini dali 5 lari za przejazd w jedną stronę, my drugie 5 z powrotem, chociaż chyba 5 by wystarczyło – pan był solidnie zdziwiony, że daję mu jakieś pieniądze. Słyszałem, że niektórzy płacili do 15. Czy warto?



A tam sobie wybuduję szklarnię. Albo dwie

Warto, widoki mimo mgły obłędne, a samo doświadczenie jedyne w swoim rodzaju (choć jest jakaś miejscina pod Kutaisi, która ma podobną kolejkę, no i w Alawerdi też mają). Jeżeli trafi się w te okolice w lecie i popyta, to pewnie dałoby się zrobić jakieś spacer – w biurze informacji turystycznej są dość pomocni. Da się podobno przejść lub przejechać na koniach aż do Bakhmaro w Gurii (opuszczonego uzdrowiska, wrażenia jak z tych właściwych opuszczonych uzdrowisk), ale to chyba bardziej temat na miesiące letnie, nam nikt nie oferował takich wycieczek. Samo Chulo ma wprawdzie najważniejszy obiekt świata, czyli muzeum fauny i flory, ale nie mieliśmy odwagi. Zbyt wiele razy mieliśmy szczęście odwiedzać takie obiekty, są one zbyt piękne i dawkujemy sobie to szczęście raz na czas.

Powróciliśmy do Batumi. Z desperacji wyróżniliśmy ostatnie muzea. Rozważaliśmy, co dalej, czasu mieliśmy więcej, niż potrzebowaliśmy. Nie bolało nas siedzenie w Batumi, chodzenie po knajpach, czytanie na plaży – budżetowo to się spokojnie spinało – ale jednak nie do końca tak to planowaliśmy. Powoli zaczynałem tracić nadzieję. Może jechać do Ureki, na magnetyczne plaże? Morze to samo, ale przynajmniej piaski podobno jedyne na świecie. W Swanetii pewnie jeszcze będzie śnieg i wiele poza Uszguli nie uda nam się ruszyć. Może centralna Gruzja? Tylko to nie najciekawsza część kraju, ale może, tak dla odmiany? W końcu był chyba 5 maja, wróciliśmy wieczorem do naszego hotelu i zobaczyłem, że mam wiadomość w folderze spam. Kliknąłem i rozwiązały się nasze problemy z czasem wolnym. Dostaliśmy pozwolenia na wjazd do Abchazji.

[27.10,2017]

Rozdział 1. Czym jest Abchazja?

Abchazja uznawana jest na świecie przez kilka krajów. Mówimy tu o takich ikonach państwowości jak Rosja, Nikaragua, Wenezuela i Nauru. Mniej więcej tyle osób na 100 wie o jej istnieniu. Czy Abchazja powinna być uznana za wolny kraj, to fascynująca debata z pogranicza historii politycznej i socjologii regionu. Od ponad dwudziestu lat polaryzuje ona nie tylko gruzińskich i abchaskich naukowców, ale również warstwy rolnicze w obu krajach. Do tego stopnia, że po rozpadzie ZSRR na terenach Abchazji doszło do działań zbrojnych, które spowodowały, że do Gruzji relokowało się około 250 tysięcy osób, a jakieś 15 tysięcy zginęło. Sam konflikt do dzisiaj pozostaje „nierozwiązany”, mimo apeli różnych środowisk międzynarodowych. Naprawdę, jakoś ludzie na Kaukazie nie wzięli sobie do serca uwag, które przyplęły z wysokości ONZ.

Współcześnie mapy Gruzji pokazują Abchazję jako integralną część kraju i jeżeli tylko chcemy ożywić jakichś Gruzinów, to należy im powiedzieć, że Abchazja nie należy do Gruzji i stanowi wolny kraj. Z kolei jeżeli chcemy pobudzić Abchazów, wówczas należy ich poinformować, że to miło, że tak dużo autonomii mają w obrębie tej Gruzji. Jeżeli mamy na pokładzie przedstawicieli obu grup, to wtedy mówimy, że Abchazja należy do Rosji, a potem zasłaniamy dłońmi pysk.

Kaukaz jest tak poplątany etnicznie i politycznie, że przy nim Bałkany wydają się być rewirem niemal jednolitym. O ile jednak Bałkany mogły liczyć na jakieś wsparcie ze strony paru krajów określanych jako w miarę cywilizowane, o tyle Kaukaz ma ten problem, że niemal nikogo nie obchodzi i szanse na zaprowadzenie jako takiego porządku w regionie są nikłe. O ile jeszcze Czeczenia zdobyła globalną sławę, o tyle Abchazja jest zapomnianym przez niemal wszystkich kawałkiem świata. Jak też widać, kraje, które ją uznają, są nieco oddalone od Kaukazu, poza Rosją, która uznała Abchazję dopiero po konflikcie z Gruzją w roku 2008 (oczywiście wiemy, jaki bohaterski prezydent tam pojechał, pod ogień snajperów). Tak się jakoś dziwnie złożyło, że ledwo Rosja miała taki pomysł, to po niej takiej fantazji dostały Nikaragua, Wenezuela i Nauru. Przez chwilę Abchazję uznawało jeszcze Vanuatu i Tuvalu (kolejne sąsiadujące kraje!), ale potem się rozmyślili. Jeżeli dorzucimy takie ciekawsze miejsca na świecie, to Górski Karabach, Osetia Południowa i Naddniestrze również się z Abchazją wzajemnie uznają, a nawet mają własne turnieje piłki nożnej. Jaja jak globusy. Dla innych krajów Abchazja jest autonomiczną republiką w obrębie Gruzji.

Dla turysty z kraju zachodniego panująca obecnie sytuacja oznacza – oczywiście! – konieczność zdobycia wizy. Ponieważ ta część świata nie uskarża się na przesadny nawał odwiedzających, to według mojej wiedzy, wita wszystkich z otwartymi ramionami. Można powiedzieć, że na korzyść zainteresowanych działa też fakt, że Abchazja nie ma zbyt wielu misji dyplomatycznych. Bądźmy jednak sprawiedliwi, takie placówki istnieją. Abchazja ma ambasadę

w Moskwie i konsulat w Niżnym Nowogrodzie. Jest również ambasada w Caracas (ciekawe, czy jest dalej po tym burdelu, jaki mają szczęście przeżywać mieszkańcy Wenezueli od pewnego czasu) i w – UWAGA! – Osetii Południowej. Wizualizuję sobie taką rozmowę:

– *Wysyłamy pana do pracy w naszej zagranicznej placówce dyplomatycznej!*

– *TAK! DZIĘKUJĘ!!! Moskwa? Wenezuela?*

– *Cchinwali.*

Długa cisza. Tego samego wieczoru znajdują zwłoki abchaskiego dyplomaty.

Poza ambasadami Abchazja ma trochę przedstawicielstw, ale szanse są wątle, że jacyś Polacy będą tam się starali o pozwolenie na wjazd. Cała aplikacja wizowa odbywa się przez internet – należy pobrać dość standardowy formularz, wypełnić go i wysłać. Jedyne, co może zaskoczyć, to konieczność podania miejsca przekroczenia granicy, ale cała wiedza w temacie sprowadza się do tego, że od Gruzji to jest Ingur (Inguri), a od Rosji, to jest Psou-Adler. Więcej przejść granicznych nie ma, więc i my wyboru nie mamy.

Jest jeden fajny gambit. Jeżeli wkroczymy do Abchazji z Rosji i wyjedziemy do Gruzji, to dostaniemy karę od 400 do 2000 lari i może nawet parę dni więzienia. Dlaczego? Bo oznacza to nielegalne przekroczenie granicy Gruzji. To są takie piękne zjawiska debilnych polityków z nacjonalizmem rozmazanym po ryju: od ponad dwóch dekad Gruzja ma jednego wielkiego chuja wpływu na Abchazję i jej relacje z Rosją. Jednak nadal uważa, że przekroczenie „gruzińskiej” granicy w Psou to naruszenie ich integralności terytorialnej i dlatego sady te kary. Gdzie masz w Psou, na tym gruzińskim terenie, znaleźć gruzińską kontrolę graniczną? Ano nigdzie, bo najbliższa jest za rzeką Inguri, bardzo daleko. A tam masz ruską i abchaską. Skoro jednak można walnąć ci karę, to czemu nie.

Ogólnie dla przeważającej większości nie-Rosjan o wiele łatwiej jest jechać z Gruzji – można sobie potem wjechać do Rosji (tylko nie wracać nigdy na tym paszporcie do Gruzji!!! Chodzą słuchy, że taką wycieczką można sobie w ogóle spalić Gruzję i że nawet, jak wjedziesz na następnym, to też wiedzą) lub też wrócić. Wjazd z Rosji oznacza, że musimy mieć wielokrotną wizę rosyjską, żeby móc wrócić tym samym przejściem granicznym. Z kolei czasem Rosjanie nie wbijają ludziom wyjazdówek, więc potem jest problem z wracaniem do Rosji. Idiocyzm, dzięki któremu powstała cała dziedzina wiedzy na ten temat.

Po złożeniu aplikacji oczekujemy pięć dni roboczych i otrzymujemy pozwolenie na odwiedzenie Abchazji w podanych przez nas terminach. Nam nawet przysłali w cztery, ale gdybym wiedział, co wiem, to bym wysłał dużo wcześniej. Po wjeździe mamy trzy dni ROBOCZE (to będzie za trochę ważne) na wniesienie opłaty wizowej w Suchumi. Właściwie tyle jeżeli chodzi o biurokrację. Nie jest to może tak fajne jak wjazd do Niemca, ale bywało gorzej. Logistycznie sprawa jest umiarkowanie skomplikowana, chociaż prościej też już bywało.

Rozdział 2.

Dyskretny urok Zugdidi

Droga do Abchazji wiedzie przez Zugdidi, miasto, które jest umiarkowanym hitem na turystycznym szlaku kogokolwiek. Dostawanie się z Batumi do stolicy Megrelii i Górnej Swanetii zajęło nam solidną część dnia, głównie dlatego, że przez ponad DWIE godziny siedzieliśmy w busie i czekaliśmy, aż kierowca łaskawie zdecyduje się na wyjazd. W końcu pojechaliśmy, a z nami rodzina wioząca karton wesoło popiskujących kacząt. Ponad dwie godziny z kwaczącymi i tuptającymi kaczkami za plecami, polecam serdecznie! Do tego ponad godzina z nastoletnią dziewczyną znęcającą się nad matką z przodu („Maaaaaaama, a kiedy dojedziemy?”, „Mama, a gdzie jest dom??? Maaamaaaa, a czy tata będzie przy sklepie???” – mój gruziński nie sięga daleko, ale niestety, wystarczająco daleko, żeby to wszystko rozumieć).

W Zugdidi okazało się, że centrum jest całkiem ładnie odnowione. Z hitów turystycznych mają park, dworek księcia Dadiani, a w dworku np. maskę pośmiertną Napoleona.



Piękny dworek w zapomnianym zakątku Gruzji

Megrelia teoretycznie mogłaby być perłą kraju – morze, góry, doliny – ale tak jakoś się poskładało, że nie jest (patrz: podpunkt infrastruktura). Samo Zugdidi nie jest jakąś katastrofą, ale nie jest też wypasionym hitem, niemal na każdym kroku czuć syndrom miejsca opuszczonego przez młodszych. I starszych, którzy, gdyby mogli, też by się już dawno spakowali, niewykluczone, że na drugi świat. Językowo to niektórzy chyba nawet za szalowo po gruzińsku nie mówią, bo nawet mój chwalili, a nie ma czego. Centrum całkiem ładnie odnowiono, ale z braku większych atrakcji do Zugdidi dociera bardzo mało osób.

Najciekawszym obiektem był park, bywający ogród botaniczny. Skracaliśmy sobie przez niego drogę do naszego miejsca zamieszkania i cieszyliśmy się roślinami, drzewami i innymi krzakami. W pewnym momencie wyszliśmy na porzuconą scenę, gdzie znajdowały się kwiaty, zdjęcie dziewczynki przepasane czarną wstążką i graffiti z cytatem z Lany Del Rey („Heaven is a place on earth with you”). Czy dziewczyna zginęła w wypadku, czy się zabiła, czy umarła na jakąś chorobę, nie wiadomo, ale znalezienie tego było największym szokiem pobytu. Totalny koniec świata i ktoś wymyślił uhonorowanie zmarłej cytatem z Lany. W takich chwilach naprawdę czuć, że świat staje się globalną wioską. Jak również widzi się, jak konieczne jest wprowadzenie lokalnej młodzieży twórczości Leonarda Cohena.



Żałujemy że nie udało nam się poznać historii tej dziewczyny

Rozdział 3.

Jak dotrzeć do legendarnej Abchazji i nie zwariować?

Z Zugdidi do granicy z Abchazją jest tylko kilka kilometrów, marszrutki odjeżdżają dość często z jednego z przystanków przy moście w centrum miasta, kosztują niewiele i jadą naście minut. Potem rozpoczynamy zabawę właściwą.

Chociaż Abchazja jest „integralną częścią Gruzji”, to punkt pograniczny wylapuje turystów i sprawdza ich dość dokładnie. Dokładne sprawdzanie oznacza pytania w stylu: po co jedziesz tamże („Bo chcę zobaczyć całą Gruzję”), co będziesz robił i czy ogólnie wiesz cokolwiek o realiach okolic Suchumi (lub Suchuma, jak mawiają Abchazi). Gratis otrzymuje się info, że w tamtej części kraju grasują bandyci, że mordują i że w razie problemów gruzińska policja nie będzie nam w stanie nic a nic pomóc. Po ustaleniu, że nie jesteśmy krańcowymi kretynami ani ruskimi wywiadowcami, polecono nam poczekać, aż wszystko sobie posprawdzą. Myślę, że w przyspieszeniu tego procesu bardzo pomaga posiadanie kolekcji rosyjskich wiz pracowniczych. Jak wiadomo, Gruzini współcześnie darzą Rosję wielką sympatią. Oznaczało to około pięćdziesięciu ekstatycznych minut siedzenia razem z turystą z Malesji i oglądania tego, jak ludzie z Abchazji wracają do siebie. Z nami siedziała pani z kaczetami, druga tamtego tygodnia, a nawet druga w ciągu dwóch dni. Kaczęta, nowe złoto i platyna świata. Przemyt kacząt do Abchazji. Drenaż gruzińskich kacząt. Może ktoś te kaczkę nakarmił woreczkami z heroiną i w ten sposób przemycą towar przez granicę? Przy okazji nie jest takim głupim pomysłem skorzystanie z gruzińskich sklepików, bo ceny są normalne, a dotarcie do następnych wodopojów chwilę może zająć.

Sama granica przebiega na rzece Inguri, którą w niektórych miejscach można pokonać, nie korzystając z mostu, a po prostu przeskakując ją z rozpędu. Dotarcie do abchaskich posterunków granicznych zajmuje może z 15 minut spaceru. Jeżeli ktoś jest bardzo wygodny lub chce dać zarobić lokalnym i być może wdać się w dziką kłótnię, to na trasie jeżdżą wozy konne. Wygląda to solidnie kuriozalnie, ale może przydaje się ludziom z większą ilością bagażu.

Przejście posterunków granicznych 7 maja (w niedzielę) zajęło nam jakieś 30 minut. Należy okazać pozwolenie na wjazd do Abchazji, celnicy sadzają nas za to przed budką i rozpoczynają szukanie kogoś kompetentnego do zdecydowania o wpuszczeniu nas, lub nie, do swej ojczyzny. W tym czasie możemy leniwie palić peta i obserwować, co też lokalni przywożą z Gruzji. Czyli niemal wszystko, bo poza nieśmiertelnym olejem (tak kuchennym, jak i samochodowym) są i opony, wszelakie jedzenie, ciuchy, wózki dziecięce, ktoś nawet wioził winorośl. Nie mieli tylko fajek i wódki, co jasno pokazywało, w jakim stanie jest zaopatrzenie w Abchazji. Niektórzy tachali dobre kilkadziesiąt kilogramów bagaży, celnicy udawali, że próbują to przeglądać, zazwyczaj dość szybko tracili zainteresowanie. Pewnie gdyby ktoś wrzucił do walizki kilogram amfetaminy owinięty w opakowanie mąki spożywczej, to i tak nikt by tego nie skontrolował. Za to kończyło się na tym, że robili niesamowity burdel, po rozpirzeniu ludzie nie mogli pomieścić swoich betów w tobołach, walczyli z walizkami, celnicy ich przeganiali, horrendalny burdel i chaos. Po jakimś czasie nie udało się znaleźć nikogo kompetentnego do podjęcia decyzji w naszej sprawie, celnicy musieli się przyznać, że w sumie to nie wiedzą, co robić z nami i biednym Malezyjczykiem. Salomonowo wpuścili nas wszystkich do swego kraju.

Niestety, nie był to koniec radości. Kawalek spaceru dalej były kolejne budki, tym razem już bardziej efektywne. Pan z radością skonstatował, że mówię po rosyjsku i rozpoczął wywiad pod tytułem „po co mi tyle ruskich wiz?”. Widziałem, że tłumaczenie, że pracowałem w Moskwie, go nie przekonuje, ale odpuścił mi. Gdy wziął aligatorzy paszport, to niemal oszalał

– *Co??? Rosyjskie wizy i jeszcze chińskie??? Co to ma być?*

– *W Chinach też kiedyś pracowaliśmy...*

– *Mówicie po angielsku i rosyjsku, może jeszcze po chińsku?*

– *Nie, ale ten za nami jest Malezyjczykiem pochodzenia chińskiego, on na pewno mówi.*

Z jakiegoś powodu, pożytkując się jakąś endemiczną logiką, uznano, że odbycie tej rozmowy wystarczy za kontrolę i pozwoli na wpuszczenie nas do Abchazji.

Rozdział 4.

W paszczy szaleństwa, czyli po drugiej stronie granicy

Jest kilka rzeczy, które dobrze wiedzieć, a które chyba nie są obłędnie oczywiste: Abchazja używa jednej z najlepszych walut świata, czyli rosyjskiego rubla. Przy granicy kantoru nie stwierdziliśmy. Mieliliśmy trochę rubli z Gruzji, ale liczyliśmy, że kupimy więcej na miejscu. Na granicy się nie udało. Złamaliśmy serca kilkudziesięciu taksiarzom i wybraliśmy transport publiczny, marszrutkę do Gali. Po chwili dołączył do nas kolega z Azji i wyruszyliśmy wspólnie w stronę Suchumi. Po kilkunastu minutach i pięćdziesięciu rublach zatrzymaliśmy się w Gali. Koniec podróży, czekaj sobie na następną. Długo. Bardzo długo.

O Gali piszą, że lepiej tam nie być po zmroku, bo napadają z bronią ostrą i okradają. Do zmroku trochę jeszcze brakowało, ale po jakiejś godzinie zaczęliśmy się zastanawiać, czy to jeszcze kiedyś pojedzie. Rozkładu jazdy nie ma, pan przywiózł ludzi z granicy, ci sobie poszli do domów i tyle. Marszrutka rozmiarów dość pokaźnych, a pasażerów jakoś nie chciało przybyć. Tyle na pociechę, że jakiś pan przyniósł cztery koła do Mercedesa i zarąbał nimi niemal całą podłogę w transporcie. Infrastruktura przy dworcu w Gali to jest taka, że stoi parę niemal pustych sklepików. Raczej nie wyglądało na to, że można kupić coś ciepłego do picia lub jedzenia, a toaleta chyba jedynie w krzakach. W końcu zebrało się trochę osób i ruszyliśmy w stronę Suchumi. Świetnie, to przynajmniej nas nie zabiją w Gali.



Niestety nie robiliśmy zdjęć podczas postoju w Gali, w związku z tym niech herb miasta posłuży za ilustrację (źródło: Wikipedia)

Droga nie jest z tych najpiękniejszych, głównie płaska, zielona, ale bez szału. Otaczającą ją zabudowania są średnio biedne, patrząc z drogi nie widzi się dramatu nędzy, ale też nie ma rezydencji na miarę ruskich milionerów. Przez całą drogę nie stwierdziliśmy żadnego większego sklepu, chyba żadnych reklam ani większego oświetlenia. Nawierzchnia nie jest katastrofalna, lepsza, niż się spodziewałem. Ponieważ transportu publicznego właściwie nie ma, to ledwo odjechalśmy od Gali, co chwilę ktoś nas zatrzymywał. Po dwudziestu kilometrach marszrutka była wypełniona po sufit, a ludzi na poboczach nie brakowało. A jak mogłoby być inaczej? Przecież oni też chcą się dokądś dostać, a to jedyna droga, skoro nic nie jechało z Gali tyle godzin, to i ludu się nazbierało. W tym pan, którego musieli wnieść i położyć. Nie, nie odniósł ran wojennych, ale dało się odczuć, że dzień wcześniej nie był abstynentem. Jego żonie było chyba trochę wstyd, bo przeproszała współpasażerów za kondycję męża, która nikogo przesadnie nie interesowała. Kierowca był super uczynny, podwoził ludzi nawet po bocznych drogach, a w samym Suchumi zrobił pasażerom tyle przystanków, ile sobie życzyli. Panu, którego pokonał alkohol, poradził żeby następnym razem pił herbatę albo kefir, bo to skandal, żeby żona go nosiła. Po tym epizodzie byłem bardzo skłonny wpisać Abchazję do Gruzji.

W końcu dotarliśmy na dworzec, zapłaciliśmy po 300 rubli i wysiedli. Rozpoczęła się trudniejsza część wyprawy, czyli szukanie wielu rzeczy. Po pierwsze, noclegu, który zarezerwowaliśmy kilka dni wcześniej. Po drugie, mapy miasta. Po trzecie, kantoru lub bankomatu. Po czwarte taksówki. Bo padało okrutnie.

Oczywiście z tego wszystkiego najpierw trafiła się taksówka, przy czym Abchazja to nie Tajlandia. Ja z moim rusko wyglądającym ryjem musiałem trochę połaźić po okolicy, zanim znalazłem zainteresowanego wyświadczeniem nam usługi. Po pewnych negocjacjach udało nam się umówić, że 300 rubli wystarczy i ruszyliśmy w drogę. Po jakimś czasie okazało się, że taksiarz nie za bardzo wie, gdzie to dokładnie jest. Ulicę (Prospekt Mira) znalazł szybko, ale styl nazywania ulic i numerowania domów jest dość azjatycki – masz główną ulicę, od niej odbijają boczne i niekoniecznie wszystko idzie w matematycznym porządku. Podaliśmy mu numer do naszego hotelu, z wielkimi oporami zadzwonił łaskawie ze swojej komórki. Wywiązała się dzika kłótnia:

– Co? To ma być tam? Tam nie ma Prospektu Mira! SAMA NIE ZNASZ SUCHUMI!!! Jestem Abchazem z urodzenia i znam tu wszystkie ulice!!! TAKIEJ NIE MA!!!

Szczęśliwie, Abchaz z urodzenia w końcu nas dowiózł, krzycząc na właścicielkę hotelu, że jej adres wcale taki nie jest i żeby nie kłamała. Ona pokrzyzczała na niego, pożegnali się i tyle.

Okolice przyrody były właśnie nimi i trudno było sobie wyobrazić, że miejsce znajdowało się w miarę blisko centrum jakiegoś większego miasta. A jednak, jedynie kilkanaście minut spaceru po średnio utwardzonej drodze dzieliło nas od stolicznej promenady. Nie było jeszcze bardzo późno więc poszliśmy szukać jedzenia, a przede wszystkim punktu wymiany walut lub bankomatu. Kilka prób, w sklepie z biżuterią, w agencji podróżniczej, ale niestety był 7 maja. Cały kraj cieszył się wolnym od 6 do 9 maja, bo kto bogatemu/Abchazowi (niepotrzebne skreślić) zabroni mieć czterodniowy weekend? O ile sklepy były raczej czynne, o tyle usługi już nie bardzo. A przede wszystkim zamknięte były banki. Kantorów nie stwierdziliśmy, widzieliśmy tylko strzałkę na taki przybytek w centrum miasta, ale wywiodła nas ona na manowce. Lokalni pytani o wymianę walut wzruszali ramionami. Gruzińskim lari nie zapłacisz. W końcu zdecydowaliśmy się na znaleziony z trudem bankomat i tu odkryliśmy

piękną właściwość lokalnego systemu obrotu walutą: jednorazowo można wybrać nie więcej niż 3000 rubli, jakieś 170 PLN. Ponieważ korzystamy z zagranicznego, czyli rosyjskiego systemu bankowego, to każda taka wypłata obciążona jest prowizją w wysokości 100 rubli, a jeżeli do tego doliczymy kurs międzybankowy, to otrzymujemy najdroższe ruble świata. Zachciało się jeździć za granicę, no to masz. Na terminale w sklepach raczej nie ma co liczyć, więc KONIECZNIE należy zatankować się w ruble przed wjazdem do Abchazji, a jeżeli akurat wjeżdżamy w święto narodowe lub weekend, to należy kupić tych rubli o wiele, wiele więcej. Taki Rosjanin to 3000 rubli wydaje w jeden wieczór na samą czaczę i musi być w nastroju jeszcze lepszym, niż my byliśmy. Podratowała nas potem pani w hostelu i łaskawie wzięła nasze euro, co spowodowało, że odpadły nam ze dwie wizyty w bankomacie.

Poza łażeniem za pieniędzmi, pierwsze wrażenia z Suchumi były umiarkowanie ekstatyczne. Wiele miejsc sypiących się, chylących ku upadkowi, to nawet trudno porównywać z Batumi, to Zugdidi wygląda o wiele lepiej. Asortyment sklepów wystarczający, ale dość podstawowy, przydaje się znajomość produktów rosyjskich. Restauracje gruzińskawe, z różnicą taką, że chaczapuri to khaczapur, do tego obowiązkowy przegląd popularnych dań zachodnich, czyli hamburgery i pizza. Dziki Kaukaz mówili, wyjęta spod prawa Abchazja mówili...

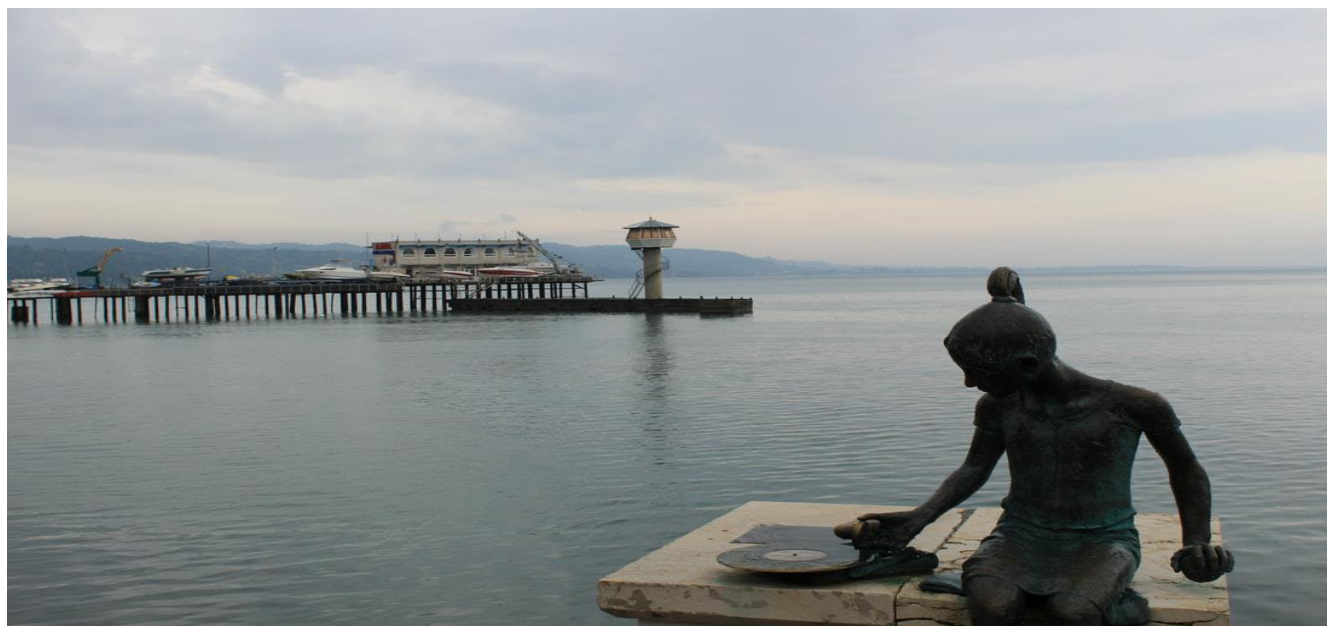


Ten wybitny pomnik wpisywany jest jako jedna z atrakcji abchaskiej stolicy

Ceny średnie, liczba lokali umiarkowana. Najpopularniejsza restauracja, Narta, była tak zawałona ludźmi, że odpuściliśmy. Turyści, umiarkowanie wielu, głównie z Rosji, więc w połączeniu z rublami, nazewnictwem ulic i językiem pisanym ma się poczucie bycia w ww. kraju. Tylko co jakiś czas jakaś flaga Abchazji przypomni, że to jednak nie do końca Rosja. Językiem dominującym też jest ten Puszkina, bardzo rzadko słyszy się lokalną mowę. Jako turysta wyróżniam się na tle całej populacji na każdym kroku – mam ruski pysk, ale ciuchy zazwyczaj noszę tzw. zachodnie. Można liczyć na chwilami męczące zainteresowanie pracowników kawiarni i taksiarzy. Pały nie przeginają, ale może to stać się męczące po piątym zaproszeniu na kawę.



Cała infrastruktura turystyczna pochodzi z czasów pewnego Związku



Morze takie Czarne!



Wakacje pod palmami

Dzień chylił się ku końcowi, więc rozpoczęliśmy powrót w stronę naszego miejsca zamieszkania. Jedną z głównych atrakcji jest nadmorska promenada, a układ miasta sprawia, że dość dobrze się przemieszcza za jej pomocą – czasem wyjdzie trochę dalej, ale jest o wiele przyjemniej. Pogoda szczęśliwie zmieniła się z rzęsiście lejącego deszczu na słonecznawy wieczór. Próbowano zrobić z tego atrakcję, stawiając dość dziwaczne pomniki. Jakieś wrażenie to robi, tylko chyba nie do końca takie, jakie by chcieli, żeby robiło.

Dzięki uprzejmości lokalnych byliśmy świadkami wypadku drogowego. Prosta droga w centrum miasta, na zdrowy rozum jakieś 50 km/h. Tak, można się uprzeć, walić pod 70 km/h i jebnąć na czołowe. Nie, nie podchodziliśmy zobaczyć i nie robiliśmy zdjęć. Usłyszeliśmy huk, wrzask i zobaczyliśmy fruwające kawałki karoserii. Wystarczyło nam z kilkudziesięciu metrów. W hostelu pani wzruszyła ramionami, dzień jak co dzień, co chwilę tam są wypadki.



Jest chyba jakaś lokalna legenda o tym chłopaku i jego kurze

Standard naszego noclegu zaskoczył nas na plus. Było czysto, była ciepła woda, kuchnia, lodówki. Nie Hilton, ale całkiem dobrze. Właścicielka i jej mąż obłędnie mili, nawet ich kaprawy pies był jakiś przyjemny, a przechodzące przez posesję koty łąsiły się do naszego parasola.



Kot, jaki jest, każdy widzi

Przez okres oczekiwania na wizy nie zostało nam zbyt wiele czasu. To jest taka super ironia losu, najpierw zabijasz dni w Batumi, a potem na biegu do Suchumi. Przeklinaliśmy się, że nie wystąpiliśmy o te wizy wcześniej, ale trzeba się idealnie wyrobić w datach, a nie do końca wiedzieliśmy, gdzie, kiedy i jak będziemy. Co gorsza, przez święto narodowe niemal całość naszego pobytu przypadła na czas wolnego. Zastanawialiśmy się, jak się to wszystko potoczy i czy aby nie skończymy na bardzo dokładnym zwiedzaniu Suchumi.

Jak wspomnieliśmy, Abchazja została uznana przez kraje całego świata. Na przykład przez Nauru. Oto trochę więcej o tym rajku pośrodku nicości:

- populacja około 9000 obywateli;
- bezrobocie około 90%;
- uznanie niepodległości Abchazji związane było z przyjęciem około 50 milionów USD od Rosji;
- długość dróg na wyspie, a zarazem jej obwód – 20 kilometrów;
- waluta – dolar australijski;
- lokalny system bankowy splątał z powodu korupcji;
- ilość sygnalizatorów świetlnych w kraju: jeden; znajduje się przy lotnisku – trzykilometrowy lotniskowy pas startowy czasem wymaga zatrzymania ruchu;
- główny produkt eksportowy: fosforyty. Wydobycie ich doprowadziło do degradacji środowiska.

Z takimi sojusznikami, już wkrótce Abchazja może spodziewać się wielkich paktów i zmian na globalnej scenie politycznej.

[5.11.2017]

Rozdział 1. Nie samym Suchumi Abchazja stoi

Następnego poranka wybraliśmy się do jednej z największych atrakcji „kraju”: monasteru Nowy Afon (Nowy Aton). Kiedyś biuro podróży znajdujące się niedaleko naszego moskiewskiego miejsca zamieszkania bardzo proponowało wycieczki tamże, więc wiedziałem, że źle nie będzie, moskviczan na nudne wywiejowo by nie wysłali.



Komu w drogę, temu niemalże nieczynny dworzec kolejowy!

W imię bankomatu z prowizjami i tego, że był dopiero 8 maja (pozostawały więc dwa dni do otwarcia banku), postanowiliśmy wykonać tę podróż w sposób możliwie budżetowy. Jeżeli ktoś woli komfort od pieniędzy, to taksiarze ucałują go w oba poliki za wzięcie ich na taki przejazd. Skoro jednak był dostępny jakiś transport publiczny, to grzechem byłoby pakowanie się w taryfę. Mąż pani z hostelu zawiózł nas na dworzec. Tenże jest raczej opuszczony i porzucony, chociaż przyjeżdżają na niego pociągi z Moskwy – podobno.



Dworzec pod palmami, czy może być piękniej?!



Front dworca był nieco mniej urokliwy...

Na ogromnym parkingu przed nim jest obecnie dworzec autobusowy, a raczej zbierają się różne środki lokomocji – rozkładu i sprzedaży biletów nie ma, z gastronomią szalu też nie, ale coś tam da się kupić. Zasiedliśmy w marszrutce do Gagry, wyjaśniliśmy, że chcemy tylko do Nowego Atonu i mieliśmy szczęście, bo wyruszyła w kilka minut po naszym przybyciu. Kurs to koszt 70 rubli, czas przejazdu wynosi może ze 20 minut, droga oferuje ładne widoki na Morze Czarne, a że pogoda była wspaniała, to mogliśmy napaść oczy okolicznościami przyrody.

Rozdział 2. **Jaskiniowcy**

W Nowym Atonie kierowca wyrzucił nas w miejscu, z którego łatwo można dojść do obu z dwóch największych atrakcji kraju/republiki/części Gruzji: w lewo mieliśmy jaskinię, a w prawo klasztor. Wybraliśmy jaskinię, bo czytaliśmy, że bywają pewne problemy z biletami. Droga do tejże jest ostro pod górę, a na miejscu czeka nas – niespodzianka – jaskinia! Ponieważ jest ogromna, to porusza się po niej kolejką. Do kolejki jest kolejka (taka lokalna incecja), szczęśliwie biletowana, więc walka nie wychodzi poza powszechnie przyjęte standardy cywilizacyjne. Dostaliśmy bilety na za godzinę, co nie było złym wynikiem – widzieliśmy, że potem ludzie nierzadko mogli poczekać i ze dwie.

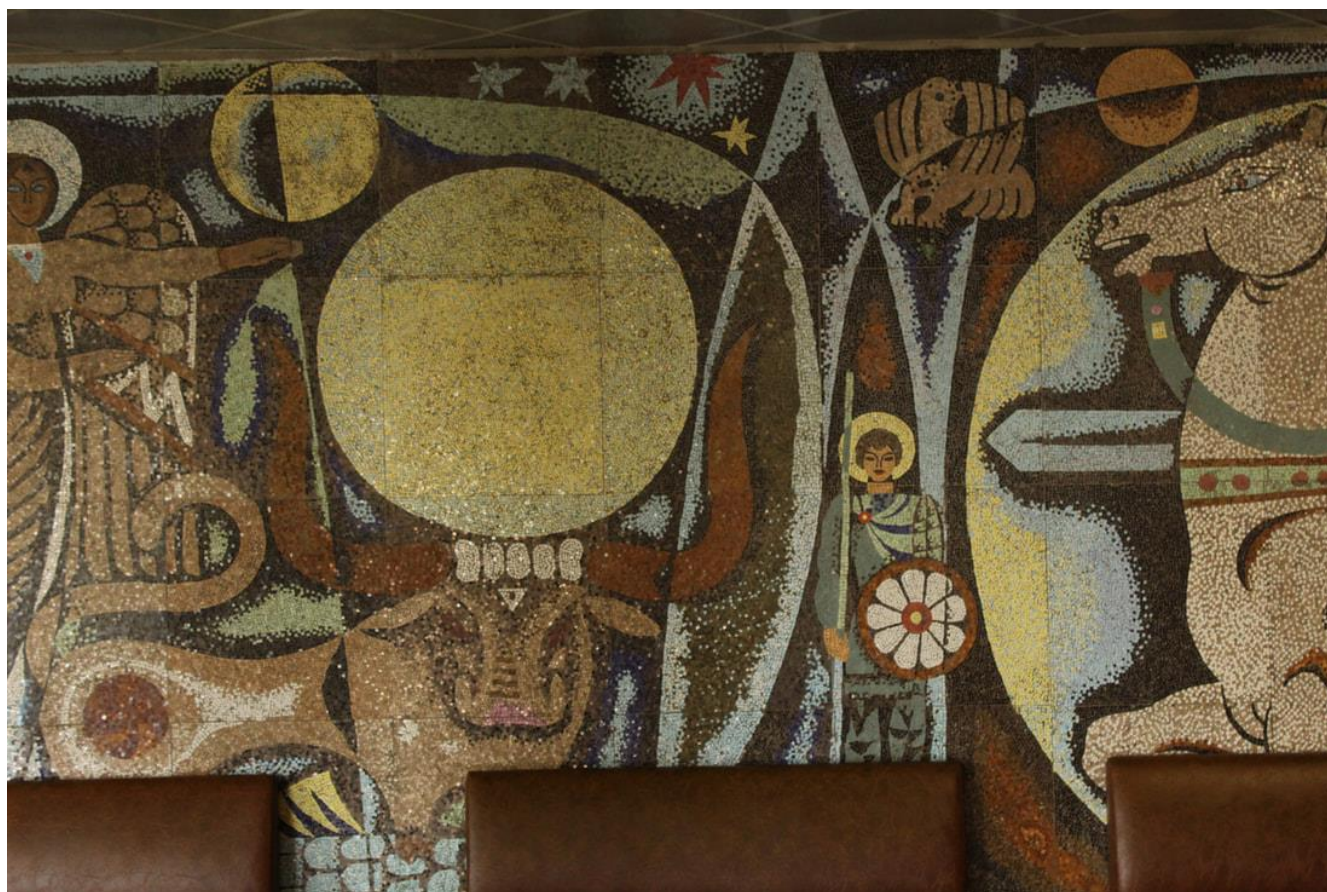
Okolice wejścia do atrakcji to najlepsze miejsce w całej Abchazji do kupienia sobie pamiątek. Całe barachło, jakie da się sobie wyobrazić – długopisy, koszulki, flagi, talerze, breloczki. W zdobnictwie dominuje flaga. Na fladze jest dłoń, która ma symbolizować powitanie przyjaciół i stop wrogom. Siedem gwiazdek oznacza regiony, a zielony i biały koegzystencję islamu i chrześcijaństwa. Bardziej życiowo to dłoń symbolizuje taksjarza chcącego wyciągnąć hajs od turysty, a gwiazdki zaplanowaną ilość bankomatów na terenie Abchazji w roku 2050.



Urokliwy bazarek z suwenirami



O tam, tam widać klasztor!



Nieco artyzmu w poczekalni jaskiniowej



Przyjaźń między gatunkami



Ustępować miejsca starszym!

Gdy nadeszła nasza pora, odkryliśmy, że przeważająca większość zwiedzających z nami to Rosjanie (nie usłyszałem ani słowa w innym języku) i że niektórzy mogliby mieć pewne kłopoty z dochowaniem ślubów abstynenckich, czuć było, że ulegli pewnemu zainteresowaniu alkoholem, co jest oczywiście szalenie zadziwiające w kontekście Rosjan na wakacjach (w sumie większości nacji na wakacjach). Pociąg w jaskini nowoatońskiej wygląda jak moskiewskie metro, nawet podobnie się odzywa do pasażerów. Ludzi pakują do niego w liczbie, jaką można spotkać w godzinach szczytu w stolicy Rosji. Dystans wynosi 1300 metrów i po chwili można wysiąść i rozpocząć piesze zwiedzanie atrakcji. W grupie ponad stu osób i z panią przewodnik. Niestety nigdy w życiu nie udało mi się rozwinąć prawdziwej pasji do speleologii. Niemal wszystkie jaskinie świata sprowadzają się do tego samego, czyli przewodnika, który z udawanym entuzjazmem pokazuje formy naskalne i mówi, że ta nazywa się fajfus, a tamta balony. Zazwyczaj mają jeszcze jakiś koloryt lokalny w stylu „TE ODBARWIENIA WYGLĄDAJĄ JAK SHARON STONE!!!”. I tyle radości. Zwierzątka żyjące w jaskiniach są umiarkowanie ciekawe. Wydawało się, że tu atrakcja skończy się na tym, że można przejechać się podziemnym pociągiem. Szczęśliwie, pani przewodnik nie została poinformowana, że ZSRR sobie nie

do końca poradziło w świecie, a także, że istnieją pewne poziomy żenady. Właściwie to oprowadzanie było lepsze niż sama jaskinia:

Przechodząc z sali pierwszej do drugiej, wysłuchajmy narodowej abchaskiej pieśni o skale.

(Ciekawsze byłoby wysłuchanie narodowej abchaskiej pieśni o kale,
ale nie wiem, czy już taką ktoś napisał.)

Opuśćmy tę salę, słuchając muzyki Bacha.

Zapraszam do bajecznego świata Aladyna.

Czy wszyscy już widzieli skalnego Lenina?



To niestety nie Lenin, a tylko jakiś skromny upiór

Dzięki pani przewodnik jaskinia ta stała się najciekawszą, jaką w życiu zwiedzałem. Przydałaby się jakaś wrzutka o Stalinie, ale nie można mieć wszystkiego, dobrze, że chociaż Lenin był. Rozmiar stada, w którym to zwiedzaliśmy, był uciążliwy, ale dość szybko wszyscy poszli robić zdjęcia i rozleźli się, więc jeżeli ktoś miał ochotę pokatować swoje uszy opowieściami pani, to problemu nie było. Całe zwiedzanie trwa może jakąś godzinę, potem wraca się tym samym pociągiem, ale z innej stacji (linia ma ich łącznie trzy).

Z jednej strony to jaskinia. Z drugiej poziom kuriozum i podziemny pociąg sprawiają, że jest to jaskinia warta poświęcenia. Dzięki temu, że jest ogromna, nawet w takim stadzie można się dobrze bawić i mieć kawałki miejsc dla siebie.



Urokliwe nacieki



Tutaj fani Tolkiena mogą poczuć się nieco jak w Morii



Stalaktytów pod dostatkim



Mały Budda w wielkiej jaskini

Rozdział 3.

Monastycyzm kaukaski

Czekała na nas jeszcze jedna flagowa atrakcja: monastyr Nowy Aton. Dystans między jaskinią a obiektem kultu to piechotą jakieś 20 minut. O ile przy jaskini nie brakowało sprzedawców, o tyle w drodze do monastynu siedzą ich absolutne stada. Oferują asortyment pod tytułem „Wszystko, co udało nam się zrobić w Abchazji”. Z naciskiem na dżemy, powidła, wino i czaczę. Kraj cieszy się bezrobociem na poziomie około 70%. Skoro populacja wynosi 250 tysięcy osób, to jeżeli odliczymy dzieci i emerytów, to zostanie nam – bardzo szacunkowo – może 150 tysięcy ludzi w wieku produkcyjnym. Część jest w wojsku, część w administracji, trochę w turystyce i sklepach. Nie wiem, czy są jakieś emerytury, pewnie nie ma, więc ci biedni ludzie siedzą i próbują handlować przetworzonymi darami natury. Największy produkt eksportowy Abchazji to mandarynki. Mają też piwo Suchumi, trochę wina i czaczy. Gruzja wygląda ostentacyjnie bogato przy tym, co się widzi w Abchazji.



Każdy posiłek przygotowywany na Waszych oczach!



Bazarek pod samym monastylem oraz nagły atak spawacza

Nowy Aton założono stosunkowo niedawno, bo w 1875 roku. Zrobili to rosyjscy mnisi, którzy popadli w konflikt z lokalnymi w greckim monastyrze na wyspie Atos – stąd nazwa. Miejsce wybrali nieprzypadkowo, w pobliżu znajduje się grotę, w której mieszkał apostoł, Szymon Kananejczyk. Szczęścia nie mieli, w 1877 w Abchazji wylądowali Turcy i całkowicie zniszczyli wrogim im obiekt sakralny. Gdy Rosja skończyła wojnę z Turcją, monastyr odbudowano. Był to na swe czasy pełen wypas, mnisi zbudowali kolejkę wąskotorową do transportu drzewa, mieli prąd z elektrowni wodnej (jednej z pierwszych w Rosji), a nawet kolejkę linową! Dalej budowali drogi, rozwijali rolnictwo i sadownictwo, tym samym poprawiając sytuację w regionie.

Nacieszono się tym rozwojem stosunkowo krótko, w 1924 miejsce zostało uznane za centrum kontrrewolucji i zamienione w sanatorium. Około 150 mnichów rozstrzelano. W 1992-1993 roku mieli przecież kolejną wojnę, w czasie której w monastyrze był szpital polowy. Czyli od 1875 do 2017 monastyr znacznie częściej nie mógł spełniać swojej funkcji, niż mógł. Na pociechę, od 2011 roku mają autonomiczną metropolię abchaską.

Sam monastyr jest ładny, ale nie zabija, nie jest to najpiękniejszy obiekt sakralny świata. Teoretycznie nie, ale można wejść w szortach, za to kobiety nie mogą być przesadnie wyuzdane i muszą zakrywać włosy. Najwyraźniej zakłada się, że męskie włosy nikogo nie podniecają.



Monastyr pod palmami



Odremontowana część kompleksu



Kopuły takie krąglutkie!



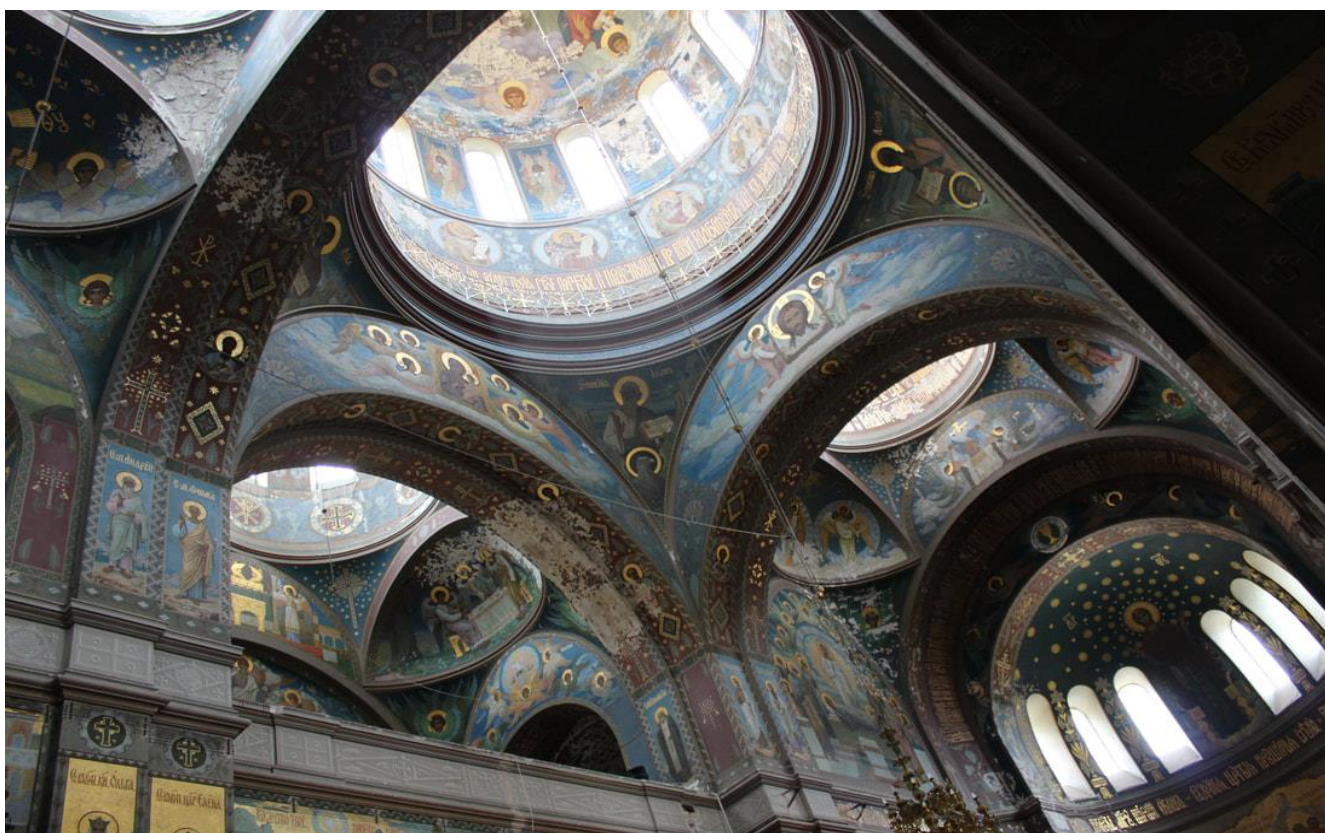
Część niedostępna dla zwiedzających, a jednocześnie słabo zrewitalizowana



Monastyru nie ominał kryzys



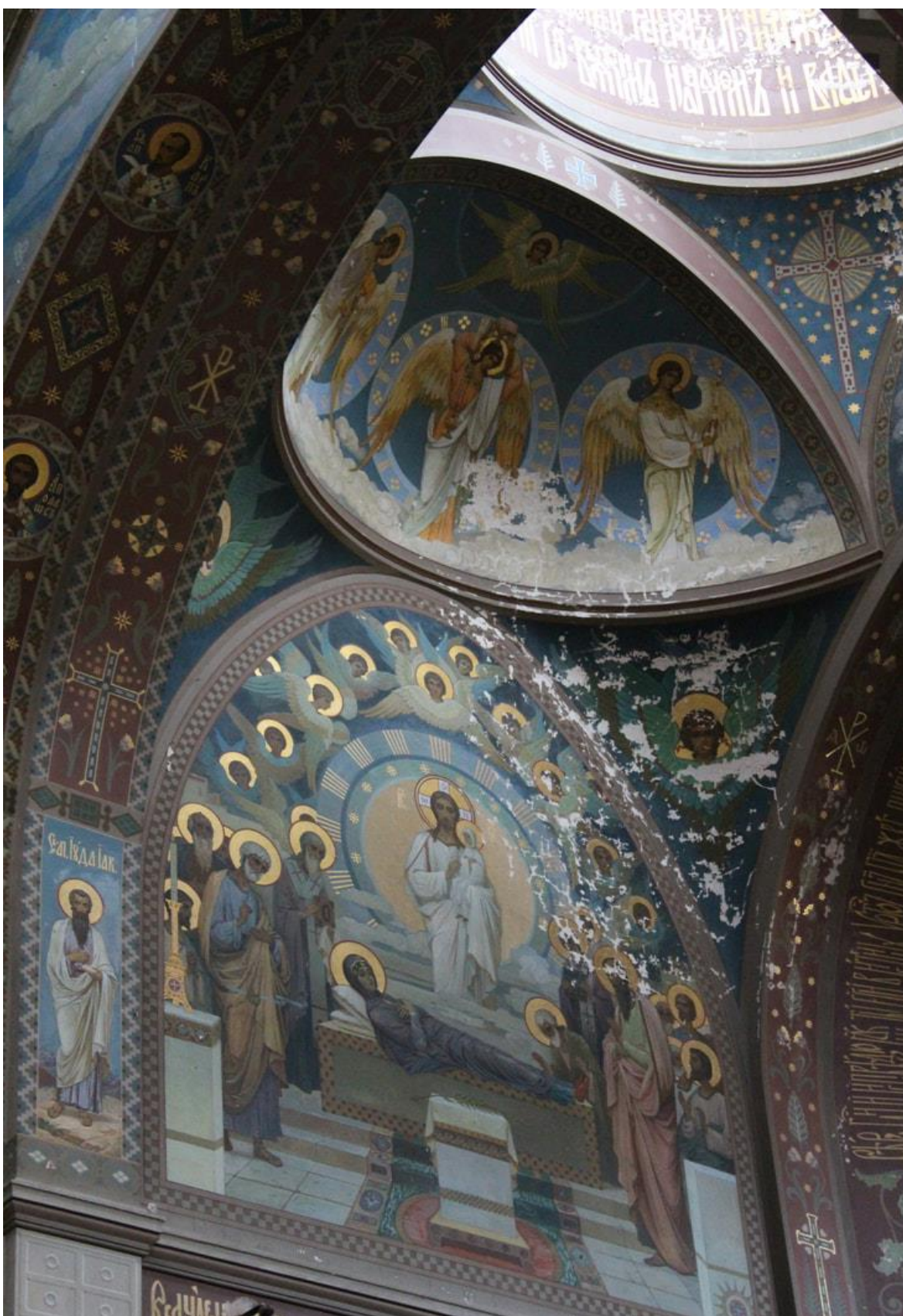
Mrok, złoto i 19-wieczne freski



Więcej Jezusów! WIĘCEJ!



Niestety niektóre malowidła wolają o renowację...



Polecamy Jezusa z malutką Matką Boską na ramieniu



I jeszcze więcej złota w mroku

U stóp wzgórza, na którym stoi wiadomy monastyr, są atrakcje takie jak wodospad, wyglądające na dość podrasowane ręką ludzką jeziorka. Najlepsza jest porzucona stacja kolejowa – budynek mający na oko ze sto lat, obecnie z wybitymi szybami i bez szans na renowację. Chyba jakiś pociąg tam nawet kursuje, ale informacji brak, biletów też kupić się nie da. Kilka budynków jest odnowionych, ale większość nie. Widać, że do pewnego momentu towarzysze z Kremla dawali na to jakieś pieniądze, ale w pewnym momencie temat umarł, zapewne dlatego, że rubel tak dobrze stoi, a rosyjska ekonomia jest wzorem dla całego świata.



Elektrownia wodna imienia Stalina



Malowniczy wodospad



Zapomniana, acz pięknie położona stacja kolejowa



Anna Karenina aprobowalaby!



Niestety ostatni pociąg, który tam widziano, był prawdopodobnie pociągiem do czaczy...



Może ten sufit doczeka kiedyś lepszych czasów?

Rozdział 4. **Abchaska proza życia**

Część gastronomiczna Nowego Atonu jest średnio rozbudowana. Miejsc z jedzeniem nie brakuje, ale wszyscy oferują plus minus to samo – mięso z grilla. Nie są to opcje wegetariańskie, więc dopiero dłuższy spacer pozwolił na odkrycie budy, w której przemiły pan podał nam chaczapuri i picie, a nawet dał dyskont. Jeżeli ktoś jednak lubi szaszłyki i mięso z grilla, to może być jego ziemia obiecana – trudno nam się wypowiadać o jakości, ale pod względem ilości to nigdy nie jest się daleko od wesoło dymiącego mangu.

Dochodził wieczór. Dzień udał nam się wybitnie, pozostało tylko wrócić do Suchumi i cieszyć się, że nie było żadnych problemów. Wieczór wcześniej zaobserwowaliśmy, że okolice naszego hoteliku nie są za dobrze wyposażone w napoje wyskokowe. Akurat do monastynu i pań sprzedających tam trunki mieliśmy kawałek, więc zdecydowaliśmy się poszukać czegoś bliżej głównej drogi. Mieliśmy w pamięci, że gdzieś tam było wino na rozliw. Jest sobie mała knajpa w standardzie sidingowego drewna i ogólnej prowizorki. Weszliśmy i poprosiliśmy o litr wina na wynos.

– *Córa, leć po tatę!* – rzuciła pani zza baru.

Po chwili pojawiła się córa z tatem. Już z kilku metrów było widać, że tate nie marnuje długiego weekendu. Po standardowej wejściówce tate nakazał córce iść po szwagra – bo skoro goście przyjechali, to nie może być, że tylko on nimi się zajmuje. Magiczne słowa, które wywołały taką reakcję, brzmiały:

– *Ile kosztuje litr czerwonego wytrawnego?*

Wiadome, że w ciemno kupować nie można, klient musi spróbować, a co ma tak sam próbować, skoro i właściciel może się napić. A jeżeli szwagier jest pod ręką, to przecież jemu też może chcieć się pić.

Dziewczynka wróciła ze szwagrem. Ten był o jeden promil trzeźwiejszy niż właściciel, co nie znaczyło, że mógłby kierować pojazdem mechanicznym. Nie był też przesadnie koherentny.

– *Skąd jesteście?*

– *Z Polski* – i czekam na ten wielki wybuch radości, z którym bardzo często wiąże się odkrycie przez Rosjan tego, że Polacy zawitali w ich rewiry.

– *CHWAŁA ARMII CZERWONEJ I WSZYSTKIM NARODOM ZWIĄZKU RADZIECKIEGO ZA WYGRANIE WIELKIEJ WOJNY OJCZYŹNIANEJ!* – pozdrowił nas właściciel.

– *Oni są z Polski, nie z Rosji* – rzucił smutno szwagier.

– *ALE POLSKA BYŁA W ZSRR!!!*

Nie miałem siły wdawać się w geopolityczne drobiazgi czasów dawno minionych.

– *My, Abchazi, dziękujemy Rosji za naszą niepodległość!*

– *Oni nie są z Rosji...*

– *Wypijmy za Wielką Wojnę Ojczyźnianą, wojnę o nas, za niepodległość Abchazji, za spotkanie, za święto, za rodziny* – szczerze mówiąc, to nie wiem, za co miał być toast. Wznoszenie go trwało dobre dziesięć minut i nikt nie mógł się połapać, że wznoszącym go na czele. Nie żeby kogokolwiek to przesadnie obchodziło. Gdy już wznosiliśmy kubeczki do ust, przemknęła mi myśl: czy oni tu będą pili jak Gruzini, cały kubek na raz? Czy jak Rosjanie, czyli rozsądnych rozmiarów łyk? Gdy zobaczyłem wyraz oczu gospodarza na obraną przeze mnie drogę spożycia, to już znałem odpowiedź.

– *Coooo? Naszego wina tak nie można pić! Ono jest za dobre!!!*

Takie dobre, że się wali 200 mililitrów na raz...

– *TAK SIĘ PIJE!!!*

Pan pokazał nam ten proces dość dokładnie. W międzyczasie przyszła jakaś młodzież na hokeja, ale im powiedzieli, że hokeja nie będzie, bo są goście z Rosji („Oni są z Polski...”).

Nie przywiązywałem wielkiej wagi do tego, że miałem przy sobie butelkę po gruzińskiej wodzie mineralnej Likani. Oni jednak to zauważyli, wiedzieli dzięki temu, że przyjechałem z Gruzji i zaczęli pytać, jak też u sąsiadów. Ładnie, ładnie, ale oczywiście nie aż tak ładnie jak u was. W końcu doszliśmy do najważniejszego pytania:

– *Ile macie dzieci?*

– *Okrągłe jak księżyc w pełni zero.*

– *O rany! TRAGEDIA!!! To dlatego, że nie pijesz abchaskiego wina. Ale w Abchazji uda wam się począć dziecko. I będzie to dziecko płci męskiej!*

– *Miejmy nadzieję, że jednak się nie uda...*

– *Czy ty to widzisz?* – zapytał szwagra – *Bo ja widzę w jej brzuchu dżygita.*

– *TAK! Ona urodzi dżygita!!! Pojedźcie do Polski i będziecie mieli dżygita.*

Po tym wszystkim pojechaliśmy z powrotem nie do Polski, a do Suchumi, a dżygita po drodze zapewniła fauna lokalna. Za wino, które polano do butli po mineralnej, nie pozwolono nam zapłacić, a do tego zrobiliśmy po jakieś dwa kubki całkiem dobrego trunku z właścicielem i szwagrem. Całą tę radosną libacyjkę obserwowała córa pana, miała może z 10 lat. Pomagała polewać, wycierać blaty, a na końcu wszystko posprzątała. No i matka, która z dumą patrzyła, jaka to pomoc z córki rośnie. Abchazi mają to szczęście, że dociera do nich mało turystów, więc małżonki puszczają im jeszcze takie numery. Gruzinki powoli mają dosyć i starają się kapitalizować takie wyskoki mężów. Pewien ubaw przy tym zawsze jest, ale trochę jednak dziwnie, gdy nieletnia polewa wino i wyciera stolik, na który tatuś z wujem i gośćmi z Rosji („Oni są z Polski...”) ulali napój. Niestety pani też nie chciała żadnych pieniędzy.



Kawałek abchaskiej sielanki

Gdy czekaliśmy na autobus do stolicy, przyjechał taksiarz (zaskakujące...). Powiedział, że weźmie nas i jeszcze dwójkę Rosjan czekających na transport, a wyjdzie nam to niewiele więcej niż zbiorkom. Kierowca okazał się być zdrowy na umyśle i jechał dość spokojnie, za to żywo komentował wyprzedzających go – że jebnięci, że po co się tak spieszyć, że tu podstępny zakręt, że można się zabić i kogo te pięć minut zbawi? Szok, bo Abchazja ma jakieś dramatyczne statystyki wypadków (nie wiem nawet, czy ktoś takowe prowadzi), dzień wcześniej widzieliśmy jeden, solidny dzwon na prostej drodze przy promenadzie. W miejscu, gdzie nie dało się mieć wypadku, dwa auta wpierniczyły się w siebie przy solidnej prędkości i posypały na kilkanaście metrów dookoła. Nie mieliśmy nic przeciwko temu, że pojedziemy

kilka minut dłużej, za to zwiększy to nasze szanse dotarcia do Suchumi żywymi.

Pewien błąd został popełniony przez towarzyszących nam Rosjan. Podali oni kierowcy mapę, a raczej wydruk z Google Maps, z pytaniem, czy mógłby podwieźć ich do miejsca na ww. mapie zaznaczonego. Prowadzący tak się zafascynował tym magicznym kawałkiem papieru, że oczu nie mógł od niego oderwać. Problem był tylko taki, że jechaliśmy około 70km/h, a wypadnięcie z drogi mogło oznaczać lądowanie kilkadziesiąt metrów niżej. Już Rosjanin błagał, że nie trzeba, że wysiądą sobie w centrum. Już mu wyrывał mapę, ale ten wydruk podzielał na niego jak Bazyliśzek i prowadzący nie chciał za nic rozstawać się z tym pochodzącym z jakiegoś innego, cudownego świata artefaktem.

Przejazd chwilę trwał i była okazja, żeby porozmawiać. Dowiedzieliśmy się, że obecny system szkolnictwa w Abchazji to patologia, bo wymagają od dzieci nauki narodowego języka, którego za bardzo nikt tak naprawdę nie umie, przydatny jest on w ogóle, a pałę z okładką można dostać, jak się nie zapłaci, oczywiście, że nie za zdolności. Dowiedzieliśmy się, że jako nauczyciele to mamy dobrze, bo zawsze można się tyle nakraść i pobrać łapówki od uczniów, a raczej ich rodziców. A nie to co on, ten biedny taksjarsz. Natomiast jeżeli chodzi o sam abchaski, to najlepiej wziąć gorący kartofel, wrzucić go do ust i mówić po rosyjsku, to wystarczy, żeby brzmieć po abchasku. Przyznam, że zacząłem po tej rozmowie zwracać uwagę na występowanie wiadomego języka i chyba nigdzie nie słyszałem, żeby ktoś mówił w innym niż rosyjski. Jeszcze jakieś napisy można znaleźć, ale jednak, rosyjski to jest potęga, a inne języki w regionie spoczywają w jego cieniu. Mogą się przydawać do budowania dumy narodowej, ale cały handel i turystyka stoją na rosyjskim.

Bywają dni, gdy lubię jeździć z taksjarszami. Tu się jeszcze dowiedziałem, że Abchazi to naród miłujący pokój i wolność, wynika to z ich doświadczeń wojny z Gruzinami. Mają taki imperatyw moralny, że gdy gdzieś ktoś cierpi i walczy o wolność, to oni zawsze pomogą. Dlatego właśnie obecnie wielu z nich walczy w Donbasie. O wolność Ukrainy. W zderzeniu z takimi ciekawostkami odpuszczam sobie pytania o wolność jakiej Ukrainy. A także: czy aby ci ludzie nie pojechali tam, bo poziomy bezrobocia w Abchazji są rekordowe i postrzelanie sobie na Ukrainie może wydawać się całkiem atrakcyjną formą spędzania czasu wolnego, jeżeli można przy tym zarobić jakieś pieniądze.

Warto tu wspomnieć, że podobny imperatyw moralny względem Abchazów mają Czeczeni, którzy przyjechali im pomagać w wojnie z Gruzją. Jeżeli chodzi o dramatyczne wydarzenia działań zbrojnych w regionie, niekoniecznie ufałbym w wersje abchaskie bądź gruzińskie. Bardziej mainstreamowe opowieści koncentrują się na tym, że przez lata Gruzini napływali do Abchazji. W latach 20. procentowy skład ludności wynosił jakieś 1/3–1/3–1/3 – Abchazi, Gruzini, Rosjanie i inni (Ormianie, Grecy). W roku 1992 Gruzini stanowili jakąś połowę ludności, również nieźle w liczbach szło Rosjanom i Ormianom, Abchazom jakoś gorzej. Z tego powodu, a także dlatego, że realia nie ułatwiała lokalnym karier, Abchazi postanowili iść na całość, czyli po niepodległość. Z racji struktury populacji wyszło im, że musieli się pozbyć Gruzinów. Tych, z którymi żyli dom w dom, dogadywali się, pewnie i nierzadko przyjaźnili, ale gdy doszło do rozpadu ZSRR i roku 1992, to Abchazi uznali, że wolą nie być w Gruzji i postanowili odwdziżyć się za poprzednie lata. Opisy działań zbrojnych mówią o mordowaniu sąsiadów, graniu w piłkę nożną głowami zamordowanych, gwałtach na dzieciach i całej tej pompie, która zwykła towarzyszyć ruchom niepodległościowym. Ogólnie szacuje się,

że zamordowano około dziesięciu tysięcy osób, a jakieś 250 tysięcy zmuszono do wyniesienia się, czystki etniczne na całego, a przy tym akt założycielski nowego kraju. Uznawanego przez Rosję, Wenezuelę i Nauru. Jednak to nie te rejestry, w które wpada się, jadąc z lokalnym kierowcą, więc wybraliśmy docenianie piękna nadmorskich widoków ponad debaty etniczno-ludobójcze.

Kierowca bardzo namawiał nas na wycieczkę na szaszłyk na jakieś abchaskie wywiejowo przy wodospadzie, ale wspólnie z Rosjanami podziękowaliśmy za tę ofertę. Jakoś w tej części świata teksty, jakie się dość często słyszy, są z takiej bajki, że można sobie wpisać #metoo po co drugiej przyjacielskiej rozmowie z taksjarem lub restauratorem – jadąca z nami Rosjanka usłyszała tyle subtelnych komplementów-propozycji od kierowcy, że to aż zadziwiające, że się od razu nie przesiedliła do Abchazji, by prac mu gacie po wsze czasy.

Wysiedliśmy w centrum miasta i uznaliśmy, że dzikość Abchazji jest nieco przereklamowana, podobnie jak i bezprawie mające charakteryzować tę część świata. Napotkani przez nas ludzie byli obrzydliwie mili i pomocni. Panowie od wina, taksjary, pan od grilla, no wszędzie otwartość, pomoc i życzliwe zaciekawienie. Cały dzień minął dość łatwo i spokojnie, może mieliśmy nieco szczęścia, ale chyba większość osób ma – dzielący z nami hotel Malezyjczyk dotarł tego samego dnia aż do Gagry, tylko po to, żeby ją zobaczyć i wykonać w tył zwrot. Ale mógł dopisać do listy zaliczonych miejsc Gagrę. Zależnie od układu gwiazd, całą Abchazję da się przejechać w jakieś cztery godziny jednak transport lokalny potrafi ten czas znacznie wydłużyć, właściwie aż do plus nieskończoności. Nie podjąłbym się wizyty poza sezonem wiosenno-letnim, chyba że przeznaczając solidny pieniądz na transport prywatny.



Nie należy liczyć na transport kolejowy

Po tym dniu udało się zrozumieć, dlaczego Gruzini tak żałują Abchazji. O ile Suchumi to plaża i średnio unikatowe miejsce, o tyle Nowy Aton to jest dobra atrakcja. Gdy wizytuje się w lecie, to można sobie poleżeć na plaży, pewnie działa też więcej gastronomii i barów. Jest taka opowieść, którą słyszałem lata temu w Gruzji. Gdy Bóg dzielił świat między narody, to Gruzini zaspali, bo pili dzień wcześniej. Przyszli spóźnieni. Bóg rozłożył ręce i powiedział, że nie ma dla nich ziemi, wszystko rozdał. Rozpoczęli dopytywać, czy nic się nie znajdzie. Na to Bóg się wzruszył i powiedział, że ma najpiękniejszy kawałek świata, który zostawił samemu sobie. Ponieważ jednak Gruzini przegapili dzielenie globu, a są OK, to on im go podaruje. I dlatego Gruzja jest taka piękna, bo to ziemia, która miała być dla Boga.

W łazience naszego hotelu w Suchumi wisiała taka opowieść: „gdy Bóg dzielił świat, Abchazi zaspali, bo pili dzień wcześniej”. Trochę bardziej przychyliam się do wersji abchaskiej, chociaż nie mają takich gór jak Gruzja. Pobyt w Abchazji utwierdził mnie w przekonaniu, że Kaukaz to najlepsza część świata. Jedynym problemem są ludzie, którzy od setek lat zamieniają te śliczne okoliczności przyrody w piekło.

Rozdział 5. **Wyciśnijmy ostatnie soki z Suchumi!**



Uroki suchumskiej plaży

Następnego dnia mieliśmy dwie opcje: albo jechać na wycieczkę na jezioro Ritsa/Ryca, albo zwiedzić dokładnie Suchumi. Jezioro kręciło mnie, bo znajduje się nad nim dacha pewnego gruzińskiego intelektualisty i pisarza, Józefa Stalina. Niestety okazało się, że wycieczka nie zabiera tam turystów, a samo jezioro, no to jezioro, kilka w życiu widziałem. Według słów Rosjanki z hotelu wycieczka to dość jarmarczna rozrywka z przystankami na zakup lokalnego

rękodzieła, z naciskiem na miód, obowiązkowe foty i siarę jak chuj. Tym samym nie udało mi się zobaczyć kolejnej dachy Stalina, najpierw w Borjomi, a potem w Abchazji.



Po drodze do jednej z atrakcji – więcej ruin, więcej palm!



Bardziej centralne fragmenty miasta mogą jeszcze pochwalić się ciekawszą zabudową

Drugą opcją było zostanie w Suchumi i zrobienie atrakcji miejskich. Siostrzanym miastem Suchumi jest Podolsk, więc zastanawialiśmy się, czy atrakcji też tam tyle, co w Podolsku. Szczęśliwie, jest lepiej. Jeszcze tylko ustaliłem, że chyba nie da się zwiedzić miejskiego browaru. Stuprocentowej pewności nie mam, bo ustalanie czegokolwiek w tej części świata jest trudne, ale po przepytaniu kilku osób wyszło, że to niemożliwe. Był to jednak dzień wyjątkowy, 9 maja, czyli Pobieda, Dzień Zwycięstwa. Całe miasto w plakatach, girlandach i wspomnieniach poległych. Nasi gospodarze pognali, by złożyć kwiaty pod pomnikiem niemal o brzasku. Zastanawialiśmy się, czy cokolwiek będzie czynne, zarówno muzea jak i sklepy. Szczęśliwie, nie było przesadnie ciężko.



Ależ tu musiało być kiedyś ładnie! Kiedyś... Przed 1992...



Bufet budżetowy, czyli zrób to sam



Sądząc po suficie, tu kiedyś musiały być dobre imprezy elektro...



Małpka jaka jest, każdy widzi

Poszliśmy do atrakcji numer jeden, czyli małpiego sanktuarium. Za 250 rubli kupujemy sobie prawo popatrzenia na stada wynędzniałych pawianów. W czasach ZSRR małpy ćwiczone i badano przed wysłaniem ich w kosmos. Testowano na nich również leki, dzięki czemu udało się wynaleźć między innymi sowiecką szczepionkę przeciwko polio.

Obecnie miejsce jest dość brudne, smutne i depresyjne. Ogląda się nieskończone, w przeważającej większości raczej za małe klatki z pawianami. Część zwierząt prawdopodobnie oszalała od takiego życia, bo nie wyglądały za dobrze. Inne siedzą i bezrefleksyjnie się masturbują, niektóre robią fikołki i żebrzą o jedzenie. Smród jest solidny, informacji dla zwiedzających właściwie brak. Jest to miejsce na tyle kuriozalne, że powiedziałbym, że warto, zwłaszcza ze względu na solidny pomnik pawiana, honorujący wkład jego gatunku w dokonania ludzkości. Z drugiej strony, miłośnicy zwierząt i obrońcy ich praw wyjdą z tego miejsca raczej w kiepskich humorach. Nie wiem, ile jest takich atrakcji na świecie, ale pozostaję pod wrażeniem tej. Podobno w czasach ZSRR dotarła tam delegacja z USA i była powalona tym, jak niesamowicie zaawansowane są sowieckie badania nad pawianami, kosmosem i lekami, właśnie dzięki istnieniu tego centrum. Obecnie nie byłoby w stanie zrobić wrażenia nawet na delegacji z Korei Północnej.



Betonowy wybieg



Małpka która nauczyła się, że jak zrobi minę kota ze Shreka, to dostanie papu



Znudzony pawian



Dorodny pomnik ku chwale małp, które poświęcono dla dobra nauki

Inną atrakcją są ogrody botaniczne, ale będąc kilka dni po tych w Batumi, sprawę olaliśmy. Nas w zamian olało muzeum lokalne, które w święto postanowiło nie pracować – szczęśliwie do pracy przyszedł pan z obsługi, który udzielał tej informacji potencjalnym odwiedzającym. Poza tym oglądał telewizję w stróżówce. Na pociechę mogliśmy zobaczyć sobie praabchaski dolmen.

Dzień Pobiedy to wielkie święto, tak wielkie, że niektórych pokonało już w okolicach godziny 14. Na nadmorskiej promenadzie można było spotkać ludzi, którzy nie dali sobie rady z presją święta i ogólnie dostępnych napojów wysokowych. To jest nawet ciekawy widok. Przez jakieś trzydzieści sekund do dwóch minut.



Kwiaty chyba zbierano na bieżąco, tak, żeby ludzie mogli dokładać nowe

Poszliśmy do budynku parlamentu. Jest to atrakcja ogólnie dostępna, niebiletowana i bez przewodnika. Kilkunastopiętrowy budynek przerobił zakrojone na dużą skalę działania wojenne, od lat stoi spokojnie w centrum stolicy, można sobie wejść choćby i na dach. Wszystko wygląda, jakby się mogło zaraz zawalić, więc ograniczyliśmy się do parteru i rzutu okiem na pierwsze piętro. Wszędzie walają się śmieci, czasem jakieś spontaniczne odchody, oczywiście butelki po alkoholu, o petach nie mówię. Abchazja ma na pewno jakiś bardzo popularny program szczepień, bo wszędzie leżały zużyte strzykawki, tak więc raczej nie polecałbym spacerować po tym w sandałkach. Parlament został zniszczony w trakcie walk „wyzwoleńczych”, a potem jakoś się nie złożyło i go nie odbudowali. Stoi, straszy i fascynuje. Jest to najbardziej anarchistyczny parlament świata, szkoda, że bez obrad, posłów, ministrów i tej całej pompy związanej z prowadzeniem polityki. W imię wyznawanych poglądów pozwoliłem sobie oddać mocz w jednej z sal tego majestatycznego budynku, kto wie, czy jeszcze kiedyś będę mógł nalać w jakimś flagowcu demokracji.



Jedno z najciekawszych miejsc w Suchumi



Jak można nie wejść w tak zachęcające wnętrza?



Aż dziwne, że tego portalu nikt nie odhupał



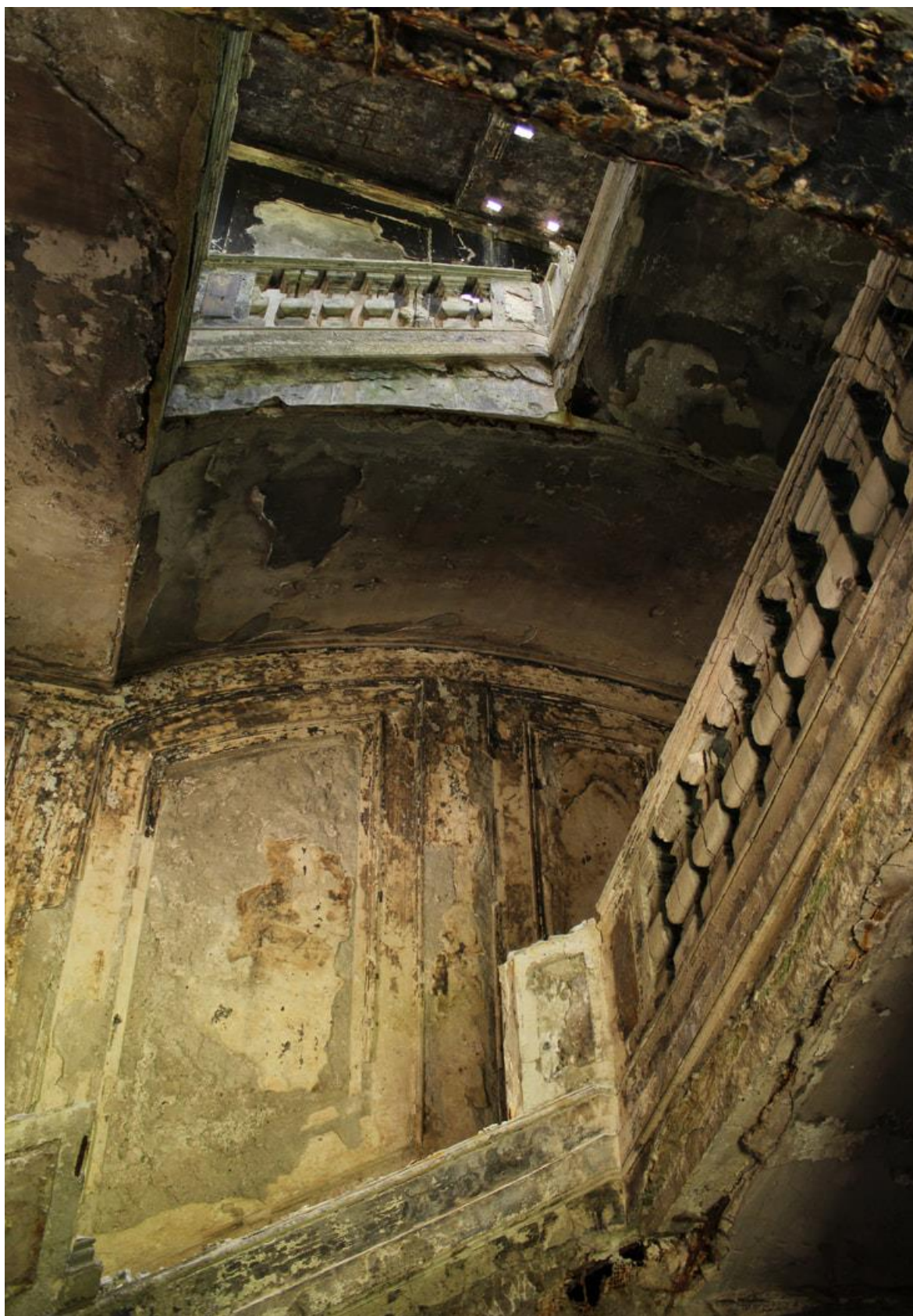
O dziwo nikt nie zamieszkał pod tymi schodami...



Może tutaj powinni nakręcić kolejną część Tego na podstawie Kinga?



Fajna klatka schodowa, szkoda, że ją zepsuliście



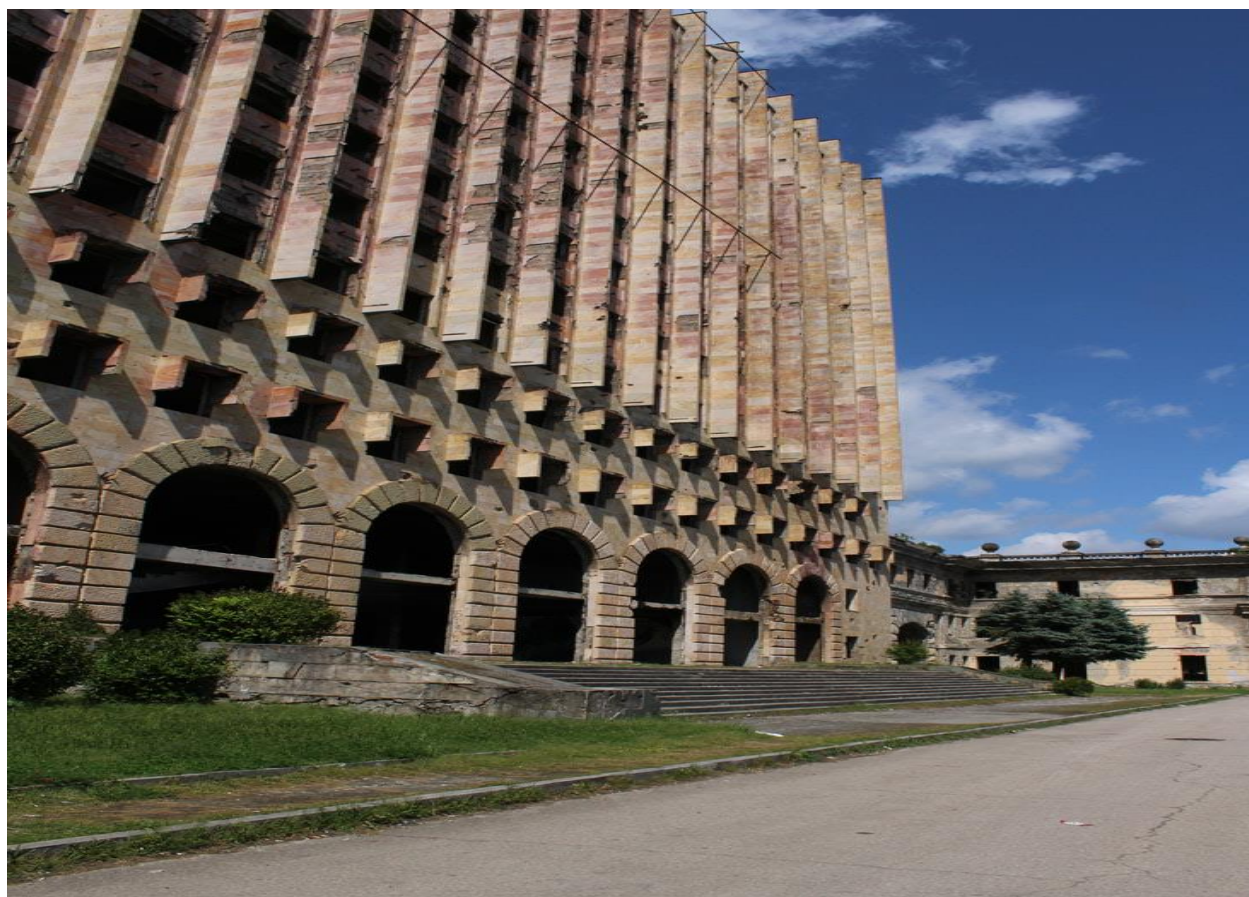
Konstrukcje wzbudzające zaufanie...



Winda to kapitalistyczny przeżytek!



Tu chyba też były imprezy elektro



Jedno z najbardziej pamiętnych miejsc, które odwiedziliśmy na Kaukazie

Mimo wielkiego święta, suchumski bazar działał. Zaimponował nam pan, który grał na harmoszce. Grał *Katiuszę* i próbował śpiewać. Pewnie gdyby nie był pijany, to by to jakoś brzmiało, a tak zwrotki śpiewał na refrenie. Nikomu to jednak nie przeszkadzało, od momentu usłyszenia go mieliśmy poczucie, że ktoś wykonujący ten klasyk lokalnej muzyki patriotycznej był niezbędny, żeby uczynić nasz pobyt w Suchumi udanym. Z lokalnych produktów bazarowi handlarze mieli cebulę, pomidory, jabłka, kury (żywe), króliki (żywe), przyprawy (nieżywe), wariacje na temat chleba i wycieczki po okolicy. Szczęśliwie, mieli też alkohol w postaci wina i czaczy. Całkowicie pijany pan poinformował nas:

– *Dziękuję, że wyzwoliliście Abchazję! Niech żyje Armia Czerwona!!!*

Niech żyje, tylko szkoda, że chwilę temu zdechła. Nie było sensu wyjaśniać, że Armia Czerwona nie była nigdy flagową formacją wojskową Polszy, a także, że ludzie, którzy mieli nieprzyjemność ją spotkać, zadbali o to, żebym wiedział, jakie szczęście im przyniosła.



Tablica ogłoszeń obok bazaru – zbiór winogron, taksówki, i oferta pisania prac naukowych za opłatą



Mini zoo, czyli produkty na bazarku

Wykończyliśmy Suchumi pod względem poważnych atrakcji, a nawet tak zwanych atrakcji. Była jakaś 16. Pogoda dopisywała, siedliśmy kawalek od centrum na plaży i skorzystaliśmy z białego wina z bazaru. Miało być półwytrawne, było solidnie słodkie, droższe i znacznie gorsze niż gruzińskie. Popołudnie jednak było tak idealne, że przyjęliśmy to ze spokojem.



Shintoistyczna brama po abchasku?



Cisza i spokój na plaży

To był taki dzień, że jak pewnego dnia będę sobie chciał strzelić w łeb, to sobie nie strzelę, bo gdzieś będzie we mnie nadzieja, że może jeszcze kiedyś taki przerobię. Poprawili gospodarze naszego pensjonatu, którzy zaprosili znajomych i coś tam porozmawialiśmy. Dowiedziałem się, że to straszne, co się z tą Gruzją podziało, taka bogata republika za czasów ZSRR, a teraz oni mają taką straszną, przerażającą biedę!!! Zwłaszcza w Batumi i Tbilisi...

Mogłem też rozważyć lokalny poziom nauczania matematyki:

– *1973 i 1982, to między nami jest jedenaście lat różnicy.*

Co do roku.

A gdy tłumaczyłem zawilóści szczegółów pobytu pomiędzy Malezyjczykiem a recepcją, padło pytanie:

– *Pan tak każdy język potrafisz? Bo tak z angielskiego na rosyjski, z rosyjskiego na angielski. Na inne też??? Może francuski na rosyjski?*

Zwłaszcza na te o rodowodzie tureckim!



Kończył się 9 maja. Bulwar Zachodzącego Słońca, edycja abchaska



Ten marmur kiedyś pewnie nie był taki popękany...



Rybacy wciąż żywią nadzieję na życie w Morzu Czarnym

Rozdział 6.

К сожаленью, день рожденья только раз в году

10 maja oznaczał, że zadziała biuro rejestracji obcokrajowców w Abchazji i będziemy mogli zapłacić za wizy. Wspominałem milion liter wcześniej, że do tego wrócimy. Na rejestrację są trzy dni, ale liczą się tylko dni robocze, więc zrobienie Abchazji przez weekend nie jest za bardzo opcją. Obstawiam, że jeżeli ktoś wjechałby np. 7 maja i chciał wyjechać 9, to nie wyjedzie. Bo nie zapłacił za wizę, na granicy zapłacić nie może, a kwitek opłaty determinuje życie.

10 maja oznacza też moje urodziny. Pan w biurze wizowym był zachwycony, że spędzam je w Abchazji. Czekala nas miła niespodzianka i to z najmniej spodziewanej strony. Biuro wizowe używa kursu rubla sprzed lat i w efekcie opłata 10 USD wyniosła nas jedynie 350 rubli (przy normalnym kursie byłoby około 600 za twarz). Bardzo spodobał mi się ten pomysł, żeby rzucić wyzwanie całemu światu finansjery i liczyć dolca za 35 rubli. Gdyby mi tak zechcieli trochę USD po takim kursie sprzedawać... Na miejscu można zapłacić kartą, ale żywą gotówkę należy zanieść do banku (bo pewnie by drapnęli). W zamian otrzymujemy kwitek głośzący, że tak, zapłaciliśmy i że możemy opuścić kraj. Bez kolejki, czynne wcześniej, niż być miało, miła obsługa, nic czego człowiek spodziewałby się w abchaskim biurze wizowym. Niewiarygodne! Procedura prostsza niż kupno piwa, a samo biuro jest w centrum, przy ulicy Sacharowa 33.

Abchazja miała kiedyś taki szalony pomysł, żeby wprowadzić własną walutę. Jeden apsar to teoretycznie 10 rubli (według innego info kurs wymiany wynosi 1:1). Problem jest taki, że apsarów na oczy nie widziałem. Ba, nawet nie za wielu lokalnych je widziało. Moskiewska mennica wybiła monety 10, 25 i 50 apsarów, ale w małych ilościach. Miały one upamiętniać np. wojnę i lokalnych artystów, ale coś się nie udało. Nie znam się na tym, ale chyba jak się bije kilka tysięcy monet, to może ich jednak nie wystarczyć na potrzeby choćby małego kraju.

Rozpoczęliśmy odwrót w stronę Gruzji. Szybko dostaliśmy się miejskim autobusem na dworzec, znaleźliśmy marszrutkę do Gali i w niej zasiedliśmy. Godzinę później dalej byliśmy jedynymi pasażerami. Tego dnia co chwilę padało, więc siedzenie pod dachem miało jakiś tam plus. Szkoda tylko, że dach się nie przemieszczał w stronę Gruzji. Było jasne, że dopóki ludzie się nie zbiorą, to nie pojedziemy. Może za dwie osoby moglibyśmy dopłacić, ale nie za cały bus. Nie było bardzo późno, ale jednak są ciekawsze sposoby spędzania dnia niż siedzenie w marszrutce, która się nie porusza. Pojawiła się starsza pani i spytała, czy ten bus jedzie do Gali

– *Jedzie to nie do końca to słowo, ale tak, ogólnie powinien kiedyś wyruszyć tamże.*

– *To może byście chcieli taksówkę ze mną? Ja i tak muszę jechać, zapłacicie jak za bus, a mnie taniej wyjdzie.*

Nie wierzyliśmy w swoje szczęście. Samochód nie był taksówką, za to był w dobrym stanie, a kierowca okazał się mieć nastrój do rozmów i duszę przewodnika.

Pani jechała do Gali, bo miała tam dom. W wyniku działań zbrojnych dwa razy musiała uciekać z Abchazji do Gruzji, chociaż była Megrelką, a nie Gruzinką. Pierwszy raz uciekali przez Swanetię i było ciężko, drugi raz już podobno była lepsza droga i w sumie to taki spacer na kilkaset kilometrów. Teraz co jakiś czas wraca i domu dogląda, a dom znajduje się w Gali, tuż przy granicy. Jednak całe to gonienie z Abchazji do Gruzji nie było w jej wspomnieniach jakimś dramatem, ot, po prostu, jakoś tak wyszło. Prawdziwym problemem było to, że syn mieszka w Moskwie, skończył 55 lat, nie ma żony, a ona nie ma wnuków, to jest dopiero tragedia i przegrane życie.

– *To wszystko przez telefony. Przez telefony ludzie się przestali odwiedzać, tylko do siebie dzwonią. A jak się odwiedzają, to i tak tylko zajmują się telefonami* – zdiagnozował dobrze wszystkim znany problem społeczny kierowca.

Taksiarz podzielił się informacją, że mijamy więzienie w miejscowości Dranda i że około ośmiu jego sąsiadów jest obecnie tam zakwaterowanych. Abchazja ma takie statystyki przestępczości... Właściwie trudno powiedzieć jakie, znalazłem informację, że na 400 spraw procesy odbyły się jedynie w 20. Narkomania zbiera solidne żniwo, a jakoś ta lubi się wiązać z przestępczością (hm, to może jednak nie był program szczepień?). W Drandzie było kiedyś jedyne cywilne abchaskie lotnisko, w sumie dalej jest, ale nie realizuje lotów komercyjnych, chociaż kiedyś przyleciał Ławrow. Nie doczekali się jeszcze Medwiediewa, a o Wołodii nawet nie marzą.

Minęliśmy też hotel, który zbudował Filip Kirkorow i nazwał go na cześć swojej matki, Wiktorii. Sam wielki śpiewak nigdy w nim nie był. Czasem tak bywa, że ma się gdzieś hotel i po prostu nie wystarcza czasu, żeby go sobie nawet zobaczyć. Stalin kiedyś miał kilka dacz w Abchazji, tam na jeziorze Rica jest jedyna zachowana, ale podobno Józef Wissarionowicz

bardzo lubił tę część ZSRR.

We wszystkich rozmowach z lokalnymi panowała solidna sowietonostalgia, ale nie mam żadnych wątpliwości; w Abchazji w czasach ZSRR musiało być o wiele lepiej, bo trudno, żeby było gorzej niż współcześnie.

– Tam, gdzie kiedyś żyły wilki, dzisiaj rośnie herbata – tak śpiewaliśmy za ZSRR. Teraz sobie możemy pośpiewać, że gdzie rosła herbata, to znowu grasują wilki.

Pan był wielkim fanem herbaty i mówił, że kiedyś to się szło do fabryki, dostawało worek od kolegi i miało liści na rok. A teraz to gówno ze sklepu to nie jest nawet herbata. Na proces odrodzenia uprawy chyba nie ma co liczyć, chociaż w regionie powoli inwestują Turcy, jednak stawiają oni na szklarnie pomidorowe. Zbiory są dobre, więc wysyłają je do Turcji, bo tam mogą na nich o wiele lepiej zarobić.

Zapytałem o losy małą, które podobno wypuszczono z suchumskiego instytutu w trakcie działań wojennych – nie miał się kto nimi zajmować, więc żeby nie umarły z głodu, otwarto klatki.

– Wypuścili, wypuścili. Poszły do lasu, wchodziły ludziom w szkodę, kradły kukurydzę, to wybili wszystkie i już nie ma problemu.

Kiedyś potencjalny zdobywca kosmosu. Dzisiaj truchło warte mniej niż kilka kukurydzy.

Udało mi się dowiedzieć, jaki dobrobyt panuje: emerytury mogą wynosić 500 rubli (to jest 31 PLN, mniej niż 10 USD...), pensje są od 7-8000 rubli, ale większości obywateli problem nie dotyczy. Na drodze Suchumi-Gali jest kilka punktów pomiaru prędkości, oczywiście zrobiono je dość głupio – ludzie zwalniają do 40km/h, żeby po minięciu policjantów prędkość potroić. „Więcej ludzi tu zginęło w wypadkach samochodowych niż na wojnie”, padła odpowiedź na pytanie o bezpieczeństwo drogowe.

W końcu dojechalismy do Gali, a starsza pani popilotowała nas do swojej siedziby. Jej dom wyglądał solidnie, dużo lepiej niż okoliczne, ale mówiła, że w środku nie ma niczego. Czego nie zostawia, to jej rozkradają, wliczając w to stare talerze.

Dogadalismy się w sprawie dowozu do granicy, w miłej atmosferze pożegnaliśmy się i przyszło nam po raz kolejny spotkać się z kochaną strażą graniczną! Nie powiem, przez te trzy dni zdążyłem się stęsknić. Jeszcze na coś tam przewaliliśmy ostatnie ruble i poszliśmy na granicę. Oddaliśmy kupione kilka godzin wcześniej paragony wjazdowe zwane szumnie wizami. Oglądając paszport Aligatora, celnik rzucił:

– WIKTORIA? To jest Pobieda, nie? Rodzice nazwali cię na cześć końca Wielkiej Wojny Ojczyźnianej?

Ja dostałem gorszy zestaw pytań:

– Czemu Polska nienawidzi Rosji? My was wyzwoliliśmy!

Po szybkiej wymianie zdań nas wyzwolono z Abchazji. Nie wbito nam niczego do paszportów, więc dowodów na odwiedzenie Abchazji nie mamy. Przeszliśmy dobrze nam znanym mostem. Na rzece Inguri, nawet nie Kwai. Oficjalne powitanie w Gruzji było szybkie – żyjemy, nie zabito nas, pa! Wpakowaliśmy się do marszrutki w stronę Kutaisi. Wszyscy wiedzieli, skąd przyszliśmy i mieli do nas wiele pytań. Cieszyli się, że nędza i że mają tam gorzej niż oni, ale w tym samym czasie płakali, że nie mogą tego zobaczyć. Zanim dopaliłem do filtra, pogonili mnie i jechaliśmy do mitycznej stolicy Kolchidy.

Zakochaj się w Abchazji! Odwiedziłem w życiu ponad 50 państw i Abchazja nakrywa je czapką – wliczając w to mityczną Tajlandię. To jest jeden z najpiękniejszych kawałków świata. Niestety realia ekonomiczne ściągają te tereny w rejon czwartego świata. Bieda, nędza, dramat. Nie mieliśmy żadnych problemów, ale latem roku 2017 zabito turystę z Rosji. Chwilę potem napadnięto na ruską rodzinę. Na terenie rosyjskiej bazy w Gudaucie coś wybuchło, jakieś 30 ofiar. Rosyjskich turystów ubywa, bo jednak nie chcesz jechać z żoną i dzieckiem w miejsce z szalejącą narkomanią, desperacką biedą, jednym bankomatem i trzycyfrowym bezrobociem. Nam Abchazja robiła dobrze na każdym kroku, ale jest to rejon słynący z bezprawia. Z jednej strony, kochamy tę część świata, jest pełno pięknych miejsc, jaja dzieją się na każdym kroku. Z drugiej, to jest w jakimś sensie strefa wojny i prawna dzicz. Z jednej strony na pewno nie polecamy samotnym kobietom, bo region nie słynie z tradycji emancypacji. Z drugiej strony, polecamy każdemu.

[17.11.2017]

Po pobycie w Abchazji Gruzja była dla nas krajem absolutnie banalnym. Za jedyne osiem lari pokonaliśmy dystans z granicy do Kutaisi. Kierowca nie wywodził się z tej szkoły myślenia, co poprzedni, więc waliliśmy dobrze ponad stówę po drodze, gdzie sam bym raczej nie odważył się jechać powyżej 70km/h i to osobowym, a marszrutką to może 50km/h. Plusem było to, że dość szybko dotarliśmy do celu naszej podróży, chociaż obawiałem się, czy w ogóle dokądkolwiek dotrzemy.

Kutaisi mogłoby zmienić nazwę na coś w stylu Saakashviligrad, Saakashvilipol albo Saakashvilikan. Poprzedni prezydent (zanim go jeszcze chcieli posadzić) dokładał starań, żeby drugie co do wielkości miasto kraju zyskało na znaczeniu. Chciał, żeby Kutaisi przyciągnęło inwestycje (to mityczne przyciąganie zbawiennych inwestycji i zachodniego kapitału, w które wierzą wszędzie na wschód od Odry) i stało się bardziej znaczące. Wyszło to tak sobie. W nowoczesnym budynku parlamentu odbywają się obrady, ale już sam rząd siedzi w Tbilisi, a budowa obiektu pochłonęła niemało pieniędzy. Co sprawie się nie przysłużyło, gdy wysadzano ogromny pomnik II wojny światowej, żeby zrobić miejsce na nowy parlament, zginęły dwie osoby, które go broniły.

Chociaż trochę ponad 200 kilometrów dzielących Tbilisi od Kutaisi to nie tak daleko, to są to lata świetlne, jeżeli chodzi o atrakcje i wygodę. Trudno nawet mówić o jakiejś rywalizacji, bo zarówno stolica, jak i Batumi rozwalają Kutaisi w drzazgi. W drugim co do wielkości mieście kraju powitał nas chaotyczny i rozlazły bazar, oddalony solidnie od centrum dworzec i stado taksiarzy. Metra oczywiście nie ma (przy populacji w okolicach 150 tysięcy to nie takie dziwne), ale jeżeli chodzi o dystanse, to jest to wcale niemałe i można się naspacerować. Niestety za bardzo nie ma po co, bo jest szaro, nieciekawie, a jakość sklepów i ich zaopatrzenie dość jasno mówią, że ekonomia raczej się zwija niż rozwija. Nawet znalezienie jakiejś cywilizowanej gastronomii za bardzo nam się nie udało, no ale to Gruzja, więc chaczapuri, lobio i stół z ceratą dały radę.

Mimo usilnych starań nie odczuliśmy majestatu wieków miejsca, które było stolicą mitycznej Kolchidy. Miasto jak miasto, znacznie większe niż być powinno. Lokalni próbują wskoczyć na wózek z turystyką, ale raczej nie do końca im to idzie – konkurencja jest ogromna, ceny w maju zjechały bardzo nisko. Może w wakacje mają więcej szczęścia, ale pewnie wielu turystów odpuszcza sobie to piękne miasto i od razu wyjeżdża, bo siedzieć za bardzo nie ma po co. Jeżeli chodzi o atrakcje, to też za wiele nie ma, chyba że zaliczymy do nich bazar przy jednym z dworców. W wielu przewodnikach lubią zachęcać do odwiedzania lokalnych miejsc handlu ulicznego, co ma nam pozwolić na zrozumienie tego jak niesamowicie ciekawa i złożona jest egzystencja mieszkańców. W Kutaisi targowisko jest rozmiarów lotniska, można kupić na nim towary z tak egzotycznych krajów jak np. Chiny, Turcja lub Korea Południowa, a także produkty lokalne – przywędłe warzywa, stylisko do łopaty, wypieki. Można skorzystać z bogatego sektora usług fryzjerskich i manicuringu. Najwspanialsze jest jednak to, że można w ogóle ominąć to miejsce.



Są złote konie, są jelenie, jest tryskająca woda... Jak zachwyca, kiedy nie zachwyca?

Z atrakcji bardziej mainstreamowych, jest Katedra Bagrati, która chwilę temu była na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Na nieszczęście swe i Kutaisi, została tak ukochana przez władzę, że została odnowiona i w roku 2017 UNESCO usunęło ją ze swojej listy, uznając, że naruszono charakter budynku. Podobny zaszczyt spotkał tylko dwa miejsca na świecie – rezerwat antylopy oryks w Omanie (znaleźli ropę i wybili antylopy) i dolinę Elbę koło Drezna – Niemcy uznali, że wolą mieć fajny most, a nie fajną dolinę UNESCO. W Gruzji ostatecznie ograniczono obszar dziedzictwa do katedry Gelati, wywalając Bagrati. Może i tam uda im się coś odnowić, a wtedy lista dziedzictwa przepadnie im całkowicie.





Jeżeli będą chcieli robić Władcę Pierścieni 4, to mogą im polecić pewien adres...

Całe szczęście, że Bagrati widziałem już kiedyś w 2011 gdy jeszcze na liście była. Jeżeli pamięć mnie nie zawodzi, wówczas nie miała zbyt wiele dachu, ale pracowano nad nim. Obecnie dach ma, wygląda raczej tak sobie, ale na tle panoramy Kutaisi to bardzo jasny punkt. Myślę, że ostatecznie wyleciała za kuriozalną przybudówkę-nawę, która pasuje jak picz do kozucha. Katedra jak katedra, ten obiekt, raczej nie powali nikogo mającego jakiegokolwiek doświadczenie z regionem.



Ło rany...

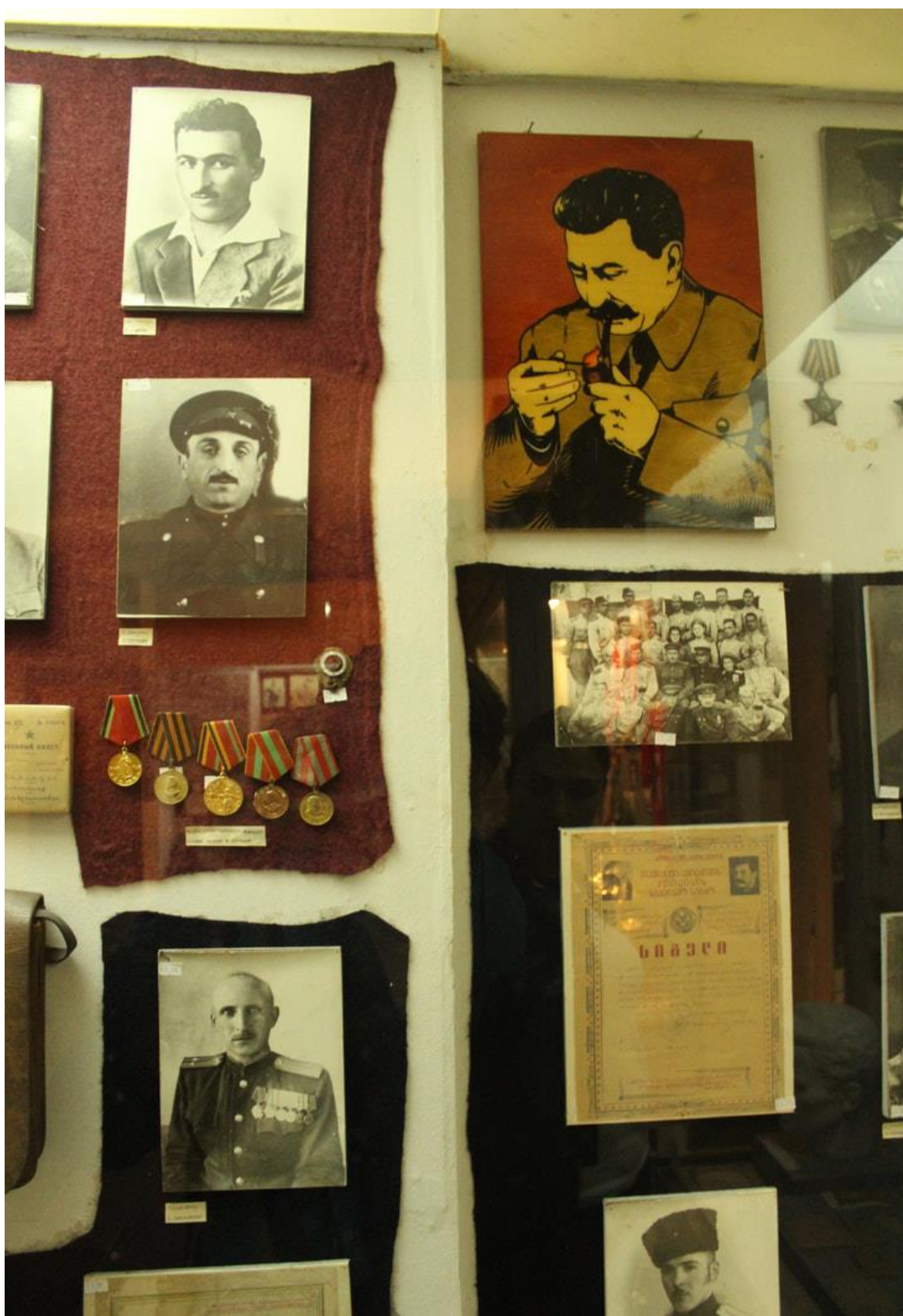
Drugim obiektem z tego cyklu jest wspomniany już monastyr Gelati, ale z racji pewnych wyzwań logistycznych i pogodowych odpuściliśmy sobie wyprawę do niego. Kolejny dzień w regionie, liczba odwiedzonych przez nas obiektów sakralnych szła w dziesiątki, a w Gelati byłem w 2011 roku, wtedy akurat pogoda była o wiele lepsza, więc zaordynowałem muzeum sportu. Jest to obiekt tak zły, że aż dobry. Obsługa omdlała, gdy dowiedziała się, że chcemy to zwiedzać i zaoferowała nam bilety w najlepszej cenie świata, czyli za darmo. Patrząc na zakurzone obiekty w gablotkach, mieliśmy poczucie, że przepłaciliśmy. Jest tak kuriozalnie, że spędziliśmy tam więcej czasu, niż pozwalałby na to zdrowy rozsądek. Napodziwialiśmy się rękawic bokserskich, rowerów, szachów i dyplomów głównie z czasów, gdy stolica Gruzji była w Moskwie, a nie w Tbilisi. Oczywiście mają Stalina.



Dolne wycinki z gazety dokumentują homoseksualne tendencje pośród lokalnej ludności ponad sto lat temu



Za połamanie pręta jakiś Gruzin otrzymał szarfę szlchetnego miasta Taszkient



Spontaniczny Stalin zawsze na proscie



Wariacja na temat pucharu, czyli gruziński róg



Nino Uchadze wiele nie ugrała (36. na 10 metrów i 27. na 25 metrów w pistolecie pneumatycznym). Ciekawe, czy więcej ugrał dzik z górnej części zdjęcia



Nowa dyscyplina olimpijska: wyrób glinianego wazonu ze Stalinem. Wygrała reprezentacja Gruzji



Niby się Polska z Gruzją lubi, ale skoro była okazja do podrzucenia im kukulczego jaja, to czemu nie?



W konkursie na Gagarina, zwyciężył Gagarin



Totalnie popierdolone pogańskie gówno, trochę jak klip Skinny Puppy, a bardzo jak kutańskie muzeum sportu

Kronikarsko wypada wspomnieć, że cierpiący na głód jaskiń mogą odwiedzić jaskinię Prometeusza. Z tego co pamiętam, to obiekt jest mały, kiczowato podświetlony, chociaż na pociechę – ma ślady łap dinozaurów, które to podobno gęsto zaludniały (zadinozaurzały) okolice miliony lat temu. Po tej abchaskiej to można się co najwyżej pośmiać.



Patrzcie jaka bieda w Kutaisi! Duchownego wożą taką rozpadającą się dryndą. Nie to, co w Polsce!

Chodząc po mieście znaleźliśmy synagogę – drugą co do wielkości w kraju! Trochę kuriozalnych rzeźb i niewiele więcej.



Nieobeznanym w temacie przypominamy, że to gwiazda Dawida, a nie Bill Cipher

Nasza przygoda z Kaukazem zbliżała się do końca. Pod jednym względem Kutaisi udało się przebić Tbilisi: lotniskiem. Lotnisko w Kutaisi stało się bazą dla wielu tanich linii lotniczych. Pewnym minusem są godziny przylotów/odlotów, zazwyczaj środek nocy, w końcu ma być tanio. Podobno Georgian Bus jeździ na lotnisko w ludzkiej cenie i jest jakoś tam zgrany z lotami, ale właściciel hotelu powiedział, że bywały przypadki, że przewoźnik zapomniał sobie przyjechać. Za taksówkę o 2 w nocy zapłaciliśmy 25 lari, co wynosi więcej niż podawane na necie 20, ale z drugiej strony noc, lar podupadł, zamawiał to facet z hostelu, nie bardzo mogliśmy się spóźnić na nasz lot, więc tę walkę odpuściliśmy. Lotnisko jest małe, ale w miarę niebrzydkie. Wiele osób odprowadzało znajomych, jeszcze więcej nie było na trzeźwo, więc panowała dość specyficzna atmosfera. Sam bar lotniskowy był czynny o tej chorej godzinie, zainteresowanych lokalnymi trunkami nie brakowało, do stopnia kolejkowania do tego wodopoju. Dzięki temu Kutaisi oferuje całkiem miłą opcję pożegnania się z Gruzją – nie przypominam sobie aż takich hitów na lotnisku w Tbilisi. Wydaje mi się, że za 2 lari można było dostać banię koniaczku, ale może się mylę, sam średnio miałem nastrój na picie o tej godzinie i to przed lotem WizzAirem. W końcu nadeszła magiczna godzina, przyleciał wielki żelazny ptak, wziął nas wszystkich do swojego brzucha i odlecieliśmy w stronę stolicy Niemca.



Rzeźba ta przypomina nieco tekst [tego utworu](#)

Gdy byłem po raz pierwszy w Gruzji i Armenii, miałem nadzieję, że kiedyś wrócę. Wróciłem w 2011 na prawie półtora roku i wyjeżdżałem nieco wykończony problemami regionu. Mimo wszystko, gdy pod koniec 2012 roku opuszczałem Gruzję, myślałem sobie, że jeszcze tam kiedyś wrócę. Jak widać, ostatecznie to zrobiłem.

Z jednej strony można powiedzieć, że Kaukaz zawsze pozostaje taki sam, Kazbegi, Morze Czarne i wino. Z drugiej, wiele się zmieniło. Turystyka rozwija się jak szalona, jak niegdyś w Polsce, gdy w kilka lat Kraków przeszedł od „ale super, turyści!” do „o kurwa, turyści!”. Azerbejdżan jest jeszcze daleko od tego etapu, Armenia w Erywaniu już go osiągnęła, a Gruzja powoli zaczyna to mieć na terenie niemal całego kraju (poza takim Achalciche, a strzelam, że i w Rustawi jest spokojnie). Niestety, poza turystyką nie widać wielu pomysłów na rozwój regionu. Dopóki przybywa lotów i zainteresowanych krajem, to można to ciągnąć, ale w końcu nastąpi załamanie i dla wielu osób temat się skończy, chociaż wiele pensjonatów prowadzonych jest w formie *homestayu*, więc najwyżej po prostu nie zarobią i będą sobie biednie żyć. Z drugiej strony jeżdżący obecnie jako taksiarze raczej nie pojadą robić MBA do Londynu, gdy okaże się, że nie ma jak zarobić z pracy na taryfie.

Dzięki temu boomowi turystycznemu podróżowanie jest raczej łatwe. Coraz więcej rzeczy da się załatwić internetowo, informacji o wszystkim przybywa lawinowo. Ceny są z tych przyjaznych, ale też nie są to grosze i zamawianie całego świniaka za dwa euro. Ubyło trochę poziomów odjazdu, w stylu spanie w pokojach bez okien, wody i ogrzewania, picie czaczy z kierowcą, który nas za chwilę będzie odwoził. Podniósł się poziom samochodów i marszrutek, oczywiście dalej można znaleźć radosne Żiguli, rozpadające się Łady i Transita z nieco wybitą szybą, ale oczywiście każdy chce mieć importowany samochód, a w marszrutkach coraz częściej panuje standard niegdyś niespotykany. Trzyma się beznadziejny i niebezpieczny ruch drogowy, ale i tak miałem wrażenie, że nieco się poprawiło.

Gruzini od XX 2017 roku mają też prawo jeżdżenia do Unii Europejskiej bez wiz, co zapewne zaowocuje tym, że młodzież nie będzie wracała, bo znalezienie jakiegokolwiek pracy w UE pozwoli im na życie na o wiele wyższym poziomie niż prace wykonywane w Gruzji. Pytaniem otwartym pozostaje, czy da im szczęście, ale w wielu wypadkach zapewne tak. Trudno karmić się wizją, że Gruzin będzie ryczał poza granicami kraju, że nie ogląda szczytu Kazbegi. Niejeden kupi sobie Playstation i tyle będzie nostalgii, bo ich rodzin nie było stać lub nie mieli parcia, żeby tam się ciągnąć. Otwarcie kraju daje niesamowite szanse kobietom, które mają dość skomplikowaną drogę do wyzwolenia w ojczyźnie, a i możliwości robienia kariery solidnie ograniczone. Oczywiście nie dla każdej, ale dla wielu wizja rodzenia dzieci, lepienia khinkałów i oglądania męża z kolegami i czaczą może przegrać z opcją jakiegokolwiek pracy dającej niezależność. Pytaniem, na jaką skalę i kiedy się to wydarzy, od kilku lat widać, że Gruzja będzie pierwsza, bo tendencje prozachodnie są tam większe niż proamerykańskie w Polsce w latach 90. Mimo wszystko myślę, że możemy spać spokojnie, za naszego życia kraje Gruzja, Armenia i Azerbejdżan nie staną się Szwajcariami Kaukazu. Nawet jeżeli, to zawsze pozostanie Abchazja.



Jeżeli kiedyś zrozumiem, dlaczego lubię Kaukaz, to na pewno o tym napiszę